



De. I 1.

BOSKA I NIEBOSKA KOMEDYA

ICH MYŚLI SPOŁECZNE.

Dlaczego Krasiński nadał swemu poematowi tytuł dantejski, dlaczego nazwał go „Nieboską Komedią“?

Tyle pewna, że ta nazwa, w myśl autora, konieczną nie była. Pierwotnie — i to jeszcze po ukończeniu dzieła w listopadzie roku 1833 — tytuł miał brzmieć „Mąż.“ I dopiero znacznie później zmiany go poeta najprzód, jak wykazał Kallenbach, na „L'Umana Commedia,“ a potem na „Nieboska Komedia.“ Jak się zdaje, ostateczna decyzja zapadła krótko przed oddaniem rękopisu do druku, a więc w roku 1835, lub mało co wcześniej.

Ale z drugiej strony i tyle pewna, że nazwa, o której mowa, stała się niezmiernie ważną. Jakby pod jej wpływem przechodzi Krasiński do napisania „Snu,“ włączonego nasamprzód — najpóźniej w r. 1837 — do „Herburta,“ a następnie do rozpoczętego w r. 1838 „Niedokończonego Poematu,“ którego część i dziś stanowi, choć po raz pierwszy został w r. 1852, jako odrębna całość, drukiem ogłoszony. „Sen“ zaś wprowadza na scenę postać Danta — jeszcze nie Aligiera z „Niedokończonego Poematu,“ który ma w sobie i pewne rysy Danta, ale dużo więcej cech przyjaciela poety, Danielewicza — lecz Danta, w którym rysy dantejskie stanowią przeważająco, są dominujące. I co więcej, „Sen“ nawiązuje najwidoczniej do myśli „Nieboskiej.“ Daje, jak później prawie cały „Niedokończony Poemat,“ mający wedle intencji autora ją poprzedzać, jej uzupełnienie... Ma się wrażenie, że tytuł tejże „Nieboskiej“ miał dla poety znaczenie ewolucyjne, że go wprowadził na nowe drogi, że mu otworzył nowe horyzonty.

Pytanie, które poprzednio postawiłem, wymaga więc odpowiedzi i na dokładne rozpatrzenie w pełni zasługuje.

Ale zadanie nie jest łatwe. Źródło zwykle tak obficie płynące—korespondencya Krasińskiego—w tym razie zawodzi. Wiadomo tylko, że poeta zaczyna rozczytywać się w Dantem już dwa lata przed napisaniem „Nieboskiej,” w r. 1831. „Jakie te wieki średnie są ponure, wzniosłe, potężne”—pisze tu (2 września z *Genewy*) do Reeva. Wiadomo, że w r. 1839, kiedy tworzy „Niedokończony Poemat” i wcielił już albo wciela właśnie do niego „Sen,” znów i teraz bardzo intensywnie zajmuje się Dantem. „Szelma Dant mnie wwiercił się do duszy” -- pisze do Gaszyńskiego. To jest prawie wszystko.

Trzeba więc pozostać przy dziele samem. Trzeba „Nieboską Komedię” z „Boską” zestawić i szukać tertium comparationis, szukać łącznika, który tytuł by tłumaczył. I nie należy zrażać się tem, że wyniki dotychczasowych, okolicznościowych porównań pozostały ogólnikowe i nieznaczące. Nie, skoro droga porównawcza jest jedyną w danych stosunkach możliwą, należy korzystać z każdej nadarzającej się sposobności, aby ją ulepszyć i pogłębić — a dzisiaj dla mnie taka sposobność istnieje.

Ogłosiłem właśnie rozprawę, zajmującą się poglądami społecznymi „Boskiej Komedyi,” a mianowicie jej poglądami na instytucję własności, „filozofię własności u Dantego,” jak rzecz określiłem.¹⁾ W ten sposób zyskałem szerszy materiał do porównania zdolny i podatny, bo tyle z góry pewna, że łącznik między „Boską” a „Nieboską” można jedynie znaleźć w społecznym kierunku.

A powtóre: uderzyły mnie pewne analogie między tem, co wykazałem w Dantem, a tem, co następnie wyczytałem w „Śnie.” I śledząc te analogie, doszedłem do przekonania, że z konieczności metodę porównywania trzeba zmienić, że nie należy bezpośrednio zestawiać „Boską” i „Nieboską,” tylko najprzód „Boską” ze „Snem,” potem „Sen” z „Nieboską.”

Należy postępować tak tembardziej, że same fakty — właśnie fakty poprzednio wyliczone — na tę pośrednią metodę wskazują. Ponieważ bowiem Krasiński, po nadaniu „Nieboskiej” jej potrzebującego dopiero wytłumaczenia tytułu dantejskiego, przechodzi do napisania „Snu,” już otwarcie o Dantem mówiącego,

¹⁾ Dantes Philosophie des Eigentums. Archiv für Rechts- und Wirtschaftsphilosophie. Okt. 1910, Jan., Apr., Okt. 1911, Jan. 1912.

można z góry przypuszczać, że tutaj, w „Śnie,“ związek z „Boską Komedią“ będzie silniej, w każdym razie świadomiej zaznaczony, niż w „Nieboskiej,“ i to już samo zachęca, aby najprzód te dwa utwory ze sobą zestawić. Jeżeli wynik będzie zachęcający, będzie można zapytać, które z momentów w „Śnie,“ z Dantego zaczerpniętych, tkwią nieświadomie już w „Nieboskiej,“ będzie można co do tytułu, który tak zaciekawia, tego i owego się domyślić, może i coś wiedzieć...

Szerszy materiały i nowa, jak mi się zdaje, skuteczniejsza metoda: oto co mnie do podjęcia pracy niniejszej ośmiela. A teraz rozpoczniemy porównanie „Boskiej Komedyi“ ze „Śnem.“

I.

W pieśni 17-ej „Piekła“ opisuje Dante lichwiarzy. Ich właściwa kara polega na tem, że są oni wystawieni na deszcz iskier, przeciw któremu bronią się, jak psy, łapami albo pyskiem, przeciw muchom, komarom i innym owadom. Ale nie tę karę—wspólną lichwiarzom z innymi zbrodniarzami, należącymi, według systematyki dantejskiej, do tej samej grupy—nie tę karę chcę tutaj podkreślić. Chodzi mi, przy ich przedstawieniu, o inny moment. Chodzi mi o to, że są oni—kiedy, w deszczu iskier, siedzą obok siebie na ziemi—dla indywidualnego, osobistego rozpoznania niedostępni. Dante musi, aby wiedzieć, kogo widzi, przypatrywać się nie ich postaciom, tylko torbom, które wiszą u ich szyi i w które oni nieruchomie są zapatrzeni—torbom o rozmaitych kolorach i zaopatrzonych w różniczkujące znaki albo herby.

Znaczenie tej symboliki jest całkiem jasne. To, co tu powiedziano o ich postaciach, a zatem o ich ciałach, odnosi się do wewnętrznej istoty skazańców. Lichwiarze, mówi poeta na swój sposób, są, jako tacy, nieosobiści, są *anonimowi*.

A teraz weźmy następujący obraz ze „Śnu“ Krasińskiego:

„Na tronach świecących siedzieli wybrani kupcy z wędrownych pokoleń wschodu, w długich szatach, z siwemi brodami, z purpurową przepaską na czole—a pod ich nogami leżały ogromne wory, pełne brzęczącego kruszczu.

„I czasem z tych leżących podnózków wyrzywały się przerywane głosy, jakoby nalegania, prośby, wyrzuty. I poznał młodzieniec, że w tych worach dusze kupców, ukryte i spętane, płaczą. A w miarę, jak się nieszczęsne coraz bardziej skarżyły,

wzrastał gniew siedzących — i, gniotąc wory stopami, zagłuszali jęki tych własnych dusz swoich.“

A więc dusze wybranych kupców przeszły w wory pełne kruszczu. Jako tacy, nie mają oni zatem duszy, nie mają tego, co indywidualność, osobistość stanowi, jako tacy, są oni też anoni-mowi. Tak jest. Co Dante wyraża przez nierozpoznawalność ciała, zatem symbolicznie, to wyraża Krasiński już wprost, przez brak duszy.

Lecz jeden mówi o lichwiarzach, a drugi mówi o wybra-nych kupcach.

Lichwiarzy Danta możemy — dzięki znakom i herbom, które poeta odczytuje na ich torbach — i dzisiaj jeszcze odgadnąć i nazwać. Są to poprostu ówczesni wekslarze i bankierzy, „campso-res“ florenccy. I niema w tem nic dziwnego. Ci „campsores“ brali procenty, a Dante, jak całe średnie wieki, jak cała doktry-na średniowieczna, scholastyczna, każde branie procentów, przy-najmniej procentów otwartych, szczerych, nieosłoniętych przez pewne utarte i wyraźnie dozwolone formy prawne, które tu w ra-chubę nie wchodzi wcale — uważa za lichwę.

A „wybrani kupcy“ Krasińskiego, zasiadający na tronach świecących?

Tu zauważę najprzód, że w pierwszej wersji „Snu,“ w „Śnie Herburt,“ mówi o nich poeta także, jako o Żydach, Ormianach i Grekach, a dalej jeszcze o wekslarzach i Żydach. Tu zatem zbliża on się na chwilę do Danta. Ale w „Śnie“ „Niedokończo-nego Poematu“ panuje już wyłącznie inne wyobrażenie, które zresztą i w „Śnie Herburt“ stanowczo przeważa.

„Wtedy — czytamy między innymi — kupiec zapytał się lu-dzi o wypadki dnia zeszłego, a w miarę, jak mu z dołu głosy przełożonych nad ludźmi książąt i mędrców odpowiadały, dono-sząc o waśniach i rzeziach, o odkryciach i wynalazkach, stojący za nim współnicy radzili i układali się — i znów wielka cisza na-stała. Słysząc tylko szept głosów kupieckich w granitowym świecie. Łuna nadpowietrzna zbladła, wszystkie dusze ludzi ra-zem pobladły od oczekiwania.

„A po chwilach kilku kupiec mówca ogłosił, o ile się pod-niosły jedne, a zniżyły drugie ceny na ziemi. Wtedy z mnóstwa nieoddychającego wzniesie się nawałnica poklasków i złorzeczeń, krzyku i płaczu. Jedne zgraje wołają: „Z głodu pomrzemy!“ — a drugie: „Niech żyją kupcy wszechmożni!“ Jedne płasają wrzeszcząc: „My wygrali! wygrali!“ — a inne: „O kupcy, o Bogi nasze, zmiłujcie się nad nami!“ I znów zaczęły się swarzyć, i bić, i mor-

dować — znów jedne ciała poszły w dół, a drugie w górę, deptając po tamtych.“

Ten opis—sam z siebie bardzo wymowny—poprzedza okrzyk: „Oto się targi rozpoczynają,“ a później znówu czytamy: „I świat był jako Giełda jedna, ciemna—a oni (kupcy) jako króle świata.“

Dante przedstawia zatem wekslarzy i bankierów, Krasiński zaś, choć w pierwszej redakcyi wspomina także o wekslarzach, choć myśli pewnie i o bankierach — w liście do Reeva z r. 1831 (12 września, z Genewy) mówi o „wieku bankierów i ciemności-cieli“—maluje w gruncie rzeczy nowoczesną giełdę.

Dante przedstawia wekslarzy i bankierów—a właśnie oni byli dumą ówczesnej Florencyi. Między kampsorami włoskimi, tymi proajcami nowoczesnej bankowości, którzy zmieniali najprzód pieniądze, a potem stworzyli i wykształcili depozyt, lombard i obrót wexłowy, kampsorzy florency za czasów Danta prym trzymali i byli wprost już bankierami świata. Zakładali banki nietylko u siebie, ale i w innych krajach — nadewszystko we Francyi — i grali dominującą rolę tak w handlu międzynarodowym, jak w kredycie publicznym: państwa i królów — nadewszystko znów francuskich — mieli w swoich rękach.

A Krasiński odtwarza giełdę. Ta była za jego czasów już tem, czem jest dzisiaj. Przebywszy w wieku XVIII fazę chorób dziecinnych—słynne kryzysy w Holandyi, we Francyi za czasów Lawa — wstąpiła w stadium normalniejszego rozwoju i stała się instytucją, nadającą ton gospodarstwu społecznemu. Rewolucya z r. 1830, zakończona zwycięstwem zarobkującej burżuazyi i torująca we Francyi drogę do wielkiego przemysłu na wzór już istniejącego angielskiego, otworzyła jej właśnie nowe horyzonty.

Obaj poeci zwracają więc szczególniejszą uwagę na kapitał, i to najpierwotniejszy i najczystszy, jaki zna historia ekonomiczna — *kapitał pieniężny*. Obaj zajmują się temi jego objawami — raz czynnościami wekslarsko-bankowemi, a raz giełdowemi—które w ich czasach dominującą grały rolę, i obaj zapatrują się na niego całkiem w ten sam sposób. Jeden umieszcza jego przedstawicieli w piekle właściwem, skazując ich na deszcz iskier, drugi w fikcyjnem „piekle dni terażniejszych,“ do którego przeważną część wizyi „Snu,“ a między niemi i tę właśnie, włącza. Jeden i drugi piętnuje go, a czyniąc to, podkreśla jego anonimowość, podkreśla to, co i my dzisiaj, mówiąc o kapitale pieniężnym, a nawet mówiąc o kapitale w ogólności, nieraz zaznaczamy. Mając na myśli fakt, że kapitał ma tendencję do automatycznego mnożenia się, że osobistość doraźnego kapitalisty — najwyraźniej

przy spółkach akcyjnych (sociétés anonymes!) — zdaje się chować, zanikać, i my zwiemy go anonimowym.

Analogia, o której mowa, jest więc bardzo godną zaznaczenia. A uwydatnia ją jeszcze bardziej następujący szczegół:

Ażeby wyrazić swoją pogardę dla pewnych, licznych naówczas, arystokratycznych rodzin florenckich, które zyskowej bankowości nie wzdragały się uprawiać, wymienia Dante, jak powiedziałem, obok innych indywidualizujących znaków na torbach — także i szlacheckie herby.

Krasiński zaś pokazuje — po książętach, którzy zasiadają obok kupców — „starej szlachty ostatnich potomków.“ Pokazuje ich, „jak wybierają damasceńskie złoto i perskie turkusy z ojcowskich tarcz — jak zamierzchłe dyamenty oddzierają od buzdyganów i szabel — by ślad ostatni starożytniej chwały ponieść kupcom na sprzedaż.“

I opowiada o nich: „A syny dzielnych wstały i szły wyżej, trzymając ku kupcom wyciągnięte dłonie, pełne proszku złotego i błyszczących klejnotów — a idąc, prosili się głosem uniżonym, by mogli wstąpić między książęta i handlarze. Dano im znak z góry, że wolno im — wtedy podziękują i, wzniosłszy głos, zaczęły się targować o cenę kosztowności onych.“ — Ścięły się usta Danta i plusnęła z nich krew, a głosem grobowym zawołał: „Pieękło dawnych ludzi nie bolało mnie tyle!“

I wreszcie, dobiwszy targu, „orszak szlachty“ u stóp kupców i książąt, zasiadających na tronach, „pokładł się na marmurze — głowy oparli o brzęczące wory, z których dusze kupieckie jęczały — w garściach ścisnęli zdarte ze zbroic klejnoty — i tak leżeli niewzruszeni, bezbronni, ze zmarszczonemi brwiami, z dużą łzą w oku.“

Obaj poeci pytają zatem: „A co robi szlachta?“

To, zdaje mi się, musi utwierdzić w narzucającem się i bez tego przekonaniu, że Krasiński wzór „Boskiej Komedyi“ miał przed sobą, że i motyw główny — anonimowość kapitału — od Dantego przejął.

I to jest pierwszy wynik porównania. A jeżeli, na pierwszy rzut oka, wydaje on się może skromny, to stanowi jednakowoż dla dalszych naszych poszukiwań całkiem pewny, dokładnie określony i przez to bardzo podatny punkt wyjścia.

II.

W trzeciej części „Boskiej Komedy“ — w „Paradiso“ — jest Dante już między gwiazdami. I kiedy stamtąd — zanim się wznosi do przedostatniej, ósmej sfery — spogląda wstecz na naszą szarą ziemię, którą był opuścił, nie może się, widząc jej nikłość, karłowatość, wstrzymać od uśmiechu.

Ale na drobnej tej kuli, „podobnej do ziarnka piasku,“ widzi on jednak jedną rzecz doskonale — swą małą Florencyę.

W samym centrum tej części (pieśni 15-ej i 16-ej) wsuwa bowiem długie, bardzo długie opowiadanie o stosunkach florenckich, które wkłada w usta swego prapradziada Cacciaguidy i które bezpośrednio odnosi się do Florencyi za czasów tego przodka, a więc z przed roku 1150, pośrednio jednak ma na oku Florencyę Danta, Florencyę z około roku 1300 — opowiadanie, w którym melodią panującą jest jakby westchnienie: „Czemu dziś jest zupełnie inaczej, niż wówczas?!“

W tej słynnej i wspaniałej elegii Cacciaguidy zajmuje się Dante sprawami florenckimi najbardziej wyczerpująco i po raz ostatni. I znać, że jego Florencya jest dlań światem. Bo dając nam swoje ostatnie słowo o niej, daje, o ile chodzi o rzeczy ziemskie, społeczne, i swój testament w ogólności, daje swoje credo.

Florencya za czasów Cacciaguidy — tak opiewa najprzód pieśń 15-ta — Florencya jeszcze opasana swym starym, ważkim murem, stała spokojna, trzeźwa i wstydliva. Znakomici obywatele florency ubierali się prosta, bez kosztownych materyi na futrach, a żony ich przestrzegały obyczajów i pilnowały domowego ogniska, pędząc czas przy kolebce i przy kołowrotku. Tu prowadziły ze swemi rodzinami długie rozmowy o starych i szanownych legendach, o Trojanach, Fiesole i Rzymie. I tak była Florencya, wobec cichego i przepięknego życia, jakie się w niej wiodło, wobec zacnego obywatelstwa, jakie w sobie mieściła, „così dolce ostello,“ miejscem pobytu tak słodkiem!

I tę idylliczną prostotę przeciwstawia Cacciaguida luksusowi, który teraz, za czasów Danta, bezwzględnie panuje. Nadmieniam, że nie istniały dawniej — a istnieją obecnie — „próżne domy,“ to jest wychodzące poza potrzeby ich mieszkańców puste pałace florenckie, że nie były jeszcze urządzone na modłę Sardanapala i że — znów inaczej niż obecnie — nie widziało się dawniej ani kobiet przesadnie wystrojonych, ani bransolet, dyademów i przewiązek, godniejszych oglądania *che la persona*, niż osoba sama.

Zapamiętajmy to wyrażenie i przejdźmy zaraz do pieśni 16: Cacciaguida opowiada o znakomitych rodzinach florenckich, które upadły lub wymarły, a których świetne czasy on dobrze pamięta. Opowiada, nie tając wcale, że w wielu razach zostały zniszczone przez własną dumę, że więc nie całkiem niezasłużenie zniknęły ze sceny. Ale opowiada, mimo to, ze sympatją i z najwyraźniej widocznym wzruszeniem. Zaczynając od słów „Io vidi“ (widziałem), daje długi katalog wielkich nazwisk, do których dorzuca tu i owdzie jakąś uwagę lub reminiscencyę. I czyini to, będąc widocznie pewnym, że dla słuchacza będą wymienione nazwiska pełne dźwięku, wspomnienia pełne ważnej treści. Ufa, że słuchacz (Dante, czytelnik) przed imionami, których przedstawiciele stali kiedyś na czele miasta, głowę skłoni, że je uszanuje. I w końcu zaznacza, że te rody uczyniły lud florencki sławnym, sprawiedliwym.

Im przeciwstawia zaś tak zwaną „gente nuova,“ to znaczy ludzi nowych, którzy, będąc obcego, od tubylców bardzo różnego pochodzenia i mieszkając poprzednio po przedmieściach—chodziło, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, o utworzenie „wielkiej Florencyi“—dopiero świeżo do miasta właściwego zostali włączeni. I co do tych jest usposobiony zupełnie inaczej. Obywatelstwo florenckie—tak mówi w tonie skargi — jest teraz bardzo mieszane, dawniej było ono aż do ostatniego rzemieślnika czyste. I czy nie byłoby lepiej, aby ci nowi ludzie pozostali poza obrębem miasta, jak sąsiedzi, niżli mieć ich u siebie i znosić ich zaduch? Z pewnością wewnątrz miasta byłoby sprawiedliwsze, gdyby od tych przybyśzów było wolne. Toż przecież nieszczęście niejednej już rzeczypospolitej rozpoczęło się w ten sam sposób. Bo jak ciału szkodzi nadmiar wprowadzonych do niego potraw, tak szkodzi społeczeństwu *confusione delle persone* — mieszanina osób.

Mamy zatem w elegii Cacciaguidy dwie myśli, przynależne widocznie do siebie. A dla ich zrozumienia trzeba zaznaczyć, że w obu pieśniach są i liczne wycieczki przeciw — wywołującemu właśnie luksus—pomnażaniu majątków przez interesy wekslarskie i bankierskie, że w szczególności są w nich wycieczki przeciw pomnażaniu tym sposobem majątków ludzi nowych, którzy między wekslarzami i bankierami florenckimi stali—że wspomnę tylko parweniuszowską rodzinę Cerchi, prowadzącą naówczas bardzo słynny dom bankowy—niejednokrotnie wprost w pierwszych szeregach. Bo uwzględniając to wszystko, dochodzi się wreszcie do przekonania: co Cacciaguida, a przez jego usta Dante potępia, to są ostatecznie majątki za wielkie i majątki w złych rękach, to

jest dysharmonia osoby (persona) i majątku, a ideałem dantejskim jest harmonia tych czynników, a dokładniej, harmonia osoby i silnie ustalonej — odziedziczonej i przede wszystkim nieruchomej — własności, któraby, bez uciekania się do interesów wekslarskich i bankierskich, majątek tworzyła.

Bez uciekania się do interesów wekslarskich i bankierskich — tu spostrzegamy związek z poprzednio omówioną myślą Danta: wekslarze i bankierzy reprezentują „nieosobisty“ t. j. automatycznie powiększający się kapitał. Ich działalność musi zatem burzyć harmonię osoby i własności, która istniała przed ich zjawieniem się we Florencji, która leżała w tradycjach feudalnych.

Otóż to: za czasów Dantego obumiera w jego ojczyźnie feudalizm i rodzi się kapitalizm — kapitalizm, którego źródłem jest kapitał pieniężny, którego pionierami są campsores, ale który, prócz tego, mobilizuje ziemię, przepaja przemysł, zwłaszcza olbrzymio rozwinięty przemysł tkacki, i przekształca — jak właśnie nowsze badania, przede wszystkim dzieła Davidsohna ¹⁾ i Dorena ²⁾ wykazały — gospodarstwo społeczne całkiem w ogólności. I Dante uświadamia sobie ten przewrót i chce go powstrzymać. W postaci Cacciaguidy wywołuje dawny, prastary feudalizm i wkłada w jego usta bezwzględne anatema, z którym się najwidoczniej solidaryzuje. Jako utopista wstecz — „utopiste du passé,“ mówi Klaczko — żąda powrotu do dawnego ustroju. Wobec współczesnego przeobrażania się społeczeństwa — genezy kapitalizmu, którą widzi, on, poeta zaświatów, ze zdumiewającą wprost jasnością — wygłasza, biorąc rzecz ze stanowiska historycznego, naiwną i daremną, lecz poetycznie tem bardziej patetyczną, tragiczną przestrozę.

Tak, nie bez powodu przedstawia Dante nieosobowość lichwiarzy w „Inferno.“ W „Paradiso“ nawiązuje do niej podkreśloną ze szczególniejszym naciskiem dysharmonię między osobą i własnością — prowadzi dalej całkiem ten sam motyw.

Czy Krasiński w „Śnie“ tenże motyw też dalej rozwija?

Ku kupcom, giełdzie, cisną się, jeszcze przed przedstawicielami szlachty, także inni ludzie.

Tych widział młodzieniec już poprzednio: „Każden miał przed sobą dołek, własność swoją, długi i głęboki jak trumna —

¹⁾ „Geschichte von Florenz.“ Berlin, 1908.

²⁾ „Studien aus der Florentiner Wirtschaftsgeschichte.“ Stuttgart und Berlin, 1908.

i nosił na głowie lampę, którą, schyliwszy się, ten ciemny dołek oświecał, wybierając zeń rozmaitych rzemiosł narzędzia. — I każdy z nich pracował rękoma, z osłupiałym wzrokiem, jak u obłąkanych; — i ujrzał młodzieniec takich, co trzymali w palcach główkę od szpilki i mieli czoło wyżłobione zmarszczkami, jakby wszystkie lata nad zaokrągleniem główki tej przeżyli. A ile razy godzina śmierci, bijąca w oddali, odezwała się na tem olbrzymiem sklepieniu, ten i ów tu i owdzie spuszczał głowę i z jękiem w jamę swoją się staczał. Wtedy ich odwiązane dusze widnemi się stawały — jak modre obłoczki w kształcie kół zębatach, stęplów, lewarów wznosiły się i płynęły równolegle do ziemi, wszystkie w stronę żółtego, odległego słońca.“

Ci ludzie — „najemniki,“ woła na nich po chwili Dante—sa, oczywista rzecz, robotnikami, dokładniej, robotnikami fabrycznymi. Trudno zatem nie myśleć, gdy się czyta ich opis, o polemikach socjalno-politycznych pisarzy z Adamem Smithem, z jego słynną apoteozą podziału pracy w fabryce, w szczególności w fabryce szpilek... tak, rzecz godna podkreślenia, właśnie, tak jak u Krasieńskiego, w fabryce szpilek.

I ci ludzie mają dusze „w kształcie kół zębatach, stęplów, lewarów.“ Tu znów trudno nie myśleć o wielu miejscach u Sismondiego, a więcej jeszcze o Carlylu, który był blizkim przyjacielem poety, Reevowi. Toć Carlyle charakteryzował wiek obecny, jako wiek mechanizmu, w którym nietylko ręka nasza przybrała cechy maszyny, ale także nasze serce i nasza głowa.¹⁾ Na takim tle mogła się wizya robotników o zmechanizowanych duszach z łatwością wytworzyć.

Lecz i ona poecie jeszcze nie wystarcza. Ci sami ludzie — „rękodzielniki i wyrobniki,“ czytany tym razem—a z nimi razem (szczególna rzecz!) także lichwiarze i kramarze, jednym słowem „przemysłni świata“ cisną się, jak powiedziałem, ku królom tegoż świata, kupcom, i jedni niosą „towary, drudzy wory spore, inni jeszcze powiewne papierów zapisanych zwoje.“ I teraz słuchajmy: „W miarę, jak dochodzili połowy wschodów, musieli stawać, a grzmiący głos z góry pytał się o imię każdego z nich. Oni odpowiadali nazwą rzemiosła lub towaru, lub rękodzielnici, albowież liczbą jaką—bo *własnego, ludzkiego imienia żaden już nie miał na świecie.*“²⁾

1) J. Kleiner: „Zygmunt Krasieński. Dzieje myśli.“ Lwów, 1912, I, 116.

2) W pierwszej wersji brzmi ten ustęp nieco inaczej: „...a każdy, co stawał u szczytu, zapytany przez kupców, odpowiadał wartością towaru swo-

A zatem robotnicy o zmechanizowanych duszach są — oczywiście właśnie dlatego, że dusz własnych, ludzkich, dusz zróżniczkowanych nie mają — zarazem bezimienni, anonimowi, są nieosobiści.

I Krasiński snuje więc, tak jak Dante, pierwotny motyw dalej. A mianowicie przerzuca go — bez zmian, bo w obu razach opisuje dusze — z jednej sfery w całkiem inną, transponuje go. Transponuje w sposób niezmiernie charakterystyczny i niezmiernie godny uwagi, z przedstawicieli giełdy na *robotników*. Tak jakby chciał powiedzieć, że anonimowy kapitał urabia tych robotników, mechanizując ich przez swój automatyzm, na podobieństwo swoje, stwarza — i ta myśl nie jest nam dzisiaj obca! — anonimowy, szary proletaryat.

Ale i to nie jest wszystko. Temu proletaryatowi przeciwstawia coś innego, odmiennego. Przeciwstawia mu klasy niższe za czasów feudalnych.

„Byli także naówczas — mówi Dante „Snu“ do robotników — byli także naówczas (to jest za jego czasów) wyrobownicy na ziemi, a chorągwie ich cechów powiewały na krużgankach wież. Szkarłatem i wszelakim kamieniem drogim handlowali po jarmarkach miast — ale miecz tkwił, różaniec wisiał im u boku — ich ręka na wzburzonych falach umiała rudlować, na łądzie sypać niezdobyte szańce. Srebro brali, a brud srebra zmywali krwią bitew.“ I dalej jeszcze: „Nie wierzcie fałszom — wyście sługi — ale ojciec ojców waszych byli wolnymi w prostocie serc swoich!“

Jest rzeczą jasną: Ludzi, o których tutaj mowa, nie przedstawiłby poeta — ani Carlyle, ani Sismondi — jako zmechanizowanych, ich by bezimiennymi z pewnością nie nazwał.

Nie, on operuje właśnie silnym i ostrym kontrastem i, co więcej, kontrastem już nam dobrze znanym. Prowadząc dalej pierwotny motyw, transponując go, jak poprzednio powiedziałem, przeciwstawia — i tym razem tak jak Dante — kapitalizmowi feudalizm, jako ustrój zdrowszy.

I przeciwstawia zupełnie w ten sam sposób. Jak Dante wywołuje swego prapradziada Cacciaguidę, w którym feudalizm dawny ucieleśnia, tak Krasiński wprowadza jako przedstawiciela, orędownika feudalizmu — właśnie cień Dantego.

jego, bo żaden z nich już nie miał nazwiska przed ludźmi, tylko nosił imię wyrobu jakiegoś.“

A więc i tu napotykamy pewną analogię. Ale nie należy jej przeceniać. Krasiński, w stanowczem odróżnieniu od Dantego, nie jest bynajmniej utopistą wstecz.

Jest w „Śnie“ ustęp, który to bardzo jasno wykazuje i przytoczę go tutaj ze szczególną przyjemnością. Tem samem bowiem wyławiam perłę najcenniejszą, jaką „Sen“ zawiera.

Dopiero co Dante skończył mówić do robotników, a oto „chłopię śliczne, jak anioł, ale zwiędłe przed czasem od pracy rąk, przyczołgało się i, głowę kładąc na stopach widma (Danta), rzekło po cichu: „Zniłuj się nad nami! Co w dzień zarobim, w wieczór pożywamy — a nazajutrz o świcie znów robić musim. Nie mamy czasu modlić się do Boga, jedno robić, by zjeść co, a nie umrzeć — i ledwie co zjadłszy, znów robić by jeść — zniłuj się nad nami!“ A widmo stało się śniade, jako ten chłopiec, który mu włosami stopy obcierał i, wzniosłszy oczy w górę, westchnęło: „Przeszłość nie powróci, dziecię;—módl się o przyszłość do Ojca, który jest w niebiesiach!“ A chłopię odeszło, szmerząc: „W niebiesiach — może, ale nie na ziemi...“

Gdyby Robert Owen, który dzieckiem-robotnikiem, jego wychowaniem i jego ochroną prawną po raz pierwszy się zajął, był się urodził poetą, wielkim poetą, byłby to napisał. I powiem więcej: gdyby Gerhart Hauptmann, to dziecko nowoczesnego proletaryatu, którego dziadek sam siadywał jeszcze nad warsztatem, to dziecko proletaryatu o bolesnym wyrazie w ustach i bolesnym wyrazie w poezyi — gdyby Gerhart Hauptmann znał powyższy urywek, zdziwiłby się z pewnością, że ten panicz polski znalazł już jego nutę przed z górą pół wiekiem, i że dał ją, być może, w formie jeszcze czystszej, jeszcze szlachetniejszej.

Tak — jeżeli jest gdzie poetycznie wyrażony ból społeczny, ból socyalny w najwłaściwszem, w zupełnie nowoczesnem znaczeniu wyrazu, jeżeli jest gdzie „poezya proletaryatu,“ to jest z wszelką pewnością w tej wizyi chłopięcia. I dlatego nie chcę analogii ze średniowiecznym Dantem bynajmniej forsować. Nie, zaznaczę właśnie, że Dante patrzy w przeszłość, a Krasiński („Przeszłość nie powróci, dziecię“) w smutną dla niego wobec przeszłości terażniejszość i chciałby patrzeć w przyszłość... lecz nie może. Zaznaczę, że trzeba mówić nie o wzorze i o naśladownictwie — ten stosunek zachodzi tylko przy wprowadzeniu przewodniego motywu, nie przy jego rozwijaniu—lecz o swobodnej bardzo parafrazie.

Tyle o „Boskiej Komedyi“ i „Śnie.“ A teraz przystąpimy do porównania tegoż „Snu“ z „Nieboską.“

III.

W „Nieboskiej Komedyi“ pozostaje Pankracy, zaraz w końcu pierwszej sceny, w której się ukazuje, sam ze sobą i jest w tej chwili całkiem szczery, najszczerszy, jakim być wogóle zdoła. I wtenczas mówi: „Myśli moja, czyż nie zdołasz łudzić siebie, jako drugich łudzisz — wstydz się, przecież ty znasz twój cel, ty jesteś myślą — panią ludu — w tobie zesła się wola i potęga wszystkich...“ A chcąc uprzytomnić sobie, wryć sobie w duszę to, co jest najistotniejszym, najcenniejszym rdzeniem tej myśli, dodaje chwilę później: „Ludziom podłym, nieznanym *nadałaś imiona*.“

Dopiero myśl jego nadała zatem ludziom jego obozu imiona. Bez niej ci ludzie imion nie mieli i nie mieliby i teraz. Sami przez się są oni, zdaniem wodza i apostoła ich — właśnie bezimienni.

Już w „Nieboskiej Komedyi“ potrąca więc Krasieński o ów motyw, który w „Śnie“ miał go później tak żywo zajmować. Tylko że bezimienni są tu nie ci sami. W „Śnie“ są to, jak widzieliśmy, robotnicy w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, robotnicy fabryczni, i zupełnie, wyłącznie tylko robotnicy. W „Nieboskiej Komedyi“ są to natomiast... niewiadomo właśnie, jak powiedzieć... czy już także robotnicy, czyli też raczej dopiero rzemieślnicy i prócz nich wielu innych, najzupełniej innych.

Już we wstępie do trzeciej części „Nieboskiej“ opisuje poeta rzeszę, zaludniającą obóz Pankracego, tak: „Wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczochranemi włosy, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłońmi pomarszczonemi od trudu—ci trzymają kosy, owi potrząsają młotami, heblami — patrz—ten wysoki trzyma topór spuszczoney—a tamten stęplem żelaznym nad głową powija; dalej, w bok pod wierzbą, chłopie małe wisznę do ust kładzie, a długie szydło w prawej ręce ściska.“ Jest zatem, tak jak w „Śnie“, obraz chłopięcia pracującego ogromnie plastyczny. Jest i wzmianka o stęplach, co przypomina odwiązane dusze „Snu“ w kształcie kół zębatach, stęplów, lewarów. Ale jednak, słysząc o młotach, heblach, toporach i szydłach, myślimy bodaj więcej o rzemiośle, niżli o fabrykach. A obok tego wszystkiego są i kosy. To przygotowuje na późniejsze słowa Pankracego: „głód rzemieślników, nędza włościan,“ obejmujące dwa odmienne światy.

Potem zaś, we właściwej trzeciej części, gdy z rzeszy wyłaniają się grupy, typy, widzimy między innymi rzemieślnika —

tak go poeta właśnie nazywa — który najlepsze lata, gdzie „inni ludzie kochają dziewczyny, biją się na otwartem polu, żeglują po otwartych morzach,“ prześlęczał „w ciasnej komorze, nad warsztatem jedwabiu,“ i który niema już sił, aby czarę, trzymaną w dłoni, podnieść do ust i wychylić, lecz, zanim tego dokonał, umiera. Ten człowiek nie jest jednak w istocie rzemieślnikiem, chociaż, zgodnie z poetą, i on sam tak by się, być może, ostatecznie nazwał. Lecz nie należy on, z drugiej strony, także i do robotników, t. j. robotników fabrycznych, chociaż mus przejścia do ich szeregów ciągle miał na oczach. Na razie ucieleśnia on pewną formę przemysłu, złożoną i przejściową, bo pochodzi — to widać na pierwszy rzut oka i to dostrzegli wszyscy, co się tą sprawą zajmowali — z Lyonu, a ówczesny przemysł jedwabniany tego miasta jest wprost klasycznym przykładem t. zw. przemysłu warsztatowego, owej odmiany przemysłu domowego, albo dokładniej nakładowego, która (nie zawsze, ale właśnie w tym i w podobnych razach) powstaje z właściwego, starego rzemiosła, a jest już przesiąknięta kapitalizmem i przygotowuje tem samym najczystszy wytwór kapitalizmu przemysłowego, przemysł fabryczny, choć właśnie przez powstawanie fabryk w swoich warunkach bytu będzie zagrożona. Dawny rzemieślnik podporządkowuje się tu kapitaliście, kupcowi, nakładcy. Ten pozostawia mu jedynie stronę techniczną produkcji, a wszelkie sprawy handlowe — kupowanie jedwabiu i sprzedaż gotowego wytworu — bierze na siebie i sam, w kantorze własnym, wykonywa. Od niego zatem dawny rzemieślnik otrzymuje obstalunki, mandaty i te uskutecznia we własnym warsztacie, t. j. u siebie, w domu, ale wspólnie z najętymi pomocnikami, których, będąc de facto podwładnym swego nakładcy, jest jednak pracodawcą, jest jednak zwierzchnikiem. Dlatego nazywa siebie majstrem (*maître, chef d'atelier*), a swych pomocników czeladnikami (*compagnons*), choć nazwa nakładcy (nie tylko *entrepreneur* i *négociant*, ale i *fabriquant*), jako i fakt, że pomocnicy niezawsze noszą miano czeladników, lecz często i robotników (*ouvriers*), wskazuje wyraźnie na to, że dawne, z cechowych czasów, ze średnich wieków pochodzące określenia są w tym razie już niewłaściwe, że tutaj przemysł fabryczny już bliżki.

Otóż Krasiński wprowadza na scenę takiego *compagnon* czy *ouvrier*. Można zatem powiedzieć, że jego rzemieślnik, to jest robotnik nowoczesny *in statu nascendi*. I trzeba dodać, że ten typ, który w odniesieniu do wielkiej linii ewolucyjnej jest przejściowym, mógł się nieraz, jak właśnie w Lyonie, długo, ewentual-

nie po dzień dzisiejszy, zachowywać, że jednak, zagrożony przez ową ewolucję, właśnie tylko wegetował, doznając, i to nieraz w wyższym stopniu, wszelkich dolegliwości także robotnikom fabrycznym właściwych, a nie mając możliwości wkroczenia, jak robotnik fabryczny, na drogę koalicji, któraby mogła wesprzeć go i bronić. Trzeba dodać, jednym słowem, że taki robotnik warsztatowy jest dla patologii socyalnej przedmiotem obserwacyjnym wprost idealnym—jak zresztą robotnik nakładowy całkiem w ogólności. Nic dziwnego, że później wspomniany już Gerhart Hauptmann, chcąc dać dramat socyalny, dramat właśnie patologiczny, przedstawił nam tkaczy śląskich z roku 1848. Tam chodziło o podobne stosunki i zajścia jak w Lyonie krótko przed powstaniem „Nieboskiej Komedyi,“ w r. 1831. Tam chodziło tak samo o przemysł nakładowy, chociaż nie warsztatowy, bo majstra, jako łącznika między nakładcą a robotnikiem, pracującym stąd w własnym domu, zamiast w warsztacie, w tym razie nie było. Tam chodziło tak samo o ludzi, którzy mieli, o ileby nie konserwowała ich *vis inertiae*, przed robotnikami fabrycznymi ustąpić albo stać się nimi, tak samo o robotników nowoczesnych *in statu nascendi*.

Rzemieślnik „Nieboskiej“ jest więc bardzo wymowny. Książki miał nader szczęśliwą rękę, kiedy go do walczącego pod Pankracym obozu wprowadził.

Lecz, obok niego, widzimy także inne grupy, względnie typy. Widzimy—abstrahując od przechrztów, którzy, w duszy nie-szczerzy, są tu po to tylko, aby później napaść na zwycięzców—najprzód służącą, co „myła talerze, widelce szorowała ścierką, dobrego słowa nie słyszała nigdy“; dalej lokai, co glancowali buty, strzygli włosy i salonów znają śmieszności i wsteczności; dalej znów rzeźników, którym obuch i nóż są bronią, a szlachtuz jest życiem; jeszcze dalej niewiastę wolną i wreszcie chłopów, co mówią o ciężkich dniach pańszczyzny, a jeden z nich i o synu, który pod batogami kozackimi skonał.

Cóż więc, wobec tej wielkiej różnorodności, nadaje bezimien-
nym pewną jednolitość? Niema pod tym względem najmniejszej wątpliwości. Nadaje im ją jeden i ten sam antagonizm; wszyscy walczą przeciw zamkniętym w okopach św. Trójcy panom feudalnym.

Chłopi, stojący przy Pankracym, chcą się — w przeciwstawieniu do swych braci, idących za Henrykiem—właśnie od owych panów wyzwolić. Są to chłopi jakoby z r. 1846, jak u Wyspiańskiego. I w tym samym kierunku zwraca się nienawiść służącej

i lokai, a wreszcie i rzeźników, którym „jedno, czy było, czy panów rznąć,” jak powiadają.

I nie zmienia ogólnej postaci rzeczy fakt, że wraz z przedstawicielami arystokracji znajdują się w zwalczanych przez rzeszę okopach św. Trójcy także i bankierzy. Bo poeta wspomina tychże tylko raz jeden, pod sam koniec utworu, i nie zajmuje się nimi wcale. Widocznie uważa ich za żywioł przyswojony przez feudalizm, za jego przynależność całkiem bez znaczenia. A, co więcej, nie zmienia postaci rzeczy i stanowisko rzemieślnika lyońskiego, choć ono jest, jako takie, bardzo złożone i bardzo zawite.

Pierwsze słowa, jakie ów rzemieślnik wygłasza, brzmią tak: „Przekleństwo kupcom, dyrektorom fabryki,” i ten okrzyk, po tem, co powiedzieliśmy poprzednio, zupełnie zrozumiały, zdaje się z antagonizmem przeciw arystokracji nie mieć nic wspólnego. Ale z pierwszemi słowami zestawmy teraz i ostatnie: „Przekleństwo kupcom, co jedwab sprzedają, i panom, co noszą jedwabie.” To, co tutaj słyszymy, musi nasze wahanie stanowczo i ostatecznie przewyciężyć. Rzemieślnik jest, jak teraz spostrzegamy, zawzięty na kupców i dyrektorów fabryki, z którymi styka się, od których odbiera bolesne ciosy wprost i bezpośrednio — ale i na panów feudalnych, z którymi go łączy związek jedynie pośredni. Mówi sobie poprostu: gdyby nie było panów, co się w jedwab ubierają, nie byłoby i jego dręczycieli. On jest już tak rozgoryczony, zrozpaczony, że zbrzydł mu cały istniejący stan społeczny, w którym, jak instynktownie i półświadomie odczuwa, jedno się z drugim jednakowoż wiąże.

W szczególności wyobraża sobie zapewne, że okopy św. Trójcy mieszczą w sobie, obok arystokracji, także i kupców i dyrektorów fabryk — choć ich tam istotnie pewnie niema — jak mieszczą obok tamtych naprzykład bankierów. Bo dla niego, to rzecz jasna, „panowie” tworzą owe centrum społeczne, około którego wszystkie inne, jako tako wybitne warstwy się skupiają, a raczej ~~to~~ podstawę, na której wszystko inne się opiera, która za wszystko jest odpowiedzialna.

Tak jest, to społeczeństwo fikcyjne, jakie Krasiński w „Nieboskiej” przedstawia, to jest społeczeństwo w gruncie rzeczy feudalne — powiedziałbym jeszcze dosadniej, fazyokratyczne — i właśnie postać rzemieślnika wywołuje, mimo swej dwoistości, a raczej właśnie przez nią, wrażenie takiego społeczeństwa w sposób znamienity. Wywołuje je silniej i trafniej jeszcze, niż bankierzy, przyczepieni do arystokracji, niż powstający przeciw panom chłopci, służące i lokaje, a nawet — również nie bezpośrednio od tych

panów zależni — rzeźnicy... Istotnie, nietylko wprowadzając wogóle rzemieślnika, dowiódł Krasiński ręki szczęśliwej. Miał ją również, gdy pisał słowa: przekleństwo „panom, co noszą jedwabie!“

Podczas gdy zatem w „Śnie“ bezimiennymi są robotnicy fabryczni — w „Nieboskiej Komedyi“ są nimi ludzie bardzo rozmaici, których łączy jedynie przeciwieństwo do panów feudalnych. I dlatego także znaczenie wyrazu „bezimienny“ jest w obu wypadkach całkiem inne. W „Śnie“ jest ono wewnętrzne i pogłębiane. Chodzi tam przecież o zmechanizowane dusze, o dzieło automatycznego kapitału, o pewne społeczno-psychologiczne właściwości, dostępne li tylko dla troskliwej, ścisłej analizy. W „Nieboskiej Komedyi“ jest ono dosłowne i zewnętrzne. Chodzi po prostu o brak imienia w rodzaju imion owych panów, brak praojców, przeszłości, tradycji. Bezimienni „Nieboskiej,“ to nie są, jak bezimienni „Snu,“ „rzeczy, nie ludzie,“ to są raczej „jeszcze nie ludzie,“ to są *nowi ludzie*.

Poeta sam to mówi. O bezimiennych, o rzeszy, zaludniającej obóz Pankracego, powiada bowiem Henryk krótko przed śmiercią: „Ludzie nowi się wdarli na wieżę północną,“ a poprzednio już, w trzeciej części, woła, odnośnie do nich: „Przekleństwo nowym pokoleniom.“

Nowi ludzie, nowe pokolenia — trudno nie myśleć tu o *gente nuova*.

To zaś zwraca uwagę na analogię, jaka między „Nieboską“ a „Boską Komedią“ — w szczególności opowiadaniem Cacciaguidy — faktycznie istnieje.

Dante przeciwstawia feudalizmowi kapitalizm w ogólności — nietylko, o ile go wprowadzają przedstawiciele *gente nuova*, lecz także i inni ludzie, nawet stare, szlacheckie rodziny florenckie. Ale z szczególnym, oczywistym naciskiem przeciwstawia mu jednak najbardziej ruchliwych pionierów kapitalizmu, przybyłych z zewnątrz i specjalnie dla niego antypatycznych dorobkiewiczów — właśnie *gente nuova*. Otóż i Krasiński w „Nieboskiej“ przeciwstawia feudalizmowi, panom feudalnym nowych ludzi, choć ci nie z zewnątrz przybyli, tylko rekrutowali się z niższych klas społeczeństwa, choć nie bogacili się, ale właśnie nie nie posiadali.

I ta analogia, mimo, że, jak widzimy, uwarunkowana i względna, jest dużo bardziej uderzająca, dużo pełniejsza treści i wagi, niż owa już omówiona, którą przedtem znaleźliśmy w „Śnie.“

Tam dostrześliśmy podobieństwo z opowiadaniem Cacciaguidy w pewnem rozumowaniu Danta, ad hoc wsuniętem i mającym, że tak powiem, znaczenie teoretyczne tylko. Tam osłabia

ją, jak wykazałem, transpozycya: Cacciaguida myśli o feudalizmie i kapitalizmie, Dante „Snu“ o niższych klasach za czasów jednego i drugiego, o poddanych feudalnych i proletaryuszach.

Analogia, wykazana w „Nieboskiej“, nie jest natomiast przez żadną transpozycję zaciemniona i dotyczy nadto wprost rdzenia utworu. Cóż bowiem jest ostatecznie przedmiotem drugiej, „społecznej“ połowy, to znaczy trzeciej i czwartej części „Nieboskiej“? Właśnie walka okopów św. Trójcy z obozem Pankracego, konflikt feudalizmu ze światem nowych ludzi.

Czy zatem przyjąć trzeba, że Krasiński tworzył „Nieboską“, w wyższym jeszcze stopniu, niżli „Sen“ swój, pod dantejskim wpływem? Czy należy mówić tutaj, tembardziej, o wzorze i naśladownictwie, czy o parafrazie?

Nie wyłączam możliwości, że używając wyrażenia „nowi ludzie“, myślał on istotnie o gente nuova. Choć i ta nazwa z natury rzeczy się nasuwała. Czemu podejrzewać, że nowszy pisarz zapożyczał się u starszego, gdy niema potrzeby?

Poza tem jednak muszę z wszelką stanowczością zaznaczyć: na przypuszczenie w rodzaju powyższego absolutnie miejsca niema. Konflikt, powiedziałbym konstellacya „Nieboskiej“ tłumaczy się całkiem wystarczająco i najzupełniej wyczerpująco tem, na co Krasiński przedtem i podczas jej tworzenia—jak wiemy, w roku 1833 — patrzył, o czem słyszał.

Tłumaczy się, w pewnym stopniu, uwzględnieniem ówczesnych stosunków w Anglii, które poeta znał dzięki Reevowi. W Anglii była wówczas na porządku dziennym walka o reformę wyborczą, która się rozgrywała między uprzywilejowaną gentry a gminem, ludem—ludem w bardzo ogólnem znaczeniu — i która miała narazie charakter polityczny, chociaż z przymieszką, zaledwie jeszcze dostrzegalną, momentów socyalnych. Później miały te ostatnie wyłaniać się coraz śmieiej i wywołać w latach 1836 do 1848 tak zwany ruch chartystów (chartyzm), który, mimo przejęcia i rozwinięcia dawnych haseł politycznych, był już stanowczo ruchem socyalnym, t. j. antykapitalistycznym, ruchem proletaryatu, najpierwszym, najwcześniejszym, jaki—o ile do pojęcia ruchu włącza się pewną ciągłość, trwałość — wogóle jest znany. Już wobec tego nie może się zatem wydać dziwnem, że Krasiński w „Nieboskiej“ przedstawia niezróżniczkowany lud, walczący z arystokracją, z gentry, i że dopiero później, w „Śnie“ przedstawi robotników, a więc proletaryat.

Trzeba jednak, z drugiej strony, zwrócić uwagę na to, że splecenie kwestyi politycznych i socyalnych było w Anglii, za

czasów chartyzmu i przed nimi, tak silne i tak ścisłe, że ewolucya była tam tak złożona i tak ogromnie zawila, niejasna, iż wątpić chyba należy, czy Krasiński, bądź co bądź zdala od wypadków stojący, mógł na jej właśnie podstawie dojść do swego, tak stanowczego, tak ostrego rozgraniczenia konstellacyi „Nieboskiej“ i odmiennego stanu rzeczy w „Śnie.“ Trzeba, jednym słowem powyższe tłumaczenie odsunąć na plan dalszy, trzeba szukać innego i wtenczas z konieczności zwrócić się — ku Francyi. Bo tutaj, to, co trudno było dojrzeć w Anglii, rzucało się już wprost w oczy. Tutaj dwie historyczne fazy nie przechodziły powoli jedna w drugą i nie zlewały, nie mieszały się z sobą, lecz wyodrębniły się czasowo, wyodrębniły niby dramatycznie.

Wielka rewolucya roku 1789 była zwrócona przeciw klasom przez ancien régime uprzywilejowanym, w gruncie rzeczy przeciw feudalizmowi i przeciw niemu zwracała się także i rewolucya z roku 1830, która tamtej najzupełniej jest pokrewna, kończy po prostu, co ona zaczęła. W r. 1830 feudalizm zatem ostatecznie upada, a stan trzeci zwycięża i zyskuje swobodę ruchu, z której korzysta przedewszystkiem kapitalistyczna burżuazya, korzysta kapitał. Przemysł zaczyna się odtąd żywo rozwijać, staje się dopiero teraz wielkim przemysłem, zakłada fabryki i tem samem stwarza rzeszę robotników fabrycznych, stwarza proletaryat. Ten zaraz po roku 1830 zaczyna się przekonywać, że mu przewrót korzyści nie zapewnił, i że umocnił tylko jego wroga. Zaczyna się więc zwracać przeciw burżuazji, wzniesając stopniowo walkę pracy z kapitałem, która, w rewolucyi roku 1848, wybucha później już na całej linii.

W rewolucyach roku 1789 i r. 1830 szli na barykady w pełnej mierze i robotnicy i czeladnicy — ci ostatni wysyłani tam przez swych majstrów — lecz w pierwszym rzędzie szła na nie, obok szumowin wszelkiego rodzaju i gawiedzi, mała burżuazya. W roku 1848 wysunęli się na czoło proletaryusze, którzy właśnie już od r. 1830 coraz to bardziej skupiali się i gromadzili, i próbowali walczyć, gdzie się dało.

To wszystko Krasiński wiedział — stosunki francuskie były mu przeciw, mimo Reeva, o wiele naogół bliższe, niżeli angielskie. Dlatego dopiero w „Śnie“ zajmuje się proletaryatem, jako takim. Pisząc „Nieboską“ w trzy lata po rewolucyi roku 1830, myśli jeszcze o sytuacji znamiennej dla tej właśnie i poprzedniej rewolucyi, myśli o ich różnorodnych i niezróżniczkowanych tłumach, które stara się uplastyczyć, stawiając obok siebie ludzi bardzo rozmaitych kategorii. I cel swój osiąga. Nadewszystko

rok 1789 przypomina się nader żywo. Weźmy tylko drastycznie, ale świetnie nakreślonego przedstawiciela małej burżuazyi, rzeźnika. Jakżeby on ochryplym głosem „Vive Robespierre“ krzyczał!

Stosunki francuskie tłumaczą zatem — jak to wykazał już niejedyn pisarz, a niedawno i dokładniej jeszcze Dobrzycki ¹⁾ — bardzo wiele, i na ich tle można dwojakię znaczenie wyrazu „bezimienny“, jakie u Krasińskiego znajdujemy, tak dobrze zrozumieć! Ono streszcza i w niesłychanie trafny sposób określa pewne następstwo w czasie, a nawet pewien przyczynowy związek. Najprzód zjawiają się na arenie dziejowej jednostki, albo wyłamujące się samowolnie z ramy organizacyi feodalnej, albo nie znajdujące już w niej miejsca — zawsze więc jednostki poza tą ramą już żyjące, całkiem oderwane. Te stają, wszystko jedno czy w świadomem czy w nieświadomem przeciwieństwie do dotychczasowej hierarchii, do jej „imiennych“ szczytów i tworzą bezimienną, nieskonsolidowaną masę dwóch pierwszych rewolucyi, a więc i „Nieboskiej.“ Lecz później wydzielają się z owej masy szeregi jednostek już równych i jednakowych, szeregi robotników fabrycznych o zmechanizowanych, nieludzkich duszach, bezimienni w myśl epoki, rozpoczynające się od roku 1830, zatem i w myśl „Snu.“ Nie byłoby tych drugich bezimiennych, gdyby nie było najprzód pierwszych, bo tylko ci ostatni są skłonni zaciągać się w ich szeregi, bo tylko człowiek wyłączony z istniejących ludzkich związków, tylko niemający pozycyi homo novus może dla procesu zmechanizowania być podatnym, może stać się „rzeczą.“

A jednak, mimo tego, co właśnie powiedziałem i coby tu powiedzieć jeszcze można, wszystko jasnem nie jest. Nie, właśnie, gdy patrzymy na Francye, musi nam się nasunąć i pewna wątpliwość. W obozie Pankracego znajduje się, jak widzieliśmy, i rzemieślnik. Rzemieślnik, odzwierciadlający najwyraźniej rozruchy lyońskie z r. 1831. Ten sprawę zamąca.

Rzadko trafia się w historyi słup graniczny tak stanowczy, jak rok 1830 we Francyi. Powiedziałem już, że doprowadził on do władzy burżuazyę i kapitał i że zaraz po nim zaczyna się wrogi zwrot przeciw obojgu. Teraz zaś muszę dodać, że już rok następny, rok 1831, sprowadził choć nie ruch jeszcze, bo brakło zaznaczonej wyżej ciągłości, to jednak wybuch antykapitalistyczny proletaryatu, wybuch nakształt tych, które i w Anglii ruch chartystów przygotowywały. I rzecz dzieje się właśnie w Lyo-

¹⁾ „Nieboska Komedia.“ Kraków, 1907.

nie i osoby działające, to „rzemieślnicy“ przemysłu jedwabnianego, to znani nam robotnicy in statu nascendi. Ci wytwarzają od razu i za jednym zamachem to hasło, które, jak mówi Sombart, możnaby umieścić jako napis nad bramą, prowadzącą do nowoczesnych porywów i ruchów proletaryatu w ogólności, hasło „Vivre en travaillant, ou mourir en combattant“ — en combattant już z burżuazją, z kapitałem, nie z feudalizmem.

A Krasieński przedstawia powstańca z tego roku, rzucającego przekleństwa najprzód na kupców i dyrektorów fabryk — to faktem odpowiada — lecz ostatecznie jednak na panów feudalnych i, co najważniejsza, walczącego przeciw tym panom, zaunkniętym w okopach św. Trójcy, walczącego przeciw nim obok tylu innych, zupełnie od niego różnych ludzi, a nawet i chłopów... Sprzeczność jest tu widoczna i tembardziej jeszcze rażąca, że przemysł jedwabniany lyoński był przemysłem luksusowym, obliczonym przedewszystkiem właśnie na panów i przez ich upadek w r. 1830 niemile dotkniętym. Toć przecież w roku 1790 był on się przyłączył bez wahania do kontrrewolucyi!

Anachronizm zatem bezwarunkowo istnieje, ale zastrzegam się przeciw temu, jakoby go uważał za błąd. Krasieński nie pisze monografii historycznej, ani też społecznego traktatu, lecz pisze poemat. Krasieński nie chce dać prawdy faktycznej, lecz jedynie poetyczną, chce wywołać w nas pewne wrażenie. Otóż podkreśliłem to już poprzednio. Właśnie rzemieślnik lyoński przyczynia się bardzo, nawet najwięcej do scharakteryzowania różnorodności tłumu, do uwydatnienia stanu rzeczy, w którym z bezpośrednią nienawiścią przeciw feudalizmowi łączy się i pośrednia, do wywołania wrażenia społeczeństwa o feudalnym, jak się wyraziłem, fizyokratycznym zakroju i ruchu antyfeodalnego, jaki w nim powstaje.

Lecz dlaczego chodziło poecie o wywołanie tego a nie innego wrażenia? Dlaczego chodziło mu o to aż w tym stopniu, że nie cofa się, byle cel swój osiągnąć, przed anachronizmem?

Oto pytanie, które mnie przedewszystkiem tutaj interesuje, które mnie jedynie do omówienia wznecającego je anachronizmu spowodowało, i które, jak zauważyć trzeba, jeszcze i inne spostrzeżenia również narzucają.

Pisano wiele o stosunku Krasieńskiego do Saint-Simona i saint-simonizmu. I trzeba powiedzieć, że nie dano nigdzie dowodów i że, co więcej, nie odbieramy z jego dzieł nigdzie wrażenia, jakoby się pismami samego Saint-Simona, ich duchem, ich indywidualnym sposobem myślenia był przejął. Saint-Simon, jako

taki, pozostał mu bez wątpienia tak samo obcy i tak samo nieznan, jak Fourier, jak ówczesni angielscy socjaliści, Owen, Hodgskin i Thompson, z których przecież ten ostatni dał już rozumowania bardzo głębokie, sformułował nawet teorię nadwartości, odkrytą później po raz wtóry i rozślawioną tak bardzo przez Marxa. Wszyscy ci autorzy, zajmujący w historyi teorii socyalnej miejsce wybitne, pierwszorzędne, nie istnieli poprostu dla niego. I to był właśnie, trzeba dodać, traf bardzo szczęśliwy. W innym bowiem razie byłby Krasiński, przy swej skłonności do abstrakcyi, popadł zbyt łatwo w teoretyzującą manierę, a nie dał tych realistycznych obrazów, tak żywo, tak bezpośrednio obserwowanych, które stanowią właśnie wartość, stanowią samoistność „Nieboskiej Komedyi.“

Ale pisma saint-simonistów, przedewszystkiem popularyzujące ich czasopisma, znał—jak zaakcentował świeżo w swem przytoczonym już dziele Kleiner ¹⁾—bodaj całkiem napewno. I to właśnie musi, w obecnym związku, zastanowić. Bo nauka Saint-Simona różni się od nauki saint-simonistów tem, że ona, nie socyalistyczna jeszcze, tylko raczej radykalno-liberalna w swym rdzeniu, zwraca się—jak rewolucye roku 1789 i r. 1830—przeciw feodalizmowi i zawiera pewne zawiązki tylko, z których doktryna socyalistyczna mogła się wytworzyć. Saint-simonizm (Bazard, Enfantin) później te zawiązki wypielegnował i wykształcił, stwarzając system już istotnie socyalistyczny, którego ostrze jest skierowane przeciw kapitałowi, który zatem odpowiada temu, co się dziać miało po roku 1830, i który też dopiero po tym i około tego roku zaczął się formować. Otóż jest to rzeczą bardzo szczególną, że Krasiński, znając przecież saint-simonistów, a nie samego Saint-Simona, uwzględnia, przedstawiając walkę z feodalizmem, właśnie li tylko stanowisko tego, a nie tamtych. Odnosimy wrażenie, że on ewolucyę, która we Francyi, nietylko pod względem faktycznym, ale i ideowym, poza pierwotne stadyum już wykroczyła, jakby umyślnie, choć być może bezwiednie, do tego stadyum cofa, a raczej że w gruncie rzeczy nie myśli jednakowoż o Francyi—tylko o czem innym.

Pytanie, które wyżej postawiłem, przechodzi zatem w inne: gdzie leży, poza Francją, pierwowzór dla tego fizyokratycznego społeczeństwa, dla tego antyfeodalnego ruchu, które poeta w „Nieboskiej“ odtwarza?

¹⁾ I, 117, Uwaga 2.

W scenie z Henrykiem określa Pankracy myśl swoją, swój ideał tak: „Ona (ziemia) cała jednym miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu.“ Program bardzo ogólnikowy, ale właśnie w tej ogólnikowości liczący z tem, co tak zwany socjalizm utopijny chce osiągnąć, liczący z saint-simonizmem, a dalej i z nauką Saint-Simona samego, nawet i Fouriera.

Lecz w końcowej scenie mówi Pankracy, że chce „wydzielić grunt każdemu.“ To z zachodnim socjalizmem utopijnym niema nic wspólnego, nic też wspólnego z zachodnim socjalizmem specyficznie agrarnym, który np. w Anglii już w drugiej połowie XVIII wieku — że przypomnę tylko nazwiska Spence i Hall — nie był w tym stopniu prymitywnym, tak bardzo naiwnym.

Czytając te wyrazy: „wydzielić grunt każdemu,“ miałem zawsze uczucie, że poeta myśli tu, być może, o jakichś ideach, pochodzących z zachodu — czy to od saint-simonistów, czy skądinąd — ale widzianych pod kątem stosunków i wyobrażeń innych, świeższych, i byłem z góry skłonny do przypuszczenia, że tu chodzi o hasło zslawizowane, prawdopodobnie spolonizowane tak w brzmieniu, jak w treści.

Stąd przywiązywałem dużą wartość do wymiany zdań między poetą a jego ojcem, generałem, który sądził, że w roku 1830 chodziło w Polsce o ruch społeczny przedewszystkiem, który zwrócił uwagę syna na działalność ówczesnych klubów polskich, i który, choć napotkał początkowo pewną odporność, nie pozostał jednakże bez wpływu. A dalej wydawała mi się cenną i uwaga Mickiewicza, omawiającego „Nieboską,“ że „Kraśiński poszedł za wyobrazeniami niektórych publicystów polskich, między nimi hrabiego Jana Potockiego, który lękał się o przyszłość Słowiańszczyzny, przewidując powstanie gminu przeciw klasom cywilizowanym.“

Mimo to niedostawało mi jednak pozytywnego materiału, że tak powiem, brakło mi substratu. I dopiero w dziele Kallenbacha znalazłem wreszcie to, czego szukałem.

Kallenbach daje w „Życiu i twórczości lat młodych Kraśińskiego“ ¹⁾ szereg cytatów z prospektu na pismo emigracyjne p. t. „Nowa Polska,“ prospektu, który ukazuje się w sierpniu r. 1833, a więc w chwili, gdy Kraśiński swą „Nieboską“ pisał. Otóż są tam zwroty zaczerpnięte żywcem z saint-simonizmu — „nowa wia-

¹⁾ II, 101, 102.

ra, „nowy kierunek ludzkiej wiedzy“ i t. d.—bo „Nowa Polska“ przyznawała się zrazu do tego kierunku. Są dalej zwroty, przypominające „Nieboską.“ Jest mowa o „powstaniu przeciw przeszłości,“ a nadewszystko jest i okrzyk: „Używaliście — ustąpcie!“ jakby prototyp słów Pankracego: „Ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym!“ Wreszcie zaś czytamy tam i zdanie: „Ziemia powinna być wspólna i wolna...“ Czy redakcyja nie była skłonna skryształizować tego żądania w projekt, aby „wydzielić grunt każdemu,“ albo, choćby tak i nie było, czy Krasiński nie mógł go łatwo w ten sposób zrozumieć?

Nie chcę zresztą twierdzić, aby ten właśnie prospekt decydującą rolę odegrał. Przecież nie był on z pewnością objawem odosobnionym. Przecież wyrażone w nim myśli nurtowały bez wątpienia, choć ni głęboko ni szeroko, i w pewnych kołach emigracyi, i w klubach w kraju, i wtenczas i wcześniej jeszcze. Chodzi zatem o dokument, który zastępuje niejako wiele innych, który ma znaczenie ogólniejsze i który do ogólniejszych wniosków też uprawnia.

Krasiński, tak mi się zdaje, miał w „Nieboskiej“ na oku przedewszystkiem rzeczy i prądy polskie, a raczej polskie i obce, o ile one się z sobą w jego umyśle jednoczyły, o ile drugie nie wykraczały jednakże za pierwsze. I przedstawiając tę kongruencyę, stara się całkiem świadomie o to, aby się ona i zewnętrznie uwydatniała, aby akcyja, umiejscowiona w okopach św. Trójcy, rozgrywała się de facto i w Polsce i w obcych krajach — wszędzie i nigdzie — aby występowali obok siebie Władysław pan Czarnolasu, Aleksander z Godalberg i Krzysztof na Volsagunie — ludzie o polskich i obcych nazwiskach. W tej umyślnej dwoistości, która dała powód do tylu bezpłodnych polemik, widzę jedną ze znamiennych cech utworu, część jego uroku.

O ile zaś obce sprawy wychodzą poza polskie, poeta w „Nieboskiej“ przetwarza je anachronicznie albo też ignoruje, i w ten sposób pozostał po jej stworzeniu pewien nieuwzględniony, nieknięty materyał. Ten z biegiem czasu — owa epoka żyła pod społecznym względem szybko — rósł i rozwijał się coraz bardziej i dał podstawę nieco później do pisania „Snu.“ Ale jakże się fakt, że kongruencyja ze sprawami polskimi przestała być drogowskazem, w tym „Śnie“ właśnie pomścić! Ma się uczucie, że Krasiński, nie otrzymawszy poprzednio podobnych wrażeń w Polsce i rozumiejąc, że nie może ich otrzymać, jest dla wrażeń pochodzących z obcych krajów jakby przytępiony. W Anglii rozwijał się naówczas tak pełen nowych impulsów ruch chartystów,

we Francji wrzenie wśród proletaryatu przybierało formy coraz ostrzejsze, torując drogę rewolucji roku 1848—a co dają, abstrahując od wspomnianego już z podziwem wizerunku chłopięcia i kilku innych drobnych rysów, co dają w tym kierunku liczne wizye „Snu“? Dają opis dusz robotników, wzlatujących ku złotemu słońcu (bogactwu), dają scenę, gdzie demagogdy krew proletaryatu sprzedają kupcom, którzy z wstrząśnięciem i gróźb podziemnych jedynie się śmieją... Rozumiem, że poeta chciał tu wyrazić pewną myśl abstrakcyjną. Chciał powiedzieć, że zmechanizowany proletaryat jest tak samo zmateryalizowany, jak jego twórca, automatyczny kapitał, chciał wykazać ich powinowactwo. Ale właśnie w tem rzecz, że daje tylko myśli abstrakcyjne, a nie daje już tego, co dawał w „Nieboskiej.“ Że nie wprowadza postaci nakształt służącej—widzianej niegdyś, jak wiadomo, w Ferney, w Szwajcaryi—albo li nakształt rzemieślnika z Lyonu. Ten rzemieślnik, choć kierujący ostatecznie swą nienawiść przeciw panom, mówi nam, opisując swą jednostajną pracę przy warsztacie i miotając przekleństwa przeciw kupcom i dyrektorom fabryk, dużo więcej o stosunku pracy do kapitału, niżeli, z małymi wyjątkami, prawie że „Sen“ cały.

I możnaby powiedzieć, że nietylko my odczuwamy, na jak niepewny grunt poeta tutaj wkroczył, ale i on sam. To, co zapoczął w „Śnie,“ snuje bowiem dalej w innej części „Niedokończonego Poematu,“ w scenie, która się dzieje w podziemiach weneckich. I w niej kładzie w usta Pankracego najprzód następujące, skierowane ku narodom zachodnim wyrazy: „Szlachcieście już zgilotynowali jedni—w błoto i nędzę wepchnęli drudzy—dobrze, ale z bankierami, finansistami, ale z mieszczaństwem waszem, tą powtórna pasyżytnością na ludowem ciebie, co poczniecie?“ Tutaj wyłaniający się po upadku feudalizmu problem walki pracy z kapitałem, problem Francji po roku 1830, problem Zachodu ówczesnego jasno się rysuje. Ale bezpośrednio potem mówi nagle Pankracy: „Zresztą w tej chwili mniejsza o was, Zachodni. Ja ze Wschodu—ja Słowianin, ja Polak, więc powiem...“ Później zaś: „Słowiańszczyzna cała i Polska cała muszą wyglądać, jako jedno morze krwi!... Z szlachtą polską i wszelką słowiańską koniec!“ i t. d.

Dla Zachodu więc tylko lakoniczne rzucenie problemu—rzucenie w formie pytania, na które Pankracy odpowiedzieć nawet się nie stara. Dla Wschodu, dla Słowiańszczyzny, Polski, nietylko określenie problemu—całkiem odmiennego—ale i jego rozwiązanie w formie hasła, które mówca bardzo wymownie, bardzo

szeroko następnie rozwija. Widocznie przechodzi Pankracy z gruntu chwiejnego i w gruncie rzeczy dla niego obojętnego, na grunt, po którym umie kroczyć i po którym chętnie się przechadza. A przecież właśnie on ucieleśnia te prądy, które poeta chce odtworzyć, które go do twórczości gnają, wyzywają... Nie mogą oprzeć się wrażeniu, że Krasiński kładzie w usta swego przedmiotu, coby sam wyznać chciał, lub raczej musiał. „Mniejsza o was, Zachodni — ja Słowianin! ja Polak!“ To stanowi słabość „Snu,“ a siłę „Nieboskiej.“ Że zaś (gorszy jeszcze anachronizm od poprzedniego) „Niedokończony Poemat“ wraz ze „Snem“ miał poprzedzać „Nieboską Komedię“ (mówiąc o Francyi, epoka po roku 1830 miała poprzedzać epokę przed r. 1830!) — więc w tych słowach, mających właśnie przygotować Pankracego „Nieboskiej,“ nawrócić do konstellacyi tej ostatniej, poeta zrzuca z siebie, jakby z radością, późniejszą przybraną rolę, staje się, czem był przedtem, znowu samym sobą. Mógłbym także powiedzieć: wraca do swojej Polski. I chciałbym nieledwie dodać: do swojej Florencyi.

Bo tak jak Dante, patrząc z gwiazd na Florencyę, wyraża swoje społeczne credo, swój testament całkiem w ogólności, tak Krasiński tworzy kosmopolityczną „Nieboską,“ nie tracąc Polski ani chwili z oka.

I dlatego niema, jak z góry zapowiedziałem, miejsca na przypuszczenie, iż „Nieboska“ jest kopią albo parafrazą dantejską. Nie, ona jest utworem najzupełniej pierwotnym, oryginalnym, i tylko — właśnie wskutek tej pierwotności — „Boskiej Komedyi,“ a w szczególności owemu testamentowi Danta wewnątrznie pokrewnym.

Tak w dantejskiej Florencyi, jak w Polsce Krasińskiego było bowiem istnienie feodalizmu zagrożone — zagrożone przez nowych ludzi, gente nuova — i obaj poeci tę sytuację, tę konstellację całkiem analogiczną właśnie podkreślają.

Jeżeli jednak początkowo chodziło o zetknięcie się nieświadome, to Krasiński, znający „Boską Komedię“ już poprzednio, mógł na analogię, na pokrewieństwo zwrócić później, to jest po wykończeniu „Nieboskiej,“ uwagę i mógł powziąć zamiar napisania swego „Snu,“ gdzieby Dantego, już w jego własnej osobie, wprowadził. Mógł tem więcej, że posiadał materiały, dotyczące stosunków późniejszych i od polskich odrębnych, stosunków osobście mu dalekich, które nie były dlań czemś konkretnem, tylko abstrakcyjnym. Aby je opisać, potrzebował jakichś wytycznych myśli, jakiegoś przewodnika, i znalazł go w Dantem.

Znalazł go, jak przypuszczać trzeba, dzięki nagłemu, spowodowanemu przez rzut oka na gotową „Nieboską“ odruchowi i możemy sobie ten odruch żywo wyobrazić.

Powiedziałem już, że obaj poeci przedstawiają zagrożenie feodalizmu przez gente nuova. Do tego trzeba jednak dorzucić, że, za czasów Danta, jest ten feodalizm zagrożony przez — dokonywającą się dzięki nowym ludziom, ale nie tylko im — kapitalistyczną ewolucję, która powoli go rozkłada, ale otwarcie nie neguje — za czasów Krasińskiego przez czerwoną rewolucję, która go zasadniczo, stanowczo chce zniszczyć i zburzyć. Dante ciska zatem gromy na kapitalizm, ale uważa system feodalny za mimo wszystko nienaruszony w swych podstawach, a przynajmniej do odrodzenia jeszcze całkiem zdolny. Krasiński drży o jego zachowanie i zważył wprost o nim. Tam zatem protest, który jest w gruncie rzeczy najsilniejszą *affirmacją feodalizmu*, tu krzyk — „jęk genialnego człowieka,“ powiedział Mickiewicz — który głosi: *koniec feodalizmu...* Czy nie jest naturalnem, że ten, co taki krzyk wydał, zwraca się ku owej afirmacyi, którą widział zresztą nie tylko w opowiadaniu Cacciaguidy, ale w całej „Boskiej Komedyi,“ ucieleśniającej dla niego epokę klasycznego feodalizmu, średnie wieki i wyrywającej mu, już w r. 1831, inny zupełnie okrzyk, okrzyk podziwu: „Jakże te średnie wieki są ponure, wzniosłe, potężne!“ Czy nie jest naturalnem, że Krasiński, napisawszy „Nieboską,“ zwraca się ku Dantemu?... Tak bluszczy, miotany wichrem, silny dąb oplata.

Ale to wszystko tłómaczy li tylko skojarzenie myślowe „Boskiej“ i „Nieboskiej.“ Tłómaczy żywioł dantejski w „Śnie.“ Nie tłómaczy jednakże, dlaczego Krasiński dał samej już „Nieboskiej“ jej dantejski tytuł. Bo, to rzecz jasna, dla nazwania jednego dzieła sztuki wedle drugiego, pokrewieństwo ich treści nie wystarcza. Musi się do niej przyłączyć i artystyczne pokrewieństwo, analogia formy.

Tak więc pytanie, które na wstępie postawiłem, pozostaje zawsze jeszcze otwarte. By na nie odpowiedzieć, musimy porównać „Sen“ z „Nieboską“ i pod innym względem.

IV.

W „piekle dni teraźniejszych,“ które pierwszą część i znacznie obszerniejszą jego „Snu“ zajmuje, przedstawia Krasiński nie tylko kupców, których dusze w worach kołocą, i nie tylko najem-

ników, których dusze właściwe kształty dusz ludzkich straciły. Nie, przedstawia i inne grupy. Przedewszystkiem — to znaczy poprzednio już, właśnie jako „wstęp do piekieł na ziemi“ — ludzi, którzy są „zbrojni w jednakiem stroju, wszyscy równi wzrostem, wszyscy jednakowi tym samym liców wyrazem — a ciągłym ruchem to garbią się, to prostują, czyszcząc żelazne lufy, które trzymają w ręku.“ Mamy zatem przed sobą wojsko, mamy militarizm. I Dante staje, pytając: „Mówcie, czem wy i jakie *imię wasze?*“ Lecz „usta onych ciał wszystkich nic nie odpowiedziały.“ I ci żołnierze są zatem bezimienni; oni mają nas na bezimiennych — zmechanizowanych i przez to poniekąd również zuniformowanych — najemników właśnie przygotować. Są bezimienni, nieosobiści; ich dusze stały się tak samo już jednakowe jak ich stroje i wyrazy liców — ich dusze, które młodzieniec, wędrujący razem z Dantem wprost widzi przed sobą. „A wnet — czytamy — młodzieniec obaczył dusze onych wszystkich, nawpół z ciał wychylone, nie mogące ni wstąpić do nich napowrót, ani też w pełni się oderwać...“ Szczególna koncepcya! Ona potęguje jakąś niepewność, jakieś wahanie, które już i przy wizjach „Snu,“ poprzednio omówionych, jest nieuniknione. Poeta mówi ciągle o duszach; każe nam widzieć — u najemników w kształcie kół zębanych, stęplów, lewarów, u kupców i u żołnierzy w formach, jakie uznamy za stosowne — rzeczy, których istotą jest to właśnie, że są niewidzialne.

I to wahanie opanowuje nas i przy innych scenach piekła. Niema go wprawdzie, gdy jedna z niewiast powiada: „Duszę miałam, duszę mam, a na ziemi ciało mi tylko przyznali.“ Ale krótko potem wybrana między niemi — ta, którą Dante nazywa Beatryks — wskazuje ręką na kamień daleki i mówi: „Tam już dusza moja, we własne skrzydła obwinięta, pochowana leży — a to Ja, na które patrzycie, to tylko ciało, co dotąd nie umiało skonać.“ I podobny rys, choć użyty w celach całkiem odmiennych, napotykamy i przy przedstawieniu szpiegów czy donosicieli. „W sprawiedliwości Boga nie znalazło się dość srogiej kary na nie — zatem, w wiekuistą puszczoną pogardę — stożsamiły się ze swemi ciałami.“ Tu poeta żąda od nas, abyśmy wyobrazili sobie donosicieli, mających tylko ciała, a dusz nie mających, abyśmy zatem dusze, to jest rzeczy, których wogóle widzieć nie można, widzieli jako nieistniejące. Tu żąda już stanowczo za wiele, a raczej tu z widzialności, z plastyczności całkiem rezygnuje.

A czyniąc to, jakże daleko odbiega od Dantego, od pierwowzoru tych scen, od „Inferna“! Każdy Włoch wie i powie obce-

mu, że „Paradiso“ działa na nas, jak muzyka, „Purgatorio“—jak obrazy malarskie, a „Inferno“—jak rzeźba. Każdy powie, że potępieńcy tegoż „Inferna,“ to posągi, i będzie miał słuszość. Bo Dante—w tem jego plastyczności rzeźbiarskiej tajemnica—dusze, jako rzeczy niewidzialne, zupełnie pomija i odtwarza u potępieńców tylko ciała, choć ciała pozagrobowe i powietrzne, ciała „astralne,“ dawnych ciał fantomy. Te odpowiadają właśnie za dusze. Muszą cierpieć w ten sam sposób, jak one zawiniły. Są z niemi połączone straszną, bezwzględną zasadą odwetu.

Weźmy tylko, aby nie wychodzić poza ramy tej pracy, wekslarzy. Ich nieosobiste dusze odbijają się w nierozpoznawalnych ciałach, w ich postaciach jakby nijakich i jakby bezkształtnych. I widzimy te ich ciała. Widzimy nawet Danta, kiedy daremnie stara się ich rozpoznać, kiedy się schyla, by się przypatrzeć torbom u ich szyi zawieszonym, by odczytywać na nich znaki, herby. I tak widzimy w „Inferno“ wszystkich i wszystko. Choć zdawałoby się, że wizye są ilością, różnorodnością i zawilością powinnyby nas przytłoczyć, wiemy zawsze co mamy myśleć—na dnie jest zawsze myśl odwetu—i wiemy co mamy sobie wyobrażać: ciała, tylko ciała. I to daje nam pewność siebie, usposabia do odczuwania estetycznego, to wywołuje w nas wrażenie, że „Inferno“ ma styl artystyczny.

A weźmy z drugiej strony dusze w worach uwięzione, które kupcy wybrani uciszają, kopiąc je nogami. To jest silnie pomysłane, lecz wyrażone wprost nieestetycznie. I nieestetyczne są również dusze najemników w kształcie kół zębatach, stęplów, lewarów, i wyobrażenia nasza męczy się, chcąc sobie wyobrazić dusze—zawsze dusze—których przecież wyobrazić sobie nie może, i myśl nasza męczy się również, będąc zmuszoną przy każdej wizyi zaczynać swą pracę od początku, nie znajdując jakiejś trwałej i prostej wytycznej. „Sen,“ a raczej piekło „Snu,“ o którym tutaj mowa, może mieć niejako przypadkowo ładne miejsca—jedno z nich, jak powiedziałem, jest zachwycające—lecz jako całość przyjemności czytelnikowi nie sprawia, bo artystycznego stylu właśnie nie ma.

W każdym razie niema stylu, który z dantejskim jakkolwiek możnaby zestawić. Istotnie Krasiński, jako autor „Snu,“ szczęśliwym nie był. Chcąc tutaj opracować materiały, które mu były obce, dalekie i które pociągnęły go, choć teoretyków socjalnych nie znał, w tak niebezpieczną dla poety dziedzinę abstrakcyi, zapragnął prowadzącej ręki, przewodnika. Lecz—jak słusznie zauważył Bołoz-Antoniewicz w swym odczycie we Lwowie—nie było

mu znać danem podporządkowywać się innym indywidualnościom, bo, obrawszy owym przewodnikiem Dantego, pozbawia go najistotniejszych cech jego twórczości, idzie za nim nieszczerze, połowicznie, idzie za Dantem źle pojętym, za Dantem bez stylu.

I dostaje się w ten sposób na drogę najfałszywszą, która, jak mi się zdaje, losy „Snu“ tłómaczy. Bo rzadko chyba miał poeta z swoim własnym utworem tyle ambarasu. Wątpiąc widocznie o jego zdolności do samodzielnego życia, włącza Krasiński „Sen,“ jak wiemy, najprzód do „Herburta,“ powieści jean-paulowskiej, z którą zasymilować go było chyba trudno, a następnie do „Niedokończonego Poematu,“ który — przynajmniej w częściach, prowadzących dalej myśli społeczne — stawał się coraz bardziej filozoficznym traktatem, i, tak jak „Herburt,“ końca nie doczekał. Wreszcie zaś wydaje „Sen,“ w r. 1852, jednakowoż osobno, i wtenczas pisze do przyjaciela: „Uczułem w sobie śmiertelną bezwładę, więc żal mi się zrobiło tych snów kilku, zdaniem mojem prawdę w sobie bezstronną i duchową odbijających.“ Zestawmy te słowa z innemi, wypowiedzianemi już w roku 1839 (w liście do Gaszyńskiego): „Szelma Dant mnie wwiercił się do duszy, chodzę z nim w ciąży od lat kilku: póki w głębi ducha, póty płód, a gdy wychodzi, poronienie“ — a dojdziemy do przeświadczenia, że i owa „śmiertelna bezwłada“ i poprzedzające ją wahanie miały powody głębsze: Krasiński czuł, że pod względem nie myślowym, lecz decydującym, artystycznym, zaszedł na manowce.

A teraz przechodzę do „Nieboskiej,“ i tutaj chciałbym wypowiedzieć mą myśl od razu: „Nieboska“ ma styl! Co więcej zaś: ma styl do dantejskiego ogromnie zbliżony, pokrewny mu tak dalece, że się i jej tytuł dantejski zupełnie tłómaczy.

To ostatnie twierdzenie wydaje się na pierwszy rzut oka śmiałem, niespodziewanem, i przyznaję, że bliższego uzasadnienia bardzo potrzebuje. Chciałbym więc przeprowadzić dowód, choć zwięzły, to jednak wedle możności dokładny i przystępując do tego zadania, mogę nawiązać do motywu, który nam od pierwszego rozdziału tej pracy stałe towarzyszy.

„Za chwilę — mówi Henryk, kiedy przed ich rozstrzygającą rozmową oczekuje Pankracego — stanie przedemną człowiek *bez imienia*, bez przodków, bez anioła stróża.“

Człowiek bez imienia: Pankracy jest jednym z tych bezimiennych, którym myśl jego ma imiona nadać. Ale jest równocześnie ich szczytem, ich syntezą. Pankracy — Wszechwładca —

wchłonał niejako ich wszystkich w siebie i uświadomił wszystko, co w nich jest bezwiednem.

Jego bezimiennosc jest zatem ta sama całkiem, jak u jego ludzi. I on jest homo novus, i on jest — „Twój ojciec pogrzebany z motłochem pospołu,“ mówi Henryk nieco później — i on jest bez przodków. Ale jego bezimiennosc jest jakby spotęgowana. On jest poprostu negacją przeszłości. On odrzuca nietylko wiarę „w kasty, w kości prababek,“ ale także „w słowo Ojczyzna i tam dalej.“ Właśnie i „tam dalej...“

Ładnem jest powiedzenie Henryka, że jest to człowiek bez anioła stróża. Bo wywołane w ten sposób wyobrażenie, że jego nie prowadzi, tak jak dziecko, jakaś opromieniona legendami postać skrzydlata za rękę, przygotowuje nas już na ważny fakt, że on się nie pozwala też prowadzić, że się nie chce podporządkować narzuconemu mu przez przeszłość, przez wierzenia, tradycje tej przeszłości — Bogu.

To zaś jest tem godniejsze uwagi, że Pankracy, choć obdarczony, wedle własnych słów poety, wielkim rozumem, a nie sercem, za racjonalistę w zbanalizowanym znaczeniu wyrażenia uchodzić nie może. On, jak powiada Henryk, „zacnie może nową epokę,“ jest w każdym calu — i później, w „Niedokończonym Poe-macie,“ Krasieński sam tak go nazwie — człowiekiem genialnym, a genialność, ów pospolity i płytki racjonalizm stanowczo wyklucza. „Nie łudź się — mówi przecież do Henryka — marną nadzieją, bo nie draśnie mnie ołów, nie tknie mnie żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu“ — to znaczy, dopóki on nie spełni swego przeznaczenia. Tego rodzaju poczucie nie wskazuje bynajmniej na racjonalizm, lecz raczej na fatalizm — czasem na coś więcej.

Jest w każdym razie bardzo uderzającym, że — zawsze jeszcze w owej scenie z Henrykiem — Pankracy, usłyszawszy słowo Bóg, sam zaczyna o nim mówić, a gdy Henryk tę rozmowę chce przerwać, obstaje przy swym przedmiocie i po przerwie do niego znów powraca. Widocznie chce o nim mówić i czyni poprostu to wrażenie, jakby mówić musiał.

A mówi tak: „Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej. Jęk przez rozpacz wydarty tysiącom tysięcy, głód rze-mieślników, nędza włościan, hańba ich żon i córek, poniżenie ludzkości, ujarzmionej przesądem, wahaniem się i bydlęcem przyzwyczajeniem — oto wiara moja, Bóg mój na dzisiaj, to myśl moja, to potęga moja, która chleb i cześć im rozda na wieki.“ Ten Bóg na dzisiaj urasta zaś w dalszym ciągu na Boga przyszłości.

„Tam“—to znaczy w tej jego myśli, która chce zrobić ziemię całą jednym miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu—„tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie, Bóg pracą i męką czasów odarty z zasłon, zdobyty na niebie przez własne dzieci, które niegdyś porzucił na ziemi, a one teraz przejrzały i dostały prawdy—Bóg ludzkości objawił się im.“ Tak nie mówi urodzony ateusz, człowiek bez religijnych potrzeb. Tak mówi człowiek, który na dnie swej duszy te potrzeby ma.

Ale stworzywszy sobie Boga przyszłości, nowego Boga, neguje Pankracy, i to oczywiście tem silniej, tem zawzięciej Boga przeszłości, Boga objawionego, historycznego, Boga chrystyanizmu.

„Otóż mi stara szlachta... wierząca lub udająca, że wierzy w Boga, bo w siebie trudno wierzyć. Ale pokażcie mi pioruny na waszą obronę zesłane i pułki aniołów spuszczone z niebios.“ Pokażcie mi—tu się na chwilę zgłasza racjonalizm. Zgłasza się, jako dostawca przydatnej wielce broni, bo niewygodnego dla przeciwnika argumentu, bardzo trafny rys. „Zresztą, zostawiam tę rozprawę teologom, jeśli jaki pedant tego rzemiosła żyje dotąd w całej okolicy.“ Podkreślam ten ton szyderczy, broń jeszcze straszniejszą. A dalej: „Szabla twoja—Bóg twój, mara.“ Tu już zupełna, bezwzględna negacya.

I tę negacyę obrona tylko wzmaga i podnieca. Henryk wskazuje na to, że Bóg chrześcijański zbawił ludzkość. „Niechże się cieszy takim zbawieniem, nędzą dwóch tysięcy lat, upływających od jego śmierci na krzyżu“—odpowie Pankracy. Henryk stara się go zwalczyć apoteozą panującego nad Rzymem Chrystusa. „Sto bogów, twemu podobnych, walało się w pyle, głowy okaleczonej podnieść nie śmiało ku Niemu—a On stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na wschód i na zachód, czoło święte inaczał w promieniach słońca, znać było, że jest Panem świata.“ Ale i to Pankracego nie porusza. „Stara powiastka,“ mówi, „pusta, jak chrzest twego herbu.“

Mimo to, co zaznaczyłem poprzednio, a raczej dla tego właśnie, jest więc stosunek Pankracego do Boga historycznego całkiem wrogi: On Chrystusa każdym swem odezwaniem, każdym słowem zaprzecza, a nawet, o ile chodzi o jego zamiar, intencję, o ducha jego rozumowania—wprost już unicestwia.

A jego koniec, jego kara polega właśnie na tem, że Chrystus wreszcie unicestwia jego. Oto Pankracy zwyciężył już okopy św. Trójcy, dopełnił swego najwłaściwszego przeznaczenia i czuje sam, że dzieło zniszczenia musi być odkupionem, że „trza

zaludnić te puszcze, przedrażyć te skały, połączyć te jeziora, wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży.“ Oto chce przystąpić do dodatniej części swego programu, stworzyć ów stan społeczny, z którego ma się nowy Bóg urodzić, i oto Leonard właśnie mu tego nowego Boga przypomina, Boga Wolności, co ma sił im poddać... Ale Pankracy odpowiada: „Co mówisz o Bogu—ślizko tu od krwi ludzkiej.“ On myśli zatem o Bogu, co krwi rozlewać nie pozwolił, co nie mieczem walczyć kazał, o Bogu przeszłości. I tego Boga widzi już na Niebie. „Jak słup śnieżnej jasności stoi ponad przepaściami, oburącz wspart na krzyżu, jak na szabli Mściciel. Ze splecionych piorunów korona cierniowa.“ I czuje, że „od błyskawicy tego wzroku chyba mrze, kto żyw.“ Prosi więc Leonarda, by mu położył dłonie na oczach, zadławił pięściami źrenice, oddzielił go od spojrzenia, co go w proch rozkłada. Ale nędzne te ręce, jak u Ducha bez kości i mięsa, przejrzyste jak szkło, przejrzyste jak powietrze. Widzi wciąż Chrystusa! Więc prosi choć o odrobinę ciemności. Ciemności, ciemności! I wreszcie z okrzykiem: „Galilae, vicisti!“ zatacza się, kona.

To unicestwienie jest dla Pankracego, który chciał Chrystusa unicestwić, wyraźnym *odwetem*.

I zasada odwetu dosięga nietylko Pankracego, ale i Henryka. Ten widzi, zanim jako zwyciężony i na zagładę skazany skacze w przepaść, swą przyszłość pozagrobową, jako wielką przestrzeń. „Widzę ją całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie, wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca, a pośrodku jej Bóg, jak słońce, co się wiecznie pali, wiecznie jaśnieje, a nic nie oświeca.“ I ma ta wizya swoje bardzo przejrzyste znaczenie. Bo Henryk, w przeciwstawieniu do Pankracego, Boga nie neguje, nie, występuje słowem i czynem w jego obronie, ale ma wiarę tylko czysto ideową, wiarę martwą, która duszy i życia nie przenika i nie opromienia. Dlatego będzie w wieczności patrzył na Boga i zniszczonym, unicestwionym przezeń nie zostanie. Ale ten Bóg nie rozświecili mu widnokregu. Będzie dla niego tak, jak słońce, co się wiecznie pali, wiecznie jaśnieje, a nic nie oświeca.

Pankracy staje się wobec Boga prochem, a Henryk pozostaje spektatorem — genialna antyteza, którą stwarza zasada odwetu. Zjawia się ona w samym końcu i u jednego i u drugiego. Lecz na Henryka oddziaływała także i poprzednio.

Henryk nie jest—w dalszem przeciwstawieniu do Pankracego—bezimiennym szermierzem pewnej myśli. On jest „imiennym“ i jest, choć nawet walczy za myśl jakąś, w gruncie tylko sobą.

Jest imiennym, ma przodków, stąd zasada odwetu dosięga go, już poprzednio, jako ich potomka. Oto Orcio—na chwilę przed ogólną katastrofą i własną śmiercią—ma widzenie, w które swojego ojca wtajemnicza. „Siłą nam daną,“ wołają jakieś głosy, „za męki nasze, my niegdyś przykuci, smagani, dręczeni, żelazem rwnani, trucizną pojeni, przywaleni cegłami i żwirem, dręczmy i sądźmy, sądźmy i potępiajmy, a kary Szatan się podejmie.“ I sądzą oskarżonego, a tym jest właśnie widmo hrabiego Henryka. „Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś, potępion na wieki.“ Ludzie, których dziadowie pokrzywdzili, sądzą i męczą ich wnuka, który nie zrobił nic, aby ich winę złagodzić, odkupić, który dał się pociągnąć orłowi, co mu szeptał: „Szablą ojców twoich bij się o ich cześć i potęgę... Nie ustępuj, nie ustąp nigdy, a wrogi twe, podłe wrogi twe, pójdą w pył.“ On szedł za tem hasłem.

I tak w tem, jak i we wszystkim innem, jest Henryk, jak powiedziałem, zawsze tylko sobą. Jest nim, zanim występuje na szerszą arenę, w swoim domu, w swej rodzinie. Więc i tutaj—i tutaj przedewszystkiem — zasada odwetu go dosięga. Wszystko, co się dzieje w dwóch pierwszych częściach „Nieboskiej,“ jest takim odwetem.

Jak później podszeptom orła, tak daje się Henryk pociągnąć i czarowi widma - dziewczyny, która mu działa na wyobraźnię, która porusza i podrażnia w nim struny poezyi. Dla tej poezyi opuszcza żonę, którą niedawno był poślubił i dziecko, co ma właśnie zjawić się na świecie. Więc kiedy wróci, zastanie żonę, która, aby ją kochał, stała się poetką, i dowie się, że ona przy chrzcie dała synowi imię poety i będzie patrzył, jak poezya zabija żonę i trawi wątły organizm chłopca, jak nasamprzód odbiera mu wzrok. Będzie miał poezję w obłąkanych improwizacjach żony i w bolesnych wierszykach nieszczęśliwego Orcia, będzie ją miał zawsze i wszędzie, będzie karmiony, przesycony, dławiony poezją...

Jak ta tragedia poetyczności, egotyczna, wyszukana, do uwypuklenia przeciwnika i antytezy posagowego Pankracego dziwnie się nadaje! Ma się wrażenie, że chodzi o psychologię asocjalną, indywidualistyczną w jej ostatnich krańcach. I jak to licuje z tem, że w obozie Henryka odzywa się w pewnej chwili okrzyk: „Nie pozwalam.“ I Henryk mógłby tak się odezwać, gdyby nie był wodzem.

A dalej: Jak tu znać, że ten egotyzm ma swe źródło w duszy poety, że jest równocześnie i subiektywizmem! Krasiński jest

wobec Henryka wprost okrutnym. Tak okrutnym można być właśnie tylko wobec siebie. Tenbardziej, jeżeli się jest zarazem i ofiarą. A Krasiński—zaznaczył to silnie, w swym lwowskim odczycie, Fini—jest także i Orciem.

Wreszcie zaś: Jaki ten subiektywizm jest romantyczny, jaki jest faustowski! Zdawałoby się, że Krasiński-Henryk nie jest już jednym z ludzi, lecz krótko „człowiekiem.“ Bo oto potęgi tamtego świata schodzą po to na ziemię, aby kształtować jego losy, by brać udział w akcji.

To złe duchy — w przeciwstawieniu do Anioła-Stróża, który śpiewa o dobrej woli i o sercu — wysyłają widmo-dziewczynę i wysyłają również orła („sławę, starego orła, wypchanego w piekle“). Wszystko, co się dzieje w dramacie, jest zatem ich dziełem. Anioł-Stróż bezskutecznie radzi i przestrzega.

Złe duchy tryumfują, a Anioł-Stróż ustępuje, i to zniewala do działania siły jeszcze wyższe. Siły, które się rządzą zasadą odwetu właśnie, które w myśl tej zasady wymierzają sprawiedliwość, które czynią „sąd.“

Tak jest. Tragedyę rodzinną, a dalej i kary pozagrobowe Henryka stylizuje poeta jako *sąd*, i jakże to znowu odpowiada stylizacji kataklizmu końcowego, a w szczególności pogromu Pankracego, jako *Sądu Ostatecznego!* Te dwa wyobrażenia ustawicznie kojarzą się, ustawicznie splatają się z sobą.

W części pierwszej, w scenie rozgrywającej się w domu waryatów, gdzie Henryk odwiedza chorą, umierającą żonę, odzywają się rozmaite głosy obłąkanych.

„Głos z pod podłogi: Na rusztowaniu głowy królów i panów—odemnie poczyna się wolność ludu.

„Głos z za lewej ściany: Kometa na niebie już błyska—dzień straszego sądu się zbliża.

„Głos z pod posadzki: Trzech królów własną ręką zabiłem, dziesięciu jest jeszcze—i księży stu, śpiewających msze.

„Głos z lewej strony: Słońce trzecią część blasku straciło, gwiazdy zaczynają potykać się po drogach swoich—niestety, niestety.“

W tych poszarpanych, szalonych tonach odzywa się motyw Sądu Ostatecznego po raz pierwszy. I Henryk na krótką chwilę go przerywa. „Dla mnie już nadszedł dzień sądu,“ mówi i tak przeciwstawia mu świadomie i z naciskiem swój własny motyw, motyw swego sądu. Ale żona wraca do halucynacji obłąkanych i idzie poza nie:

„Ja ci ogłoszę, coby było, gdyby Bóg oszalał... Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy, robak każdy

krzyczy: „Ja Bogiem“ — i co chwila jeden po drugim konają... gasną komety i słońca... Chrystus nas już nie zbawi... krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. Czy słyszysz, jak ten krzyż, nadzieja milionów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a coraz niżej i niżej, aż tuman wielki powstał z jego odłamków?“

To genialna wizya. Ona przygotowuje nas na Boga Sądu Ostatecznego, który później zjawi się na niebie, przygotowuje nań, dając jego obłąkaną negacyę, jak gdyby chciała krzyknąć, że on musi być!

Potem, w lirycznej uwerturze do drugiej części, rys uboczny, drobny. Chodzi tu, jak wiemy, o poetyczny obraz Orcia: „Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijas na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z“ i t. d. Otóż między innymi czytamy i te słowa: „Malarz nadszedł, kiedyś się gniewał i tupał nóżkami, nakreślił z ciebie szatanka i posadził cię na obrazie dnia sądnego między wyklętymi duchami.“ Intencya tu jasna: Orcio jest najcięższą karą Henryka, jest wcielonym nad nim sądem. I jego maluje malarz jako szatanka na obrazie Sądu Ostatecznego. Dwa motywy łączą się na chwilę w formie scherza... Nic tak nie wykazuje prawdziwego poety, jak takie drobiazgi.

Potem scena somnambulizmu Orcia. Z oschłością, a zarazem próżnością człowieka fachowego wypowiada swe zdanie Lekarz, kiedy mówi: „Pański syn ma pomieszanie zmysłów, połączone z nadzwyczajną drażliwością nerwów, co niekiedy sprawia, że tak powiem, stan snu i jawu zarazem, który oczywiście tu napotyamy.“ A Henryk szepce na stronie: „Boże, patrz, on Twoje sądy mi tłómaczy.“ To już nie jest oderwana uwaga. To jest rozpaczliwe zbilansowanie wszystkiego, co poprzednio w całych dwóch pierwszych częściach dramatu się działo.

Pod koniec trzeciej części, w wielkiej jego scenie z Henrykiem, mówi dalej Pankracy: „Ale dzień sądu blizki,“ a uwertura do czwartej kończy się na tych słowach: „Z gór podniosły się mgły—i konają teraz po nicościach błękitu. Dolina Świętej Trójcy obsypana światłem migającej broni—i Lud ciągnie zewsząd do niej, jak do równiny Ostatniego Sądu.“

To wprowadza nas w nastrój, dla Krasińskiego właśnie pożądany. Bo w całej ostatniej części panuje motyw Sądu Ostatecznego już wszechwładnie i rozbrzmiewa tak stanowczo i tak szeroko, że także i motyw sądu nad Henrykiem, kontrpunktycznie przeciwstawiony mu dotychczas, całkiem w siebie wchłania.

Znamy już scenę, gdzie Orcio prowadzi ojca tam, gdzie „straszny sąd co noc się powtarza.“ Scenę, gdzie pokazuje mu blade postacie „poważne, kupiące się na sąd straszny“ i gdzie te postacie, chłopci uciskani przez dziadów i pradziadów Henryka, dręczą go i sądzą.

Znamy też scenę śmierci Henryka, który uchodzi przed pościgiem, ażeby zginąć jako samobójca. „Jestem tu—woła—jestem, ale wy mnie sądzić nie będziecie. Ja się już wybrałem w drogę, ja stąkam ku sądowi Boga.“ Tego Boga, którego widzi zaraz potem jako słońce, co nic nie oświeca.

Teraz jednak muszę dodać, że ten sam Orcio, który ukazuje Henrykowi sąd jego dotyczący, zwiastuje mu chwilę później także co innego: „Co za krzyki... drzę cały... coraz groźniej, coraz bliżej... huk dział i strzelb się rozlega... godzina ostatnia, przepowiedziana ciągnie ku nam.“ Ta godzina ostatnia, przepowiedziana, to godzina Sądu Ostatecznego. I ona ma sprowadzić śmierć Henryka, ma uczynić indywidualny sąd nad nim czemś realnem... Dwa motywy łączą się tutaj, najprzód, pod względem czasowym. A dalej muszę dodać, że widmo Boga, na które patrzy Henryk, jest tem samem, które następnie zabija Pankracego, że obaj stoją w swych ostatnich chwilach naprzeciw jednego i tego samego zjawiska, choć każdy widzi je w inny sposób i choć Pankracy odczuwa jego działanie wprost fizycznie, a Henryk spostrzega je raczej tylko oczyma duszy lub tylko przeczuwa. Poeta podkreśla ich identyczność, zaznaczając, że oba widma są widzialne na tem samym miejscu. Pankracy mówi o Henryku: „Na tem miejscu serce jego pękło,“ i właśnie w tej samej chwili blednie: obaczył Chrystusa. Obaczył go i wnet mówi: „Plotły kobiety i dzieci, że się tak zjawić ma, lecz dopiero w ostatni dzień.“ Nie ulega więc wątpliwości: motyw sądu nad Henrykiem zostaje tutaj już zupełnie, już w całości pochłonięty przez motyw Sądu Ostatecznego. Bóg, którego widzi Henryk, to ten sam Bóg, którego widzi Pankracy, to Rex tremendae majestatis, to Bóg z Dies illa.

To wszystko miałem na myśli, kiedy mówiłem: „Nieboska“ ma styl. A ten styl jest dantejskiemu pokrewnym. Jak w Infernie, tak i w „Nieboskiej“ działa wciąż, bezustannie zasada odwetu. A jeśli ona nie wyraża się w stanach ciała, nie wyraża się, w odróżnieniu od Inferna, na sposób rzeźbiarski, to jednak występuje z plastycznością najzupełniej godną Dantego, bo wyraża się dramatycznie, to jest w ruchu, w akcji. Dramatycznym jest stopniowe dopełnianie się sądu nad Henrykiem, dramatycznym

jego przeciwstawienie i wreszcie jego podporządkowanie Sądowi Ostatecznemu, który od początku zdaje się zbliżać, który biegowi wypadków nadaje gorączkowe, szybkie tempo, a na rzeczy i ludzi rzuca światło ponure i nadnaturalne, aż wreszcie, w samym końcu, urzeczywistnia się i wywołuje w nas wrażenie katastrofy z dawna przygotowanej a koniecznej, wrażenie, że całokształt treści „Nieboskiej,” to Dies irae, dzień odwetu, to Sąd Ostateczny.

Ale czy Krasiński, dochodząc do tej silnej, wspaniałej koncepcji, zapożyczył się w czemkolwiek u Dantego? Jak w poprzednim rozdziale, tak i tutaj na tego rodzaju przypuszczenie miejsca niema. I pod tym względem szedł poeta swoją własną drogą.

Już w liście do Reeva z 25 listopada 1831 r. (z Genewy) pisze Krasiński o egzaltacji, jaka opanowuje społeczeństwo 19-go stulecia w jego dzień ostatni. Zwraca uwagę na to, że jak początki, tak i końce narodów i społeczeństw mają zawsze „quelque chose de fabuleux, de miraculeux, de hors de règle, de surnaturel.“ Mówi o instynkcie wielkiej katastrofy, który się w takich chwilach wszystkim duszom udziela. Wtenczas wierzy się w koniec świata, jak za czasów barbarzyńskich, albo w drugiego, społecznego Zbawiciela, jak za czasów saint-simonistów. Mówi dalej o ekstremach, które się we wszystkich kierunkach zjawiają, gdy dusze przeczuwają „quelque chose de grand, de terrible.“ I przewiduje rozlew krwi, pożary i morderstwa. Tak się objawi „la colère de Dieu qui régénère le monde,“ właśnie Dies irae.

Później, w liście z 27 stycznia 1832 r. (także do Reeva i także z Genewy) pisze znów o saint-simonistach; twierdzi, że oni staną na czele proletariatu, bo tak każe im ich przeznaczenie. Wtenczas przyjdą dni próby, które wstrząsną nawet wybranych, jeżeli Bóg ostatniego dnia świata przyspieszyć nie zechce. A w liście z 17 lutego tego samego roku nazywa tychże saint-simonistów antychrystami naszego wieku. Powtarza, że to co obecnie się dzieje, dzieje się zawsze, gdy społeczeństwo dosięgło swych chwil ostatnich, że „nasze społeczeństwo zanika (notre société s'en va) i my wszyscy zginiemy wśród strasznych konwulsji.“ Dalej, 17 listopada t. r. pisze (z Petersburga) o swoich czasach, jako o nocy, która nastąpiła po zachodzie, a poprzedza wschód i dodaje, że tę noc rozświetli jakiś meteor krwawy i przelotny („quelque météore sanglant et fugitif“). Wreszcie, w liście z 6 stycznia 1833 roku (znów z Petersburga) powtarza za Wikto-rem Hugo słowa, które tenże wypowiedział o Antychryście: „Il viendra.“

„Il viendra“: Przyszedł kilka miesięcy później w postaci Pankracego, bo najpóźniej w połowie roku 1833 powziął Krasiński myśl napisania „Nieboskiej“, która w listopadzie, jak wynika z listu do Gaszyńskiego, była już gotowa. Pisał ją zatem szybko, improwizował prawie. I przytoczone urywki w pewnej mierze ten pośpiech tłómaczą: właściwy „Nieboskiej“ sposób widzenia rzeczy był już ustalony.

A jeśli niema dowodów na to, że poeta, w chwili tworzenia, właśnie tutaj widział punkt ciężkości, że sam wyobrażenie Sądu Ostatecznego za panujące, decydujące uważał, to zastępuje je poniekąd fakt znacznie późniejszy. W roku 1858 przygotowuje Krasiński nowe wydanie „Nieboskiej.“ I wtenczas, jakby chcąc wrażenie dzieła dawniejszego, już od siebie oddalonego odnowić i odświeżyć, jakby chcąc podkreślić to, co w swoim czasie zamierzał weń włożyć — dorzuca do pierwotnie znacznie krótszej ostatniej sceny, sceny zjawienia się Chrystusa, owe miejsca przytoczone już powyżej, gdzie mówi o dniu ostatnim i gdzie mówi dalej o Mścicielu.¹⁾ Dorzuca zatem właśnie te rysy, które choć bynajmniej nie wyłącznie, to jednak najdosadniej wywołują w nas obraz Boga Sądu Ostatecznego. To rzuca bardzo silne światło wstecz, właśnie na chwilę, gdzie „Nieboską“ tworzył.

A w owej chwili nie był Krasiński w zapowiadaniu Sądu Ostatecznego żadną miarą odosobniony. Nie, on czerpał swój pogląd, choć go miał przenyśleć bardziej krańcowo, wyrazić dużo jaskrawiej, niż ktokolwiek, z ogólnej vox populi i z literatury, z rozlicznych obcych głosów, a także i z polskich.

Co do obcych, przytoczę tylko cytowane przez Kleintera²⁾ zdania Ballanche'a i de Maistre'a. „Ziemia chwieje się pod nogami — mówi pierwszy — wielkie oczekiwanie nęka ludzi... Epoka, w której żyjemy, jest wielkim przełomem dla społeczeństwa, nową erą ducha ludzkiego.“ A de Maistre wyraża się jeszcze drastyczniej: „Musimy być przygotowani na wypadek niezmierny w porządku Boskim, ku któremu idziemy z szybkością przyspieszoną... groźne wróżby zapowiadają, że nadeszły czasy. Liczni teologowie, nawet katolicy, doszli do przekonania, że wypadki pierwszorzędne a niedalekie, zapowiedziane są w objawieniu św. Jana... Niektórzy pisarze protestancy przyjąwszy już zasadę, że liczne prorocтва, zawarte w Apokalipsie, odnoszą się do czasów obecnych.“

¹⁾ Pini: „Z pracowni poety.“ Pamiętnik Literacki. Tom I, 1902. Str. 179 sq. ²⁾ L. c. I. Str. 111 i 112.

Co się zaś tyczy polskich głosów, to mogę się powołać na ów program Nowej Polski, omówiony już w zeszłym rozdziale, który ukazuje się właśnie w chwili pisania „Nieboskiej“ i w którym czytamy także i te słowa: „Nadchodzi sąd ostateczny świata, dzień naprawienia historycznych zbrodni.“ Jest bardzo godnem uwagi, że ten sam program, który, jak zaznaczyłem, ma z „Nieboską“ tak wiele punktów stycznych i który, jak dodałem, wyrażał zapatrywania, trafiające się tu i owdzie i na emigracyi i w kraju samym, że ten program zawiera i powyższy ustęp.

A więc Krasiński nawiązuje do pojęć swojej epoki, do pojęć jemu, poecie kataklizmów, właśnie sympatycznych. Jeżeli zaś, nawiązując do nich, stylizuje „Nieboską“ jako Sąd Ostateczny i przez to w pewnym względzie zbliża się do Dantego, do jego Inferna, to nie może być mowy o zapożyczaniu się u niego, tylko o kongenialności, że tak powiem, o twórczości poniekąd równoległej, w tym względzie pokrewnej.

To jednak dla wytłómaczenia tytułu dantejskiego zupełnie wystarcza: Niejednego malarza natchnęła „Boska Komedia“ z jej opisem Piekła, Czyśćca i Nieba, z jej rozróżnieniem sprawiedliwych i niesprawiedliwych do stworzenia obrazu Sądu Ostatecznego. Czyż Krasiński, skoro przedstawił jako Sąd Ostateczny koniec świata feudalnego i skoro zwrócił się bardzo naturalnym odruchem do afirmacyi feudalizmu, do „Boskiej Komedyi,“ nie mógł uczuć tego samego, co czuli malarze? Czy nie mógł związku, jaki oni być może właśnie tylko odczuwali, uświadomić sobie jasno; on, który w swoim dziele przeprowadził zasadę odwetu i tę samą zasadę, tylko jakby wyniesioną ponad świat ruchu, jakby zmartwiałą w rzeźb szeregu, w Infernie Danta musiał zauważyć? I czy, uświadomiwszy sobie ów związek, nie mógł dojść do postanowienia, aby swój obraz, chociaż nie w imię Dantego rozpoczęty i stworzony, jednakowoż w jego imię zakończyć, aby go Dante-mu, że tak powiem, poświęcić, aby nadać mu tytuł dantejski?... Przecież osiągał przez to efekt tak przedziwny: Łączył i wzywał czytelnika, aby łączył—*Apokalipsę* świata feudalnego z jego *Ewangelią*.

Tyle co do głównego pytania. Ale pozostaje jeszcze drugie, dodatkowe. Niewiadomo dlaczego Krasiński, nie zadowolony dantejskim już tytułem „L'Umana Commedia,“ przechodzi do innego i ten zachowuje. Niewiadomo dlaczego tkwiącą już w „Ludzkiej Komedyi“ negacyę Boskiej jeszcze silniej podkreśla, decydując się ostatecznie na tytuł „Nie—Boska.“

Otóż, aby i na to pytanie odpowiedzieć, porównam w ostatnim, dużo krótszym już rozdziale, „Sen“ z „Nieboską Komedią“ jeszcze w trzecim względzie.

V.

Poza Piekłem, które, jak widzieliśmy, zajmuje się przede wszystkim, prawie wyłącznie sprawami społecznymi, opisuje Krasziński w Śnie także i Czyściec, poświęcony sprawie narodowej, a wreszcie otwiera perspektywę i na Niebo. Schemat „Snu“ jest zatem ten sam zupełnie, co w „Boskiej Komedi.“

„Nieboska“ przedstawia natomiast jedynie sąd potępiający, jedynie Chrystusa gromiącego, a zatem zawiera wyłącznie analogię do Piekła dantejskiego—„Comédie infernale“ nazywa ją Klaczko—lecz analogii do Czyścica i do Nieba znaleźć w niej nie można. A przecież dopiero Purgatorio i Paradiso kierują i prowadzą Dantego ku Bogu, Bogu miłości, którego w ostatniej pieśni Raju widzi już naocznie. Stąd niema w „Nieboskiej“ tego, co cel, wytyczną „Boskiej Komedi“ stanowi, tego, co w oczach naszych, jak kiedyś w oczach współczesnych ludzi, boskość jej nadaje. Stąd tamta nie jest boską, jest właśnie Nie-Boską.

Oto kontrast, który Kraszińskiego mógł uderzyć, który mógł go do nadania tego a nie innego tytułu łatwo spowodować. I przypatrując się temu kontrastowi, jesteśmy nawet skłonni przypisać mu znaczenie jeszcze wiele większe. Jesteśmy skłonni zapytać się, czy Krasziński nie stworzył swej „Nieboskiej“ jako świadomej antytezy do poematu Dantego, czy mianowicie nie wprowadził gromiącego Chrystusa, jako antytezy do zamykającego Paradiso Boga Miłości—„L'Amor che muove il sole e l'altre stelle“—czy zatem nie od optymizmu dantejskiego wywodzi się, antytecznie właśnie, ów pesymizm „Nieboskiej,“ o którym się tak często i tak chętnie mówi.

Gdybyśmy na to pytanie odpowiedzieli twierdząco, natenczas doszlibyśmy do wyniku, że jednakowoż „Boska Komedia,“ chociaż, jak starałem się wykazać w dwóch poprzednich rozdziałach, w pozytywnym kierunku na „Nieboską“ wpływu nie wywarła, wpłynęła na nią przynajmniej negatywnie, wpłynęła jak jakieś zdanie, do którego nawiązujemy nasze własne rozumowanie, chcąc retorycznie zacząć a contrario.

Ale i w tym razie zdaje mi się, że jedynie przecząca odpowiedź jest słuszna. Sądzę, że „Boska Komedia“ przy tworzeniu

„Nieboskiej“ owej negatywnej roli nie odegrała, a sędzę ze względu na to, że kontrast powyżej zaznaczony nie jest wcale tak silny, jakby przy umyślnem, zasadniczem kontrastowaniu być powinien, że, krótko mówiąc, ów pesymizm „Nieboskiej“ nie jest taki krańcowy, za jaki uchodzi.

Chrystus gromiący unicastwia Pankracego, który jest twórcą i reprezentantem pewnej myśli i z nią dlatego stoi i upada. Lecz nie unicastwia Leonarda; ten go zupełnie nawet nie spostrzega. Nie unicastwia, jak zatem wnosić należy, nikogo z tych, co byli owej myśli wykonawcami, wyznawcami albo trabantami. Nikogo z zalegającej obóz rzeszy, która szła za Pankracym, ale, gdy go zabraknie, przy jego myśli i kierunku pozostać nie musi, która jest w ideowym względzie uleczalna. Zamykamy więc książkę z tem uczuciem, że pozostający przy życiu *novi homines* tworzą jakby tabula rasa, na której w przyszłości nie wiadomo co wyrosnąć może i że nad nimi wznosi się Chrystus, który nie jest bynajmniej tylko widzem, lecz potęgą, gotową w danym razie wkroczyć w akcyę, a więc kierującą.

Jakże inaczej w „Śnie“! Tutaj sprawy społeczne są przedstawione tylko w Piekło i składają się istotnie na obraz, który niszczy wszelką już nadzieję. Chłopię oddaje jedynie ogólne wrażenie, ogólny nastrój, kiedy na słowa Danta: „Módl się o przyszłość do Ojca, który jest w niebiesiech,“ odpowiada cichym, szemrzącym głosem: „W niebiesiech—może, ale nie na ziemi.“

A jakże inaczej bywa w poezyi społecznej nowoczesnej, jakże inaczej u Hauptmanna, na którego, jak powiedziałem, owa scena z chłopięciem wskazuje. Przypomnę tylko ostatnią, nieco za tendencyjną, scenę „Tkaczów“: Stary Hilse nie chce się przyłączyć do rewolucyi, nie chce walczyć razem ze swymi współbraćmi, przeciw którym nadciągnęło wojsko. Słysząc już od ulicy wystrzały, salwy, ale gdy wszyscy idą bić się lub umierać, on pozostaje w domu na posterunku i siada nad warsztatem, by dalej pracować. „Tu mnie Ojciec Niebieski posadził. Tu będę siedział i nadal i będę czynił to, com czynić winien...“ Wtem słysząc nową salwę i Hilse, śmiertelnie raniony, słania się, pokrywa warsztat swem bezwładnem ciałem.

Co tutaj i w „Śnie“ wywołuje uczucie tak strasznej beznadziejności, to jest narzucająca się wątpliwość, czy Bóg jest, czy Bóg o ziemskie sprawy wogóle się troszczy: Krasiński odpowiada na to pytanie niedwuznacznie. I to już samo czyni zakończenie „Nieboskiej“ całkiem innem, choć nie wprowadza doń zdeklarowanego optymizmu społecznego, świetlanych przepowiedni przy-

szłości, tak bardzo niepodatnych dla poety, jak dowodzi w naszych czasach słabe finale silnego zresztą bardzo dramatu Björnsona („Ponad siły,“ część druga utworu).

W „Nieboskiej Komedyi“ niema z pewnością optymizmu, ale jest pesymizm, który, posuwając się aż do ostateczności, przedstawiając prowokowanie i wywołane przezeń wkroczenie Boga, powiedziałbym Boga kataklizmów, sam siebie przezwycięża, sam siebie łagodzi.

Tworząc zaś to wyobrażenie „Boga kataklizmów,“ do jakiego wyobrażenia znanego i uznanego nawiązał Krasiński? Czyli innymi słowy: Bóg „Nieboskiej“ to jest jaki Bóg?

Najprzód należy zwrócić uwagę na to, że w „Śnie,“ w którym opisuje stosunki społeczne obce, nie krajowe, pozostawia Krasiński Boga poza nawiasem, a że ucieka się wprost do interwencji Boga, gdy przedstawia w „Nieboskiej“ stosunki społeczne, także i w kraju wówczas panujące.

Następnie należy zauważyć i to, że, nakreśliwszy w „Śnie,“ dokładniej w Piekło „Snu,“ obraz stosunków społecznych całkiem beznadziejny, łagodzi ten pesymizm dopiero przez obraz stosunków narodowych, Czyściciel. Ten Czyściciel narodowy spełnia zatem w „Śnie“ to samo całkiem zadanie, co w „Nieboskiej“ zjawienie się Boga.

Przedewszystkiem jednak należy podkreślić fakt, że tekst tejże „Nieboskiej“ rzuca hasła „Bóg“ i „Ojczyzna“ jakby jednym tchem: Mówiłem powyżej o wielkiej scenie Pankracego z Henrykiem, w której tamten interwencję Boga właśnie prowokuje i musiałem już wspomnieć o jego zwrocie, zawierającym i wyraz „Ojczyzna.“ Powiada on tam, już na samym początku rozmowy: „Otóż mi stara szlachta... wierząca lub udająca, że wierzy w Boga...“ A później: „...chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowo *Ojczyzna* i tam dalej.“ I jest, jak dałem już poprzednio do poznania, rzeczą jasną, co przez to „i tam dalej“ właściwie rozumie. Po chwili znów powraca do dawniejszego tematu, długo i uporczywie rozprawia o *Bogu*. Istotnie, możnaby bez przesady powiedzieć, że Pankracy wyzywa i Boga i Ojczyznę równocześnie, i że jeżeli później, w końcu, wkracza i mści się Bóg, to niejako za siebie i za nią.

Wkracza zatem jako Bóg *narodowy* i to zgadza się najzupełniej z dalszym, zasługującym na niemniej silne podkreślenie, faktem. Jemu, jako Bogu przeszłości, przeciwstawia Pankracy Boga przyszłości, swego Boga i nazywa go tak jakby Bogiem nie-narodowym, bo Bogiem ludzkości. Ustęp, który się zaczyna

od słów: „Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie, Bóg pracą i męką czasów odarty z zasłon“ i t. d., kończy się bowiem słowami: „Bóg ludzkości objawił się im.“

Wobec tego niema już chyba wątpliwości, jaki to Bóg w ostatniej scenie „Nieboskiej“ się zjawia. A dla zupełniejszego jeszcze oświetlenia tej sceny dodałbym wreszcie i co następuje:

W swych listach, wcześniejszych od „Nieboskiej“, używa Krasiński nie raz jeden takich zwrotów, jak np. (w liście do Reeva z 25 list. 31, z Genewy): „Gdy nasze kości spróchnieją, wejdzie zorza... Na tych samych polach, gdzie naprzód popłynie rzeka krwi, zboża będą falowały“ i t. d. Ale tam, gdzie mówi już nie ogólnie, tylko w szczególności o Polsce (w liście do Reeva z 14 lipca 1832 r., z Wiednia), nie zadawała się już społecznym liryzmem. „Poza arystokracją niema w Polsce ani talentów, ani światła, ani poświęcenia. Nasz stan trzeci, to marność, nasi chłopci, to maszyny. My tylko jesteśmy Polską (Nous seuls nous sommes la Pologne). Radykalizm nas podniesie, by nas obalić i zgładzić nas z powierzchni ziemi. Oby ci novi homines szczęśliwymi byli i znowu na wielki naród wyrosli! (Puissent ces novi homines prospérer et de nouveau devenir un grand peuple!)“ Tych homines novi, którzy właściwą Polską nie są, ale nową Polskę może stworzą... może, oby... reprezentuje przy życiu pozostający, przez Boga narodowego zaoszczędzony na przyszłość—Leonard.

Tak przedstawia mi się zakończenie „Nieboskiej“ i nie zmienia, mojem zdaniem, postaci rzeczy okoliczność, że Krasiński akcentuje w niem jedynie te momenty, które i na Boga i na nowych ludzi innych narodów dadzą się przenosić. Nie, to samo czyni on przecież w całym poemacie. Wszędzie nawiązuje do rzeczy mu najbliższych, ale uwzględnia w nich tylko to, co jest zdolne z dalekiemi, obcemi się pokrywać, co może służyć jako *pryzmat do widzenia ich*. Stąd wywołuje wrażenie, jakoby widział wyłącznie tylko rzeczy ogólnoludzkie, jakoby owego rodzimego przyzmatu nie było.

I niech cudzoziemcy go nie spostrzegą, ale my powinniśmy go poznać i zrozumieć: Oddajmy „Nieboską“ do Panteonu międzynarodynarodowego, ale niechaj wyryty na niej napis brzmi „Polonus fecit.“

ANTONI KOSTANECKI.

GALICYA A SPRAWA POLSKA

(październik 1806 — lipiec 1807).

...Peuple trahi mais fidèle
Accourez de toutes parts
Sous vos anciens étendarts
Napoléon vous appelle.

Il a juré sur l'honneur
De son épée invincible
Et, sa parole infaillible
Assure votre bonheur.¹⁾

Jeszcze nie przebrzmiały najwcześniejsze echa październikowego pogromu Prus, nie znikły pierwsze tryumfy francuskiego oręża pod Jeną, a już we wszystkich, bliżej zachodu położonych ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, poczęto znowu nawiązywać przerwane nici planów odnowicielskich, niweczonych raz po razie przez tyle zawodów, przez pacyfikacye kampoformijską, lunewilską, a świeżo jeszcze przez zeszłoroczną preszburską.

Podniosła się Wielkopolska, poruszyły się tu i owdzie umysły w zaborze rosyjskim. W jednej tylko Galicyi trwał nadal urzędowo, raportami władz austriackich jak najoficyalnie stwierdzany, spokój. Dopiero w końcu października, drogą prywatną, w formie bardzo niejasnej, zaczęły do tej spokojnej dzielnicy pierwsze dolatywać wieści—entuzjastyczne, wojenne. Utworzenie nowych legii polskich krajowych, powołanie generałów Dąbrow-

¹⁾ Ode sur les événements relatifs au rétablissement de la Pologne en 1806. Śpiewana w Krakowie, przysłana do gubernium lwowskiego przez starostę Bauma, 18 grudnia 1806.

skiego i Zajączka, zwycięski pochód Napoleona przez rozbite Prusy, ruchy powstańcze w departamencie poznańskim, kaliskim, bydgoskim—wszystko to wywierało wrażenie podniecające, elektryzowało umysły. Wprawdzie jeszcze nie w tak wysokim stopniu, jak wydawało się niektórym sangwiniicznym Francuzom,¹⁾ nie od pałaców największych, najbogatszych, aż do skromnych lepierek wieśniaczych, ale w każdym razie kraj otrząsał się stopniowo z biernego tylko śledzenia wypadków. Misterna budowa oficjalnej sielanki galicyjskiej, okrywająca wszystkich c. k. wiernych poddanych polskich *gut und übel Gesinnten*, poczyniała się zarysowywać sposobem niepokojącym.

Najwcześniej ujawniło się to w północno-zachodnich okręgach Galicyi i w Lubelskiem, gdzie już w pierwszych dniach listopada wcale wyraźnie zaczęto okazywać nurtujące ogół, a mocno nieprzychylnie władzom panującym, nastroje i pragnienia. Niezadowolenie, stale powiększane skutkiem wzrastających nadmiernie ciężarów podatkowych, do tego wreszcie stopnia się spotęgowało, że—jak zrozpaczony starosta lubelski, bar. Mandorff, 11 listopada do Gubernium lwowskiego donosił—niema już prawie nikogo, kto by otwarcie nie życzył sobie innego rządu. Wprawdzie i tu zaznaczyć należy, iż ów nastrój gorący, patriotyczny, utrzymywany przez takich ludzi, jak asesor Zabłocki, u którego odbywały się tajne zebrania niezbyt lojalnie usposobionych mieszkańców Lubelskiego, oraz pośród obywatelstwa okolicznego, złożonego z gorących patriotów, jak: Wyrzykowscy, Dłuscy, Niezabitowscy, Rejowscy, Byszewscy, Golińscy, Wierzbiccy, Gałęzowscy i t. d.—nie rozszerzył się zgoła na niższe warstwy społeczne, nie ogarnął mieszczan, chłopów, ani Żydów. Bądź co bądź jednak zachodziła całkiem słuszna obawa, że gdyby jakakolwiek w sąsiedztwie zaczęła się ruchawka narodowa, to okręg lubelski pierwszy do niej by się przyłączył.

Niespodziewany ów zgrzyt, wyjątek z reguły, jaką stanowiły wszystkie dotychczas w raportach starostów przysyłane skrupulatnie wiadomości uspokajające²⁾ (*beruchigende Nachrichten*), nie-

¹⁾ Lefebvre, Histoire des Cabinets, t. III.

²⁾ Archiwum Namiestnictwa, geheime Akten, r. 1806. Raport Mandorffa do Gubernium. Lublin den 11 November 1806. ...ungünstige Zeitumstände, Vermehrung der Aufträgen und öffentlichen Lasten, Verminderung genossener Vorteile... de durch wurde die von allem Anfange bestandem Abneigung u. Unzufriedenheit noch grösser und allgemeiner... man sieht beinahe Niemanden der gegen die Regierung nicht murret und sich nicht offenbar eine andere wünscht...

mile dotknął władze miejscowe. Pocięcha, że w Lubelskiem, które dotąd w tak ściślejsz pozostawało łączności z sercem Polski—z Warszawą, wśród wielkiej liczby kupców, adwokatów, wśród tyłu tradycjami dawnymi z Rzeczpospolitą złączonych ziemian, oraz pełnej zapału młodzieży, — że w tym właśnie okręgu musi panować „gorszy“ nieco, niż gdzieindziej, nastrój, oraz z góry wyrażona z naciskiem niewiara w możliwość czynnego przejawienia się dostrzeganych podejrzanych nastrojów — nie przydały się na długo. Im bardziej zbliżano się ku drugiej połowie listopada, tem silniej zapalały się umysły. Żądano jak najszybszych i najdokładniejszych wiadomości o wypadkach dnia. Ponieważ zaś ani *Lemberger Intelligenzblatt*, ani gazety krakowskie, jedyne wówczas cenzuralne dzienniki krajowe, nie mogły w żaden sposób zaspokoić rozbudzonych pragnień, naprzód dlatego, że redagowane tendencyjnie, były raczej spisem ogłoszeń licytacyjnych, targowych i rozporządzeń urzędowych, niż właściwymi dziennikami, a powtóre dlatego, że wiadomości polityczne, dotyczące kampanii francusko-polskiej, wobec nader ostrej cenzury ograniczały się do mocno skróconych tłumaczeń z „Monitora,“ a prawie zawsze do spóźnionych przedruków bezwzględnie obowiązującego oficjalnego pierwowzoru, t. j. *Oesterreichischer kaiserliche privilegirte Wiener Zeitung*,¹⁾ inną przeto drogą starano się te braki uzupełniać. Na luźnych kartkach, przewożonych lub przemycanych przez posłańców umyślnych, taką iście pantoflową pocztą, zaczęły krążyć po Galicyi bardzo liczne odpisy urzędowych i nieurzędowych wiadomości o toczących się świeżo wypadkach. Jedne z pierwszych, które przyjęte z entuzjazmem szybko po całym rozeszły się kraju, były to: znana odezwa generała Dąbrowskiego i Wybickiego, datowana w kwaterze cesarskiej w Berlinie, 3 listopada 1806 r.; list okólny, również przez nich zredagowany i z datą tegoż samego dnia, przesłany do Warszawy; wreszcie proklamacya Napoleona 27 października do Wielkiej Armii, mieszcząca zapowiedź wskrzeszenia z popiołów nowego państwa polskiego na zdobywanem terytoryum.²⁾

¹⁾ Cenzura miała przedewszystkiem obowiązek czuwania nad tem, żeby w żadnej z gazet krajowych nie zamieszczano jakichś wiadomości wojennych, nie wydrukowanych już poprzednio w gazecie wiedeńskiej.

²⁾ Te dwie odezwy wraz z listem okólnym Wybickiego i Dąbrowskiego, oraz przydanym krótkim opisem dotychczasowych zwycięstw armii francuskiej, krążyły z rąk do rąk w formie takiej, w jakiej znajduje się jeden odpis w bibliotece Ossolińskich, w rpsie № 1283.

Wrażenie było nader silne. Kiedy 17 listopada ks. Stanisław Jabłonowski przyjechał do Puław i uroczyście, wobec licznie zgromadzonych gości, na złotej sali, odczytał przywiezione ze sobą pismo Dąbrowskiego, to według naocznego świadka, młodego Dembowskiego z Bronic, późniejszego autora „Wspomnień“, „nie była to radość, boć cieszyć się jeszcze nie było czego, ale jakieś osłupienie, jakieś zdumienie i jakaś gorączka czynów... bal ustał i każdy udał się na spoczynek, a właściwie na rozmyślanie nad tą ważną chwilą... Do Puław zaczęto się zjeżdżać jeszcze liczniej, a gdy 30 przyszła wiadomość, że Francuzi wkroczyli do Warszawy...“ „młodzież cała do Warszawy się udała, jedni do wojska, drudzy do służby cywilnej.“ Sprawa stawała się piekącą, gdyż równocześnie przyszły zapewnienia, że pierwszy korpus francuski ciągnie do Krakowa, że mowa jest o odstąpieniu Galicyi za Ślązk, że królem polskim zostanie elektor saski Fryderyk August lub książę Hieronim Bonaparte, ożeniony ewentualnie z infantką saską. Odtąd już niemal z dnia na dzień oczekiwano zupełnego przewrotu losów krajowych. Po całym kraju wytwarzały się jak gdyby małe ośrodki, skąd świeży powiew idei niepodległej Polski rozszerzał się między szlachtą. Zjeżdżano się po dworach, by zasięgnąć wiadomości o „Francuzach“ i pogadać trochę o „polityce“ na temat przyszłej Rzeczypospolitej, temat ulubiony, który niemal przy każdej uroczystości poruszony bywał otwarciej, szczerzej lub dyskretniej, zależnie od tego, czy przeczuwano między sobą szpiega, czy nie.

Wcześniej nieco, niż do Puław, doszedł komunikat Dąbrowskiego do zachodnich okręgów Galicyi, w Radomskie, Kieleckie i Siedleckie, gdzie od dawna powstawały najśmielsze pomysły, gdzie zbierano się i naradzano z większym jeszcze zapałem, niż w Starej Galicyi. To też już 17 listopada, a więc w dniu, kiedy w Puławach zaledwie zapoznawano się dokładniej z treścią odezwy—mógł się Stanisław Małachowski z Końskiego zgłosić listownie do gen. Dąbrowskiego, jako do tłumacza uczuć i nadziei pokładanych w Napoleonie i określiwszy w imieniu obojga Galicyi gotowość przystąpienia do ogólnego ruchu, prosić o danie wskazówek, jak mają się zachować wobec nadeszłych wypadków. W gorących słowach zapewniał, że dane rozkazy wykonane będą z wszelką możliwą dokładnością.¹⁾ Co więcej, liczne grono najmniejszych obywateli tych okręgów, przeważnie *sujets mixtes*,

¹⁾ Handelsmann, Napoléon et la Pologne (Paris, 1909). Annexes str. 233.

nie mogąc w tutejszych posiadłościach swoich żadnej zewnętrznej akcji prowadzić, pospieszyła utorować drogę armii francuskiej za kordon, aby, wspólne z inicjatorami powstania wielkopolskiego założywszy ognisko, stamtąd oddziaływać na Galicyę.

Tuż za komorą celną, w Żarkach, odbywają się raz po raz burzliwe często narady pod przewodnictwem Wojciecha Męcińskiego z Ujazdowa (krakowskie), oraz w Lelowie. Uchwalają między sobą zgromadzeni dobrowolne ofiary pieniężne, stawianie własnym kosztem rekruta, dostarczanie podwód i żywności. Porozumiewają się wzajemnie Karol hr. Woździcki z sandeckiego, Michał hr. Potocki z Chrzastowa, Aleksander Potocki (ojciec) z Kuczkowa, Taszycki, Gorayski, Karwicki i t. p.; organizują cały szereg zjazdów ogólnych, 20 listopada w Konieczpolu, 23-go w Żarkach, w Częstochowie, w których najczynniejszy udział, jako mówcy i kierownicy, biorą również powyżej wymienieni inicjatorowie, jak: M. Potocki, W. Męciński i Kulczycki.¹⁾ Były to zjazdy szlachty i ludu okolicznego, połączone z uroczystością kościelną i rodzajem wieców, na których odczytywano i objaśniano odezwę Dąbrowskiego, Napoleona, a nie mające na razie na celu nic innego, jeno uświadomienie ogółowi obowiązków, jakie na nie wkładała nadeszła chwila, oraz obudzenie jaknajgłębszego poczucia konieczności ofiar i oddania siebie sprawie narodowej. Zwyczajnie zbierano się naprzód rano w kościele, słuchano uroczystie odprawionej sumy, a po nabożeństwie i patryotycznym kazaniu udawano się do ratusza (jak np. w Żarkach) lub na rynek. Po wspólnem odczytaniu przywiezionych pism, dyskutowano, zgłaszano przystąpienie do powstańczego ruchu i t. d. Pełniły się słowa listu-odezwy, który miał być po wszystkich okolicach rozesłany, by młodzież siadała na konie, by każdy, kto czuje w sobie siłę, łączył się wcześniej z nadchodzącą armią, „by się Duch ojczysty odradzał.“

Wytwarzał się w ludziach entuzjazm, który aczkolwiek jeszcze bynajmniej nie powszechny, przez nieliczne stosunkowo jednostki celowo szerzony, jednak o tyle już był silny, że z każdą chwilą rosło większe prawdopodobieństwo przeniesienia go do Galicyi. Bo jakkolwiek było w niej jeszcze dość spokojnie, to

¹⁾ Archiwum Namiestnictwa, akta prezydyalne (Geheime) r. 1806, relacya sekretarza okręg. barona Klesheima z 23 listopada 1806 r., raport starosty kieleckiego Pflichtentrau'a z tegoż dnia, oraz kom. Bohrenheima z 11 listopada 1806 r.

jednak w sferach urzędowych zachodziła całkiem słuszna obawa, że skoro tylko zarzewie przez kordon zostanie przerzucone, skoro jeden okręg powstanie, za nim pójdzie drugi, trzeci—niepokój ogarnie kraj cały, a wtedy, wobec tak małej ilości wojsk w Galicyi, sytuacja dla Austrii, jako posiadacza kraju, byłaby niezmiernie ciężką.

Wiedziały o tem dobrze władze miejscowe, wiedział jeszcze lepiej głębszemi pobudkami powodujący się gabinet wiedeński. Galicya stawała się przedmiotem nieustannej troski i niepokoju. Sprawa polska, podjęta z ramienia Francyi, zbliżała się niechybnie ku urzeczywistnieniu. Gdy bowiem w lecie, w depeszach Lucchesini'ego, posła pruskiego w Paryżu, czy też Foussadiou, pełnomocnika rosyjskiego tamże, wysłanych po umowie oubrilowskiej, znajdują się w tej kwestyi wzmianki, pozwalające stwierdzić genetyczne momenty podjęcia przez Napoleona sprawy odbudowania Polski w 1806-7,¹⁾ lecz w dosyć jeszcze ogólnikowych określeniach, to we wrześniu wysłany do Paryża hr. Metternich zawiadomił już swój dwór, że tam pracuje się obecnie całkiem konkretnie nad statystycznymi zestawieniami, w myśl ewentualnego odszkodowania Austrii za ustąpienie Galicyi—ziemią Ślązką.²⁾

W kołach dyplomatycznych wiedeńskich żywy wszczął się ruch w sprawach polskich. Gabinet rozszczepiony pod względem zapatrywań na sposób zachowania się wobec wojny Napoleona z Prusami i Rosyą, oraz podniesionej przez niego kwestyi polskiej, stanął wobec rozwiązania dwóch najważniejszych czasowo kwestyi, t. j. bądź wobec sprawy zbrojnej interwencji Austrii, t. j. ewentualnego uderzenia na armię napoleońską od tyłu, czyli wzięcia jej wspólnie z Rosyą we dwa ognie, bądź też wobec powzięcia uchwał na wypadek medycacji pokojowej, gdyby szło o zamianę Galicyi na Ślązk. Jak w czasach dawniejszych, tak i obecnie wytworzyły się w Wiedniu w tym względzie dwie partye: wojenna, której rzecznikiem był Stadion, minister spraw zagranicznych, salony wiedeńskie, posłowie rosyjscy: hr. Razumowski, potem Pozzo di Borgo — zacięty wróg Napoleona i pruski Goe-

¹⁾ Wykłady w Uniwersytecie lwowskim prof. Askenazego, półrocze zimowe 1909/10. Depesza Foussadiou do ks. Adama Czartoryskiego z 1 sierpnia 1806 roku.

²⁾ Beer, Zehn Jahre oesterreichischen Politik, str. 253. Relacje Metternicha z 24 września, 30 października, 21 grudnia. Vorträge vom 26 und 27 October 1806. Krones, Zur Geschichte Oesterreichs (Gotha, 1886), str. 59 i 66.

tzen. Drugą partyę popierał arcyksiążę Karol Lotaryński, generalissimus austriacki, oraz główny jego doradca, generał Grunne, wstrzymywani niechęcią do Prus za doznane od nich krzywdy i niedawną jeszcze zdradę. Pierwsze datujące jeszcze z czasów Fryderyka II, drugie pamiętne odstępniem Austrii po Austerliczu w umowie Haugvitza. Obok tych dwóch obozów osobne miejsce zajmował cesarz Franciszek, który z jednej strony nie decydował się iść przeciw Napoleonowi, z drugiej zaś równocześnie, ulegając radom i namowom Stadiona, godził się z jego planami. To ustawiczne wahanie sfer wiedeńskich uwydatniło się, rzecz naturalna i na sposobie postępowania w kwestyi polskiej. Z jednej strony konferowano z pełnomocnikami rosyjskimi, z drugiej brano pod uwagę, że na Rosyę nie wiele będzie można liczyć, gdyż ona, odszkodowana sownie przez Napoleona na wschodzie, zgodzi się na oddanie jakiejś przynajmniej części swego zaboru, zwłaszcza gdyby na tronie tej wskrzeszonej królewskiej Rzeczypospolitej miał zasiąść który z jej wielkich książąt. Brano to pod uwagę, mimo zapewnień, jakich w tym względzie udzielił oficjalnie Napoleon Metternichowi jeszcze w Paryżu na audyencji 2 września 1806 r. Okoliczność tę Metternich natychmiast do Wiednia zakomunikował. Jednak zapewnieniu temu, że chęć osadzenia W. Ks. Konstantego na tronie przyszłej Polski jest tylko pogłoską, rozpowszechnianą sprytnie przez Lucchesini'ego, nie wierzone, uznając ją z góry za czczą mistyfikację, pokrywającą istotne zamysły cesarza Francuzów. To też w reskrypcie cesarskim na raport Stadiona z 28 października 1806 r. podawał Franciszek I w wątpliwość, czy należy zbyt uzewnętrzniać swoje kłopoty galicyjskie wobec przyjaciółki-Rosyi, bo jak nie bez pewnych danych twierdził, mogłaby ona tylko ze szkodą Austrii wyzyskać ją dla swoich zamysłów.

Na zewnątrz więc obrawszy zasadę ścisłej neutralności, wewnątrz swych granic postanowiono chwycić się wszystkich możliwych środków, byle obszar dzielnicy utrzymać status quo. Zarządzenia, jakie w tej mierze wydano, dotyczyły zabezpieczenia się w dwojakim kierunku, mianowicie: a) ochrony neutralności granic Galicyi, b) utrzymania spokoju w samym kraju. Pierwsze konieczne wobec nadciągającego z zachodu, a tuż nad granicą stojącego wroga, to jest Francyi, oraz niezbyt zaufanego, a często podejrzanego sprzymierzeńca, to jest Rosyi; drugie potrzebne wobec wzrastających objawów niespokojności poddanych w kraju.¹⁾

¹⁾ Wertheimer, Geschichte Oesterreichs, II, str. 156 sq.

Co się tyczy ochrony neutralności, chodziło przede wszystkim o ubezpieczenie północno-zachodniej granicy Galicyi, o zaciągnięcie wzmocnionego kordonu. W porozumieniu zatem z władzami cywilnymi, ze Stadionem, ewetualnie z wicegubernatorem Galicyi, hr. Chrystyanem Wurmserem, na wniosek arcyks. Karola, od lutego 1806 r. generalissimusa wojsk austriackich, zasilono najbardziej zagrożony okręg siedlecki i radomski, a zwłaszcza „suchą granicę warszawską,“ od Świdrów, t. j. od Wisły do Bugu, do czego użyto wszystkich będących do rozporządzenia kompanii nadgranicznych. Granicę suchą obsadzili huzarzy cesarscy z majorem Bianchim, komendantem 2 pułku załogi, przeniesionego umyślnie z Karczewa do Okuniewa. Tam też, jako do miejsca położonego w samym środku między Świdrami a Bugiem, przeniesiono z Terespoła pułkownika hr. Neipperga, komendanta kordonu granicznego. Dywizya kirasyerów Nassauskich rozłożyła załogi w stacyach granicznych: Opoczno, Końskie, Radoszyce i Małogoszcz. Kirasyerzy lotaryńscy stanęli w okręgu myślenickim. Wojsko posunęło się do Sandomierza i Drzewicy. Obsadzono też Mniszew u spływu Pilicy do Wisły, najważniejszy podówczas po Okuniewie punkt strategiczny.

Dla uzyskania szybszych doniesień z nad granicy, wybrano możliwie „najkrótszą“ drogę. Odtąd szły one ordynansem kawaleryjskim z Okuniewa przez Karczew do Mniszewa, a oddane tamtejszemu komisarzowi okręgowemu, razem z jego depezsami wprost do Lwowa sztafetą były odsyłane. Żeby zaś mieć zupełną swobodę postępowania z tymi, którzy naruszyli ową uświęconą neutralność terytoryalną, przydano czarno-żółtym, cesarskimi orłami opatrzonym słupom granicznym, na linii okręgu krakowskiego do Pilicy, a następnie na suchej granicy do Buga, wielkie, drukowane tablice z napisem: neutrales Gebieth, w kilku językach podanym. Równocześnie zaś dla lepszej rękojmi przestrzegania nietykalności powziętych rozporządzeń, wszystkie ważniejsze stacje obsadzono ze strony władz cywilnych odpowiednimi organami wykonawczymi. Placówkę w Okuniewie zajął wicestarosta siedlecki Baroni, do Mniszewa wysłano sekretarza ze starostwa radomskiego Gayera; ponadto z ważniejszych miejsc: Opoczno, Smardzewice i Inowłódz—dostał w swą pieczę Nigroni, Białobrzeg—Auen, Czerwoną Karczmę—Nicolai, Sokołów—Weiss, Przedborz—Schmid, Oświęcim—Nemethy, Krzemień—kap. Banicky i t. d. Urzędnicy ci, pełniąc służbę komisarzy granicznych, mieli obowiązek badać nie tylko teren okoliczny, ale zarazem składać jak najdokładniejsze raporty o ruchach armii wojennych za kordonem

tak francuskiej, jak i rosyjskiej, dostarczać wiadomości, co się tyczy robót powstańczych, mieć dokładny spis wszystkich osobników przejeżdżających granicę na odpowiednich komorach, podchwytywać listy, przemycane druki, gazety, mieć wreszcie czujne oko na wszystkie czynności i zamiary wiernych i niewiernych poddanych. Co się zaś tyczy postanowień w celu bezpośredniego działania na ludność krajową, to obok dawniejszych październikowych poleceń, jakie otrzymał z Wiednia hr. Wurmser, a to w sprawie dokładnego zbadania ogólnych usposobień danej chwili w Galicyi, żeby stosownie do dodatnich lub ujemnych wyników dla rządu, zarządzić słabsze lub silniejsze środki zaradcze, — za powszechnie obowiązującą zasadę przyjęto, już poprzednio wołą najwyższą utwierdzone, postanowienie, t. j. by ze strony władz nie ujawnić najmniejszej obawy, któraby mogła krążące wiadomości o Galicyi niejako umocnić.¹⁾

Miano wszelkie zestrzelić usiłowania, żeby cień nawet nie padł, iż powstała troska ewentualnego oddania całości kraju, czy też przynajmniej jego części, że się przeczuwa we wnętrzu granic możliwość wybuchu rewolucyi. Wurmser odbierał kategoryczne oświadczenie, by za wszelką cenę utrzymał w kraju spokój w dalszym ciągu. Powołując się na świętość obowiązków, wyływających z odpowiedzialnego stanowiska strażnika prowincyi, przemawiając do ambicyi i wierności, dawano mu raz po raz pośrednio i bezpośrednio cały szereg, odpowiednich danym okolicznościom, instrukcyi. Tak np. miał on przedewszystkiem zwrócić szczególniejszą uwagę na umysły niższych warstw, w większej części bardzo dotychczas biernych, a na wypadki polityczne prawie zupełnie apatycznych jeszcze, na ową szarą masę ludności krajowej, bez której udziału żaden ruch skuteczny poważnie objawić się nie mógł. Otóż, żeby ta masa podstawowa niepodatną dla zamysłów polskich stać się mogła, postanowiono je uprzedzić i zneutralizować jeszcze bardziej działaniem z dwóch stron: przez księży i przez władzę świecką, t. j. starostwa. Obowiązek zjednania sobie przez te dwa organy najzupełniejszego zaufania wśród klas niższych miał się ujawnić w dwojaki sposób. Ze strony władz

¹⁾ Arch. Namiestnictwa, akta prezyd. tajne (1806): Allerhöchstes Handbilliet. Wien d. 30 November 1806. Kaiserliche Resolution (na raport Wurmsers z 24 paźdz. 1806). Pismo Summerawa, szefa ministerjum policyi, do Wurmsers z 31 paźdz. 1806. Wurmser do cesarza. Allerunterthänigste Note. 8 Dczemb. 1806.

cywilnych: wydaniem szeregu wskazówek o odpowiednich paragrafach z kodeksu karnego, wydaniem ostrzeżenia „o zręcznych zwrotach i wyrażeniach,“ gdzieby było powiedziane, że tylko warunki czasowe i troska o utrzymanie ścisłej neutralności wymagają zwrócenia uwagi „wiernym poddanym,“ na skutki złe a nieuchronne dla przestępców, gdyż władza jest zdecydowana wszystkie podobne przekroczenia, wszystkie zaczątki przyszłych niepokojów, czy to mowy nie lojalne, czy każdy udowodniony czyn, z całą surowością karać. Ze strony duchowieństwa miało się to objawić rozestaniem listów pasterskich przez wezwanych ku temu biskupów, wszystko zaś w imię formuły, że wobec każdemu patentem wiadomej neutralności, spokojne, uczciwe, posłuszne zachowanie się stało się pierwszym, najświętszym obowiązkiem każdego poddanego, obowiązkiem „niestety“ zbyt często utrzymywanym, rzecz łatwo zrozumiała, tylko pogrózką Ołomuńca lub pozbawieniem środków do życia.

Równocześnie wydano szereg postanowień i najwyższych rozporządzeń, dotyczących obywateli współkordonowców lub tych, którym linia demarkacyjna przecięła majątki, t. zw. *sujets mixtes*, w sprawie poddanych, mających swe dobra wyłącznie tylko w granicach monarchii, wreszcie co do dezertarów pruskich i rosyjskich, przybywających do kraju z za kordonu, z Prus i z Rosyi, oraz granic dowolnej komunikacji między Galicyą a terytoryum wojennem.¹⁾ Głosiły one w kwestyi *sujets mixtes*, że każdy z nich udający się na ziemie polskie, choćby drogą legalną, a więc za paszportami, ale już po wybuchu powstania i biorący w niem jakikolwiek udział, skoro wracał do Galicyi, był uznany za mocno podejrzanego i oddany pod ścisły dozór. Nie więziono go jednak. Dopiero gdy niejasnem zachowaniem wzbudził przypuszczenie dalszej roboty, prowadzonej na gruncie monarchii, miał być odstawiony na własny koszt, pokryty ze zasekwestrowanych mu tymczasem dóbr, do Ołomuńca, gdzie nie więziony w zwyczajnych celach, ale pozostawiony nawet z pewną swobodą ruchów, w obrę-

¹⁾ Arch. Nam. Akta prezyd. tajne, 1806. Pismo Summarewa do Wurmsera z 25 listopada 1806. Wurmsers: An sämtliche Kreisämter u. beide Polizeidirektoren. Lemberg d. 3 X-ber 1806. Wurmsers do cesarza, d. 4 X-ber 1806, oraz Allerhöchste Genehmigung tegoż pisma. Nota arc. Karola Lotaryńskiego do Wurmsera, Lemberg d. 11 Dezemb. 1806. Summarew do Wurmsera, 4 grudnia 1806, oraz streszczenie pisma gabinetowego na raport ministra policyi z 30 listopada 1806 i w. i.

bie murów twierdzy, wyczekiwał ukończenia śledztwa, również na jego rachunek prowadzonego i zostawał do dalszego rozporządzenia woli cesarskiej.

Zwykle jednak, gdy brakło silniejszych dowodów winy, stosowano areszt miejski (Stadtarest) lub domowy (Hausarest), jakiemu poddano młodego hr. Scipio, Stan. Sołtyka i t. p., oraz przymusowy pobyt w stolicy państwa, w Wiedniu, do czego obok innych zmuszono także hr. Bobrowskiego. Zwykłym poddanyin z zaboru austriackiego działo się w podobnych wypadkach nierównie gorzej. Ulegali oni natychmiastowemu aresztowaniu po powrocie, a w następstwie karze więziennej w ciasnych celach twierdzy. Że jednak dla ogromnej trudności, jaką stawiano w otrzymaniu paszportów, dołączało się do tego „potajemne opuszczenie granic,” przeto do zaostrzonych obecnie praw, przydawano jeszcze karę za dezercyę.

Co się tyczy sprawy tolerowania dezertorów obcych, to pruscy czy rosyjscy, Polacy czy obcokrajowcy, wszyscy po przejściu granicy mieli obowiązek zgłosić się natychmiast do władz i podać miejscowość, gdzie chcą zamieszkać oraz rodzaj zajęcia. Urodzeni w okolicznych dzielnicach polskich, nie mogli żadną miarą przebywać dłużej blisko granicy, a to ze względu na domniemane niebezpieczeństwo ewentualnie przez ów napływający żywioł wznieczanych rozruchów. Zaraz więc po zgłoszeniu eskortowano ich pod dobrą wojskową osłoną w głąb kraju do miejsc spokojnych, a z góry im wyznaczonych. Zastrzegano zresztą owym nowym przybyszom, że o ile nie obiorą sobie jakiego zajęcia, czy to na polu przemysłu w fabrykach, w handlu, w rzemiośle lub nie zgodzą się na przyjęcie służby w armii austriackiej, to natychmiast mają być odesłani do granicy. Dodać przytem należy, iż owo rozporządzenie doczekało się stosunkowo dość licznego zastosowania, gdyż cyfra, wyłącznie tylko urzędowo stwierdzona, a więc od istotnej mniejsza, przedstawiała się pokaźnie. Od pierwszego bowiem października 1806 r. do końca kwietnia 1807 r. zanotowano ich na komorach 1,886, a mianowicie: z wojsk francuskich 694, bawarskich—293, wirtemburskich—6, saskich—3, powstańczych—160, rosyjskich—169, pruskich—561.¹⁾ Za kordon można się było dostawać li tylko za prezydyalnymi paszportami, zaopatrzonymi podpisem Wurmsera, po wykazaniu należycie umotywowanych powodów wyjazdu, z większą łatwością dla sujets mixtes,

¹⁾ Arch. Nam. Akta G. (1807) № rps. 3908.

z mniejszą dla reszty poddanych, a z ogromnemi przeszkodami dla t. zw. „osób podejrzanych“ lub dawniej „skompromitowanych“, o co zresztą w tych czasach donosów i denuncyacji wzajemnej nie było trudno. Wejście do kraju otwierał paszport francuski z podpisem gubernatora Gouviona (podpisu władz polskich, Moszyńskiego, nie uznawano). Z pod owych przepisów wyjętymi byli tylko: oficerowie francuscy, którzy na kilka godzin przyjeżdżali na granicę dla zakupu małych ilości środków spożywczych dla siebie (oficerów z szeregów powstańczych, polskich, nie uznawano), kuryerzy dyplomatyczni, kupcy i dostawcy pszenicy oraz dozwolonych artykułów dla armii francuskiej. Podobna reguła została przyjęta również wobec rosyjskich poddanych, szczególnie jednak zaostrzona w wypadkach, gdy z jej dosyć elastycznych punktów mieli korzystać Polacy.

Tak mniej więcej przedstawia się obraz rozporządzeń wstępnych z października, listopada i grudnia, dotyczących zabezpieczenia się monarchii na zewnątrz i na wewnątrz przeciw grożącej a przewidywanej „hydrze“ rewolucyi polskiej, oddanych celem praktycznego zastosowania w ręce wojskowej i cywilnej hierarchii urzędniczej w Galicyi, hierarchii, której jednak ze względu na znaczenie, jakie miała, stykając się bezpośrednio z ludnością i ruchem polskim, należy się bliższe określenie.

Związana skomplikowaną formą przepisów, paraliżujących na każdym kroku i tak już ograniczony zakres działania, cała ta organizacya (mowa wyłącznie o cywilnej) utytułowanych i wyherbowanych szczerze urzędników Niemców lub zniemczonych Polaków, stwierdzających w każdej niemal chwili swe bezgraniczne do rządu przywiązanie, wdzięczność i niezmordowane dlań poświęcenie — przedstawia się jako kuźnia nieustannych intryg, mających na celu otrzymanie orderu czy wyższej rangi. Ta warstwa odrębna, częściowo zaledwie w kraju zaasymilowana, o której choćby już tylko w pamiętnikach Koźniana tak wymowne znajdujemy słowa, stanęła naraz wobec dwojakiej ewentalności. Z jednej strony ogarniał ją niepokój, aby w razie wybuchu spodziewanych zajść, nie utracić zdobytych już prerogatyw, z drugiej — strach przed gotującą się wewnętrzną burzą tu w domu, u siebie, szlachty, której się bała i z całej duszy nienawidziła. Okoliczności, które ją pchały do postępowania niezbyt wyraźnego wobec jej wyższych autorytetów, do balansowania zawsze między otrzymanym rozkazem, obowiązkiem spełnienia go, a bacznem oglądaniem się na siłę a raczej przewagę otoczenia. Stąd też wypływały charakterystyczne cechy tej akcyi: niezwykle pewne,

brutalne wystąpienie wobec słabszego otoczenia, — pokora, gdy ono miało siłę i znaczenie, uspokajający zawsze ton w mdłych, poddańczych raportach, powtarzających monotonne refreny o bezsilności tutejszych poddanych, nie ważących się podnieść ręki na władzę. Były to okoliczności, które zarazem skłaniały owych ludzi niejednokrotnie do wydmuchania rzeczy bardzo drobnych lub tylko pogłosek do wysokości zbrodni stanu lub do pogmatwania i ostatecznego utopienia ważnej naprawdę sprawy w dłuższych protokółach, gdy była niebezpieczną dla nich samych, przyczyniając się pośrednio do odkrycia innego stanu rzeczy od tego, który, przedstawiony w aktach, miał służyć za podstawę orientowania się w położeniu. Orientowanie się przecież nie było pono wówczas rzeczą tak arcytrudną.

Kraj cały zasypany był niezmierną ilością „zaufanych,” płatnych i nie płatnych, t. zw. zawodowych i przygodnych donosicieli, rekrutujących się, rzecz bardzo smutna, nierzadko także i ze szlachty. Zawodowi wysyłani byli w miastach — do domów, po wsiach — do dworów, gdzie pod rozmaitymi zręcznymi pozorami, raz niby w interesie służbowym, to znów jako słudzy czy goście, wciskali się na zebrania, zabawy, idąc krok w krok za wskazaną osobą i notując słowa rozmowy, przysyłali całe stosy długich, często bardzo naiwnych raportów. Właściwie więc wiedziano wszystko, niemal najskrytsze myśli dozorowanych osobników, a jednak gdy przyszło podać konkretne fakta i podstawowe śledcze dowody winy — rzecz się nagle gmatwała. Tak było z procesami: hr. J. Bobrowskiego, Pieniążka, hr. Wł. Tarnowskiego i w. i., które w końcu musiały być zaniechane. Wybujały biurokracizm robił swoje. Niedołęstwo i osobiste porachunki, plany oraz brak wszelkiej samodzielnosci w postępowaniu uzupełniały się nawzajem.

Tak postępowały niższe i wyższe warstwy ówczesnej hierarchii urzędniczej względem wicegubernatora i najwyższej miejscowej władzy — hr. Chrystyana Wurmsera, tak w części świadomie, w części nieświadomie postępował wobec Wiednia (z innych naturalnie pobudek) sam Wurmser.

Skrepowany z jednej strony rozkazami i powikłanymi często rozporządzeniami z Wiednia był w większości wypadków zupełnie prawie biernym i posłusznym ich wykonawcą, z drugiej strony pochłonięty prowadzeniem uciążliwej machiny administracyjnej, przy braku dokładnych, a do zbytku bałamutnych lub fałszywych wiadomości, o faktycznym stanie rzeczy dowiadywał się najczęściej drogą najmniej chyba spodziewaną, bo aż z Wiednia. Wśród ustawicznych utarczek i nieporozumień z władzami wojskowemi,

zwłaszcza z pułkownikiem hr. Neippergem, marszałkiem polnym ks. Hohenzollernem, a później z generałem kawaleryi Bellegardein, zmuszony liczyć się nawet i w tym małym zakresie władzy ze starostą krakowskim (w wyjątkowym do Wiednia pozostającym stosunku) Antonim Baunem v. Appelshofen, ów „wierny,“ „gorliwy“ Wurmser nie wyszedł również poza ramy „pilnego,“ przeciętnego typu ówczesnego urzędnika.¹⁾ Na wszystkie alarmujące doniesienia czy od władz wojskowych, czy z Wiednia pochodzą-

¹⁾ Antoni Baum był wyjątkową osobistością w całej szarzyźnie młot starostów i radców galicyjskich. Długoletni praktyk, od 1760—1820 r. w służbie rządowej będący, znał doskonale teren i ludzi. „Zasłużony“ bardzo w śledztwach, prowadzonych jeszcze w czasach po powstaniu Kościuszki i trzecim rozbiórce, umiał sobie teraz znakomicie radzić z otoczeniem. Miewał przytem ściśle wiadomości, stąd raporty jego do sprawy polskiej są ważne. Usługi jego oceniano w Wiedniu należycie. Gdy w r. 1806 przysłyły pierwsze wiadomości o udziale tutejszych sujets mixtes w ruchach powstańczych w Kaliskiem i Poznańskiem, min. pol. Summeraw 6 grudnia 1806 r. zakomunikował Wurmserowi najwyższą wolę, w celu wyzyskania tej jego energii, zleciwszy zarazem: *bey den gegenwärtigen Umständen, und so lange diese fortwähren den Hofrath Baum als delegirten Commissair, für die Gränzkreise am linken Weichsel-Ufer, oder wenigstens, für den krakauer u. kielcer Kreis dergestalt zu benennen, dass auch in Absicht auf letzteren Kreise die Ereignisse welche den öffentlichen Ruhestand und die Insurrection in dem angränzenden Auslande betreffen, sogleich zu seiner Kenntnis gebracht und die Verfügungen welche er diensam und nöthig finden wird auch im Kielcer Kreise ohne weitere Rückfrage getroffen worden seyn sollen...* Polecenie, choć dowólne, było jednak w tonie tak stanowczym, że 23 grudnia, wybierając z musu drugą, mniej bolesną dla siebie ewentalność, oddał mu Wurmser urząd zastępcy swego na okręg Kielecki. Raporty Bauma szły wprost do Wiednia. Wurmserowi przysyłał najczęściej tylko informacyjne kopie. Takim zaufaniem nie cieszył się żaden ze starostów. Pociągalo ono za sobą dalsze konsekwencye. Zwykły „Hofrat,“ posiadający przydomek von Appelshofen, dopiero od 1777 r., kiedy Józefowi Baumowi, staroście myślenickiemu, nadano szlachectwo austriackie, odznaczony w miarę dalszych zasług orderem św. Szczepana, doczekał się także tytułu barona. Na prośbę jego we wrześniu 1808 r. najwyższym dekretem zgodzono się natychmiast na użyczenie mu tego tytułu, że jednak sprawa kaucyi stanęła na przeszkodzie, dekret zatwierdzający dopiero 24 XI 1811 ostatecznie ziszcil dawne pragnienia „zasłużonego“ starosty. W tym także roku przeniesiony został, z powodu odstąpienia Krakowa Księstwu Warszawskiemu, do Bochni. Powoływany stąd jeszcze kilkakrotnie w ważniejszych sprawach to 1813 r. do Warszawy, to 1815 r. na Kongres do Wiednia, umarł około 1829 r., jako starosta bocheński, dyrektor tamtejszego gimnazjum i właściciel wsi Kopytówka w pow. wadowickim.

ce, miał zawsze tylko jedną, nieodmienną odpowiedź, mianowicie: zapewnienie, że w kraju, którym on zarządza, nic przeciw monarchii się nie stanie. Miał także swoją ambicję, żeby również żadne poważniejsze ślady jakichś potajemnych robót, bez jego wiedzy dokonywanych, nie ujawniły wobec Wiednia zbyt niedokładnej znajomości ukrytych działań. W ten cały lęk tego łudzonego i łudzącego człowieka, tkwiący ustawicznie pod nieruchomym zdawałoby się spokojem raportów, not i poleceń, który mimo starannego ukrycia, gdziekolwiek przecież na wierzch się wydostaje. Kiedy więc koła wiedeńskie, zaniepokojone ruchami wojsk rosyjskich w Mołdawii i zdobyczami Francuzów w Polsce, domagały się ciągłych a najszczegółowszych ocen stosunków lokalnych i drżały o utrzymanie spokoju w Galicyi, Wurmser w obszernym raporcie, wysłanym na ręce min. policyi (Oberste Polizeihofstelle) bar. Summerawa, d. 6 grudnia 1806 r., stwierdził na podstawie całego szeregu przysłanych mu relacji, że sytuacja nie przedstawia się dla rządu groźnie. Czerpiąc dalej z niewysychającego nigdy źródła, jakie stanowiły nasyłane ciągle ze wszystkich starostw sławnie długie „Stimmungsberichte,“ uwiadomił, że obejdzie się również bez zamierzonych ogłoszeń przestrzegających, kurend, bo jakkolwiek umysły w Galicyi są bardzo wrażliwe na poruszone hasło wskrzeszenia niepodległej Polski, to jednak niema zbyt wielu obaw. Rozdzieliwszy zaś społeczeństwo polskie na cztery klasy: magnateryi, możnych, szlachtę, mieszczan i chłopów — zaznaczył, że między pojedynczymi stanami niema w narodzie żadnej wspólnej politycznej myśli, żadnej jednolitej tendencji. Wyższa szlachta i wyższe duchowieństwo, owi zamożni magnaci, składający większość Galicyi Starej, łączą się wprawdzie umysłem z ukochaną ideą odbudowania Polski, ale nie objawiają bynajmniej chęci czynnego udziału w środkach, prowadzących do osiągnięcia celu, gdyż rozumieją, że obecna forma rządu wskrzeszonej Rzplitej, ściśle monarchiczna, nie dawałaby już dawnych prerogatyw. Stosunki zaś ekonomiczne nietylko by się nie polepszyły, ale wprost pogorszyły, ze względu na owe koszta utrzymania własnego dworu, stworzenia własnej organizacyi państwowej i t. d. Ciężary owe, wobec niezamożności tutejszego mieszczaństwa i nędzy chłopów, spadłyby w większej części na barki magnateryi. Niższa szlachta i niższe duchowieństwo, kierując się więcej żywiołowymi odruchami, niż rozumem, mimo tego, że w znacznej części zawdzięcza swój byt rządowi, gdyż on ją osadził na częściach rozkawałkowanych wielkich fortun magnackich, najmniej przyjaźnie odnoszą się do rządu, a najgoręcej oddziały-

wają na ruch powstańczy i zwycięstwa francuskie, jednakowoż zdaje się są zanadto do swej zagrody przywiązani, aby narażać się na jej utratę, dopóki nie otrzymają pewnych rękojmi na przyszłość. Mieszczanie na ogół są nieliczni, z wyjątkiem Krakowa, Lwowa i Lublina, są, jako kupcy, zanadto od swych interesów pieniężnych zależni, by móż się oddawać polityce. W ostatnich dopiero czasach, skutkiem ciągłego obcowania ze szlachtą polską, stają się mniej obojętni. Tak samo przedstawia się rzecz z Żydami, z tą „jedyną“ warstwą mieszkańców, któraby ze zmiany rządu mogła się spodziewać pewnych korzyści; przy nadzwyczajnej jednak czujności policyi, a ich tchórzostwie, napewno żadnych zakłóceń spokoju obawiać się nie trzeba. Najważniejsza wreszcie klasa ludności—chłopi, masa cienna, zła, mściwa, często zupełnie nieświadoma rzeczy, jest przyjazna raczej rządowi, niż panom swoim, których częstokroć nienawidzi, dopominając się o prawa takie, jakie pod względem ekonomicznym posiada lud na Zachodzie.

Takie przedstawienie stosunków ludności galicyjskiej, mimo dwukrotnego istotnie prawdziwego stwierdzenia stanu rzeczy, t. j. braku jakiegokolwiek w społeczeństwie jednolitości w sposobie dążenia do niepodległości, oraz braku inicjatywy z zewnątrz, bez której żaden poważniejszy ruch nie może być wszczęty, przedstawienie, objawione przez władze miejscowe rządowi centralnemu, nie zgadzało się jednakowoż z rzeczywistością w szerszym znaczeniu słowa. Nie było ono zresztą co do litery brane na wiarę w Wiedniu, gdzie zalecano stosowanie coraz nowych środków bezpieczeństwa, ściągano wojsko, przygotowywano amunicję, ostrożnie przeprowadzano pobór rekrutów galicyjskich; nie wierzył w nie nawet, zdaje się, również i sam Wurmser. Gdy bowiem z jednej strony w liście do rosyjskiego gen. Essena, generał-gubernatora Podola i Wołynia, pisanym 12 grudnia 1806 r., cały ruch powstańczy w zaborze pruskim określał jako wynik egzaltacji kilku głów niespokojnych,¹⁾ nie mających żadnego wpływu na mieszkańców kraju, powierzonego jego pieczy, to z drugiej

¹⁾ A. S. E. Monsieur le Baron d'Essen etc... Les insurrections qui ont lieu dans la partie de la Pologne évacuée par les Prussiens, et que je ne regarde que comme l'effet de l'exaltation de quelques têtes turbulentes, n'ont guère fait d'impression sur les habitants de la province confiée à mes soins, et ne paraissent par en général avoir les suites que les Insurgés osaient en espérer peut être. Tout est tranquille... Arch. Nam. Akta prezydyalne (G.) 1806. № 492.

strony osobiście alarmował on w Wiedniu o przysłanie obiecane-
go wojska, oraz o danie mu odpowiednich zaradczych instrukcyi.
W istocie, tak dosłownie jałowy grunt wśród społeczeństwa pol-
skiego w Galicyi nie był, tak nizki nastrój pod względem poczu-
cia narodowego — nie panował. Trudnoby inaczej zrozumieć owe
w najlepszej mierze podejmowane usiłowania i próby, na jakie
powstańcza Wielkopolska oraz biuletynowe zapowiedzi Napoleona
ustawicznie wystawiały Galicyę. Trudnoby było sobie wytlóma-
czyć tę dziwnie szybko rosnącą ochoczość służenia sprawie wła-
śnie wśród warstw średnich i mniej zamożnej szlachty?

Wprawdzie po pierwszym, najświeższym uczuciu wybuchowej
radości, spowodowanej przychodzącymi z Wielkopolski odezwaniami,
ujawniło się naraz dziwnie sceptyczne niedowierzanie w szczere
ujęcie sprawy polskiej przez Napoleona. Wcale wczesnie poczęto
krytykować zbyt ogólnikowe brzmienie słów cesarza Francuzów.
W żądaniu jego, by wpieryw dać mu dowody swej zdatności na-
rodu, mającego być niepodległym, dopatrywano się niebezpiecznych
restrykcyi. Powoli jednak, w miarę przybywania nowych szczegó-
łów o pobiciu ks. Weimarskiego, o wzięciu Erfurtu, Magdeburga,
Berlina, Kistrzynia, Szczecina, skoro doniesiono, że Ślązk zajęty,
a Wrocław zdobyty, uprzedzenie, dyktowane przykrem tylokrot-
nem doświadczeniem lat ubiegłych, poczęło się szybko zacierać.
Gdy wreszcie zasłyszano, że awangarda francuska wkroczyła do
Warszawy, gorąca chęć czynu opanowała całą prawie mniejszą
połowę Galicyi z nielicznymi tylko wyjątkami. Po dworach za-
częto się przygotowywać. Ten i ów przechodził granicę pota-
jemnie. Początkowo ostrożnie, w pojedynkę, z pomocą oddanego
sobie chłopca-parobka lub Żyda-arendarza, zwykle przez znane
przejścia: Libertowską Wolę, Kleszczową, Kapiółki, Łąki Wielkie
i niżej Świdrów, potem w grupach po kilku, pięciu, dziewięciu,
zmykano na koniach w stronę ku Pilicy, w Kaliskie, zaciągając
się kolejno do nowoutworzonych pułków hr. Karola Wodzickiego,
Wojciecha Męcińskiego i t. d.

Raz po razie zrozpaczeni urzędnicy austriaccy poczynają do-
nosić w swych raportach o znikaniu szlachty, poprzedzanem tajem-
niczemi zgromadzeniami z okolic. Pokątny jednak, dorywczy ten
udział, potrzeba ciągłego ukrywania się z każdym powiedzeniem
w najściślejszem nawet kółku przyjaciół czy rodziny, obawa przed
czujnym okiem „zaufanych,“ wciskających się niemal we wszyst-
kie kąty „podejrzanych“ domów, to wszystko męczyło, rozdraż-
niało i hamowało podniecone umysły. Zapragnięto jakiejś wspól-
nej akcji otwartej z rodakami z za kordonu, jakiegoś wyraźniej-

szego, szerszego planu. Zaczęto sobie podawać z rąk do rąk odpisy przyjęcia deputacyi polskiej w Berlinie 19 listopada, polskie i francuskie teksty odpowiedzi Napoleona według Działyńskiego, komentując różnie wiele obiecujące tam zwroty, wreszcie uchwalono zwrócić się z prośbą do samego cesarza Francyi. Do przebywającego wówczas w Poznaniu wyjechała deputacya. Piotr Strzyżewski z Kazania i Stanisław Korwosiecki z Rączki, którzy w drugiej połowie listopada potajemnie wyemigrowali z Galicyi, zawieźli list Stan. Małachowskiego z 17 listopada 1806 r., prosząc o dalsze dla Polaków w zaborze austryackim wskazania.¹⁾

Delegatów przyjął Napoleon na audyencyi, jak zwykle, nader uprzejmie, ale jako odpowiedź dał wezwanie, by wracali szczęśliwie do domu; niech się oddadzą nadal swym zajęciom, nie spiskują a czekają cierpliwie na stosowną chwilę, gdyż obecnie jest w najlepszej zgodzie z cesarzem Franciszkiem. Zapewniał przytem, że cesarz austryacki dobrowolnie odda Galicyę w zamian za odszkodowanie otrzymane na Ślązku pruskim. Galicyanie udali się do Murata, ks. Bergu, ale i tu nie lepszy spotkał ich los. Poza mentorską radą: „*Messieurs, je vous conseille d'être sages et de rester tranquilles dans vos foyers*“ — nie otrzymali nic.

Był to pierwszy bolesny zawód po Jenie, prawie u progu kampanii. Kazano wyczekiwać sposobnych czasów, w chwili, gdy wobec małej ilości wojska w kraju i niezaradności nastraszonych urzędników umysły znajdowały się w tym stanie podniecenia, że przy porywczej naturze Polaka, można było łatwo wywołać zbrojną akcyę, albo wstrzymaniem podniety — zaprzepaścić ją na dłuższy czas.

Upadła jednak sprawa natychmiastowego udziału Galicyi w ruchu zbrojnym w sposób bezpośredni — nie wywołała żadnych poważniejszych zmian — wśród ogółu społeczeństwa. Zbyt mało lub prawie zupełnie nic o niej w szerszych kołach nie wiadano. Nadzieje zresztą trwały dalej. Robota tylko ograniczyła się do

¹⁾ Handelsman, Napoléon et la Pologne, Annexes—15; Arch. Nam. Akta prezyd. (G.) 1806. Pismo Summerawa do Wurmsera z 24 grudnia 1806. Antoni Baum do Mandorfa, 17 grudnia 1806: Auszug aus dem Berichte eines nach Posen gesendeten Kundschafters (Dinot)... sie (deputaci) erhielten aber die bestimmte Antwort vom Kaiser: Sie mögen glücklich nach Hause zurückkehren, sollen sich nicht unterstehen in Galizien zu insurgiren, sollen ihrer Wirtschaft obliegen, und die Zeit abwarten, in dem ich mit dem Kaiser von Österreich im besten Einvernehmen stehe. Selber wird Galizien göttlich abtreten, wofür ich ihn mit preussischen Schlesien entschädigen werde etc.

dalszego szerzenia odpowiedniego nastroju w kraju, aby wszystko przygotować na stosowną chwilę. Po całym kraju, we wschodniej i zachodniej Galicyi, setki egzemplarzy Gazety Preszbarskiej z d. 28 listopada 1806 r.¹⁾, podchwytywanej pilnie przez miejscowe władze, *nota bene* wtedy, gdy już we wszystkich niemal zakątkach ją znano, zaznajamiały dokładnie z tekstem odezwy Dąbrowskiego i Wybickiego i lepszymi widokami na przyszłość tam nawet, gdzie ręczne odpisy dla przeszkód technicznych dojść nie mogły. Sprawa ta była powodem ogromnej wrzawy i licznych poleceń ze strony naczelných władz.

W Lubelskiem kolportowano i komentowano gorące słowa rzekomej proklamacyi Kościuszki, datowanej z Paryża 1 grudnia 1806 r., której tekst francuski, rozchodzący się po miasteczkach, nie jednemu wiele trudu w zrozumieniu przysparzał. Wiadomość, że ukochany wódz idzie z Napoleonem, w co długi czas jeszcze w wielu stronach najmocniej wierzone, podtrzymywała cierpliwość i zachęcała do wyczekiwania. Teofil Załuski, wysłany z Sanockiego potajemnie do Warszawy i wiozący listy od Zamoyskiego i Sanguszki, zapewniał jeszcze 9 stycznia 1807 r., że zastanie u Napoleona z Francyi przybyłego Kościuszkę. Wiara w doniosłość chwili potężniała. Nie można się było zresztą uskarżać na brak nowych komunikatów, druków, coraz to pomyślniejszych zdawało się zapowiedzi.

W Siedleckie przedostał się znany uniwersał wojewody Radziwińskiego Józefa, wzywający szlachtę na „pospolitą obronę,” datowany w Poznaniu 2 grudnia 1806 r., oraz rozkaz gen. H. Dąbrowskiego z 3 grudnia 1806 r., powołujący szlachtę wielkopolską do szeregów. W Radomskiem krążyły odczytywane z ogromną radością kartki odezwy ks. Bergu i gen. Beillard z 6 grudnia 1806 r., wzywającej pod chorągwie wojska polskiego, „bo oto przyszła pora dawno wyglądana wrócenia ojczyzny.“ Rozchodziła się ta ostatnia odezwa jako mały gazetarski dodatek, w języku polskim i rosyjskim drukowany. W Kieleckiem znowuż pojawiła się w odpisach proklamacya niewiadomego autorstwa, jeden z licznych falsyfikatów ówczesnych, rzekomo od samego Napoleona pochodząca, a zwołująca szlachtę uroczystie na 15 grudnia po miejscach wojewódzkich, potem zaś gromadnie do Łowicza, do osoby Napoleona, żeby z nim razem podążyć na wielki zjazd do Warszawy, na elekcyę nowego króla polskiego. „Kto żyje ze szlach-

¹⁾ Pressburger Zeitung, 1806, № 93.

ty, ma siadać na koń"—brzmiały elektryzujące słowa proklamacyi. To też od chwili pojawienia się jej, w całym okręgu wszyscy z największą niecierpliwością oczekiwali 15 grudnia. Sposobność ujrzenia wkraczających Francuzów do Galicji zdawała się szybko zbliżać. Z raportów komór celnych w Przedborzu, Krzykawce, Skotnikach i Checlowie okazuje się, że stojący w znacznej liczbie nad granicą koło Siewierza w oddziałach wojskowych powstańcy i oficerowie polscy zapowiadali strażom pogranicznym swój wymarsz do Krakowa i wtargnięcie do Galicji zachodniej, nie dalej jak w przeciągu dni 14, t. j. około 15 grudnia. Wiadomość tę brano na seryo pod uwagę nawet wśród władz rządowych, gdyż obok tej pogłoski równocześnie drogą pruską przyszło alarmujące jak zwykle uwiadomienie od generała ks. Hohenzollern, że w Galicji wschodniej istnieją już rzeczywiście związki konspiracyjne, że na d. 15, 16 i 17 grudnia jest przygotowany wybuch. W Krakowie także się ruszano. W budynku teatralnym organizowano tajne posiedzenia i narady; mówiono sobie po cichu, że Niemcy wyjdą z miasta chyba bez nóg i bez głów. W zachodnich częściach kraju trwała wprawdzie ciągle niczem na zewnątrz nie zakłócona spokojność, ale ten stan określały władze austriackie jako „napięte wyczekiwanie nadchodzących wypadków.“ Jeszcze w ostatnich dniach listopada pisał hr. Wł. Tarnowski z Markuszowa w liście do A. Różnieckiej, że trudno doprawdy wytrzymać tutaj w bezczynności, kiedy się słyszy o ruchach za kordonem, o entuzjazmie Warszawy. „Jesteśmy, jak gdyby nas na wolnym ogniu smażono... mamy wszyscy gorączkę skutkiem okoliczności obecnych,“ — te jego słowa można bez przesady odnieść do całej patryotycznej młodzieży i szlachty galicyjskiej, wierzącej w gwiazdę Napoleona.

Dzień 15 grudnia przeszedł całkiem spokojnie. Wojska francusko-polskie nie wkroczyły. Z tem większem jednak podnieceniem spoglądano na 29 i 30 grudnia, t. j. na datę rzekomego obioru króla polskiego pod Warszawą, a zarazem rzekomy termin wyznaczonego w Galicji powstania. Znów przeszły te dni cicho, tak jak przepowiadał hr. Wurmser. Było to zresztą do przewidzenia, przy powierzchownej chociażby znajomości stosunków miejscowych. Ci „apatyczni“ Galicyanie zapatrzeni w swego Mesjasza, a przez niego samego wezwani do spokoju aż nadejdzie stosowna chwila, nie mieli chęci wszczynania jakiegoś ruchu bez otrzymania odpowiednich wskazówek ze sfer wyborczych, skoro nawet we własnym kraju na najniższą warstwę, t. j. na lud, liczyć nie mogli, na ten lud, który raczej okazywał ochotę złączyć się

z przeciwnikiem i iść wbrew woli znieawidzonych panów, niż im jeszcze dopomódz.

Na zbrojne więc wystąpienie bez pomocy z zewnątrz nie odważono się, ale nie zaprzestano prowadzić dalej po kraju agitacji, nie zaprzestano przygotowywać się na ową chwilę sposobną. Przecież właśnie Galicya była owym niewyczerpanym magazynem, z którego się ustawicznie wybierało furaz dla wojska, rekruta dla armii, żywność, ubraunie, pieniądze, skóry i t. d.

W styczniu 1807 r. miała Galicya już spory zastęp swoich obywateli w usługach Napoleona i sprawy polskiej za kordonem. Nie mówiąc o tych setkach ochotników młodych z niższej szlachty, która sercem całym garnęła się w szeregi powstańcze i przekradała przez granicę, wiedząc, że do kraju bezpiecznie wrócić może chyba z armią francuską; nie licząc ich—wspomnieć trzeba choć nazwiska tych, co przeszedłszy kordon, natychmiast tam wybitne zajęli stanowiska: Aleksander ks. Sapieha z Wisznicy (powiat bialski) szambelan Napoleona, Wojciech Męciniński z Ujazdowa (pow. krakowski) adjutant gen. Dąbrowskiego, Joachim Moszyński z Borowic (pow. siedlecki) prezydent m. Warszawy i szef policyi, Stanisław Małachowski z Groyca, mający dobra w Kieleckiem, prezes Komisji Rządzącej, Jan Ossoliński z Wyszkowa (pow. siedlecki) prezydent Sądu apelacyjnego w Warszawie, Tadeusz Dembowski z Siedleckiego — późniejszy minister skarbu, Aleksander Potocki z Kuczkowa — późniejszy minister policyi, Aleksander Zieliński, Franciszek Nakwaski, Piotr Krasiniński i t. d., to mała zaledwie garstka nazwisk ludzi dobrze w Galicyi znanych, na których spoglądano z zazdrością łatwo zrozumiała, jako na awangardę, torującą drogę dalszym w domu jeszcze pozostałym szeregom.

Wiadomości, jakie o tamtych pierwszych wysłańcach w listach dochodziły, działały podniecająco. Nie opuszczano rąk. W Lubelskiem odbywa się robota za pośrednictwem hr. Wł. Tarnowskiego z Markuszowa, ks. Koźmiana proboszcza tamtejszego (brata autora pamiętników), porozumiewających się ustawicznie z Puławami, Stan. Byszewskim z Baranowa, Chreptowiczem, młodym hr. Pawłem Scipio ze Syrokomli, Dembowskim z Bronic i zięciem jego, Stan Grabowskim, ludzi, będących w nieustannej łączności przez zaufanych posłańców z jednej strony z Warszawą, z drugiej ze Lwowem i Galicyą zachodnią. Drugim takim ulem roboczym była okolica Dukli, całe Jasielskie z hr. Fr. Stadnickim na czele, oraz Dzików (pow. rzeszowski) u hr. M. Tarnowskiego, teścia brata młodego Pawła Scipio. W tej zwłaszcza ostatniej

miejsowości gromadzono niestrudzenie uprząż dla koni, siodła, mundury, prowadzono musztrę, ćwiczano w jeździe konnej.

Okazało się po śladach, tu i owdzie napotkanych, że między szlachtą istniała tajna subskrypcya i obowiązek wzajemnego czuwania nad życzliwym, przychylnym usposobieniem dla powstania. Utworzono również tajną organizację, której członkowie pod przysięgą wyrzekali się zdrady. Organizacja owa prowadzona była w ten sposób, że szlachta narazie składała ofiary w pieniądzach lub w kosztownościach, a młodzież wysyłano za kordon. Gdyby zaś doszło do wybuchu, to każdy possessionatus miał dać 3—4 ludzi wyekwipowanych, ze swych ekonomów, podstarostów i domowników. Kto stoi na czele, tego ogólnie związkowcy nie wiedzieli. Jako kierowników oddziału werbowniczego podawano nazwiska: Żarnowickiego podkomorzego, Porzykowskiego, oraz objeżdżających okoliczne miejscowości dependentów ruchliwych: Zwierzchowskiego i Tarczyńskiego. Nie mniej czynne próby i działania odbywały się w powiecie myślenickim. W Raysku u hr. J. K. Bobrowskiego, gdzie żywo krzątano się około wyekwipowania zjednanych ochotników mundurami, sporządzanymi za kordonem w Chudowie, należącym również do tego samego właściciela. Bobrowski sam, często na przechodach, porozumiewał się z powstańcami, bądź w sprawie ofiar pieniężnych, wysyłanych z całej Galicyi bardzo różnemi drogami, bądź w sprawie broni, jaką stąd kuframi cichaczem w małych ilościach przemycano.

To samo dotyczy robót, podjętych przez hr. Mikołaja Russockiego z Babic i będących z nim w ciągłej łączności ks. Sułkowskiego z Oświęcimią i młodziutkiego bar. Karola Larischa z Osieka, przyszłego szwagra wspomnianego księcia. To samo również działo się w Wadowicach przez tamtejszego burmistrza Malczewskiego, w Krakowskim przez Tadeusza Kamińskiego, b. kapitana wojsk polskich, Sam. Korsaka i w Kieleckim, gdzie w dobrach Brudzewskich i Kajetana Parysa w Smykowie niejednemu ochotnikowi ubrano, zaopatrzone w pieniądze, konia i przez Pilicę za kordon wyprawiono.

Co się tycze Galicyi wschodniej, to oprócz kilku niejasnych danych, nic właściwie stwierdzić się nie dało. Donoszono, że w okolicach Bolechowa (w pow. stryjskim) po wsiach Roztoczki, Hoszów, Witwice, cała tamtejsza szlachta chodackowa jest podminowana nowymi prądami rewolucyjnymi. Temu jednak starosta stryjski, Rechkron, jaknajkategoryczniej zaprzeczył, podając w zupełną wątpliwość doniesienia niejakiego Wachaufa, człowieka o niz-

kiej inteligencji, a działającego głównie z zemsty, wymierzonej przeciw Krobiewskiemu, którego podawał za organizatora owych konspiracyjnych robót.

O ile jednak chodzi o Galicyę młodszą, to jest wiadomością całkiem pewną, że nie były to roboty prowadzone oddzielnie, na własną rękę, ale za wspólnem porozumieniem, łącznie z drugimi. Stanisław Potocki przysyłał codziennie z Warszawy wiadomości na ręce ks. Sanguszkowej w Tarnowie, skąd pocztą pantoflową rozchodziły się one dalej między szlachtą i okolicznem obywatelstwem. Nadto potrzebne informacje przedostawały się drogą korespondencji między Aleks. Linowskim a Piotrem Domańskim, plenipotentem dóbr Stanisława, Ignacego i Jana Potockich w Opatowie, oraz przez polecenia przesyłane wprost na ręce Wł. Tarnowskiego do Lublina. Takich dróg było więcej. Słowem był to szeroko rozciągnięty łańcuch, którego poszczególne ogniwa, idąc w Galicyi przez okręg bialski, krakowski, myślenicki, kielecki, tarnowski, rzeszowski, lwowski i lubelski, spajały się w miejscu swego początku, t. j. w Warszawie. Tą drogą okrężną przechodziły co raz to świeże żądania i coraz nowe nadzieje. Emigracya i ofiarność wzrastała stale. Emigrowano, oddając swe dobra bądź jako dzierżawy pozostałym znajomym, bądź sprzedając je dla uniknięcia konfiskaty, pro forma najbliższej rodzinie. Tak się np. urządzili: Franc. Nakwaski, Kaj. Russocki, którzy sprzedali wsie tutejsze żonom swoim, lub M. Grabowski, od którego dobra dziedziczne odkupiła matka. Młodzież, zwłaszcza z klasy średniozamożnej i biedniejszej, rwała się gorączkowo do zakordonowych legii, przyczem wytwarzała usposobienie, które najlepiej ilustrują słowa zgorzonego i zadziwionego tą niespodzianką w ciszy galicyjskiej, a bardzo obowiązkowego dyrektora policji w Krakowie — Persy, stwierdzające 2 lutego 1807 r., że obecnie dziwnym sposobem zaślepienia bierze się ten odpływ ku powstańcom za szczytnie patriotyczną ofiarę, która zmusza wielu rodziców do zamilczenia niejednego czynu swych dzieci wobec władzy, często może wbrew ich naturalnemu uczuciu. Nie mogli się miejscowym władzom pomieścić w głowie, jakim sposobem ta cicha dotychczas, potulna młodzież, przeciętnie 18 lub 19-letni chłopcy, mogli się odważyć na coś więcej ponad bierne w duszy ukrywane sympatye dla wspólnej sprawy. Niepokojono się już całkiem otwarcie, gdy o tem drogą na Okuniew doszły od gen. Vincent z Warszawy wskazówki, że obecnie nietylko w zachodnich okręgach, ale także w Galicyi starej prowadzi się w zupełnej cichości akcyę przygotowawczą w celu odzyskania niepod-

ległości, bardzo jednak ostrożnie, gdyż Napoleon do tego planu żadnego jeszcze ze swej strony przyzwolenia nie dał; że w cichych dworach szlacheckich ostrzą po nocach szable. Gen. Vincent, pisząc w pierwszych dniach lutego do pułk. Neipperga w Okuniewie, zawiadamiał go również o skądinąd znanej już rzeczy, mianowicie, że szlachta galicyjska w pow. radomskim kupuje obecnie nową broń, a starą, dawniej używaną, jak pistolety i szable, w większych ilościach daje tamtejszym puszkarzom i rusznikarzom do naprawy. Zauważono, że w Końskiem u hr. St. Małachowskiego znajduje się nawet czynna fabryka broni dla zaopatrzenia w nią powstańców, że również chłopci posiadają broń. Zbrojenie było zatem prowadzone na dosyć szeroką skalę. Po całym kraju snuli się nieustannie agenci francuscy, którzy bądź jako kuryerzy, przechodząc Galicyę wzdłuż i wszerz do Jass, do Konstantynopola lub Bukaresztu, spełniali po drodze powierzane im zadania, jak np. major Wincenty Rohr, osiadły od lat w powiecie siedleckim, który w listopadzie 1806 r. na odgłos zbliżania się armii francuskiej, uciekł z Węgrowa i wstąpił do służby napoleońskiej, płacąc za to utratą dóbr na rzecz tamtejszej gminy protestanckiej. Często z rozmaitemi wskazaniem przyjeżdżał także Jan Węgierski, Montesquieu, Aignon. W przebraniu chłopskiem przedzierał się Hotkiewicz, poznany przez nadwornego agenta w Bochni, a posadzany o podobne jak w 1794 r. działania, kiedy w czasie powstania Kościuszki objeżdżali Galicyę pod różnemi przebraniami agenci polscy i zbierali pieniądze oraz kosztowności, jakich szczególnie wiele wtedy wywieźli za kordon. Wogóle sprawa emisaryuszy francuskich w Galicyi w czasie 1806-7, oraz działalność ich w stosunku do ludności w kraju wymagałaby szerszego omówienia tak ze względu na rolę, jaką miała wyznaczoną w toczącej się współcześnie z kampanią jenajską sprawie polskiej, jak z powodu silnego wpływu, wywieranego każdorazową taką tajemniczą podróżą na umysły tutejszych mieszkańców. Wspomnieć przytem należy, że była to tylko reszta tych emisaryuszy, których po pokoju preszburskim zostawił Napoleon w obrębie krajów monarchii, a to w celu pilnowania i kierowania swych interesów na Wschodzie. Na czele tej organizacji stał francuski komisarz Fournier, pułkownik Jarszyński i przyjaciel tegoż rotmistrz Gawroński.¹⁾ W pierwszych miesiącach r. 1806 przebywali

¹⁾ Gros, według osobnych cyframi pisanych wykazów, które z podjętych papierów nadesłał policyi wiedeńskiej agent nadworny hr. Markowitch, stano-

w Galicyi, potem na Węgrzech, wreszcie w jesieni przenieśli się do Mołdawii, gdzie przygotowywali grunt dla przyszłej wojny Rosyi z Turcyą. Przeważnie sztabowcy lub oficerowie inżynierzy komunikowali się z kancelaryą dyplomatyczną francuską za pośrednictwem oficerów: Falkowskiego, Słoniewskiego, pułk. Aksamitowskiego, kuryera Węgierskiego, Kochanowskiego i Rohra. Skutki owych częstych gości, oraz przejazdów ich na wschód dały się wkrótce odczuć, mimo najrozmaitszych środków zaradczych władz miejscowych.

Spokojna, uległa dotychczas ludność zaczęła występować wobec rozporządzeń państwowych z niepraktykowanym uporem. Obywatelstwo nie chciało sprzedawać żydom, dostawcom głównym potrzebnych zapasów do magazynów wojskowych, ani zboża na mąkę, ani owsa dla koni, chowając—jak mówiono—ziarno na czas niedługi utworzenia Polski. To samo było z płaceniem podatków, z natury rzeczy znieawidzonej przez szlachtę funkcyi, która jednak obecnie ze względu na przeprowadzane przez rząd zbrojenia, z większą jeszcze ścisłością musiała być do skutku doprowadzoną. Zaczęły się aresztowania główniejszych działaczy. W Lubelskiem uwięziono pułkownika Piusa Wyrzykowskiego ze Sławini, przedtem zaś na kilka dni młodego Pawła Scipiona, poczem następowały dalsze aresztowania, jak: pułkownika Świniarskiego, ujętego na podstawie przejętych listów jego, jakie nadesłał Budberg do ministerium policyi we Wiedniu, J. Korsaka, Tad. Kamińskiego, Wąsowicza i w. in. To przygnębiło trochę pewność siebie, ale bynajmniej nie zgłuszyło zapału. Było tylko nauczka, jak się

wili z Francuzów: Chavroin, Garnier, Mastallier, Maderon, Sorbein, Macdonal, Rieux, Norberth, Villard, Alzatezyk Pfortner, sfrancuziali Niemiec Polzenstein i kilku Włochów, razem 19. Z Polaków było tu zamieszanych wielu ludzi znanych, o wybitnych w kraju nazwiskach, jak: hr. Mięczyński, Orłowski, W. Potocki, Sanguszko, Skarbek, Węgierski, Tyszkiewicz, Chreptowicz, Lubomirski, Tarło, Tworzański i t. d. Gdy Fournier, Jarszyński i Gawroński przenieśli się jesienią do Rai Chocimskiej, przyjeżdżano tam do nich często z różnych stron Polski, zwłaszcza w ciągu listopada. Według tajnych raportów Markovitscha przyjeżdżał do Jarszyńskiego z Białegostoku Boczkowski, z Warszawy Okrzyński, z Dzieciątniczek W. Turkull i t. p., a wszyscy jeździli przez Galicyę, zatrzymując się tu i owdzie po dworach. Jarszyński był w łączności z ruchem polskim na Ukrainie, sektą frankońską na Bukowinie, a co ipso przez Lwów, Lublin, Kraków—z Warszawą. Tą drogą szły także najświeższe wiadomości polityczne do domów prywatnych w Galicyi wschodniej. Arch. Nam. Akta przyzd. tajne (G), 1806. № 413, 437, 527, 577.

wyraził jeden z obywateli, Zawadzki, że trzeba być koniecznie ostrożniejszym i sprytniejszym wobec opiekuńczych skrzydeł policyjnych aniołów-stróżów. I chociaż dochodziły od czasu do czasu zgrzyty w rodzaju tych, jakie między innemi znajdują się w liście pułk. Świniarskiego, w owem nieszczęśliwem piśmie do władzy francuskiej z 20—27 stycznia 1807 r., które spowodowało natychmiastowe jego uwięzienie i odesłanie do Ołomuńca, a które donosiło, iż szerzą się tutaj umyślnie jakoby z ust francuskich marszałków pochodzące wiadomości, orzekające, że wyłączoną jest obecnie możliwość oddania Galicyi, gdyż armia francuska jest niezadowoloną, do wojny zniechęconą, a cesarz Napoleon, chcąc absolutnie utrzymać upragniony spokój, gotów poświęcić dlań Polskę. Chociaż zgrzyty owe, rozdmuchiwane starannie przez wojskowe i polityczne władze austriackie, głosiły również, że nawet zapalni, entuzyastyczni Polacy całkiem stracili już wiarę, mimo to na ogół zachowano wśród Polonii galicyjskiej dotychczasową metodę ufności w geniusza francuskiego. Dezercya wzmagąca się jeszcze bardziej i rozszerzyła nawet na uczącą się młodzież.

Liczne wypadki w uniwersytecie krakowskim, liceum lwowskim i w szkole w Zamościu były nową podniętą. Młodzież nie wstrzymana karami, jakie spotkały przedwcześnie schwytych towarzyszy, ani późniejszym ich losem w przymusowej służbie w niemieckich pułkach daleko, w głębi monarchii, wymykała się co żywo za kordon. Za wyższymi naukowymi zakładami szły gimnazya: tarnowskie, przemyskie. Młodzi chłopcy 18, 17, nierazko 16-letni umykali za kordon, niejednej pozostałym rodzicom przydając troski, choćby z powodu konfliktu, w jaki eo ipso wpadali wobec władz państwowych. Utańczone ogólne, niczem nie zmaćcone mniemanie, że teraz Polska musi powstać, że jedna jedyna klęska Rosyi złączy, musi złączyć także i dział austriacki. Wśród ciszy ogólnej przeczuwano szybką burzę, a zatem idące jeszcze szybciej — wyzyskanie sytuacji. Myśl nowego wybuchu powstania na miejscu, u siebie w domu, w obu Galicyach, stała się powszechnie popularną. Z niewypowiedzianem upragnieniem czekano na tą bitwę rozstrzygającą. „Les choses sont à un tel point — pisał osobnym alfabetem 7 lutego Wł. Tarnowski do znajomych — qu'il n'y a qu'une bataille qui doit avoir lieu ces jours ci, entre les Russes et Napoléon qui décidera de l'entrée de fran... en Gallicie.“ Podobnych zapatrywań było wiele. Z początkiem lutego przejęto list włodawskiego celnika Radwana, legionisty polskiego, który także zawiadamiał, iż francusko-polskie

wojska w najkrótszym czasie wkroczą do Galicyi zachodniej i pociągną przez Włodawę ku Krakowowi. Co więcej, 8 lutego doszła z Warszawy do gen. Bellegarde niepokojąca go ogromnie wiadomość, t. j. że w kierunku obudzenia ogólnego ruchu powstańczego w Galicyi poczyniono już daleko idące przygotowania. Z tego samego źródła dowiedział się o tem również hr. Wurmser, który mimo niewiary w podobne doniesienia, nie wiele przywiązujący wagi do ich prawdziwości, czuł się jednak mocno zaniepokojony ze względu na rozpisany nowy pobór do wojska, 8,059 ludzi,znaczony na 28 lutego 1807 r., okoliczność dosyć przykrą, gdyż zabierała głównie chłopów, a więc żywiol należący do najprzywiązanych. Zarządzono środki ostrożności. Skonsygnowano wojsko.

Cztery dywizye huzarów i kompania piechoty, oraz kilka oddziałów kordonowych stało ku obronie dotychczasowego spokoju w okręgu radomskim i kieleckim, a więc w miejscach, które ewentualnie mogły być najbardziej na niebezpieczeństwo narażone. Trzy dywizye kirasyerów, rozmieszczonych między Skotnikami a Skalmierzem, miało służyć pomocą, gdyby zaszła tego potrzeba. Pułk piechoty i pułk kirasyerów, obozujący między Bochnią a Krakowem, otrzymał rozkaz osłonięcia powiatu myślenickiego. Do dyspozycyi w Białkiem i Siedleckiem przeznaczono dwie dywizye huzarów i kilka kompanii pułku załogi. Dla osłonięcia granic Galicyi wschodniej generał-porucznik ks. Hohenlohe wysłał do Lublina dywizyę huzarów lotaryńskich, którzy z dwiema kompaniami pułku załogi mieli utworzyć małą rezerwę w razie wkroczenia wojsk obcych.¹⁾

Datę ewentualnego wybuchu powstania, a zarazem chwilę wkroczenia wojsk francusko-polskich,znaczano mniej więcej na koniec pierwszej połowy lutego. 11 lub 12-go miano napaść na Kraków, przekroczywszy granicę Galicyi pod Czarnichowcami. W pierwszych dniach tego miesiąca, do majątku Kajetana Russockiego, do Witowiec zjechała szlachta, by tam oczekiwać na zapowiedzianą inwazyę powstańczą, popartą korpusem francuskiego wojska.

Minał 11, 12-ty, najmniejszy ruch spodziewanych oddziałów nie przerwał panującej ciszy. Przyszedł wreszcie dzień 15 lutego,

¹⁾ Bellegarde do Wurmsers. Cracovie, le 15 fevrier 1807. Nemethy do Wurmsers, kopia donosu Weissenbacha z 6 lutego 1807. Arch. Nam. Akta prz. tajne (G) 1807 r. № 737, 433, 1008.

a z nim tendencyjnie przez austryackie i rosyjskie władze w najczarniejszych barwach rozdmuchiwana wiadomość o krwawej bitwie pod pruską Hławą, o klęsce Francuzów z 7 lutego 1807 r.

Równocześnie prawie gen. Bertrand, wysłany przez Napoleona do Kłajpedy, ofiarowywał królowi pruskiemu przymierze z Francją, zwrot całego państwa, koronę polską i zapewnienie, że cesarz, odkąd poznał Polskę, nie przywiązuje do niej żadnej wagi.¹⁾ Klęska iławska, głoszona w pierwszych chwilach jako zwycięstwo, okazała się w skutkach swoich wprost fatalną. Napoleona pchnęła w niezmiernie ciężkie położenie pod względem politycznym, sprawie polskiej, a w szczególności podjętej na nowo w Wiedniu sprawie galicyjskiej, zadała cios prawie zabójczy. Stworzyła ona bowiem ponownie dla Napoleona krytyczną chwilę z większą niż kiedykolwiek możliwością zbrojnej interwencji Austrii, opadnięcia przez nią rozrzuconej obecnie armii francuskiej siłą kilkudziesięciotysięcznego korpusu, stojącego w pogotowiu nad północną granicą państwa, stworzyła sytuację, z jaką Napoleon od pierwszych chwil kampanii polskiej tak bardzo się liczył i tak bardzo unikać jej pragnął. Zapoczątkowaną po Jenie, aczkolwiek w najdelikatniejszej formie sprawa ewentualnego zwrotu lub zamiany Galicyi i podniesiona w Wiedniu z ramienia Francyi przez Andréossy'ego, musiała teraz pójść w odwłokę. Sytuacja wymagała, żeby niczem Austrii nie drażnić, tembardziej zaś niemiłą jej zawsze sprawą Galicyi. Przedewszystkiem bowiem zależało Napoleonowi na tem, żeby od Austrii mieć spokój, żeby się nie wychyliła poza ramy obranej ścisłej neutralności. Ten punkt brał zawsze bacznie pod uwagę. Nawet świeżo po zwycięskiej Jenie, gdy z początkiem listopada (7-go) udzielał Taleyrandowi polecenie wysłania gen. Andréossy'ego na miejsce Rochefaucaulda, jako posła francuskiego do Wiednia, dał mu instrukcję, iż z Austryą absolutnie chce spokoju i to prawdziwego, co znaczy, żeby obie strony wzajemnie się oszczędzały.²⁾ Andréossy w poufnych rozmowach ze Stadionem miał poruszyć sprawę zamiany Galicyi na Śląsk, ale w ten sposób, aby propozycja wywołana ze strony Stadionu dała mu poznać zapatrywania i kierunek polityki Napoleona w tym względzie. Andréossy, dotykając tej nieszczęsnej

¹⁾ Correspondance de Napoléon, t. XIV. Instrukcja dla gen. Bertrand z 13 lutego 1807.

²⁾ Correspondance de Napoléon, t. XIII. № 11,194, à M. de Tallyrand. Berlin, 7 novembre 1806.

sprawy, miał ją przedstawić w formie następującej: Austria od-
dając Galicyę za Ślązk, tyłkoby na tem zyskała. Otrzymałaby
z powrotem kraj bogaty, przemysłowy, ukształtowaniem swem
pagórkowatym nadający się już z natury doskonale na silny punkt
oparcia granic monarchii o teren nie łatwy do zagarnięcia, pod-
czas gdy Galicya, niezagospodarowana, biedna, nieościanająca ni-
czem (z powodu wielkich otwartych płaszczyn) granic bezpo-
średniego sąsiedztwa Rosyi, mniejszą daleko stanowiła wartość.
Z powołaniem się na traktaty preszburskie miał dalej zapewnić,
że chociaż Napoleon nie uznaje podziału Polski, chociaż popiera
ruchy powstańcze w Polsce pruskiej, nie dotknie samowolnie Ga-
licyi. Zostawia się Austrii zupełną swobodę działania względem
jej dzielnic polskich i dopiero w razie, gdyby cesarz nie mógł je
utrzymać z powodu wrzenia. siłą rzeczy z za kordonu przeniesio-
nego, może być mowa bez najmniejszych przeszkód o indemniza-
cyi Austrii na ziemi śląskiej.¹⁾

Gdy więc Andréossy doniósł, że Stadion od pierwszej chwili
nie czynił w tej sprawie żadnych nadziei (zasłaniając się począt-
kowo brakiem decyzji cesarza), a potem dziękując imieniem Fran-
ciszka I, dał ze względu na Prusy odpowiedź odmowną, zesta-
wiając tylko pewne ogólnikowe przypuszczenia o ponowieniu per-
traktacyi owych kiedyś w przyszłości, gdy zaznaczył, że Austria
drży o Galicyę, gdy skarżąc się na wpływ ruchu powstańczego
z za kordonu, wnioskował, iż chce się Galicya podnieść przeciw
niej i że ta właśnie obawa służy za powód gromadzenia coraz to
większych sił wojennych na północnej granicy monarchii—wtedy
sprawa polska inny wzięła obrót. Napoleon widział, że podobny
stan rzeczy był dla niego wielce niebezpieczny. Wszelkie nale-
gania lub sposób żywszego poprowadzenia akcji ze strony dyplo-
macyi francuskiej w kierunku osiągnięcia jakichś konkretniejszych

¹⁾ Lefebvre, Histoire des Cabinets, II, t. 2-gi, str. 8—10; Handelsman, Nap. et le Pol., 66; Correspondance de Napoléon. XIV, № 11339 ...en favorisant l'insurrection des Polognes prussienne et russe je ne me mêlerai en rien dans la Pologne autrichienne... l'Autriche veut-elle céder une partie? Je suis prêt à donner toutes les facilités qu'elle peut désirer. Veut-elle traiter publiquement, secrètement? Je suis prêt à faire ce qu'elle veut. Après ces manifestations, je dois dire, que je ne crains personne. Je vous autorise à déclarer que quoique je ne reconnaisse pas le partage de la Pologne, je ne veux cependant point toucher à la Galicie, parce que je veux tenir toute la garantie que j'ai assuré aux Etats Autrichiens par la paix de Pressburg... (Au général Andréossy, ambassadeur, à Vienne. Posen, 1 decembre 1806).

wyników w tej sprawie, zostały usunięte do chwili stosowniejszej. Na razie zaś całą rzecz potraktowano *per non est*. Nie mogło być inaczej.

Dziwną przenikliwością swego genialnego umysłu ocenił Napoleon natychmiast, iż nie znalazł w kraju tak silnego poparcia, jakiego wymagała nadeszła chwila. Nie porwał się do czynu cały naród. Spozstrzegł i wyrzucił to w gorzkich słowach Napoleon Polakom zaraz po przyjeździe do Warszawy w grudniu 1806 r. „*Ou sont vos Grands? — pytał. — Les Radzivils sont vendues à la Prusse, les Czartoryski à l'Autriche, et les Sanguszko et Sapieha à la Russie,*“ następnie zaś przy innej sposobności cisnął gen. Dąbrowskiemu i Wybickiemu bolesne, gdyż w części tylko niesłuszne słowa: „*Vous êtes trop pauvres, et vous êtes trop peu d'accord pour former une nation.*“¹⁾ Rzecz więc zupełnie naturalna, że gdy obecnie po Hławie w chwili tak ciężkiej mógł się od Austrii spodziewać zbrojnej interwencji — starał się usilnie nie dać jej żadnych powodów do drżenia o całość dotychczasowych posiadłości. Dlatego w Wiedniu nie ponawiano energiczniej sprawy zamiany, a deputację galicyjską nawrócił cesarz do domu. Dlatego również w nadzwyczaj uspakajającym tonie przyjął Napoleon umyślnie w tym celu z Wiednia do Warszawy wysłanego barona Vincent i 10 stycznia 1807 r. na dwugodzinnej audyencji starał się mu wytłómaczyć, iż zbrojenia Austrii i utrzymywanie tylu tysięcy wojska wielkim kosztem w Czechach i w Galicyi, to jest grosz wyrzucony. Wysuwał inny czynnik, zwracając uwagę na Rosyę i zapewniał, że co do Polski, to mogą być spokojni—*il ne songe nullement à exaucer les vœux des fauteurs de troubles Polonais.*

Stało się, że Galicya znów była krajem, o którym Napoleon nie powziął był żadnego stanowczego postanowienia, a którego przyszłość leżała w odmęcie najbardziej powikłanych kombinacji politycznych ówczesnej Europy. Podejmowano wprawdzie nowe próby przecięcia Galicyi wschodniej wzdłuż łańcuchem agentów tajnych, próby złączenia tym sposobem Warszawy z Wołyniem, Podolem i Ukrainą, a zarazem projekty wywołania tam ruchu powstańczego, któryby później rozszerzył się na dalsze dzielnice Polski, formułowano te pomysły w znanych memoriałach Horo-

¹⁾ Handelsman Nap. et la Pol. Annexes 10. Prof. Askenazy, wykłady uniwersyteckie. lw. 1909/10. Arch. Nam. Akta prezyd. tajne (G.) 1807. № 193. Raport Bauma, któremu tych wiadomości udzielił margrabia Wielopolski.

dyskiego i Komisji rządzącej, były to jednak próby, oparte z jednej strony na zbyt fikcyjnym optymizmie co do istotnych sił, na jakie miano liczyć, z drugiej strony na nieszczerości w poparciu ruchu powstańczego przez Napoleona, gdyby rzeczywiście doszło do wybuchu.¹⁾

Ze jednak upragnione pomysły znowu się rozchwiały, że z taką a nie inną misją wysłał gen. Bertranda do Kłajpedy, za to nie można się było rozgoryczać, ani też zbyt Napoleona potępiać. Nie był dla Polski człowiekiem opatrnościowym, poświęcającym się dla sprawy, ani owym niezwykłym zbawcą-mocarzem, za którego go mieć chciano. O sąd jednak bardziej obiektywny było wówczas w Polsce nader trudno.

W Galicyi po tak fatalnem rozstrzygnięciu bitwy w lepiej poinformowanych kołach, mimo wszystkie oficjalne zapewnienia o zwycięstwie, nastąpiło silne opadnięcie nadziei rychłego ogłoszenia niepodległej Polski. Musiało koleją rzeczy utrzcć się mniemanie, że egzystencja jej nie od jednej, ale od całego szeregu krwawych bitew zależy. Cofanie się armii francuskiej a napór rosyjskiej był niepokojący. Roboty prowadzone tak gorączkowo w styczniu, w lutym, w ostatnich tygodniach marca poczęły się zacieśniać. Brakło pewniejszych działaczy. Pius Wyrzykowski, Korsak, Kamiński i Świniarski wyczekiwali ukończenia śledztwa w Ołomuńcu. Scipio, obłożony domowym aresztem, siedział dozorowany w Zamościu, potem w Krakowie. Bobrowski otrzymał rozkaz przeniesienia się na przymusowy pobyt do Wiednia. Stanisław Sołtyk pozostawał ciągle pod ścisłym dozorem, jak wielu zresztą z wybitniejszych obywateli. Inni wyemigrowali lub przed śledztwem szczęśliwie uciekli, np.: ks. Sułkowski, bar. K. Larisch, K. Russocki, Morsztyn, Wł. Tarnowski i t. d. Kraków opustoszał, szlachta przeniosła się na wieś. Chaos zapatrywań, wytworzony błyskawicznie zmieniającymi się sytuacjami, nie ustawał, ale się powiększał.

Niepewność jutra nużyła i wyczerpywała. Gdy np. przyszły do Lwowa listy, że Porta zmuszona poruszeniami floty angielskiej w Dardanellach chce zawrzeć z Rosją tajne przymierze, że za kordonem oczekują co chwila demonstracyi wojennej ze strony Austrii, że wreszcie gen. Vincent otrzymał tajne zlecenie, by na wypadek, gdyby Napoleon odrzucił w toku będące przedłożenia

¹⁾ Thiers, Histoire du Consulat, t. VII; Loret, Między Jeną a Tylżą; Laufrey, Histoire de France; Handelsman, Napol. et Pologne.

pokojowe ze strony dworu wiedeńskiego, układy zerwać i wydać wojnę, ufność w pomyślność Francuzów nikła nawet wśród najgorętszych ich zwolenników. Wrażliwość do tego doszła stopnia, że każda mniej pomyślna wiadomość wywoływała jeszcze większe przygnębienie, każda samorzutnie rzucona a upragniona plotka budziła na nowo wiarę i otuchę w dobre intencje uwielbianego cesarza Francuzów. W ogólności zaznaczyć trzeba, że mimo wszystkie wahania, wiele jeszcze sympatyj, wiele przytłumionego entuzjazmu tkwiło w głębi duszy galicyjskiej Polonii względem niedoszłego ich „oswobodziciela“ z zachodu.

Gdy w początkach marca zarządził Napoleon nowy pobór 17,000 ludzi (w tem 6,000 konnicy), a w południowych Prusiech nie już nie można było znaleźć — wtedy wysłano do zachodniej Galicji tajnego agenta w celu wybadania sytuacji. I oto stwierdzono wówczas fakt, że wielu ludzi w Galicji niema, ale po dworach szlachta pościągająca konie i tylko czeka na wkroczenie Francuzów, by wsiąść i wyruszyć osobiście, że możnaby liczyć śmiało na 20,000 ludzi ¹⁾. Jeśli zaś wolno się tak wyrazić, to po prostu suggestyjonowano się wzajemnie w dalszym ciągu pod względem wiary w lepszą przyszłość z ręki Francuzów. Z rąk do rąk podawano sobie broszury lub na luźnych kartkach pospisywane charakterystyczne wiersze, odezwy, wyjęte z gazet warszawskich, albo jeszcze częściej utworzone tu, w kraju, a dostosowane mniej lub więcej szczęśliwie, czasem pociesznie, do każdej nadającej się okoliczności, ażeby z dziwną otwartością dać upust swoim uczuciom dla Napoleona i zniechęconych „Germanów.“ Tak powstał popularny wiersz: „Kędy pobudką Polak wiedziony...“ napisany z powodu pęknięcia marmuru na grobie Jagiełły, w czasie „Kirchparady“ wojska austriackiego na Wawelu w październiku 1806 roku. W takim celu szerzono również bardzo znamieny ze względu na swą treść utwór „poetycki“, opisujący krwawą awanturę, jaka zaszła 3 marca 1807 r. w liceum lwowskim, wywołana postępowaniem dyrektora Ertla, bombastyczny wiersz z okoliczności rozrzuconych popiołów Katarzyny Sobieskiej i poniewierania innych zwłok w katedrze krakowskiej i w. in. Krążyły mazureki, zabarwione treścią polityczną, krótkie i dłuższe pisemka ulotne, z których jednak najwięcej kłopotu w wyławianiu dostarczyła władzom wydana anonimowo w Warszawie, w r. 1807, bro-

¹⁾ Schottmüller, Der Polenaufstand, 1806, str. 88.

szura: „Do moich współbraci,“ wzywająca w gorących słowach do zrzczenia haniebnego jarzma niewoli. ¹⁾)

Podobne usposobienie galicyan okazało się i w innych dziedzinach. Galicya w dalszym ciągu była tym małym sklepin, w którym rzekomo nigdy niczego niema, wszystko z trudem trzeba zeń wydostać, narzekając na braki, niedostatek i ubóstwo, a jednak — ile razy zajdzie tego potrzeba, zawsze poratuje.

Pamiętać należy, że, poczynawszy od października, przez cały listopad, grudzień, styczeń, luty, marzec, do końca kwietnia, gdy Napoleon i Austria wymieniają nawzajem to listy, grożące wciągnięciem Rosyi w przymierze, to ofiarowanie medyatorskiej roli Austrii, to noty najczulszego porozumienia się w Krakowie czy we Lwowie—ciężar dostaw się nie zmniejsza, ale przeciwnie zwiększa żądaniami mocno nieraz sprzecznymi. Z wykazów bankalnych austriackich okazuje się, że za dozwolonymi pasami wywieziono wyłącznie przez inspektorat krakowski, kozienicki i terespolski, od 1 października 1806 r. do ostatniego kwietnia 1807 r.—57,614 korców pszenicznego tylko ziarna i przeszło 58,000 funtów mąki, krótki czas dozwolonej. Jeśli się zaś przytem uwzględni, że przewożono również żyto, jęczmień, rośliny strączkowe, a drugie tyle, jeżeli nie więcej, drogą uboczną, nielegalną, przemycano nocami na saniach lub galarami wodą, Pilicą, Wisłą, Bugiem, pod okiem płatnych urzędników celnych—to cyfry te przedstawiają się wcale pokaźnie. Przez maj i czerwiec, t. j. w niecałych dwu miesiącach wywieziono również tylko drogą legalną „około“ 37,755 korców samej pszenicy, a jednak są to cyfry nieproporcjonalnie małe w stosunku do istotnego stanu rzeczy.

Galicya za kontraktem wywoziła także i do Rosyi. Dostawy liczyły się na tysiące korców, przytem przedewszystkiem musiano dostarczać bardzo znacznych ilości ziarna i mąki, owsa i siana dla rządu austriackiego do magazynów wojskowych. Oprócz ciągłego odbioru dawniejszych zaległości, za wydanym 14 lutego rozkazem najwyższym, miano do Moraw przewieźć 50,000 korców

¹⁾ Ossolineum, Rps. 1283, 905, Arch. Nam., akta prezyd. tajne (G) 1807, № 640. Broszura: „Do moich współbraci,“ zaczynająca się od słów: „Polska z rządu europejskich mocarstw wymazana...“ a której za motto obrał autor z Cicerona de Officiis słowa: „Justis hostibus pacta praestantia latronibus nihil oportet,“ była długi czas postrachem władz rządowych — obawiano się kaznodziejskiego jej tonu, przemawiającego do uczuć krzywdzonego tyloletnim wykryciem narodu przez interesa zaborcze.

żyta i znaczną ilość owsa. Jeszcze nie ukończono tych przewozów, a już nowy rozkaz, wydany przez radę najwyższą wojenną, nakazywał dostawę w wysokości 63,312 korców owsa, 43,716 k. żyta. Cyfry te następnie jeszcze zwiększono, gdyż dekretem z 19 marca 1807 r. miano do nich dołączyć jeszcze 60,000 korców żyta i 90,000 kor. owsa.

Tymczasem zbliżała się wiosna. Zapasów wiele już nie było, zwłaszcza w Galicyi zachodniej. Największe na przestrzeni między Bielskiem a Bobrkiem miał hr. Borkowski w Raysku; tak przynajmniej głosiły tajne raporty komisarzy, unyślnie w tym celu wysłanych, żeby pokryjому wybadać zapasy szlachty i ewentualnie zmusić ją potem do dostaw. W siedleckim było lepiej. Na 30,000 kor. żyta i tyleż owsa obliczany zapas w większych ilościach przechowywano po dominiach w Hruszowie, Otwocku, Krześlinie, Korczewie, Gródku i t. d., oraz w dzielnicy nadbużańskiej.

W polu zaczynały się roboty, a nie było kim obrabiać roli, gdyż brakło rąk. Część oderwały dostawy wojskowe w kraju, część wywóz za kordony, część nowy werbunek, przeprowadzany w lutym i w marcu. Dostawy zbożowe Wisłą, Sanem, Pilicą, przez Mniszew lub Korczew, oraz Bugiem, najczęściej zaś końmi i furami drogą lądową, mnóstwo ludzi od pracy we wsi odciągało. Dla przykładu wystarczy nadmienić, że w jednym miesiącu, t. j. od 26 marca do 26 kwietnia przy różnych transportach wyjechało z okręgu radomskiego za 327 paszportami około 322 poddanych. Kraj był wyniszczony od szeregu lat różnaitymi nadzwyczajnymi podatkami i daninami wojskowemi, zasypany papierową monetą (bankocetłami) i miedziakami; ludność wyczerpana ciągłym utrzymywaniem wojska, o którego potrzeby, pod karą sekwestru, miały się starać dominia. Bez względu zresztą na to, czy było skąd, czy nie, ściągano bez miłosierdzia, dla zaspokojenia potrzeb państwowych, na pięć lat rozpisany nadzwyczajny podatek od własności nieruchomości, podatek klasowy i osobisty, jakiemu podlegali wszyscy bez różnicy stanu z wyjątkiem pewnych dykasteryi wojskowych, włościan-chałupników i komorników oraz biednych, żyjących z jałmużny. Zbrojenia pochłaniały znaczne sumy. Rząd potrzebował pieniędzy. Musiano szukać nowego źródła dochodów. Najwyższy patent z 20 sierpnia 1806 r. ogłosił wprowadzenie stempla na złote i srebrne przedmioty, a to w celu pokrycia 75,000,000 pożyczki państwowej, podatek przyjęty niechętnie, jako nowe utrapienie, wytwarzający stan nieznośny, nieprzyjazny rządowi, skłaniający raczej ku Francuzom. Trzeba do-

dać, że podwoje na przewożenie dostaw wojskowych były tak lichy płatne, iż musiano wydać osobne polecenie, by, ze względu na wyczerpanie ludności, zapłata za jeden cetnar przewozu na odległość mili nie wynosiła mniej, jak cztery do sześciu grajcarów. Zdarzały się bowiem wypadki, że przy dostawie 4,200 worków zboża z Bochni do Wadowic ograniczano się do kwoty dwu grajcarów za przewóz jednego cetnara na milę. Poddani nie mogli obrobić gruntów pańszczyźnianych, a cóż dopiero swoje.

Tymczasem z za kordonu, z Warszawy, przychodziły coraz nowe zamówienia dla zaspokojenia tamtejszych potrzeb. Mimo znacznych przeszkód paszportowych, za pośrednictwem kupców, Żydów z Lublina, Lubartowa, Brodów, Parczowa, Węgrowa, lub bez, przewożono nietylko dozwoloną pszenicę, ale drzewo, tytoń, wódkę, żelazo, ołów na kule, sól, płótno, szarpie, miód, a wszystko w znaczniejszych ilościach, nawet buty i trzewiki dla armii. Kiedy wreszcie zabroniono, ze względu na własne potrzeby, wywozu zboża, t. j. pszenicy, nie wykazawszy, że dostawa nie przenosi połowy pozostałego zapasu, obywatelstwo zaczęło pędzić wódkę, którą następnie różnemi drogami dostawiano za kordon.

Trudniej było z dostarczaniem bydła wskutek starannie przestrzeganego zakazu; to jednak, jak również ogromne ilości, nieraz do pięciuset cetnarów przewożonego tytoniu, transito posyłano z Rosyi. Sprytni handlarze, aby uniknąć kolizyi z władzami austriackimi, urządzali się w ten sposób, że galicyjskie dostawy niedozwolonego towaru wywozili na komory rosyjskie i stamtąd transito przez Galicyę wysyłano do Wielkopolski, omijając przepisy austriackie i rosyjskie. W sumie jednak były to przedsięwzięcia, jakie w stosunkach komunikacyi między Austryą a Rosyą, zwłaszcza tej pierwszej, wiele przysporzyły dyplomatycznych nieporozumień. Szło bowiem nietylko o przepisy i zasady, ale też o wcale znaczne ilości przewożonego towaru.

Poza tem dostawy Galicyi za kordon również w innej objawiały się formie. Obok zasilania nowo utworzonych pułków swoim rekrutem, Galicya dostarczała rąk roboczych. Jeszcze w grudniu, gdy do oszańcowania Pragi brakło ludzi, chłopci z Bruchlińska, wysłani przez okoliczne obywatelstwo, zaopatrzeni w pieniądze, jedni z pierwszych stanęli do pracy. W następnych miesiącach wyjeżdżali za kordon rzemieślnicy, krawcy do szycia ubrań, felczerzy do szpitali. Wszystko dawano i wywożono bez większego wrażenia na coraz to bardziej skomplikowane rozporządzenia państwowe, zaostżenia cyrkularne, kary i postępowania z przestępcami. Ogłoszenia, przyjmowane na ogół dosyć biernie, gdyż po-

pierwsze: nie wierzone, przy dotychczasowem doświadczeniu, w zbyt wielką ich aktualność, wobec drobiazgowego i do niemożliwości ociążałego systemu postępowania odpowiednich organów wykonawczych, powtóre: żywiono ostatecznie nadzieję, że skoro rzeczy zaszły tak daleko—stan ówczesny był tylko przejściowym, po jakim musi nastąpić zwrot decydujący.

Dawne lutowe marzenia ścichły, ale korespondencya z Warszawą trwała dalej mimo pilnych zabiegów policyi, mimo starań Rohrera, który zaraz po objęciu urzędowania we Lwowie w grudniu 1806 r., zważywszy, jaki „zły“ wpływ wywierają zakordonowane gazety i pisma, całą siłą starał się przyплыw ten uniemożliwić. Od grudnia począwszy, konfiskował wszystkie gazety z taką gorliwością, że żadna od tego czasu nie doszła przez pocztę do rąk adresata, i rzeczywiście zupełny tryumf w swej sumienności mógłby być święcić w okręgu lwowskim, gdyby nie to, że drogą prywatną, z listami hr. Tarnowskiego, Miączyńskiego, Dulskiego, Szeptyckiego, Chumanieckiego i adwokata Węgleńskiego, dochodziły one bez przerwy do Lwowa i dalej do Galicyi wschodniej. I chociaż owe na nowo wietrzone donosami „geheime Machinationen“ i rozmaite nieodkryte „Verbindungen“ szlachty, która obecnie, t. j. w maju, stała się „ungemein behutsam“, należy odnieść do przeszłych czasów lutego i marca, to faktem istotnym było: niezrezygnowanie z raz żywionego uczucia dodatniego załatwienia sprawy polskiej. Z całą nietajoną złośliwością określani: „die sogenannten Schlachtzützen“, także w charakterze syndyków burmistrzów, w sądownictwie, przy starostwach nawet, przedstawiali unikać najłżejszych pozorów nielojalności. Zwolennicy francuscy całkiem głośno wyrażali swe myśli w tym kierunku.

Co ciekawsze, ten ciemny, podstępny i łatwo przeciw panom swym dający się buntować chłop, budził się potrosze ku przeciwnej stronie, ku bardzo niespodziewanym dotychczas odruchom. ¹⁾

¹⁾ Arch. nam. akta prezyd. tajne (G.) 1807 r., № 1706. Summeraw do Wurmsera 23 kwietnia 1807. Zakomunikowanie doniesień o nastroju w Galicyi szlachty, chłopów i urzędników Polaków, którzy „ungeachtet des genesenden Brodes sich in ihre Reden so sehr vergessen, das sie offentlich des feindliche Benchmen loben...“ a chlopi? „Es geschieht fast alle Tage eine anzeige, dass Bauern u. ärmere Edelleute sich in Gegenwart der Soldaten übelgesinnte Reden gegen die jetzige Regierung u. Lob gegen jene der Franzosen bedienen“—oddani zaś władzom cywilnym nie wiele na tem cierpieli, ponieważ one postępowaly: „langsam, schleppend u. lau.“ Urzędnicy Niemcy żyli nad stan i musieli się liczyć z otoczeniem, urzędnicy Polacy — z zasady teraz przestali być gorliwymi.

Napoleon znowuż starał się o względy Polaków. Listy warszawskie zapewniały o szybkiej zmianie sytuacji, że wszystkie nowe wiadomości są coraz lepsze „et nons assurent de plus en plus notre existence“; że cesarz Napoleon przez ministra spraw zewnętrznych, Talleyranda, uznał Królestwo Polskie za wskrzeszone i jako takie w Warszawie ogłosić je każe; że wreszcie z tego powodu zakordonowcy zostali wezwani do utworzenia gwardyi. Wszystkie te fantastyczne wiadomości, podtrzymywano, rzecz dziwnie brzmiąca: listami z obozu francuskiego sztabu inżynierii, głoszącymi, że oddział ten dlatego został odłączony od armii i zatrzymany (chwilowo) w Warszawie, iż nie długo przyjdzie mu wyruszyć... do Galicyi, powtórę — kombinacyami, jakie snuto z okazji zatrzymania się gen. Roźnieckiego w Krakowie, powołanego na stanowisko generalnego inspektora kawaleryi, a sprowadzonego z Neapolu.

Coraz częściej jednak dawały się uczuć porachunki osiągniętych plusów i minusów wzamian za dziesiątki skonfiskowanych majątków. Zastój z powodu ciężarów wojennych, wyczerpanie materialne klas średnich, rozdarcie tyłu rodzin między dwa kordony. Całe społeczeństwo żyło między dwiema ewentualnościami: wojny i pokoju, przerzucając się ustawicznie z jednej w drugą, stosownie do przysyłanych kolejno wiadomości. Przytem rząd austriacki, podniecany przysyłaniem co raz to nowych niepokojących doniesień o rzekomym wulkanie, za jaki władze pruskie dla swoich interesów uznały za stosowne uważać Galicyę, przystępował do jaknajenergiczniejszego zaznaczenia swej mocy wobec nieposłusznych galicyan. ¹⁾ Dn. 16 maja, na mocy gubernialnych dys-

¹⁾ Jeszcze 21 kwietnia wyszedł umyślny cyrkularz przypominający ponownie dominiom, że każdy cudzoziemiec, przybyły do ich „iurizdykcyi,“ musi być zgłoszony w przeciągu 24 godzin, z adnotacyą za jakim pasem tu przybył i jak długo w danem miejscu chce pozostać. Niewykonanie tego przepisu pociągało za sobą karę 10 ₰ (duk. hol.) a w ważniejszych okolicznościach więcej. Ogłoszony zaś 16 maja ów słynny okólnik, miał poddanym już nie tylko przypomnieć gorliwość w wykonywaniu danych przepisów, ale „przywieść jaknajprędzej do upamiętania,“ strachem nauczyć wierności. 24 maja wydrukowany został po polsku w Gazecie Krak., równocześnie prawie po niemiecku w Lemberger Intelligenzblatt i t. d. Oprócz tego zamieszczony jest w zbiorze aktów (Pilleriana) Edicta et Mandata, t. XV, w zbiorze Angerberga: Recueil des traites, str. 464 (tłóm. francuskie) oraz u Schottmüllera: Der Polenaufrstand, 1806, według niemieckiego tekstu, wyjętego z tajnego archiwum państw. w Berlinie.

pozycyi sub № 1541, ukazał się okólnik, zawiadamiający wszystkie „Dominia y Magistraty“ o powziętem rozporządzeniu, grożącym ciężkimi karami, ewentualnie szubienicą tym, 1) którzy do dezercyi nakłaniają lub do tego sposobem w prawie wojennem określonym przykładają się (według § 77 pierwszej części powszechnej księgi prawa karnego, dana osoba miała być stawiona przed sąd wojskowy i przezeń karana z pominięciem władz cywilnych. ¹⁾); 2) utratą praw obywatelskich udającym się za granicę bez paszportów, gdy do wyznaczonego im z góry terminu trzech tygodni nie powrócą; 3) rozstrzelaniem wszystkich, którzyby odważyć się mogli „publiczney spokojności i powszechnemu Dobru przeciwnych czynności dopuścić.“ Wstęp dla oficerów-Polaków, chociażby z pułków francuskich, miał być jeszcze bardziej utrudniony. Hr. Neipperg otrzymał zlecenie porozumienia się z gen. Gouvionem, żeby nie wydawano paszportów oficerom francusko-polskim, pochodzącym z Galicji, i nie wysyłano ich w żadnej czynności do kraju. Obawiano się ogromnie wrażenia, jakie mogli wyrzucić młodzi urlopnicy przybywający tutaj do rodzin, najczęściej po pieniądze zasiłki. Niektórzy starostowie byli wprost zdania, że jeśli mają już przyjeżdżać, to przynajmniej po cywilnemu. Twierdzono bowiem nie bez słuszności, że przyjazd ich oraz piękna barwa mundurów (zwłaszcza gwardzistów) bardzo źle na ludność oddziaływa, zachwiewając w niej lojalne wiernopoddańcze usposobienie, za które w nagrodę przygotowano nowy projekt, mający świadczyć o zaufaniu, jakie w tę ludność chciano złożyć.

Dwunastego maja otrzymał Wurmser zapytanie, czyby nie dało się zainicywować zreformowania i wyposażenia oddziału galicyjskiego niemieckiej Leibgardyi kosztem zgłaszającej się do tego szlachty polskiej. ²⁾ I dziwną koleją rzeczy, w tym samym

¹⁾ Rozporządzenie to uchylono okólnikiem z 24 stycznia 1808 r. o tyle, że ci wszyscy, którzy do trzech miesięcy od zawiadomienia powrócą do Galicji, przez sądy cywilne, a nie wojskowe, mogą być sądzeni, czem naturalnie zupełnie rzeczy inny charakter nadano.

²⁾ Arc. Karol do Wurmsera. Krakowiec, 12 maja 1807 r. Rozchodziło się o kupienie 45 koni za cenę 10,122 floren. i 30,000 rocznej opłaty na utrzymanie tej gardyi. Trzeba było tak rzecz pokierować, żeby szlachta sama przedłożyła ten projekt cesarzowi. Pieniądze miano ściągać w okrągłych sumach za pomocą obieźnych list składkowych. Rząd bowiem na to absolutnie nie miał pieniędzy. Niestety, i badania Wurmsera dały wynik niepomyślny. Arch. nam. akta G. № 2261.

czasie, gdy vice-gubernator hr. Wurmser wśród ogólnego spokoju wyczekiwać badał stopień owej lojalności w „uciszonej“ i „przestraszonej“ okólnikami [prowincyi]—zaalarmowano Wiedeń jeszcze jedną sensacyjną wiadomością, naturalnie, jak zawsze, z rąk pruskich pochodząca. Z jednej strony pełnomocnik austriacki przy dworze pruskim, baron Binder v. Kriegelstein, depeszą berlińską z 28 maja zawiadomił, że cała Galicya jest już podłożona minami rewolucyi, że kraj ten, którego znaczniejsi przedstawiciele są w ścisłym związku z Warszawą i mają z Dąbrowskiego i Wybickiego tajnych agentów, jak ks. Sołtyka, kanonika krakowskiego, że ludność przysposobiła już tajne magazyny broni. ¹⁾ Z drugiej strony, chociaż tą samą drogą pruską, dowiedział się hr. Neipperg i generał Bellegarde, że owe magazyny nie trudno odszukać, gdyż znajdują się w Maciejowicach, własności hr. Tomasza Zamoyskiego. ²⁾ Zaznaczono przytem, że w okolicy tamtejszej znajdują się większe ilości amunicyi, armaty, ubrania, ukryte po piwnicach, zaroślach i dołach, a przygotowane na chwilę wybuchu powstania. Rzecz ostatecznie nie wyjaśniona, gdyż, mimo poszukiwań, nie znaleziono, jak zwykle, nic, ale też nie wyzbyto się przekonania, że jednak na dnie tej pełnej sensacji afery, tkwi jakieś jądro prawdy. Zanin przecież wydano nowy szereg obmyślanych już a zapobiegawczych wszelkiemu niebezpiecznemu usiłowaniu zarządzeń, nowy zwrot odmienił z gruntu sytuację.

Dnia 14 czerwca pod Frydlandem dokonał się ostatni decydujący akt kampanii francusko-polskiej 1806—7 r.

Wiadomość o bitwie przyjęto w Galicyi początkowo z pewnym niepokojem, gdyż w pierwszej chwili dowiedziano się tylko tyle, że pod Gutstadtem Rosyanie odnieśli świetne zwycięstwo nad gen. Neyem i Pontecoroo, że chociaż prawe skrzydło rosyjskie poniosło szkodę — lewe utrzymało się górą. Dopiero potem z listów i pism warszawskich przekonano się o istotnym stanie rzeczy. Niezadowolenie, jakie istniało z powodu niejasnych kro-

¹⁾ Haus-Hof u. Stats Archiv. Berichte von Berlin, 1807, № 34. Binder do Stadiona z Berlina 28 maja 1807 r. depeza szyfrowana. Na jej treści oparł cesarz Franciszek swój list do Wurmsera z Laxenburga 17 czerwca 1807, ogłoszony przez Loreta (między Jeną a Tylżą, 128). Odpowiedzią na ten list, diese bittere Klage, jest pismo Wurmsera do cesarza z Krakowa 22 czerwca 1807 r.

²⁾ Źródłem owych donosów był Hermann, pruski „Zollaufseher“ z Inowłodzia, o czem bliżej w raporcie starosty siedleckiego Helna do Wurmsera 23 czerwca 1807 r. Arch. nam., akta przyzd. tajne (G.) 1807, № 3217.

ków polityki francuskiej, ustąpiło miejsca gorącemu, naprężonemu oczekiwaniu rozwiązania kwestyi polskiej—w zamierzonych rokowaniach francusko-rosyjskich. Jak zawsze, tak i obecnie, nie obešlo się bez najdziwaczniejszych domysłów, to dzielących Polskę na większą ilość małych części skonfederowanych. pod władzą francuską, to twierdzących, że dawna Rzeczpospolita będzie rozdzielona na dwie części, z których jedna, po prawym brzegu Wisły, dostanie się Rosyi, drugą, po lewym jej brzegu, otrzyma od Austrii za odszkodowaniem Francya — do swego rozporządzenia. „Die hiesigen Nationalen sind in der gespanntester Erwartung“—raportował Wurmserowi 9 lipca Rohrer, dyrektor policji w Lwowie. W Warszawie taka radość wstąpiła w obecnych tam emigrantów, że wielu zachodnią Galicyę uważało już za prowincyę od monarchii oderwaną. Wznowiono kombinacye, szerzone jeszcze w lutym, t. j. że obie Galicye zostaną dobrowolnie oddane Francyi za zwrot Tyrolu, weneckiej Dalmacyi i Serbii. Przyjeżdżający z Warszawy opowiadali, iż od oficerów polskich słyszeli zapewnienia o szybkim zjawieniu się ich w Galicyi. To samo w kółku zamkniętem znajomych rozgłaszał w Warszawie Aleksander Linowski. W każdym do Wiednia jadącym kuryerze francuskim widziano szczęśliwca, wiozącego żądanie Napoleona, by Austria się zrzekła Galicyi. Dopiero około 4 lipca skryształizowały się owe domniemania radosne do trzech głównych, mianowicie: zabrane prowincye pruskie nie wrócą nigdy już pod berko pruskie, Napoleon narodowi i komisji rządzącej zapewni wznowienie niepodległości i opiekę, ogłosi się ogólna amnestya dla wszystkich, którzy brali udział w kampanii. Przy zachodzącej okoliczności obsadzenia tronu przyszłej Polski wyznaczano aż pięciu pretendentów. Mieli nimi być: cesarz Aleksander, w ksiązę Konstanty (o którym powiadano sobie, że w celu zjednania dla siebie głosów polskich „paradował“ po Tylży w stroju ułańskim polskim), arcyksiązę Antoni austriacki, Hieronim, najmłodszy brat Napoleona (obaj tylko w razie poślubienia infantki saskiej), wreszcie nawet któryś z Burbonów. ¹⁾

Podobnie, jak Galicya i Polska cała, lecz z innego powodu, trwał gabinet wiedeński, w drugiej połowie lipca, w okropnej chwili oczekiwania, drżąc o całość swego mienia. Do Galicyi na

¹⁾ Raport kom. Gayera z Mniszewa 4 lipca 1807 r. Raport dyrektora policji w Krakowie, Persy, z 7 lipca 1807 r. Arch. nam., akta prez. tajne (G.) № № 3483, 3429.

ratunek i uspokojenie sprowadzono z Węgier dwa pułki: Ducci i Gyulaya, głównie z powodu krzyku starostów (zwłaszcza zło-czowskiego, iż nie podołają i nie dadzą sobie rady bez znacznie-szej osłony wojskowej, przynajmniej w Galicyi wschodniej.¹⁾ Obok zmian, przeprowadzonych w dotychczasowej dyslokacyi wojsk w Galicyi, zalecano urzędnikom przy każdej niemal sposobności, żeby ludności krajowej nie drażnili, ale raczej jej nastrój łago-dzili i tylko wtedy ściągali podwoły, gdy one są koniecznie po-trzebne. Co do sprawy maciejowickiej, to otrzymał Wurmser ostrzeżenie ze sfer najwyższych, by przyspieszył dochodzenia śledcze bez względu na połączone z tem koszta, byle tylko na-tnąć się przecie na ślady.

Kwestya Galicyi, jako część składowa ówczesnego zagad-nienia polskiego w ogólności, oraz ewentualność pominięcia Austrii w negocyacyach pokojowych przez Francję i Rosję teraz przy układach tylżyckich w lipcu, jak uprzednio przy konwencji bar-toszyckiej w kwietniu, stawała się znów groźbą złowrogą, którą za wszelką cenę starano się uchylić. Wyprawiony do Tylży wy-słaniec austriacki, gen. Stutterheim, otrzymał, jak skądinąd wia-domo, instrukcyę, że w stypulacyach przyszłego pokoju najwa-żniejszą rzeczą dla dworu wiedeńskiego jest los dawnej Polski. Przewidywano, że nowe Królestwo Polskie nie może zostać utwo-rzone bez większej części Galicyi, jeśli nie bez całej tej prowincyi. Gdyby zresztą w takim razie Galicya nawet pozostała przy Austrii, jako część dzielnicowa, byłaby posiadłością bardzo nie-pewną. Wogóle wskrzeszenie Polski, jako królestwa, uznawano w Wiedniu za nieuniknione źródło ustawicznych dla Austrii trosk, a zarazem źródło nieustannego wrzenia wewnętrznego dla

¹⁾ Nota gen. Bellagarde do Wurmsera w sprawie rozmieszczenia wojsk w Galicyi. Kraków, 7 lipca, 1807 r. Arcyks. Karol przysłał do Galicyi pułk cesarskich chwanlegerów, który miano umieścić w okolicy Gródka, a będącą tam dywizyę huzarów Palatynata zbliżyć ku Rzeszowowi. Pułk Beaulieu, źle dotychczas umieszczony w jasielskiem, postanowiono przesiedlić. Sztab, dy-wizya grenadyerów i jeden batalion miał pójść do Przemyśla, drugi batalion do Jarosławia, a trzeci do Rzeszowa. Dla wzmocnienia miejsc na kordonie przy Bugu, w siedleckiem i bialskiem, dawano Neippergowi do rozporządzenia dwie kompanie, stojące w Lublinie, i jedną kompanię wojska, stojącą we Lwowie ze wszystkimi détachements drugiego pułku garnizonowego. Trzeci batalion pułku Ducca miał iść do Lublina, jak również dywizya huzarów ce-sarskich z Żółkwi. Arch. nam., akta (G.), 1807, № 3450.

Galicyi. ¹⁾ Przewidywania tego rodzaju, jakoteż stosowne, płynące z nich wskazówki, zajmowały miejsce wydatne w instrukcyi, danej w Wiedniu Stutterheimowi. Te wskazówki, nader godne uwagi ze względu na jasne określenie w nich nieprzyjaznego stosunku Austrii do całości sprawy polskiej, miały atoli zachować znaczenie czysto akademickie. Stutterheim, umyślnie zatrzymywany po drodze z polecenia Napoleona, przybył do Tylży za późno. Austrya, jak wiadomo, została zgoła usunięta poza nawias obrad i uchwał tylżyckich, a razem z nią i Galicya, którą, przy ostatecznem ustaleniu granic owego udzielonego w Tylży zadatku przyszłej Polski, t. j. przy utworzeniu Księstwa Warszawskiego, zupełnie pominięto.

Z długo żywioną nadzieją połączenia losu swojego z rodakami za kordonem przyszło się galicyanom pożegnać. Pozostał żal i zniechęcenie. Pozostała rezygnacya przymusowa, z której Galicyę dopiero po przerwie dwuletniej miała wytrącić kampania 1809 r. ks. Józefa.

MARYA JAROSIEWICZÓWNA.

¹⁾ Instrukcja dla Stutterheima (Vienne le 25 juin 1807) ogłoszona u Loreta, Między Jeną a Tylżą, 148—150.

MÓJ POBYT W NIEWOLI ROSYJSKIEJ

w roku 1812.

VI.

Biedny porucznik widocznie poraz pierwszy w życiu sprawować zaczął dowództwo samodzielne i nie wiedział, jak sobie z niem poradzić i od czego zacząć. Najwięcej kłopotu przysparzał mu spis jeńców; był to labirynt, z którego nie mógł wybrnąć. Mnóstwo umarłych zapisanych żyło jeszcze w najlepsze, a wielu tam żyjących należało oddawna do nieboszczyków. Biedak pocił się nad sporządzeniem spisu nowego, a gdyby mu Roeder nie był przy tem dopomógł, to Bóg wie, jakiegohy spółdził dziwoląga.

W dniu naszego wyjścia z Penzy pogoda była okropna. Po pięciu dniach dowlekliśmy się do Pietrowska. Jest to miasto powiatowe w gubernii Saratowskiej, oddalone o 100 wiorst od Penzy. Mieliśmy iść dalej jeszcze 100 wiorst do Saratowa, więc tu odprawiliśmy dniówkę, a odpocząwszy, puściliśmy się w dalszą drogę. Ledwo uszliśmy trzydzieści kilka wiorst i zatrzymali się dla wytchnięcia w kolonii niemieckiej Bowocznie, gdy porucznik otrzymał z Pietrowska rozkaz zatrzymania się w tej kolonii tak długo, aż innego rozkazu od gubernatora nie dostanie.

Mróz był silny, więc zziębnięci zasiedliśmy na ławie przy piecu w domu jednego z poczciwych kolonistów. Ponieważ kolonia ta była bardzo ludna, więc w każdym domu umieszczono po dwóch jeńców. Chorych wszystkich zgromadzono w jednym domu, dla nich wyłącznie przeznaczonym i, o ile się dało, zao-

patrzonym we wszelkie wygody. Porucznik, Roeder, Maliński i ja stanęliśmy razem w jednej kwaterze.

Koloniści pochodzili z Wirtembergii, a założyli tę kolonię jeszcze za panowania Katarzyny II. Byli to ludzie pracowici i zamożni, żyjący z sobą w chrześcijańskiej zgodzie i w prostocie obyczajów. Od rządu otrzymali wszelką pomoc i poparcie, aby mogli uprawiać należycie bardzo znaczny obszar ziemi, z którego dotąd ciągną korzyści. Według naszej oceny, każdy z nich musiał posiadać blisko 12 włók roli, i to roli wybornej. Lasu nie było nigdzie, rola sama była za zimna i za tłusta, aby się na niej ozimina mogła udawać. Pszenica była tam marna, ale żyto, jęczmień, groch i owies rodziły się znakomicie. Ziemniaki bywały nietęgę, pomimo że ludzie ci pod ich uprawę wybierali sobie ziemię, o ile można, najodpowiedniejszą, nigdy ich dosyć nie mieli, a brakowi temu zaradzić nie mogli, tembardziej, że sąsiadujący z nimi włościanie rosyjscy ziemniaków nie sadzą wcale. Rola była bardzo tłusta, latem podczas suszy twarda, jak kamień, gdy deszcze padały, stawała się bagnistą; na takiej ziemi ziemniaki udać się nie mogą, a muszą się wyradzać i marnieć. Łąk i wody ludzie ci mieli pod dostatkiem, nieomal do zbytku, więc też i bydło posiadali piękne i wyborne. Domy ich spore, zbudowane były z kamieni, izby wewnątrz przestronne, również komory, kuchnie i piwnice. W izbach pełno było szaf, stołów, stołków i ław drewnianych, na ścianach błyszcząły sprzęty cynowe i miedziane. Gdyśmy tu, po kilku miesiącach bardzo marnego żywienia się u chłopów rosyjskich, poraz pierwszy ujrzeli spore kawały wołowiny, przyprawione smacznie podlewą korzenną, albo pieczenie wieprzowe z ziemniakami i sałatą selerową, gdy nam te potrawy zapachniały, to zdawało się, że zasiadamy do stołu bogów olimpijskich. Jedliśmy też, jak najęci, a żołnierze objadali się tak, że aż zaczęli chorować z obżarstwa. Dla chorych, umieszczonych w t. zw. lazarecie, sam codziennie wyznaczałem ilość i jakość strawy.

Koloniści zwykłym władzom krajowym, t. j. gubernatorom, sprawnikom, horodniczym i t. p., nie podlegają zgoła; w każdym mieście gubernialnem znajduje się osobny kantor cesarski, czuwający nad bytem i sprawowaniem się kolonistów, a kantor ten porozumiewa się bezpośrednio z ministrem spraw wewnętrznych.

Niewątpliwie kolonistów tych możnaby nazwać ludźmi bardzo szczęśliwymi. Dopiero po dziesięciu latach osiedlenia zaczynają płacić podatki rządowe, bardzo niewielkie; od służby wojskowej są wolni, ale dzieci ich mają widoki zostania żebrakami

albo poddanyimi panów rosyjskich, a to dlatego, że ojcowie rozdrabniają ziemię, dzieląc ją między dzieci. Jeżeli taki osadnik ma czterech synów, to każdemu z nich dostaje się częśćka ziemi, niewystarczająca do jego utrzymania, więc albo ją musi sprzedać i w inny sposób postarać się o utrzymanie, albo też przepija ojcowiznę. Słyszałem, że podobno takie dzielenie ziemi ma być zabronione prawnie, aby nadal gospodarstwa osadników nie marniały.

Nigdy nie przestanę dziwić się temu, że ludzie skłonić się dają do szukania chleba gdzieś w głębi Rosyi, w okolicach pustych i bezludnych. Większości z nich w ojczyźnie pracować się nie chciało, a Rosya wymaga rąk pracowitych. Kto szczęśliwie i zdrowo dowlecze się do miejsca przeznaczonego, niech za to dziękuje łasce Opatrzności. Każdy kolonista i później jeszcze ze drżeniem wspomina tę wędrówkę, koszty i trudności przebyte podczas pochodu przez tyle krajów i ludów obcych. Widziałem sam, jak kupy takich osadników pędzono pod strażą, jak bydło; wszyscy byli odarci i wygłodzeni, prawdziwi żebracy. Nie rozumiem też po co Rosya ma żywić żebraków obcych. Kto się chce osiedlić w Rosyi, niech tam nie udaje się z pustemi rękoma, ale niech też ma baczne oko na swoje grosze.

Każdy osadnik, stanąwszy na miejscu, otrzymuje od rządu parę koni, jednego wołu, krowę, niektóre sprzęty rolnicze i zaliczkę sturublową. Trzy lata jest wolny od wszelkich podatków; osadnicy zaś dawniejsi zobowiązani są pomagać mu przy budowie domu i urządzeniu zagrody.

Chętnie byłbym się poznał z pastorem tej kolonii, panem Rambachem, ale go wówczas tam nie było, gdyż wyjechał na pewien czas z całą rodziną.

Tydzień już cały karmili i wypasali nas koloniści, gdy nagle porucznik otrzymał rozkaz przyprowadzenia nas z powrotem do Pietrowska. Łza niejedna zabłysła w oku, gdyśmy się żegnali z tymi prostymi, poczciwymi ludźmi. Wypoczynek i strawa dobra pomnożyły liczbę moich chorych; niemal połowa jeńców popsuła sobie żołądek; przyznaję, że i ja sam czułem w nim pewien niepokój. Poprostu byliśmy odzwyczajeni od spokoju i strawy porządnej.

Przyjęcie nasze w Pietrowsku niekoniecznie było przyjemne. Gospodarz, u którego mnie zakwaterowano, kłął i przeklinał od rana do nocy, musiałem się przed nim zamykać na klucz w swoim pokoju. Huzar, usługujący mi, trębacz Hartmann, złym okiem spoglądał na zachowanie się gospodarza i w końcu pobił go po-

rzadnie. Oskarżono go za to u horodniczego. Do swego pokoju nie wpuszczałem żywej duszy, nie wychodząc z niego całe dwa tygodnie, bo oddawszy chorych, nie miałem teraz nic do roboty. Porucznik pożegnał nas, Roeder z Malińskim zajmowali kwaterę gdzieindziej, byłem więc całkiem opuszczony, w końcu rozchorowałem się, a w duszy zaczęły mi nurtować myśli hipochondryczne. Obrazy życia dawniejszego migwały się przed oczyma duszy, a chmury ciemne ją zamraczały. Ciało cierpiało również. Nie raz życzyłem sobie zejść z tego świata i rozwalony na ławie pod piecem wyczekiwałem kosy śnierci. Huzar mój codziennie kładł mi w uszy, że samozachowawczość jest obowiązkiem każdego człowieka, aż mi się tem tak naprzykrzył, że i jego za drzwi wypchnąłem. Jeszcze niedawno, podczas naszych pochodów, bywałem zwykle pocieszycielem towarzyszków niedoli, a teraz sam sobie pociechy znaleźć nie mogłem; odwaga dotychczasowa opuściła mnie całkiem.

Pan horodniczy i lekarz powiatowy przyszedli mnie odwiedzić, a dwu tym ludziom udało się podnieść mnie na duchu. Przeniesiono mnie do innej kwatery, obaj zaś zaprosili do swego stołu.

Pietrowsk jest mięsciną powiatową w gubernii Saratowskiej, posiada 500 domów drewnianych, w których mieści się 3000 mieszkańców; leży nad rzeką Miedwiedicą. Okolica jest nadzwyczaj żyzna, ale rzeka częstymi wylewami sprawia szkód niemało. W miasteczku panuje handel ożywiony mąką i jarzynami, sporo też ryb zwożą na targi tutejsze. Są tam trzy cerkwie i monaster męski, ufundowany przez Piotra W., będącego też założycielem samego miasteczka. Katarzyna II, w przystępie złego humoru, chciała to miasteczko zamienić na wieś, ale fantazyja jej ustąpiła prędko i Pietrowsk został, czem był dotąd.

Pan horodniczy, nadworny sowiećnik Kern, był urzędnikiem starym i zasłużonym, a w Pietrowsku mieszkał z liczną rodziną. Lekarz powiatowy von Bergen, jako lekarz, nie okazywał wprawdzie zbyt wielkiego doświadczenia, ale przypuszczam, że musiał mieć jakieś zasługi w powiecie, bo horodniczy cenił go bardzo.

Niejaki p. Lubantin oddał mi do rozporządzenia cały swój dom, ponieważ sam rzadko w mieście przemieszkiwał. Ponieważ jednak samotność na usposobienia moje źle oddziaływała, horodniczy ofiarował mi pokój w swoim domu, co z wdzięcznością przyjąłem i przeprowadziłem się natychmiast.

Liczba chorych zwiększała się z każdym dniem, ponieważ w mieście znajdowali się nietylko ci, którzy wraz ze mną tu przybyli, ale także mnóstwo innych, pozostawionych przez różne trans-

porty. Nieszczęśliwych tych biedaków było tu 122, a wszyscy błagali pomocy lub wyglądali rychłej śmierci.

Pocziwy stary radca Kern nie wiedział, co począć z tylu chorymi, a lekarz powiatowy miał na głowie zbyt wiele czynności urzędowych, brak mu też było doświadczenia, aby się mógł z pożytkiem sprawą tą zająć.

Opracowałem więc plan, aby biednym jeńcom naszym ulżyć choćby jako tako, a przytem i mieszkańców ochronić od możliwego zarażenia się.

Miano mi oddać cztery domy w mieście na lazarety, jakoteż dostarczyć leków i opatrunków koniecznych, oraz ludzi, potrzebnych do dozorowania i usług chorych. Na wszystko to horodniczy Kern zgodził się chętnie, ale musiał wprzód postarać się o pozwolenie gubernatora. Gubernator przystał na wszystko i po 10-iu dniach oddano mi cztery domy do użytku. Leki przysłano z apteki rządowej z Saratowa, sprzętów zaś koniecznych i materiałów opatrunkowych dostarczyli mieszkańcy Pietrowska. W każdym z tych domów umieściłem 25—30 chorych, silniejsi pozostali w swych kwaterach. Po trzech z liczby jeńców zdrowych wyznaczano co tydzień, jako posługaczy szpitalnych do każdego z tych domów, na czele 12 sanitaryuszów postawiłem kilku podoficerów, także z grona jeńców, a jeden z oficerów został inspektorem lazaretów. Żołd, należący się chorym, zatrzymywał u siebie horodniczy, obracając pieniądze na zakup żywności oraz na utrzymanie ochędóstwa w lazaretach. Najęto też dla nich pracę. Niestety! brak mi było wszelkich narzędzi chirurgicznych, a że większość chorych cierpiała na zgorzel wskutek odmrożeń, więc częste odejmovanie i wyluszczenia członków bywały niu-niknione. Ale przyciśniony biedą człek musi sobie radzić, jak może, a niedostatek i ubóstwo nieraz bywają rodzicami wynalazków. Byłoby śmiesznością nie do wiary, gdybym się silił na dawanie nazw narzędziom, które tu, pod naciskiem konieczności, sporządzić kazałem podług własnych wskazówek. Trzeba było zastosować wszystko do potrzeb chwilowych, a teraz przekonałem się dopiero naprawdę, że bogaty zasób narzędzi bynajmniej nie jest konieczny dla chirurga i nie świadczy też bynajmniej o jego zręczności. Ileż to razy pokazywano mi narzędzia pysznie odrobione, z jaką też pedanterią obchodzono się z niemi, ale wtedy właściciele ich bywali zwykle tylko miłośnikami błyszczącego wyglądu tych narzędzi, nie umiejąc obchodzić się, jak należy, z ich ostrzem.

Mróz w grudniu dochodził do 29° R., przez cały ten miesiąc wiał wiatr północny. Przeciw wiatrowi północno-wschodniemu miałem obronę w swym grubym kozuchu baranimj z Syberji, pokrytej śniegiem, nie przylatują zefirki łagodne. Wiatr północny rzadko zwiewał nam mrozy tak silne, jak północno-wschodni; południowo-wschodni przynosił śnieg lub odwilż, zachodni zawsze pogodę i ciepło. Wielu starych mieszkańców Pietrowska zapewniało mnie, że już od lat wielu nie przypominają sobie mrozów tak srogich, jak obecne; niektórzy twierdzili, że Francuzi, cofając się, zabrali ciepło ze sobą. Na mieszkańców różne wiatry miały wpływ rozmaity. Jeżeli przez czas dłuższy wiatr wiał od południa, częstemi stawały się nieżyty i cierpienia reumatyczne; podczas wiatru północno-wschodniego, który niósł ze sobą mrozy, ludzie odmrazali sobie często ręce lub nogi. Członki odmrożone przechodziły też wtedy najczęściej w zgorzel, a rzadko tylko można było chorego takiego ocalić, zwykle dostawał szczękoscisku i tężca, który zawsze kończył się śmiercią. Francuzów, Włochów, Hiszpanów i Portugalczyków, pomimo że narody te przecie nie są wcale przyzwyczajone do ostrości zimy północnej, zawsze udawało się wyleczyć, gdy zostali dotknięci zgorzelą po odmrożeniu, a wszelkie operacye, na nich robione, miały wyniki pomyślne. Polaków i Niemców tylko z trudem wielkim udawało się ocalić; wielu umierało. Miałem też w lazarecie kilku Szwajcarów, ale z tych ani jeden nie wyzdrowiał, pomarli wszyscy; widocznie tęsknota do ziemi rodzinnej pozbawiała ich wszelkich sił i nadziei. Moje lazarety przepełnione były głównie ludźmi z najcięższymi odmrożeniami; ale niemało też tam było cierpiących na wycieńczające biegunki oraz na dur (typhus).

Pomimo, że wszyscy zostawaliśmy pod rozkazami horodniczego, wykonywał jednakże nad nami rodzaj dozoru policyjnego pewien kapitan weteranów; był to stary wojak, mający nos sztuczny. Nie bożek Mars przyprawił go o utratę tego nosa, lecz złożył go w ofierze na ołtarzu Wenery. Będąc sam bez nosa, chciał nas za nos wodzić, a że był przytem nałogowym pijakiem, więc też zachowywanie się jego było wcale niepoprawne, a nieraz wprost obrażające. Raz, gdy się do mnie przyczepił, dałem mu szcztka w nos, tak, że mu spadł, a wtedy wszyscy aż przerazili się, obaczywszy szpetną otchłań w jego twarzy. Odtąd zaczął mnie unikać, a zbliżywszy się, zawsze dwoma palcami nos swój sztuczny przytrzymywał.

W styczniu (r. 1813) horodniczy otrzymał rozkaz, aby wszystkich jeńców z wojska polskiego zaopatrzone w odzież, a następ-

nie wysłano ich do Saratowa, ponieważ jeńcy ci mają otrzymać wolność; postanowiono z nich utworzyć oddział osobny, który miał być wysłany do gubernii Gieorgiewskiej, gdzie miał strzedz granicy perskiej. Roeder i Maliński byli niepocieszeni, że się mieli ze mną rozstać, gdyż ja, na miejscu mając tyle roboty, byłem zwolniony od pójścia do Persów; ale huzara mego, Hartmanna zabrano, a strata jego bardzo mnie zasmuciła. Dnia 15 stycznia tedy 25-iu Polaków wyruszyło z Pietrowska; wielu ich żałowało, a niejedna niewiasta zapłakała po nich. Żegnając się z nimi, byłem pewny, że już nigdy żadnego z nich nie zobaczę, bo widocznie cesarz posyłał Persom ludzi tak dzielnych.

W takiej okolicy, jak pietrowska, gdzie już każdy cudzoziemiec sam przez się wzbudza ciekawość ogółu, tembardziej lekarz obcy musiał zwrócić na siebie uwagę i dojść do rozgłosu. Mnie się poszczęściło u szlachty tamtejszej. Niejaki obywatel Karpow, cierpiący na czwartaczkę, a leczony niewłaściwie, dostał wodnej opuchliny; wezwał mnie do siebie i udało mi się, stosując odpowiednie leczenie, postawić go na nogi. Odtąd zasłynąłem w Pietrowsku odrazu. Wzywano mnie na wieś lub przyjeżdżano do mnie do miasta. Nigdy jednak nie podejmowałem się leczyć kogokolwiek, jeżeli lekarz powiatowy nie był przytem obecny. Prawda, że kolega ten nie odznaczał się tak dalece nauką i doświadczeniem, ale ceniłem go dlatego, że nie spostrzegłem w nim nigdy śladu samolubstwa lub zazdrości; przymioty to rzadkie i godne uznania.

W rodzinach Apliczejewów-Koszkiniów, Szmakinów, Kirejewów, Lubantiniów i Stołypiniów znalazłem zajęcia dosyć, a wszyscy obchodzili się ze mną przyjaźnie, darząc mnie swą zażyłością. Okazywałem im też wdzięczność i starałem się wszelkimi sposobami stać się godnym ich łaskawości. Imię moje, zmienione na sposób rosyjski — Samuil Fieodorowicz, wkrótce stało się znanem nawet między chłopstwem okolicznem. Przytem miałem dochody wcale dobre i pugilares mój napełniał się papierkami. Komu się Fortuna uśmiecha, temu chętnie też towarzyszy i Gracya. Za wieleby to czasu i miejsca zajęło, gdybym chciał wyliczyć wszystkie te rodziny, z którymi się wtedy zetknąłem, a może też moje pióro wydałoby niechęący niejednen pogląd lub spostrzeżenie, które lepiej niech pozostaną na dnie duszy, jako miłe wspomnienia.

Zresztą to, co tu stoi, nie jest opowiadaniem Samuila Fieodorowicza, i wcale niem być nie może, lecz należy do polskiego lekarza pułkowego, znajdującego się w niewoli.

Wszystkie operacje, których się podejmowałem, miawały powodzenie bardzo pomyślne; jedną z nich opiszę, ponieważ była rzeczywiście dosyć ciekawa, zwłaszcza dla mnie samego, gdyż za nią otrzymałem honorarium: bardzo sute. We dworze p. Stołypina znajdował się człowiek powszechnie nazywany dwugłowym. I na mnie zrobił takie wrażenie, gdym go ujrzał poraz pierwszy, rzeczywiście wyglądał tak, jakby posiadał dwie głowy. Po zbadaniu, okazało się, że miał po lewej stronie twarzy wielki nowotwór, mały co mniejszy od głowy. Był to człowiek trzydziestokilkoletni, ojciec licznej rodziny, a ulubieniec starego p. Stołypina. Guz jego wzrósł tak w ciągu lat 16-tu. Żadnej przyczyny powstania guza chory podać nie umiał. Był to nowotwór twardy, wyrastający z lewej ślinianki przyusznej (Parotis), którego usunięcie uznałem za konieczne, a chory zgodził się na to. P. Stołypin czynił wielkie obietnice, jeżeli mi się uda tego człowieka wyleczyć. Na moje żądanie postarano się o kilku pomocników uzdolnionych, a narzędzia, konieczne do operacji, sprowadzono z Saratowa i z Penzy. Wyluszczenie guza trwało 37 minut, musiałem podwiązać 13 tętnic, a po ukończeniu operacji społem ranę za pomocą 6-iu szwów krwawych.

Wyluszczony przezemnie guz ważył 3 funty i 11¹/₂ łuta, zawierał w sobie masę łożowatą zbitą, zmieszaną ze złogami piaskowatemi. Po pięciu tygodniach człowiek ten był wyleczony zupełnie, zachował jedynie na pamiątkę skrzywienie ust.

W lutym pogoda zaczęła się nieco ocieplać, jednakże mróz, dochodzący do 14^o R., przetrwał do końca miesiąca. Wtedy zaczął wiać wiatr południowy, przynosząc z sobą powietrze wilgotne, gęste i mgliste, któremu towarzyszyła odwilż. W mieście i w okolicy zaczęły panować różne przypadłości nieżytowe i reumatyczne. Gorączki stały się dosyć powszechnymi, ale nie były uporczywe, jeno krztusiec zabierał liczne ofiary z pośród dzieci i młodzieży. Kalomel, naparstnica (*Digitalis purp.*), wyciąg lulkowy (*Extr. Hyoscyami*), ipekakuana, jako środek wymiotny, działały jeszcze najlepiej przeciw tej chorobie. Nie może ulegać wątpliwości, że krztusiec jest chorobą błon surowicznych i limfatycznych w piersiach, a żaden środek na te narządy lepiej od kalomelu nie działa.

Mieszkańcy tutejsi uważali ospę jeszcze za dar Boży, o szczepieniu krowianki nikt tu jeszcze słówka nie słyszał; nikt też nie złożył dowodów doniosłości i użyteczności tego wynalazku. Nie dziw więc, że i pan lekarz powiatowy, von Bergen, mniemał, że

szczępienie krowianki jest jeno bajeczką, puszczoną w świat przez Jennera.

W tymże miesiącu lutym horodniczy otrzymał rozkaz, aby wszystkich jeńców opatrzone w odzież konieczną, zachowując przytem jednakże oszczędność, o ile można, największą. Żołnierze prości otrzymali wtedy koszule, spodnie płócienne, trzewiki oraz kapoty sukienne; oficerowie również ubrania lub pieniądze na ich zakupienie.

Gdy wyszedł rozkaz przydziania wszystkim jeńców, niebawem gruchnęła też wieść zawistna, że załatwiając tę sprawę, popełniono mnóstwo nadużyć, wręczając obliczenia z prawdą niezgodne. W Rosyi niewątpliwie każdy urzędnik o własnej korzyści pamięta; a czyż to zbrodnia? toć przecie już Fryderyk W. powiedział, że osioł u żłobu postawiony żreć powinien.

Mojemu poczciwemu horodniczemu cała ta sprawa spadła na barki, jako ciężar niesłychany. Poczciwiec miał serce najlepsze, ale głowę słabą, więc też wszystkie te obliczenia, w których nakazano mu pogodzić potrzeby jeńców z oszczędnością, obarczały go kłopotem nielada. Biedaczysko mozolił się dniami całemi, słęcząc nad liczbami, a rady sobie dać nie umiał.

Z tego więc powodu moja pomoc chętna nie na wiele przydać się mogła staremu, bo już liczącemu 71 lat, horodniczemu, który mnie zapewniał, że liczenie to bez końca kres położy jego żywotowi. Po licznych trudach doprowadziliśmy wprawdzie obliczenia do należytego porządku, ale poczciwy staruszek rozchorował się naprawdę i zmarł po tygodniu. Cały powiat przez śmierć jego stracił niemało, rodzina zaś — wszystko, my jeńcy nakoniec prawdziwie dobrotliwego ojca. Na chorych, zostających pod moją opieką, śmierć horodniczego wywarła wrażenie przygnębiające, opłakiwali go wszyscy, a kapitan La Violette z pułku piątego luzarów francuskich tak bardzo się zmartwił, że także wkrótce potem rozstał się ze światem.

Kilku oficerów, których poleciłem moim znajomym, otrzymali teraz pozwolenie zamieszkania w okolicy na wsi; więc sam uczułem się, jakby opuszczony, co mi tembardziej ciążyło, że też ograniczono możność czynienia dobrze chorym jeńcom. Nowomianowany horodniczy, niejaki Żidkow, widocznie o ludzkości nigdy nic nie słyszał.

Po jakimś czasie doła wyrwała mnie nakoniec z położenia tak przykrego. Od gubernatora saratowskiego nadszedł rozkaz, aby mnie natychmiast przysłano do Saratowa. Ponieważ w rozkazie tym wyłącznie tylko o mej osobie była mowa, dwu luzar-

rów, których sobie z pośród jeńców do usługi wybrałem, nie chciało ze mną puścić, przeciw czemu wystąpiłem bardzo stanowczo i w końcu postawiłem na swoim.

Dnia 15 maja r. 1813 wyjechałem tedy z huzarami swymi do Saratowa; na odjeźdźnym musiałem wszakże dać słowo, że jeszcze raz powrócę. Spełnienie tego przyrzeczenia uważałem sobie za miły obowiązek. Jako towarzysza z urzędu, dodano mi żołnierza; wyjechałem powozem w trzy konie. Powóz i konie moje własne pozostały tymczasem w Pietrowsku.

Nocleg miałem w Bowocznie, kolonii niemieckiej, w domu pastora tamtejszego, Rambacha.

Nazajutrz wieczorem stanąłem w Saratowie i zajechałem wprost przed pałac gubernatorski, którego okna były jasno oświetlone, a z wnętrza dolatywały głośnie dźwięki muzyki. Wobec tego zwróciłem się do towarzyszącego mi żołnierza, aby się zajął wyszukaniem kwatery w mieście, bo dziś przecie gubernator mnie przyjąć nie zechce. Ale na nic się to zdało. Rosyanin zwykł zawsze wykonywać dosłownie rozkaz, dany sobie od władzy. Żołnierz zszedł więc z kozła i wszedł do pałacu, aby złożyć raport o naszym przybyciu. Pomału poszedłem za nim. Dotarłem do sali bilardowej i tam się zatrzymałem, czekając powrotu żołnierza. Gdy tak czekał, przypatrywała mi się ciekawie służba oraz różni eleganci, przez pokój ten przechodzący.

Żołnierz przyniósł mi wiadomość, że gubernator osobiście chce ze mną pomówić. Zniecierpliwiony, przeszedłem kilka pokojów dalszych, nakoniec wszedłem do jednego, w którym panie poprawiały ubranie głów. Jakiś pan zbliżył się do mnie, uprzejmie zapraszając, abym powrócił do sali bilardowej, gdzie przybycia gubernatora mogę oczekiwać napewno. Ponieważ pan ten trzymał skrzypce pod pachą, miałem go za muzykanta i nie bardzo dawałem wiary jego słowom; domyślając się może tego, zapewnił mnie, że wkrótce gubernatora do mnie przyprowadzi. Po półgodzince pan ze skrzypcami przedstawił mnie gubernatorowi. W zdumienie wprawił mnie nie gubernator, przystrojony we wstęgi i order, ale właśnie ten pan ze skrzypcami. Jego ekscelencja przyjął mnie bardzo łaskawie, oświadczając, że otrzymam pozwolenie swobodnego powrotu do Saksonii, skąd pochodzę, oraz że mnie tu oczekuje pułkownik, baron von Leyser, z gwardyi przybocznej królewsko-saskiej, z którym razem mam pojechać. Podziękowałem panu gubernatorowi za tę przyjemną nowinę, ale jednocześnie poprosiłem o pozwolenie powrócenia jeszcze na dwa tygodnie do Pietrowska, ponieważ stosunki, zawiązane w tem

mieście, na mój wyjazd niezwłoczny nie pozwalają. „Wolałbym—odrzekł na to gubernator—gdybyś pan nazawsze u nas chciał pozostać, jednakże prosić muszę, byś się pan w tej sprawie w każdym razie porozumiał z pułkownikiem von Leyser.“ Jegomość ze skrzypcami zapytał mnie potem, czy nie chciałbym stanąć u niego kwaterą? Zmieszało mnie to bardzo, bo zaproszenie było dziwne. Widząc to gubernator, dał mi radę przyjęcia bez wahania gościnności w domu tego pana, który jest baronem von Krüdener, zapewniając mnie, że u niego spotkam się z dobrem towarzystwem i mile czas spędzę. Jednemu ze służących wydano rozkaz zaprowadzenia mnie natychmiast do nowej kwatery, mnie zaś pożegnano. Gdym wychodził, służba spoglądała na mnie z wielkiem uszanowaniem, widocznie w oczach jej wyrosłem nagle na osobistość znakomitą.

Dom barona zastałem pełnym życia. W jadalni zgromadziło się towarzystwo bardzo liczne. Stoły były nakryte. Przedstawiono mnie pani baronowej; powitała mnie odrazu, jakby dawnego znajomego. Z ust niejednego z obecnych wyrwało się moje nazwisko, wymówione głośno. Było tam kilku oficerów polskich i saskich, a zwłaszcza wielu francuskich. Panowie ci starali się zabawiać dwie córki pani baronowej. Księżę Hohenlohe i generał Bonamy,¹⁾ z którymi razeni w polu trud niejeden przeżyłem, ucieszyli się bardzo, oglądając mnie w tym zacnym domu. Rozkosz takiego spotkania można odczuć tylko, opisać jej niesposób.

Następnego dnia rano w towarzystwie barona pojechałem do królewsko-saskiego pułkownika Leysera; będąc chorym, przyjął nas w łóżku, a gdym mu oświadczył, że pod żadnym warunkiem prędzej niż za dwa tygodnie nie mógłbym opuścić Pietrowska, zrobił minę prawdziwie godną pułkownika saskiego i rzekł mi: „Widzę, że pan przestał już być Sasem prawdziwym, a ja tu na przybycie pańskie już od tygodnia czekam.“

Ów pułkownik nie był moim zwierzchnikiem i do mnie właściwie prawa żadnego nie miał; może być, że jako poddanemu saskiemu chciał mój powrót przyspieszyć. Żal mi go było, widząc, że mu zawód robię, ale Bogiem a prawdą, jako kto miałem z nim jechać do Saksonii?—czy jako lekarz przyboczny, czy jako sługa? czy jako jedno i drugie równocześnie? Przyznaję, że nie czułem do tego najmniejszej ochoty. Jeżeli mnie wypuszczą z niewoli,

¹⁾ Bonamy Karol August, ur. 1764 r. zm. 1830 r., w bitwie pod Moskwą 1812 r. został ciężko-ranny i wzięty do niewoli.

to chciałem, jako człowiek wolny, wrócić do Polski. Zajmując się praktyką lekarską w Pietrowsku, zebrałem dosyć grosza, miałem własny powóz i konie, było więc za co i o czem puścić się w drogę powrotną.

Gubernator saratowski, Panczulew, był człowiekiem nad wyraz miłym; ludzkości swej złożył niezliczone dowody, dbając o dobro wszystkich jeńców naszych, pod jego władzą będących; był też bardzo wykształcony. Należał do zapalonych miłośników muzyki, a co tydzień zgromadzał u siebie z całego miasta wszystkich muzyków zawodowych i dyletantów. Spraszał również do siebie wykonawców sztuk innych, ku ucieście i zabawie gości.

Mój uprzejmy gospodarz, baron Krüdener, t. j. pan ze skrzypcami, był prawdziwym bigosem ze wszech dziwactw ludzkich. Kto się nań poraz pierwszy natknął, musiał niewątpliwie mniemać, że go Pan Bóg brakiem piątej klepki skarał, a jednak był to jeden z najszlachetniejszych ludzi na świecie, człowiek, w którego złotem sercu ludzkość i przyjaźń obrały sobie mieszkanie. Kto pod dach jego zawitał, znalazł tam przytułek i spokój. Niechaj mu Bóg wynagrodzi za wszystko dobre, doznane od niego, a tysiące współjeńców za mną słowa te powtórzy. Inię jego we wszystkich krajach Europy z pewnością ze czcią największą długo wspominać będzie.

Trudno byłoby nie nazwać barona dziwakiem, a rozmowa, którą z nim miałem, utwierdziła mnie jeszcze w tem mniemaniu. Mówiliśmy o nim samym, a na zdanie, przezemnie wypowiedziane, odparł: „Kochany panie! sądzisz mnie i błędnie i niesprawiedliwie. Jak pan widzi, żyję tu po wielkopańsku, a nieraz wraz z rodziną zadowolili się muszę kawałkiem suchego chleba. Nie lubię towarzystwa, a mimo to dom mój jest prawdziwym zajazdem, bywam na wszystkich zebraniach i balach, nawet na pijatykach bywać muszę. Nie zajmuję żadnego stanowiska w służbie rządowej, jestem do tego też zupełnie niezdolny, a jednakże dzień i noc jestem wciąż zajęty. Muzyki niecierpię, gram jednakże, jak wirtuoz, na fortepianie i na skrzypcach. Kart nienawidzę, pomimo to w bostona przegrywam nieraz pieniądze bardzo znaczne. Jestem straszliwie skąpy, płacę wszakże bez zmarszczenia brwi rachunki, często bardzo grube, żony i córek. Będąc wzorem wierności małżeńskiej i zasługując na takie miano, jednak wszędzie narażony jestem na pokusy, którym uledeć trzeba. Co obiecuję, to i spełnię, często wszakże zapominam o swych obietnicach.“

Ta charakterystyka własna człowieka zmusiła mnie do milczenia, ale nazawsze w pamięci mojej pozostanie.

Miasto gubernialne Saratów leży nad Wołgą, a jak mi mówiono, liczy 18 do 20-tu tysięcy mieszkańców. Pomimo, że przed dwoma laty większą część domów zniszczył pożar, znać było jednak zamożność mieszkańców. Wołga jest drogą handlową bardzo ruchliwą, łączącą Saratów z prowincjami północnymi i południowymi Rosyi. Podczas pobytu mojego w tem mieście właśnie innóstwo statków z Astrachania stało na kotwicy u brzegu. Wiele ulic w mieście jest niezabrukowanych, ale wszystkie są bardzo szerokie i pełne ruchu. We wszystkich niemal sklepach spostrzegałem wystawione na sprzedaż przedmioty zbytkowne; jedwabie tureckie i perskie wszędzie były w oko; są to wyroby bardzo staranne i piękne. Hernhuci z Sarepty¹⁾ też mają tu skład swoich towarów, zarządza nim p. Rühl, Sas, więc mój ziomek, z którym niejedną godzinę mile spędziłem; u niego też poraz pierwszy miałem sposobność przeczytania gazet niemieckich, wydawanych w Rydze.

Podczas mego pobytu w Saratowie zjechał tam też lekarz powiatu pietrowskiego, p. Ostafij Christoforowicz von Bergen, który wracał właśnie z Symbirska, dokąd się był udał, aby załatwić jakąś sprawę. Opowiedział mi, że poznał się tam z pułkownikiem polskim, Dobrowolskim, przebywającym pod ścisłym dozorem policyjnym, jako podejrzany o szpiegostwo, ale jest nadzieja, że wkrótce odzyska wolność. Podobno, jako mieszczanin płocki, zachował się nieco niepolitycznie, ale mając silne poparcie, z pewnością otrzyma ułaskawienie cesarskie. Tego Dobrowolskiego znałem bardzo dobrze, jako dowódcę gwardyi narodowej w Płocku, więc też dola jego żywo mnie obchodziła.

Z lekarzami saratowskimi znajomości nie zawarłem, żaden z nich rozgłosu nie używał, ale, jak niemal wszędzie w Rosyi, byli to panowie niezmiernie wysoko zadzierający nosa.

Miasto Saratów, mające w herbie trzy sterlety, leży w okolicy pustej, jałowej; otaczają je wzgórki piaszczyste, pokryte zarosłami jałowcu. Na przeciwległym brzegu Wołgi rosły gęsto jodły i sosny, ziemia tam wygląda też na urodzajniejszą.

Pięć dni spędziłem w Saratowie, doznając wiele przychylności i uprzejmości. Te pięć dni zatarły w umyśle moim wspom-

¹⁾ Sarepta, osada w pow. carycyńskim, gub. saratowskiej, od czasów Katarzyny II zamieszkała przez niemieckich kolonistów, braci morawskich (hernhutów), trudniących się przeważnie rolnictwem, uprawą tytoniu i gorczycy. O kolonistach niemieckich w Rosyi por. Klauss, Naszi Kolonii (Petersburg, 1869).

nienia ciężkich przejść, które się teraz tylko już jak sny przykre wydawały. Przeszłość tę rzuciłem teraz w nurty zapomnienia.

Gubernator był łaskaw przyjąć mnie raz jeszcze i wręczył mi rozkaz dla horodniczego Zidkowa, oznajmiający mu, że mam w Pietrowsku spędzić jeszcze dwa tygodnie. Po upływie tego czasu miano mi wydać wszystko potrzebne do swobodnego powrotu. Obaj huzarzy mieli mi również towarzyszyć.

Dwa tygodnie w Pietrowsku i okolicy minęły bardzo szybko, a poświęciłem je bólowi rozłąki i pożegnania.

Jeżeli, żegnając się, mieć można nadzieję ponownego zobaczenia się, jest to pociechą nielada, łagodzącą przykrość zrywania więzów przyjaznych; ja z przyjaciółmi tutejszymi żegnałem się na zawsze.

Wieczorem 27 maja 1813 r. wyjechałem z Pietrowska...

VII.

Dnia 28 maja 1813 r. przybyłem do Atkarska, miasta powiatowego w gubernii saratowskiej, oddalonego od Pietrowska mniej więcej o wiorst 60.

Z nudów przechadzałem się po miasteczku i zawarłem znajomość z jeńcami tu trzymanymi. Spotkałem w Atkarsku blisko 200 towarzyszków niedoli; ucieszyłem się, gdy między nimi znalazłem podpułkownika Mouffanga i adjutanta-majora Le Granda; była to znajomość obozowa z czasów dawniejszych. Obaj oficerowie byli ludźmi miłymi i wykształconymi, a bardzo rad byłem, gdy im mogłem wygodzić swym zapasem herbaty oraz innymi drobnymi przysługami. Tem łatwiej mogłem to uczynić, ponieważ mój powóz aż do granic Rosyi dobrze był zaopatrzony w zapasy potrzebne do życia.

Atkarsk ma całkiem wygląd wsi, okolica jest niebrzydka i urodzajna, ale prawie wcale nie zadrzewiona, zrasza ją rzeka Miedwedica. Mieszkańcy posiadają rysy złośliwe, zachowywali się też względem mnie, jak wogóle względem wszystkich jeńców bardzo nieprzychylnie. Jaki pasterz, taka i trzoda. Nawet lekarz powiatowy, ozdobiony orderem św. Włodzimierza, odpychał mnie od siebie zachowaniem swoim, więc też pozbawił mnie ochoty i sposobności poznania bliższego i dowiedzenia się czegoś o jego zdolnościach zawodowych, z orderu trudnoby mi było o nich sądzić.

Dnia 2 czerwca dostałem się nakoniec do Bałaszowa, miasteczka niewielkiego wprawdzie, ale zabudowanego porządnie i położonego w okolicy powabnej. Podczas drogi widziałem też wielkie wsie, ładnie zbudowane, okolone uprawnemi polami, w dali zaś czerniły się bory rozległe. Szczególne wrażenie wywarły na mnie majątki hr. Razumowskiego. Sioła te odznaczały się zamownością, porządkiem i czystością, widocznemi w każdej zagrodzie. Zrobiło to na mnie wrażenie bardzo miłe, a widok ten duszę na skrzydłach wspomnienia przeniósł w strony dalekie, całkiem inne. Dodany mi z Atkarska towarzysz pokłócił się z moimi huzarami, zaczął ich bić i przez nich został pobity, a z tego powodu między chłopami powstała istna rewolucya, musiałem więc dobyć szabli i przybiegłszy, przywrócić porządek i spokój, przyrzekając przytem wzburzonemu ludowi, że horodniczemu w najbliższem mieście oddam moich ludzi do ukarania.

W Bałaszowie było 206 jeńców, przeważnie Włochów, którzy wyrabiali wcale ładne plecionki ze słomy na sprzedaż, a że wyroby tego rodzaju dotąd nie były prawie tam znane, więc sobie w ten sposób ładny grosz zarabiali.

W Kirsanowie, gdzie stanąłem dn. 7 t. m., policmajster dał mi, jako straż, kaprała weteranów. Miasteczko to miało również położenie przyjemne i było porządnie zbudowane. Należy już do gubernii tambowskiej. Było tam mnóstwo jeńców, przeważnie chorych, a nadomiar pozbawionych pomocy i odzienia. Właśnie wyprawiano część tych nieszczęśników do Saratowa. Znalazłem między nimi barona von Stein, porucznika 21 pułku piechoty francuskiej; biedak był bardzo wycieńczony, pół nagi i bosy, ledwo trzymający się na nogach, pomimo to jednak miał iść w drogę z towarzyszymi niedoli. Co w mocy mej było uczyniłem, aby mu ulżyć w położeniu tak smutnem; dałem mu też list polecający do barona Krüdenera w Saratowie, jeżeli się tam dowłókt szczęśliwie, to z pewnością doznał od niego przyjaźni i opieki.

Ze wszystkich rzek, przez które się przeprawiałem, lub też wzdłuż brzegów ich jechałem, najwięcej zajęła mnie Worona tułejsza; pomimo że w niejednem miejscu, z powodu płaskości brzegów, rozlewa się szeroko, tworząc przytem bagna; okolica, którą płynie, nosi wszędzie na sobie ślady stóp Cerery i Flory. Rzeka sama nie należy do znaczniejszych.

Dnia 7 t. m., przejechawszy od Pietrowska blisko 700 wiorst, dojechałem do Tambowa. Udałem się natychmiast do horodniczego, który mi wyznaczył kwaterę, oświadczając zarazem, że

powiniennem się przedstawić księciu Gagarinowi, w którego rękę spoczywa najwyższa władza nad wszystkimi jeńcami.

Nazajutrz tedy odziałem się w mundur (którego w drodze nie używałem z powodu wielkiego upału, obywając się płócienną kapotą), przypasałem szablę i dumnym krokiem udałem się do księcia. Umyślnie mówię, iż szedłem dumnie, a mam do tego powody, bo osoby, postawione wysoko, nie patrzą złem okiem na tych, co się do nich zbliżają poważnie i z godnością. Nadto, jako wojskowy, jako jeńiec, powracający z niewoli, który umiał uczciwie zarabiać na swe utrzymanie, który krzepił się nadzieją, że nad jego głową znów powiewać będzie chorągiew, której wierność zaprzysiągł, nie potrzebowałem bawić się w ceremonie pokorne. Wprowadzono mnie do przedpokoju. Przy drzwiach stał odźwierny, pysznie strojny. Mnóstwo powozów, karet i dorożek czekało przed domem, a ciżba osób wchodzących i wychodzących dowodziła, że dziś był dzień wielkiego przyjęcia. Przeszło dwie godziny czekać musiałem; nudziło mi się okrutnie, a przybrana mina dumna kurczyć się zaczęła. Przechadzałem się po obszernej izbie tam i napowrót, czasem stawałem przed wielkiem zwierciadłem, które, jako jedyna ozdoba, wisiało tu na ścianie, i przyglądałem się ukłonom, które chciałem, a raczej musiałem złożyć księciu; od czasu do czasu opuszczałem też koniec szabli na podłogę lub też dzwoniłem ostrogami. Ale wszystko to bez skutku. Nawet odźwierny uwagi na to nie zwracał, stojąc nieruchomy.

Nakoniec, gdy już liczba wchodzących i wychodzących maleć zaczęła i szereg powozów przed domem się przeredził, otwary się jakieś drzwi i wyszedł z nich człowieczek drobny, we fraczku orzechowym, i zbliżywszy się do mnie, zapytał, czego sobie życzę. Myśląc, że mam przed sobą syna pana domu, odrzekłem krótko i węzłowato, że chciałbym mieć zaszczyt zobaczenia się z księciem. Był to on sam i popatrzał na mnie bardzo znacząco. Przypomniała mi się bajka o myszy, a zapomniałem od razu o postawie poważnej, do której niedawno przygotowywałem się przed zwierciadłem. O mało nie parsknąłem śmiechem, a że jakoś narazie w głowie mi się pomieścić nie chciało, że mam przed sobą osobistość tak wysoką, zapomniałem słowa w gębie, mierzając tylko oczyma, na ile też cali człowieczek ten wznosi się ponad poziom podłogi, zdaje się, że z mej strony było to niegrzecznie.

Być może, iż ten karłowaty książę rozgniewał się na mnie; być może, iż chciał mi szkodzić. Gdy mi ta myśl przemknęła przez głowę, nabrałem znów śmiałości i przemówiłem do niego

dosyć dumnie. Na co człowieczek odrzekł mi głosem patetycznym, że mój król saski musi być człowiekiem niemądrym i politykiem lichym, ponieważ tak wiernie stoi przy Napoleonie, z jego to winy wojska rosyjskie zmuszone zostały do cofnięcia się nad rzekę Katzbach. Jako jeniec, cóż wiedzieć mogłem o działaniach wojennych w Niemczech? gazet mi przecie nie dostarczano. Powiedziałem to księciu, dodając grzecznie, że jeńca, wiodącego jeno żywot bierny, boleśnie krzywdzi zarzut, królowi jego uczyniony, i księciu bynajmniej nie przystoi. Słowa te powiększyły jeszcze księżęcą niełaskę; mały człowieczek rozgniewał się teraz na dobre, oświadczając mi, że nadal pozostanę w Tambowie i że otrzymam mieszkanie w koszarach. Na to mu odpowiedziałem, że za swoje pieniądze znajdę sobie hotel, gdzie otrzymam pomieszczenie dla siebie, służby, powozu i koni, a mam czem płacić. Nadto dodałem i to jeszcze, że na ręce gubernatora złożę raport do Petersburga. Po takim oświadczeniu musiałem wysłuchać słów cierpkich i ubliżających, których mi człowieczek ten nie skąpił, milczałem na to, kłaniając mu się. Nie wiem, co to strach, ale znam uczucie w duszy, wyważające rozum z równowagi. Nakoniec ksiązę mnie pożegnał, więc udałem się do swej kwatery.

Gospodarza swego nie zobaczyłem, wogóle nigdy go nie widziałem na oczy, ale marne położenie w tej kwaterze odczułem już, począwszy od dnia następnego. Pokój, w którym mieszkałem, był pełen dynu, konie moje miały stajnię nikczemną, więc musiałem iść poskarżyć się do horodniczego; ten odesłał mnie znów do księcia. Zastosowałem się do jego rady, tembardziej, że mi dotąd nie wypłacono mego miesięcznego żołdu. Ksiązę Gagarin tym razem był dla mnie uprzejmiejszy, przyjął podanie, przestrzegł mnie jednak, że jako jeniec w Rosyi, nie powinienem się wyrażać zbyt swobodnie. Jeniec powinien przedewszystkiem być cierpliwy; ponieważ z urodzenia jestem poddanym saskim, nie może mi udzielić pozwolenia na dalszą podróż, póki na to z Petersburga rozkazu nie otrzyma. Nie miałem żadnego zaufania do tego człowieka, ale trzeba mu było być posłusznym, jednakże powiedziałem mu, że według mego zdania, odwoływanie się do Petersburga jest tu zupełnie zbyteczne. Już ja sam znajdę sposobność poskarżenia się, gdzie trzeba.

Dnia następnego udałem się do gubernatora, poznałem w nim człowieka uprzejmego i wykształconego, ale zdawało mi się, że ksiązę musi mieć nad nim pewną władzę, więc wizyta moja na wiele przydać się nie mogła.

Wicegubernator, Weiss, któremu również uszanowanie złożyłem, tak samo odzywał się o księciu z wielkim szacunkiem; widoczną zatem było rzeczą, że dola moja zawisła od tego człowieka. Musiałem się pocieszać nadzieją, a tymczasem zacząłem odwiedzać jeńców w Tambowie osadzonych.

Miałem list polecający do generałowej Zimmermann, którego wszakże dotąd nie oddałem. Pani ta prowadziła dom otwarty; ksiązę Gagarin bywał także jej codziennym gościem, przychodził do niej na karty. Dowiedziawszy się o tem, wcale do niej nie poszedłem.

Żołnierze, znajdujący się w niewoli, mieszkali tu w koszarach, oficerowie mieli kwatery u mieszkańców miasta. Wszyscy byli z księcia niezadowoleni i uskarżali się na to, że im nie wypłacał żołdu jak się należy. Ale do skarg tego rodzaju wagi wielkiej nie przywiązywałem. Najbardziej utyskiwali Francuzi, z którymi, prawdę mówiąc, obchodzono się zawsze najlepiej. Francuz taki żył sobie w Rosyi lepiej może, niż we własnej ojczyźnie, a ze wszech stron doznawał nawet mnóstwo dobrodziejstw wcale niezasłużonych. Kto po niemiecku, po polsku lub po włosku o kęs chleba zebrał, musiał z głodu umierać — jeno po francusku odzywać się trzeba było. Kto językiem tym władał, chociażby był tak głupi, jak stołowe nogi, uchodził tam zawsze za człowieka wykształconego, gładkiego i wychowanego wybornie. Dnia 20 czerwca mogłem nakoniec wyjechać z Tambowa. Droga powiodła mnie przez miasteczka: Kozłów, Lebiedian, Lipieck i Jelec.

Dnia 1 lipca dotarłem do miasta gubernialnego Orła. Od Lipiecka do Orła wszędzie widziałem pola i łąny bardzo piękne, starannie uprawne. Majątki i zamki księcia Kurakina świadczyły o zamożności i wystawności.

VIII.

Od Tambowa do Orła przebyłem 381 wiorst. Gdy stanąłem przed domem zarządu policji i żołnierz, dodany mi jako straż, udał się tam z paszportem, po dość długiem wyczekiwaniu zawiadomiono mnie, że jestem aresztowany, że po dawnemu uchodzę za jeńca, podlegającego transportowi. Krew zawrzała we mnie, wdziałem na siebie mundur, zawołałem na żołnierza „marsz!“ i kazałem się wieźć do gubernatora. Przyjęty przez niego, zawiadomiłem go o niezrozumiałej dla mnie przygodzie, której tu

padłem ofiarą. Jak się tego spodziewać było można, sam gubernator okazał zdziwienie i natychmiast posłał po horodniczego, a wtedy wyjaśniło się, że w paszporcie moim użyto w Lipiecku jakiegoś wyrażenia niewłaściwego, które stało się powodem nieporozumienia. Było wszakże rzeczą łatwo zrozumiałą, że jeniec, jadący własnym powozem, nie mógł tego przecie czynić, nie posiadając pozwolenia władzy wyższej.

Gdy się rozgospodarował w terażniejszym mieszkaniu, zacząłem odwiedzać jeńców oficerów, których tu było mnóstwo. Mieszkali w domach prywatnych po całym mieście. Żołnierze prości również mieli kwatery u mieszkańców. Najwięcej było Westfalów i Włochów, kilku Hiszpanów, wielu Prusaków i Sasów, nieco Bawarów i Wirtemberczyków, najwyżej z 50-iu Francuzów; Polaków naliczyłem ledwo dziesięciu. Naszych żołnierzy polskich nie mogło też tu być wielu, ponieważ oddziały polskie szły zawsze, jako straż przednia, przed wojskiem Napoleona, a bili się odważnie, wtedy zaś, gdy nieszczęście spadło na cesarza, ginęli mężnie, poddając się jeno w ostateczności. W sercu prawdziwie polskiem mieszka zawsze miłość ojczyzny i odwaga. Polacy karmili się nadzieją, że przy pomocy Napoleona, który, jak się zdaje, wyzyskiwał tylko ich przynioty, narodowość swą znów podniosą, ale w nagrodę za te wysiłki dostanie im się prawdopodobnie tylko zawód i smutek.

Wszyscy oficerowie, znajdujący się tu w niewoli, z uznaniem odzywali się do mnie o zachowaniu tutejszych mieszkańców. Z początku wprawdzie znosić musieli przykrości nie mało, wyrastających często z nieporozumień, ale gdy wichur się uspokoi, to i bałwany morskie też maleją. Z chorymi obchodzono się dobrze i starannie, a każdy jeniec otrzymywał zawsze na czas to, co mu było przeznaczone.

Wędrującemu tak po Rosyi, nie wypadało mi jakoś zapominać o ludziach, do cechu mego należących, trzeba było zajrzeć do gospody, aby się czegoś dowiedzieć o mistrzach cechowych, u którychby się może dla mnie robota znalazła. Więc poszedłem odwiedzić aptekarza p. Morowskiego, człowieka młodego jeszcze, ale doświadczonego już farmaceutę. W aptecę i pracowni zatrudniał dwóch pomocników i dwóch uczniów. Pokazał mi swe zapasy, które przekonywały, jak skrzętnie zajmował się zbieraniem wszelkich ziół, kwiatów, kor i korzeni krajowych, mogących posłużyć jako środki lecznicze. Zapasy leków zagranicznych były również dostatnie, a wszystko w najlepszym gatunku. Przekonało mnie to, że p. Morowski musiał mieć spory obrót w swej

aptece, mniemanie zaś moje potwierdziła księga z kopiami recept, których na rok bieżący już przeszło tysiąc było zapisanych. Z księgi tej dowiedziałem się też o nazwiskach czterech najbardziej wziętych lekarzy.

Miałem wprawdzie do kilku z tych kolegów listy polecające, ale listy tego rodzaju częstokroć miewają dolę taką samą, jak listy kumowskie—spojrzy się na nie, a potem rzuca do kosza. Na taką poniewierkę nie chciałem mych poleceń, danych mi ręką przyjacielską, narażać. Dlatego też listy tymczasem pozostały jeszcze w mej kieszeni, czekałem z ich doręczeniem, aż w mieście zwrócę na siebie uwagę w sposób inny. Jeden tylko list do p. generała von Gersdorf wydobyłem i pośpieszyłem go doręczyć. Generał przyjął mnie bardzo łaskawie i zatrzymał na obiad. Niestety! stary generał był schorowany i sam nic prawie nie jadł, wino też piłem tylko z jego sekretarzem. Po obiedzie chciałem się oddalić, ale poprosił mnie, abym został u niego jeszcze i na herbacie. Wymawiałem się wprawdzie tem, że muszę dziś jeszcze kilka osób odwiedzić; ale nic to nie pomogło. Generał oczekiwał przybycia na herbatę wielu oficerów, swych podwładnych, z którymi miałem się poznać. Trudno było nie uleść zaprosinom tak łaskawym. Pod wieczór stawiło się liczne grono oficerów; weszli po wojskowemu, składając przełożonemu czołobitność. Gdy się to powitanie urzędowe skończyło, nagle z tłumu przybyłych wyskoczył jakiś młody oficer, rzucił mi się na szyję i tak zaczął ścisnąć gwałtownie, że aż generał zawołał na niego: „Panie Hähnel, co pan wyrabiasz?”

Był to syn dawnego mego profesora anatomii i fizjologii w drezdeńskiej akademii wojskowo-lekarskiej. Młodzieniec ten oddał się nauce inżynierji, poczem wstąpił do służby wojskowej w Austrii, stamtąd przeszedł do wojska francuskiego i otrzymał posadę w biurze marszałka Davout. W Rosji dostał się do niewoli, a do Orła przyprowadzono go w stanie najopłakańszym. Gdy później generałowi Gersdorfovi polecono z jeńców utworzyć legion ochotniczy, mający zostawać w służbie rosyjskiej, wstąpił doń Hähnel w stopniu kapitana. Postanowił nie wracać do ojczyzny, lecz pozostać nazawsze w Rosji.

Gdym się w Orle już zapoznał z kilkunastu rodzinami, a także i uzyskał nieco rozgłosu, jako lekarz, korzystając z pogody, wybrałem się w odwiedziny do tutejszego lekarza, radcy kolegialnego Friesla. Poznałem w nim człowieka bardzo gładkiego i wykształconego, który więcej umiał o świecie mówić, niż w nim sam widział i znalazł. O nauce lekarskiej i rzeczach z nią zwią-

zek mających pary z ust nie puszczał. Charakter zresztą miał przyzwyczajony i zajmował tu stanowisko wybitniejsze, więc go też pytaniami w tym kierunku nie myślałem niepokoić. Zięć jego, radca dworu Westphal, był człowiekiem bardzo zacnym i zamożnym, a jako lekarz, posiadał wielkie doświadczenie. Przedtem służył długo w wojsku, jako lekarz pułkowy. Ze mną rozmawiał zawsze po przyjacielsku i rozumnie—a tak samo jak mówił, tak też i postępował.

Dr. Kaspari pachniał jeszcze nieco ławą uniwersytecką, ale był człowiekiem niezłym, tylko radcę Westphala nienawidził bardzo; zdaje mi się, że p. Kaspari był Żydem wychrzczonym. Kaspari zapraszał mnie do siebie nieraz na obiad, a zawsze u jego stołu spotykałem gości. Między nimi znajdował się też muzyk z Berlina, błazen wierutny, nazwiskiem Nikolay, dawał on lekcje gry na fortepianie i śpiewu żonie Kasparego, ale zdaje mi się, że wygrywał z nią też akordy, które w nutach nie były wypisane. Ów Nikolay był internowany w Orle, jako podejrzany o szpiegostwo na rzecz Prus, a miał też wygląd iście szpiegowski, że z panią Kasparową wyprawiał jakieś szpiegostwa muzyczne, o tem wątpić trudno.

Z pośród tutejszych lekarzy wojskowych miejsce najwybitniejsze zajmował radca dworu Wizmann, wykształcenie rozległe łączyło się w nim z charakterem szlachetnym. W mieście był bardzo wzięty i miał sławę szczęśliwej ręki. Będąc człowiekiem młodym i bardzo przystojnym, a do tego niezonatym, używał też niemało szczęścia u dam.

Pomału nabyłem w Orle pewnego rozgłosu, bywałem wszędzie chętnie widziany, a gdzie się z komina kurzyło, mogłem zasiąść do stołu. Szkoda wielka, że generał von Gersdorf umarł nagle, pozostawiając po sobie żal szczery. Był to mąż prawdziwie zacny, bardzo religijny i wojownik doświadczony.

Wśród mieszkańców miasta zajmował stanowisko najświetniejsze generał graf Kamienski¹⁾. Tenże, jakby chciał wydrwić Salomona za jego tak długie i powolne wznoszenie świątyni jerozolimskiej, wystawił tu sobie w trzy miesiące pałac, na który wysiliły się sztuka budownicza i smak wytworny. Wnętrza tego pałacu nie widziałem nigdy, bo to *sanctissimum* dostępne było tyl-

¹⁾ Sergiusz Kamienski, generał ros., brał udział w wojnach: tureckiej 1789—94 r., polskiej 1794 r., francuskich 1806 i 1812 r., w 1812 r. wyszedł do dymisji i zamieszkał w Orle, gdzie utrzymywał stały teatr; zmarł tamże w 1835 r.

ko dla Francuzów, my inni byliśmy profanami, wyłączonymi od tego. Kapitan Hähnel, choć Sas, jako były oficer francuski, był dopuszczony i chciał mnie też do domu hrabiego wprowadzić, ale się na to nie zgodziłem. Szlachetny generał graf Kamienski marnował gościnność swoją na korzyść ludzi, którzy wcale na nią nie zasługiwali. Przy jego stołach, hojnie zastawionych, powstawały nieraz zwady do krwawych pojedynków wiodące; roztrząsano tam głośno sprawy polityczne w sposób ubliżający domowi tak gościnnemu. Graf sam był wprawdzie światowcem wykwintnym i wyrozumiałym, w końcu jednak doszło do tego, że musiał wszystkich owych Francuzów od stołu swego odpędzić i drzwi im przed nosem zamknąć. Panowie z za Renu wykrzykiwali mu za to, bo zdawało im się, że gościnność pana hrabiego była haraczem, słusznie im należnym za to, że dawali mu sposobność gawędzenia ze sobą po francusku.

Ten graf Kamienski był przedtem adjutantem swego brata młodszego, który, jako wódz naczelny rosyjski, o mało półksiężycą tureckiego nie doprowadził do ostatniej kwadry. Wielka szkoda generała tak zdolnego; jak mówiono, umarł podobno otruty. Radca dworu i lekarz naczelny p. Wismann, który był obecny przy jego śmierci, zachowywał o tem grobowe milczenie. Matka zaś zmarłego o swym synu nie mówiła nigdy. ¹⁾

Horodniczy w Orle był Turkiem z urodzenia, brak mu tylko było turbanu i poduszki, na którejby siedział z nogami podwiniętymi na krzyż. Żona jego w domu odgrywała rolę sułtana, była to kobiecina mądra i wesoła, a matka wzorowa dla swych dzieci. Powolność dobrotliwa horodniczego bynajmniej nie wychodziła na dobro jeńcom tutejszym, bo się porzuszczali, brojąc głupstwa rozliczne. Usiłowanie utworzenia legionu ze zbieraniny jeńców tak różnorodnej, także nie przyczyniło się wcale do utrzymania wśród nich porządku i karności. Ten t. zw. legion na nic się też nie przydał rządowi rosyjskiemu. Ów bardzo kosztowny legion w Orle rozleciał się bardzo prędko po śmierci generała Gersdorfa, o którym wyżej mówiłem. Przyjaciel mój, kapitan Hähnel, zmarł też w dniu 13 sierpnia, pozostawiając po sobie w mojem sercu żal szczery i głęboki.

I mnie ciągniono do tego legionu. Komendant von Trautmann namawiał mnie do przystania bardzo gorąco, nie szczędząc

¹⁾ Michał Kamienski, ur. 1738 r., generał-feldmarszałek, odznaczył się w wojnach tureckich 1774 i 1788 r., brał udział w kampanii 1806 r., w 1809 r. zamordowany został przez włościanina w swych dobrach orłowskich.

świątecznych obietnic, ale oświadczyłem mu na to, że gdy mnie do-
la wojenna wepchnęła w niewolę, to w niej pozostanę, aż z łaski
cesarza Aleksandra będę mógł z niej uczciwie powrócić do swoich,
to pozwolenie jego będzie mi błogosławieństwem na drogę po-
wrotną.

.

Z Siewska, małej mieściny powiatowej, o 57 wiorst od Or-
ła oddalonej, gdzie wielu oficerów saskich było osadzonych,
przybył tu kapitan von Angermann, aby mnie odwiedzić, z czego
byłem bardzo ucieszony. Kapitan ten w domu p. Dahlheima,
który podobno w wojsku rosyjskiem dosłużył się szlif general-
skich, zajmował chwilowo stanowisko nauczyciela domowego. Do
niewoli dostał się Angermann pod Kaliszem, gdzie poddać się
musiał oddział wojska saskiego, dowodzony przez generała von
Klengel; wszystkich oficerów, tam wziętych, przewieziono do
Siewska. Czy ten generał swój obowiązek spełnił jak się należy,
nie wiadomo, ale oficerowie jego, siedzący w niewoli, krytykowali
go bardzo, a każdy z nich chciał być lepszym taktykiem od
niego...

Otrzymałem rozkaz przygotowania się do wyjazdu. Wypła-
cono mi na drogę powrotną 100 rubli papierami. Pożegnanie lek-
kie mi nie było, w oku niejednym łezka zabłysła, ja też sam do
śmierci chyba niepokój pewien zachowam.

Dnia 5 stycznia st. st. r. 1814 wyjechałem z Orła do Bia-
łogostoku.

IX.

Jak się rzekło, pożegnanie w Orle przysięgowało mnie; oczy
mi wilgotniały; nie suche też mieli znajomi, z którymi się roz-
stawałem. Serce mi się ścisnęło na wyjeździe, a już po prostu
myślałem, że mi popęka w kawały, gdy poraz ostatni ścisnął
podpułkownika Borzęckiego, ¹⁾ trzymanego pod strażą bardzo ści-
słą w tutejszym ostrogu.

Śniegi spadły ogromne. Sanie, które sobie na tę drogę zbu-
dować kazałem, były za wielkie i za ciężkie, do tego stopnia, że

¹⁾ Borzęcki Wincenty, mianowany kap. p. 1 huzarów dn. 30 maja r. 1809,
do pułku 10-go jaz. przeszedł dn. 2 lipca r. 1809, szef szwadronu w p. 13
jazdy 4 list. t. r., przeniesiony dn. 22 maja 1812 r. do p. 12-go jaz., w 1812
wzięty do niewoli, uwolniony d. 16 grudnia 1815 r.

konie wraz z dwoma podwodnymi uciągnąć ich nie mogły. Dostarczano mi tylko po dwa konie, oficerom dawano sanki jedno-konne. Musiałem więc zawrzeć umowę z jakimś p. Knorrem, że go przyjmę do swych sani, za co jego koń podwodny do nich miał być przyprzęgany. Knorr ów pochodził z Lipska, a zajmował przedtem stanowisko sekretarza w biurze marszałka Davouta. Był to człowiek nadzwyczaj rozlazły, na pół ślepy, lat liczył sobie zaledwo dwadzieścia. Wyobrażał sobie, że mu za owego konia podwodnego jestem obowiązany do Bóg wie jakiej wdzięczności, o mało nie wymagał, abym mu usługiwał. Nakoniec przekonałem się jeszcze, iż był wielkim zwolennikiem gorzałki, podpisawszy sobie zaś, wcale nie wydawał mi się zabawnym. Więc musiałem się z nim rozstać, a odtąd, mając jeno dwa konie podwodne, jechałem raz wolniej, raz prędzej, jak się zdarzało.

Do karawany naszej należało wielu oficerów westfalskich i kilku bawarskich. Towarzyszył nam oficer rosyjski, pilnujący nas, który miał się troszczyć o naszą podróż. Ale ten miły przewodnik wdawał się w szacherki z chłopami obowiązany do dostarczania podwód, brał od nich łapówki, a my za to mieliśmy zawsze konie bardzo marne i utykaliśmy w śniegu.

Jechał też z nami pewien podpułkownik westfalski imieniem von Konrady. Oficer ten przemówił ostro do naszego komendanta rosyjskiego, przywołując go do porządku i wydając rozkazy własne, a słusznie to uczynił.

W dniu 12 stycznia dojechaliśmy do Trubczewska, oddalonego od Orła o wiorst 52. W drodze nieraz utykaliśmy w śniegu. Droga, jak się domyśleć łatwo, była ciężka i zawiana. Wiodący nas oficer rosyjski, wskutek szachrajstw z chłopami, dostarczającymi podwód, miewał niemało kłopotu i gniewu. Nieraz żał mi było tego człowieka, bo rzeczywiście ciężko pracować musiał na swe nieprawne zyski. Wymagał wprawdzie, abyśmy zawsze jechali rzędem, sanie za saniami, jeno aż nadto często nie można było spełniać jego rozkazu. Raz straż przednia pozostawała w tyle, a tylna wysuwała się naprzód, raz znów działo się naodwrot. Podpułkownik von Konrady miewał chwilami napady rozpacz. Chociaż mu niby tak trudno było opuścić Oręł, teraz śpieszył się okrutnie z powrotem do ojczyzny, ale władca jego nie będzie miał z niego wiernego poddanego, ponieważ czczył Napoleona, czczył, jak Boga, i tylko w niego wierzył.

Wszystkie, dostarczane nam konie podwodne, bywały nadzwyczaj marne, bo nasz przywódca brał ciągle łapówki, niejednego rubla zgarniając do kieszeni. Nadużycia te odkryłem nieba-

wem, podpułkownik von Konrady po tem odkryciu zbudził się z marzeń miłosnych i z mocą wystąpił przeciw tej szacherce.

Dano nam przywódcę innego, ale trafiliśmy z deszczu pod rynnę, bo był jeszcze gorszy.

Miasteczko Trubczewsk nad Desną jest osadą niepokazną; horodniczy tamtejszy był człowiekiem gładkim i przyjemnym; przyjął nas po przyjacielsku. Zostaliśmy u niego na wieczerzy i herbacie; wystarał się nam też o kwatery wygodne; uczynność jego ruchliwa dostarczyła nam więcej daleko, niż mieliśmy prawo wynagać. W jego domu spotkaliśmy generała polskiego Kamieńskiego;¹⁾ był to mężczyzna leciwy, wysoki a szczupły, bardzo małomówny, przechadzający się wciąż po pokoju sztywno i dumnie; na sobie miał strój polski.

Z Trubczewska dowleliśmy się do Staroduba, miasteczka niewielkiego, ale porządnie zabudowanego. Mieszkańcy tutejsi należeli do różnych obrządków religijnych. Mówiono mi, że mieszkają tam Małorusini, staro- i nowoobrzędowcy, raskolnicy i Żydzi.

W gubernii mohilewskiej przyszło nam często jechać gęstymi lasami, a że nierzadko podróżowaliśmy i w nocy, więc też dokoła wilki wyciem swem wyprawiały nam serenady, niekoniecznie przyjemne. A że po drodze spotykaliśmy tu i owdzie sanie puste i konie napół pozarte, więc w dusze wkradała się obawa, że i nas może czeka spoczynek ostatni w żołądku wilczym. Dodany nam oficer rosyjski nie miał chwili spokojnej, poradził nam, abyśmy fajkom swym nie dawali wygasać. Nasz podpułkownik westfalski stracił ostatek nadziei i odwagi. Już teraz wieczorami ani słówkiem nie chęłpił się miłostkami swemi w Rosyi. Co prawda, to i dyabełby zapomniał o schadzkach czułych, gdy wilki wyją dokoła; ja przynajmniej zapominałem wtedy nawet o przygodach najwabniejszych.

Wszystkie wioski w gubernii mohilewskiej były ludne, zabudowane porządnie, co świadczyło o gospodarności i dobrobycie mieszkańców. Ubiór osobliwszy niewiast tutejszych zwrócił na siebie moją uwagę. Na koszuli nie noszą tu spódnic, jak gdzieindziej, jeno kawały sukna, przytrzymywane pasem powyżej bioder;

¹⁾ Ignacy Kamieński, ur. w r. 1759, do wojska wstąpił w r. 1777 jako podpor. artyl., w r. 1779 został porucznikiem, w 1786 rotmistrzem, 1790 majorem, 1792 podpułkow., 1794 gen. bryg., 1808 generałem nadliczb., 1809 dow. bryg. 5 dywiz, 1812 dow. dyw. jazdy V korp., wzięty do niewoli 19 paźdz. 1813 r.

jeżeli wiatr swawolny się rozigra, to łatwo wtedy zobaczyć można wdzięki ich w negliżu. Mieszkańcy tych stron byli wszyscy złośliwi, podejrzliwi, a wyraz twarzy mieli nieprzyjemny. Wjechaliśmy w okolicę bezdrzewną i zażydzoną. W miasteczkach: Czeczersku i Rohaczewie, oprócz Żydów, mieszkańców innych nie było wcale, więc też oganianie się od robactwa nie miało nam trudu sprawiało.

Rohaczew, nad Dnieprem położony, ma wygląd miejski i kwatery nasze nie były tam złe. Miejscowość ta o tyle jest ciekawa, że w tych stronach podczas wojny uwijał się generał Dąbrowski bez pożytku wszelkiego dla działań wojskowych. Żydzi tu tejsi oskarżają go, że jakoby uprawiał szacherkę planami wojennymi (?).

Przeprawiwszy się za Dniepr, już wszędzie napotykaliliśmy brud, prostactwo i wyłączość żydowską. Kwatery otrzymywaliśmy w domach żydowskich, co według ich mniemania zanieczyszczało im mieszkania.

Gdyśiny przybyli do Bobrujska nad Berezyną, pracowano jeszcze nad naprawą okopów zewnętrznych tej twierdzy. W lasach okolicznych spotykało się nie mało śladów zniszczenia; nie jeden też dom pod twierdzą świecił gruzem i zgliszczami. Ale twierdza sama nie miała się czem poszczycić, nie było znać, że ją oblegano lub ostrzeliwano.

Nie znam się wprawdzie na sztuce inżynierskiej i na zakładaniu okopów, jednakże wypowiedzieć to muszę, iż Bobrujsk, jako twierdza, nie może mieć wielkiego znaczenia, a założono ją chyba przeciw Turkom lub Hotentotom, a tych przecie państwo rosyjskie obawiać się nie potrzebuje. Mieszkańcami są tam sami Żydzi, z wyjątkiem dowódcy i załogi. Nie pojmuję, jak Żydom można pozwolić mieszkać w twierdzy; podług mnie, pozwolenie takie zakrawa na satyrę przeciw jej bezpieczeństwu. Podobno wygnano też Żydów, gdy generał Dąbrowski zbliżył się i zaczął oblężenie, którego nie dokończył. Zdaje mi się, że ci wypędzeni Żydzi więcej zaszkodzili niż pożytku przynieśli twierdzy. Nie ulega wątpliwości, że oddawali przysługi oblegającym, ale widocznie generał Dąbrowski nie musiał być przyjacielem Żydów, gdyby nim był, to niewątpliwie byłby się dobrze w Bobrujsku pożywił.

Żydzi opowiadali mi, że jakoby z twierdzą nie postąpiono wcale po wojskowemu. Wojsko przeszło obok niej, potem znów powróciło, rozłożyło obóz i, wypaliwszy z dział kilkanaście razy, poszło dalej. Kilka wycieczek załogi miało być poprostu

kpinami, które nikomu nie pomogły, ani też zaszkodziły. W twierdzy odzywano się z uznaniem wielkiem o majorze polskim' Luxie,¹⁾ który załodze niejednokrotnie strachu napędził. Opowiadano mi też, iż Lux, mający pod sobą tylko oddział bardzo nieliczny, był nadzwyczaj odważny i śmiały, ale niekiedy posuwał się do okrucieństwa, będąc bardzo skorym do wieszania ludzi.

W Slucku, mieścinie małej a niepozornej, spotkałem wielu jeńców powracających, należących do wojska saskiego, wyglądali strasznie nędznie. Chętnie byłbym biedaków tych pokrzepił czemkolwiek, jako ich dawny współobywatel, ale zabroniono nam wszelkiej z nimi styczności.

Teraz, będąc już na Litwie, codziennie przejeżdżaliśmy przez kilka miasteczek, ale nazwy ich nie pozostały mi w pamięci, czego nie żałuję wcale, gdyż były to wszystko gniazda żydowskie, obrzydliwe. Jedynym wyjątkiem był Nieśwież, stolica książąt Radziwiłłów, zabudowany porządnie, ludny i posiadający handel ożywiony. Otrzymaliśmy tam kwatery lepsze, niż gdziekolwiek indziej, ale, niestety, piece były w nich zimne. Okolica cała była bezleśna, palono więc słomą. Taki słomiany ogień grzeje zawsze tylko na chwilkę, skoro płomień przygaśnie, to znów zimno odrazu. Im bliżej Białegostoku, tembardziej zaczynały się czernić bory; odtąd też otrzymywaliśmy znów kwatery ciepłe.

Dnia 3 marca n. st. stanęliśmy w Białymstoku. Podług mego obliczenia, przebyliśmy od Orła 936 wiorst. Podróż taka, przebyta w zimie, a w dodatku w sposób tak niewygodny, jak nasz, jest zawsze rzeczą nie małą. Chwalić Boga, podczas drogi ani jeden z nas nie chorował, bo każdego ożywiała jakoś nadzieja ujrzenia swoich. W Gródku, miasteczku niebrzydkiem, napotkaliśmy wielu oficerów wirtemberskich, powracających również z niewoli; każdy z nich miał przy sobie jednego albo dwa psy rasy kaukaskiej, które wiozł dla swego króla. Dziwny to objaw miłości tych panów dla swego władcy, patriotyzm osobliwego rodzaju. Jako jeńiec, każdy niewa dosyć kłopotów z sobą samym, więc pamiętanie o psach podczas takiej drogi niejednemu wydać się musiało śmiesznem dziwactwem. Wiem jednak, że ci oficerowie wirtemberscy tak postępując, złożyli dowód rozwagi. Król ich jest zawołanym myśliwym i niezmiernie polować lubi

¹⁾ Kazimierz Lux, por. 6 p. piechoty dn. 18 stycznia r. 1809, kapitan w p. 16 piech. d. 27 maja r. 1809, szef batalionu d. 17 lipca 1812, 28 sierpnia t. r. do p. 17 piech.

w Czarnym Lesie, gdzie znajduje się mnóstwo dzików, czyniących szkody ogromne w polach. Polować na taką zwierzynę bez psów bardzo ciężkich trudno, te zaś, które wieziono, z pewnością będą umiały odyńców przytrzymywać za uszy.

Białystok wybrano na miejscowość, do której wszystkich jeńców powracających wysyłano. Tu spotykali się towarzysze broni, bracia i przyjaciele. Tu widzieć można było uczucia radosne ludzi, witających się po tak długiej rozłące. Jak wyglądać może spotkanie się z osobami drogiemi sercu na tantym świecie, wyobrazić sobie może ten, kto widział, co tu się działo.

Białystok sprawiał wrażenie bigosu z całej ludzkości. Naszło tam ludzi tyle, że trudno było dla nich o pomieszczenie. Otrzymawszy pozwolenie na to od władzy policyjnej, nająłem sobie mieszkanie za własne pieniądze. Kieszeń moja wprawdzie nie była bardzo pełna, ale zasililem ją, sprzedając konie i sanie, przez co trochę mi rubli przybyło. I tak koni swych nie mogłem przeprowadzić za granicę, a sanie stawały się zbyt ciężkimi, ponieważ nastąpiła odwilż. Za konie zapłacono mi niewiele, bo kupujący wiedział, że je sprzedać muszę, a gospodarz mój, dawny urzędnik pruski, także niewątpliwie w interesie tym rękę umoczył.

W mieście tem znajdowało się jeszcze wielu byłych urzędników z czasów pruskich, stale tu osiadłych. Żdziwiło mnie to, ponieważ słyszałem, że po ustaniu rządów pruskich w obwodzie białostockim wszystkim urzędnikom wolno było powrócić do swego kraju, oraz że mieli tam pozostać na swych urzędowaniach. Ale może niejedyn z pozostałych tu obawiał się, że w ojczyźnie kara go czeka raczej, niż dalsza służba.

Jak już powiedziałem, do Białegostoku wysyłano wszystkich powracających z niewoli. Odtąd jeniec stawał się człowiekiem opuszczonym, nikt już nie troszczył się o jego utrzymanie. Kto chciał lub musiał mrzeć głodem, to nikt mu tego nie bronił. Ja bo sobie jakoś umiałem radzić i głodu przynajmniej tu nie cierpiełem. Żaden z monarchów nie dbał tyle o swych poddanych opuszczonych, o tych niby synów marnotrawnych, jak król wirtemberski. On jeden tylko przysłał komisarza swego do Białegostoku, poleciwszy mu dbałość o utrzymanie powracających wirtemberczyków, wypłacał im gratyfikacje, nakoniec ułatwiał i przyspieszał powrót do ojczyzny. Jedni tylko wirtemberczycy mogli króla swego czcić, jak ojca prawdziwego, oficerowie jego czynili słusznie, wioząc mu w darze psy z tak daleka. Któż miał pamiętać o Polakach, kto o Sasach, o Westfalach? Chyba jeden

Bóg w niebie. Narody te były teraz, jak roje pszczoł, którym matkę zabrano.

Spotkałem się tu z lekarzem pułkowym królewsko-saskim Schwabhauserem i z takimże lekarzem polskim Preyssem.¹⁾ Oblaliśmy to spotkanie nasze, wykrobując ostatek grosza z kieszeni, a byliśmy przytem tacy szczęśliwi!

Gubernator białostocki²⁾ i naczelnik policji tamtejszej, z pochodzenia Niemiec,³⁾ byli obaj ludźmi wykształconymi i zacnymi, ale sekretarz gubernialny⁴⁾ był gburem o powierzchowności odpychającej. Miał on teraz wprawdzie roboty huk, ale uprzejmość wrodzona i w takich razach nie zwykła ludzi opuszczać.

O mieście Białymstoku naocznie bardzo niewiele tylko się dowiedziałem, ponieważ pogoda wciąż była szkaradna, więc milej było przesiadywać w izbie ogrzanej. Miasto, o ilem widział, było zabudowane nieźle, kilka ulic miało bruk dobry, znać też było, że mieszkańcy muszą być dość zamożni. Pałac tutejszy—należący niegdyś do pewnej księżny⁵⁾—obecnie zamieszkały nie był; w ogrodzie, do niego należącym, znać ledwo było ślady dawnej świetności. Z mieszkańców poznałem tylko nadleśnego Schulza oraz asesora Weissa⁶⁾; obaj byli ludźmi miłymi i wykształconymi. Żdziwiło mnie niezmiernie, gdym się dowiedział, że Żyd jest tu aptekarzem, wprawdzie istniała nadto apteka druga; obie one były urządzone wzorowo. Z lekarzami tutejszymi nie zawarłem wcale znajomości. Jeden z nich szczycił się podobno godnością sowieтника nadwornego, drugi zaś posiadał różne ordery, a z dostojnikami takimi, noszącymi mądrość swoją nazewnątrż, jakże się wdawać było biednemu jeńcowi, musiał się ich raczej obawiać. Doktora Michaelisa⁷⁾ chwalono tu powszechnie.

1) Ferdynand Preuss, urz. zdr. klasy I-ej 13 lut. 1808 r., nacz. urz. zdr. 15 grudn. 1815 r.

2) Szymon Szczerbinin.

3) Krzysztof Derfelden.

4) Mikołaj Tumaszew.

5) Izabelli z ks. Poniatowskich Branickiej, zmarłej d. 14 lut. 1808 r. Dobra białostockie wraz z pałacem sprzedane zostały przez sukcesorów w 1809 za sumę 203,066 rb. 30 kop. ces. Aleksandrowi I. Pałac ten, jak świadczą spółcześni, niemal doszczętnie został zniszczony.

6) August von Weiss, asesor od korony w 2-im departamencie sądu głównego.

7) Jakób de Michaelis, akuszer.

Nakoniec przybył kapitan von Angermann z orszakiem jeńców saskich, a ponieważ i ja się urodziłem w królestwie saskim, więc na rozkaz gubernatora polecono mi przyłączyć się do kapitana. Trudno się było spierać o przynależność moją do tej lub innej narodowości; rozkaz gubernatorski był wydany, a sekretarz gubernialny przyjął mnie bardzo niegrzecznie, gdy mu tłumaczyć zacząłem, że pomimo, iż jestem rodem z Saksonii, do niewoli jednak dostałem się jako wojskowy polski, a więc do Warszawy odesłać mnie należało. Wyjaśnienie moje, zgodne z prawdą, na nic się jednakże nie zdało; jak było raz postanowione, musiałem pójść pod komendę Angermanna i z nim wyruszyłem z Białegostoku w dniu 22 marca, mając się udać do Drezna.

Drużyna nasza składała się ze 125-iu ludzi, samych Sasów, a w tej liczbie trzech tylko oficerów, t. j. sam przywódca kapitan, ja i kolega mój, lekarz pułkowy Schwabhauser. Odtąd nie otrzymywaliśmy już żołądu, żywiec i pić musieli nas mieszkańcy, u których otrzymywaliśmy kwatery, więc też nietrudno wyobrazić sobie, że teraz miewaliśmy utrzymanie bardzo marne i trzeba było, co się jeszcze miało, wydawać, aby żyć choćby jako tako. Ale któżby w chwilach tych nie był radośnie sięgnął po ostatni grosz, aby tylko nakoniec stanąć u celu. Kapitan, nasz dowódca, również nie miał grosza przy duszy, ale go uszczęśliwiało przynajmniej stanowisko. Mojżesz niewątpliwie musiał cieszyć się niemało, gdy mógł lud swój wywieść z Egiptu do ziemi obiecanej. Niestety, nasz Angermann nie był Mojżeszem, dowódcą o kieszeniach pełnych, bo z Rosyi w okolicznościach takich, w jakich się znajdowaliśmy, nie powraca się ze skarbami, z których w Polsce możnaby ulać cielca złotego i bić czołem przed nim, a w Saksonii także skowronki lipskie nie wpadają do siatki już upieczone.

Przez Tykocin, Wiznę, Łomżę, Ostrołękę i Płońsk dotarliśmy nakoniec w dniu 28 marca do Płocka.

Stanawszy w Płocku, odłączyłem się od orszaku kapitańskiego i, jako chory, zamknąłem się najspokojniej w swej kwaterze. Stanałem u kupca p. Wincentego Splitowskiego, w rynku starego miasta; był to dawny przyjaciel, który mnie chętnie do domu swego przyjął. Płock był wtedy zajęty przez wojsko rosyjskie; stała tam brygada cała pod dowództwem generała Kleinmichla. Dowódcą w mieście był major Kruse, obaj ludzie uczynni i porządni. Mój Mojżesz, t. j. Angermann, wszczął wielkie larum, gdy mu oświadczyłem, że dalej z nim nie pójdę.

Byłem tedy chory, a pan kapitan bezemnie krokiem dalej ruszyć nie chciał. Miał słuszność, ponieważ był obowiązany dostawić księciu Repninowi¹⁾ w Dreźnie wszystkie powierzone sobie dusze, zgodnie z ich spisem. Musiano mnie wpisać, jako chorego, i poczciwy Sas po czterech dniach wyruszył w dalszą drogę, kiwając głową.

Być może, że plan swój nakreśliłem i obliczyłem niezupełnie tak, jak trzeba było, ale po co miałem pójść do Saksonii? przecież król, zmuszony do tego, kraj swój opuścił i uszedł, jako wierny sojusznik Napoleona. Biedny, zacny Fryderyku-Auguście! pewno cię oczekują jeszcze nieszczęścia inne, bo zdaje się, że Fortuna na kuli swej obróciła się teraz tyłem do Napoleona.

Ano zostałem w Płocku bez grosza, bez widoków otrzymania kawałka chleba, bez zajęcia, bez zarobku; ale w duszy jednak tliła mi się nadzieja i wiara. Do wojska nie zamierzałem powrócić, już się dosyć w życiu nasłużyłem. Pan prefekt Sumiński, radca prefektury Piwnicki, radca konsystorza Hewelke, inspektor budowlany Mahn, starszy kalkulator Szperling, kupcy Fiek i Splitowski, jak również właściciel drukarni Lossman i kilku przyjaciół innych, złożyli mi wtedy niemało dowodów swej przychylności, czyniąc to w sposób nadzwyczaj delikatny. Postarałem się tymczasowo o zajęcie chirurgiczne w szpitalach wojskowych rosyjskich, pozostających tu pod zarządem lekarskim pp. Kammerhoffa i Bayera, i wykonywałem operacje. Ale istnienie dalsze pozostawało wciąż niepewne, a tymczasem było wcale nieświetne.

Wieczorami, gdy siedziałem samotnie w swej izdebce, cofałem się pamięcią do lat przeżytych — był to, jakby przegląd marzeń sennych — a nieraz dziwnem mi się wydawało, że mnie Pan Bóg dotąd łaskawie zachować raczył.

Mój pobyt w Rosyi był dla mnie bardzo zajmujący, więc teraz, gdy miałem czas i trochę spokoju, grzebać zacząłem we wspomnieniach i spisywać to, co stoi powyżej...

¹⁾ Mikołaj Repnin-Wołkowskij, ur. 1778 r. zm. 1845 r., wnuk feldmarszałka, w 1809—1812 r. był posłem przy dworze westfalskim, w 1813—14 r. gen.-gubernatorem wojennym Saksonji.

KRONIKA LITERACKA.

I.

Przybyszewski i jego trylogia *Synów ziemi*: zasadnicze nieporozumienie; dramat *Gody życia*: ludzie i symbole; *Gody życia* i *Gody życia*. *Chwile* Kasprowicza: przewaga refleksji nad żywiołowością. Podhale w blaskach poezji: *Legenda polskich Tatr* Tetmajera: anegdota o *Główniaku*. Wczasy Reymonta: *Marzyciel* i *Wampir*. Trylogia księżycowa i nowele Żuławskiego: dydaktyzm i artyzm; dwa dramaty: *Koniec Mesjasza* i *Gról słońca*—literatura i dekoracja. Liryki Staffa *W cieniu miecza*: sen o bohaterstwie; próba naturalizmu w dramacie *To samo*. Uwagi o dramacie i teatrze. Fałszywy akord Zapolskiej: *Kobieta bez skazy*. Wniosków nieco. Literatura i kabaret. Pisarze starszego pokolenia: Sienkiewicz, Prus, Weysenhoff. Nowele Weysenhoffa *Znaj pana*: człowiek i pisarz nie modernistyczny.

Nic tak dobrze nie charakteryzuje naszej dzisiejszej literatury na rozdrożu i w rozproszeniu, niby wojsko w rozsypce, bez sztandaru i bez hasła, jak twórczość Przybyszewskiego w ostatnich latach, jak—stosunek społeczeństwa do jego utworów. Druga i trzecia część trylogii „Synów ziemi“ (cz. II — „Dzień sądu“ 1910, cz. III — „Zmierzch“ 1911), oraz dramat „Gody życia“ (1911), to już nie „Homo sapiens“, to już nie „Złote runo“ z przed lat dwunastu, i to pod każdym względem. Subiektywnie—gdyż autor dziwnie w nich zwęził i zacieśnił horyzont swoich spojrzeń, obiektywnie—te utwory bowiem minęły niemal bez wrażenia, gdy tamte wywołały całą burzę. Słowem, Przybyszewski przeżył samego siebie, społeczeństwo — przeżyło Przybyszewskiego.

Cóż bowiem jest treścią trzech wyżej wymienionych utworów? Da się ona zamknąć w kilku zdaniach. Żona zdradziła męża (w powieściach nazywa się ona Hanka Glińska, w dramacie—Hanka Bielska), uciekła z kochankiem (tu Czerkaskim, tam Drwęskim); ale tęskni do dziecka, i ta tęsknota, ten nie zaspokojony instynkt macierzyński zabija ją duchowo, a gdy mąż ode-

pechnął ją brutalnie od ukochanej dziewczyny, gdy dobry przyjaciel jej domu, młody muzyk (Zaremba czy Janota) skorzystał nieczemnie z jej stanu nieświadomości i omdlenia, te straszne przejścia prowadzą jej śmierć — fizyczną, samobójczą, na dnie przepaści tatrzańskiej (w trylogii nie ginie jednak zaraz, odnaleziona napół żywa wśród skalnych przepaści przez szlachetnego samotnika, starego malarza Skirmunta, i uleczona z ran ciała i duszy w jego cichej pustelni górskiej, wzniesionej na dwa tysiące metrów nad poziom morza; w dramacie nie mamy co do tego żadnych wskazówek).

I zapytujemy ze zdziwieniem, jakim prawem tą sprawą „rodziną“ zaprzęta Przybyszewski przez trzy lata opinię publiczną, niby przed półtrzecia wiekiem Stanisław Orzechowski swem „księżowskim małżeństwem“?

Ach, prawda! Mamy przecież przedmowę do „Godów życia“, p. n. „Pro domo“, gdzie Przybyszewski wyjaśnia swe stanowisko *ad usum*... krytyków, którzy go zrozumieć nie umieli. Trzeba więc nam wiedzieć, że wszystkie wyprowadzone tu, jak i w „Synach ziemi“, postacie, to symbole, a treść tych utworów to w dalszym ciągu walka z przesądami.

„Nie chodziło mi — ogłasza tu *urbi et orbi* Przybyszewski — o naiwną tezę: „kochanek, czy dziecko?“ ja pragnąłem li tylko dać obraz całej Gehenny mąk, jakie kobieta, która się odważy naruszyć porządek społeczny, przechodzić musi, przedstawić los kobiety nieszczęsnej, która gdziekolwiek i w którąkolwiek stronę się zwróci, obuchem w głowę dostaje, a tam ostatecznie, gdzie się odrobiny dobroci spodziewa, czyha na nią zagłada...

„Wobec społeczeństwa Hanka zawiniła, Hance wskutek tego nie wolno być szczęśliwą. Hanka mogłaby znaleźć w miłości swej do kochanka raj cały, a w jego miłości ku niej pławić się w całym oceanie szczęśliwości, ale Hance nie wolno.

„Hanka raz na zawsze pojępiona, wyjęta z pod wszelkich praw, nad Hanką nikt już litości nie ma...“

W tem wszystkim, co mówi tu Przybyszewski „pro domo“, tkwi wielkie nieporozumienie, które czas już nareszcie postawić w pełnem świetle dnia. Przybyszewski (a wraz z nim cały modernizm) popełnia błąd zasadniczy, jakiego niegdyś dopuszczał się romantyzm, zresztą zupełnie bezwiednie: niewłaściwie lokalizuje swoje wrażenia. Każe on bohaterom walczyć (pozornie) ze społeczeństwem, z ludźmi, z otoczeniem, wogóle z zewnętrznymi warunkami bytu, gdy tymczasem, ściśle biorąc, walkę tę należałoby przenieść wewnątrz duszy tych bohaterów, niezdolnych-snać

do niesienia ciężaru życia. Romantyzm stworzył np. wierną psychologicznie, zresztą *malgré lui*, postać Kordyana, któremu na drodze do spełnienia czynu stanęli nie, jak sądzi, ludzie i okoliczności, ale... mary własnej rozognionej wyobraźni.

Mutatis mutandis, zastosować to można i do Hanki. Daremnie usiłuje w nas wmówić Przybyszewski, że upadła ona dlatego, iż „naruszyła porządek społeczny“ i t. d. Dramat Hanki tkwił nie w stosunku jej do społeczeństwa, ale *w niej samej*, w tem, że ona, samochcąc, naruszyła swą własną harmonię duchową. Zawiniła sama względem siebie i — sama siebie ukarała. „Społeczeństwo“ nie miało tu nic do czynienia. Gdyby pozostała przy mężu i dziecku, dręczyłaby ją w równym stopniu tęsknota do kochanka, a gdyby, porzucając męża, zabrała z sobą dziecko, czyż nie byłaby wprost potwornością moralną ta podwójna krzywda, wyrządzona człowiekowi, którego by w jednej chwili pozbawiono dwu najukochańszych istot na ziemi: żony i dziecka?

A przecież żadna „moralność niezależna“ ni „etyka nad-człowieka“ nie zdoła nas przekonać, że coś, co połączone jest z krzywdą ludzką, może być szlachetnem i chwalebny. „To się mści“, powiedział w „Złotem runie“ sam Przybyszewski.

„Pani nie dorosła do tego, co pani zrobiła,“ mówi ktoś do Hanki w dramacie. A więc, gdyby była „dorosła“, nie byłoby — dramatu; a więc wszystkie węzły dramatu ukryte są w jej własnej duszy; a więc czynić odpowiedzialnem za jej nieszczęścia społeczeństwo jest tem samym, co w grubej formie zawiera się w popularnem przysłowiu: „ślusarz zawinił, a kowala powieszono“.

Ostatecznie więc, drogą rozumowań ścisłych, doszliśmy do wniosku, że, bądź co bądź, wszystko tu sprowadza się do owej „naiwnej“, jak ją nazywa Przybyszewski, tezy: „kochanek, czy dziecko“; sprowadza się do dramatu histeryczki, która tęskni zarówno do ciepłych objęć kochanka, jak i rozkosznego uścisku dziecka, płodu swego łona, która nie umie być ani dość nikczemną, by zapomnieć o uczuciach macierzyńskich, ani dość wyniosłą, by oprzeć się pokusom.

Wiele mówiło się o dramaturgii Przybyszewskiego, o jego wielkich zasługach dla sceny polskiej; zestawiano go pod tym względem z Maeterlinckiem, Ibsenem, Strindbergiem.

Istotnie, przyznać należy, że, pomimo wszystko, co można zarzucić jego utworom dramatycznym, wniósł on na scenę nowy pierwiastek, „nowy dreszcz“, przepełnił dialog octem i żółcią nerwowej rozterki duszy współczesnej, czarną chmurą grozy zawi-

snął nad sercami czytelników czy słuchaczy, istotnie „targnął trzewami“ narodu.

Wszystko to już omówiono i zarejestrowano należycie.

Ale nie zwrócono uwagi na jedną niezmiernie ważną okoliczność: postaci dramatów Przybyszewskiego to wcielenia jeżeli nie pewnych poglądów autora, społecznych i etycznych, to—takich lub innych stanów duchowych. W każdym razie nie są to ludzie żywi, nie są to charaktery. Przybyszewski w swoich dramatach nie dał ani jednego człowieka.

Gdybyż jeszcze nie chęć nadawania postaciom wartości symbolicznych! Ależ te symbole w plastyce realizmu scenicznego wyglądają poprostu śmiesznie. Taki tajemniczy pan, wygolony, jak lord angielski, albo garson z pierwszorzędnej restauracji, nastawiający zegary życia na godzinę śmierci—maż to być śmierć czy przeznaczenie? taki okropny Przyjaciół w „Matce“, który postępuje gorzej od najzawziętszego wroga, tacy posępni Goście (w dramacie pod tymże tytułem), wynurzający z ciemni alei parkowych swe groźne twarze i peleryny, owa zionąca pleśnią grobową Manka w „Śniegu“, te wszystkie wreszcie figury z alegorycznej „Odwiecznej baśni“—czyż wyglądają istotnie na to, czem chciał je mieć Przybyszewski? Człowiek w dramacie może być tylko człowiekiem — i niczem więcej. Rozumieli to doskonale Szekspir, Schiller, Molière, nie zawsze rozumieli — Ibsen, Hauptmann, Maeterlinck i — Przybyszewski.

Jeden przykład wystarczy dla stwierdzenia powyższego.

Czem jest w „Godach życia“ Janota?

Posłuchajmy, jakie są *ipsissima verba* autora w tym przedmiocie:

„Daję Janotę, jako świadomego rzecznika najniższych i najpodlejszych instynktów tłumu. Jest chytry i przebiegły, dobroć jego jest maską, którą w tej chwili zrzuca, gdy mu się nadarza sposobność, by chcieć wyzyskać z całą znaną brutalnością słabość i bezbronność Hanki.

„Janota gwałci Hanke, czystą i świętą (?) w swym strasznym bólu, tak strasznym, że jej świadomość zamać. To potworne, brutalne, ale to ostateczny tryumf, jaki mściwe, obrażone prawo porządku społecznego nad Hanką odnieść mogło.“

Kto widział na scenie „Gody życia“, a nie czytał przedmowy, temu z pewnością nawet przez myśl nie przeszło, by ów, wstrętny zresztą w tem, co czyni, i w tem, co mówi, młodzieniec w „nad-człowieczym“ płaszczyku z peleryną i w kapeluszu czarnym z szeroką kanią miał być symbolem „mściwego, obrażonego

prawa porządku społecznego“. Scena-życie mści się na autorze-symboliście. W jaskrawem świetle kinkietów Janota jest melodramatycznym łotrem — niczem więcej.

A te pół-fantastyczne postacie w dramatach Przybyszewskiego, mające potęgować nastrój grozy i lęku, ni to duchy, ni to ludzie z ciała i kości? Szereg ich pomnaża obłąkana Zebraczka w „Godach życia“, o której tak powiada autor w przedmowie:

„W tej Zebraczce czyż tak trudno dopatrzeć się tej marnej litości, która w najlepszym jeszcze razie zbłąkanej Hance „uzdrawiającej źródło“ na dnie przepaści wskazuje? A ponieważ nawet tego rodzaju współczucie jest niezmiernie rzadkie, więc Zebraczkę obłąkaną zrobiłem.“

I znowuśmy się nie zrozumieli!

Ktoby myślał, że owa Zebraczka, powtarzająca roztrzęsionym, sugestywnym głosem: „Kołysze się źródło, kołysze...“ to przecucie śmierci, jako jedynej ucieczki od bólów życia, jedyne go balsamu na rany ducha. Jasnym więc jest, że treść symbolu nie odpowiada jego postaci zmysłowej.

Jeszcze jest okoliczność godna uwagi: trylogię „Synów ziemi“ kończy... „Zmierch“, a z tym zmierzchem przychodzi śmierć Czerkaskiego, śmierć Zaremby, śmierć moralna Hanki. Byłżeby to istotnie zmierzch — modernizmu polskiego? ostatnie porachunki ziemskie głośnych niegdyś uczestników krakowskiego „Paona“? Ze tak jest, wątpić o tem nie można. W tem tylko wątpliwość, czy modernizm ten, w osobie Przybyszewskiego, ma pełną świadomość swego dogorywania. Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w dalszej twórczości Przybyszewskiego, który rozpoczął niedawno w *Sfinksie* nową powieść, p. t. „Mocny człowiek“.

Na zakończenie tych nieco przydługich może uwag jedno ciekawe i wymowne zestawienie. Przed lat dziesiątkiem dogorywający Adolf Dygasiński, jeden z pionierów pozytywizmu, wyrzucił z zastygającej piersi pieśń łabędzią, wielki hymn na cześć radości, życia i słońca. Temu hymnowi na imię „Gody życia“; a treścią jego, na tle dziejów żywota mysikrólika, świetny tryumf światła nad mrokiem, dnia nad nocą, Białego boga nad Czarnym, życia nad śmiercią.

„Mieszkańcy Ziemi, biedni, przytłoczeni cierpieniem, poniżeni przez występki, zawdy słyszą z góry głos, pełen otuchy:— Życie zła, niedoli wszelkiej, jest doczesne i na śmierć skazane!

„Świat żywy spogląda z uwielbieniem ku krainie błogostawionej dobrych obietnic nieśmiertelności, marzy wspaniale o ziszczeniu swoich pragnień, przegląda się w dziele własnem doskonałem.

„Niedola zdaje się istnieć jedynie dlatego, aby była bodźcem do tem gorętszych pragnień, do tem piękniejszych marzeń. Z owych pragnień i marzeń wyzwała się siła olbrzymia, której praca przeobraża Życie zwątlone w postaci coraz wdzięczniejsze. Czyny!“

„Jak dobrze żyć w owym świecie! Na rozpacz niema czasu.“

„Takie są koleje w dziejach Życia!“

I to był pozytywizmu polskiego do ludu głos ostatni.

A modernizm?

Ten ma też swe „Gody życia“, które są też jego śpiewem łabędzim. I cóż? Spuszczone z łańcucha „prawa porządku społecznego“ brytany instynktów pierwotnych, szarpiące teraz w sztuki ciało własnego pana; głucha noc rozpaczy i zwątpienia, noc, wskrós której przez mroczne głębie idą straszliwe poszepty zbrodni i gwałtu; „ustawiczna męka życia“, walka posępna i okrutna, bez nadziei zwycięstwa, ani nawet chwalebnej śmierci, a w końcu — głuche odrętwienie, kamienny spokój, śmierć gwałtowna, „uzdrowiające źródółko na dnie przepaści“, zasłanej złomami granitu.

„Słońce i życie!“—woła do nas konający na arenie życia pozytywizm przez usta Dygasińskiego. „Zmierch i zgon!“—krzyczy w obłąkaniu, schodząc z oblicza teraźniejszości, modernizm Przybyszewskiego.

Takie dwa testamenty pozostawiły nam dwa wrogie sobie kierunki literackie, które wypełniły sobą treść naszych przeżyć estetycznych ostatnich lat pięćdziesięciu.

*

*

*

O twórczości Kasprowicza będę miał sposobność pomówić obszerniej innym razem, z powodu drukującego się obecnie sześciotomowego zbioru jego dzieł oryginalnych, który zawrze (łącznie z wydanymi już dwoma tomami przekładów) całokształt jego dorobku poetyckiego.

Dzisiaj wypada na tem miejscu zaznaczyć ukazanie się nowego zbiorku jego utworów lirycznych, p. t. „Chwile“ (Lwów, 1911).

Od „Ballady o słończniku“ (Lwów, 1908) trzy lata milczał autor „Mojej pieśni wieczornej“. Może praca profesorska w uniwersytecie lwowskim odbiera mu tyle czasu i duszy?

„Chwile“ zdają się to przypuszczenie potwierdzać. Są to bowiem istotnie „chwile“ wypoczynku, wywczasu po nużącej pracy, może obcej jego poetyckiej duszy. Nastroje tych chwil, częściej smętne, niż radosne, ale nie pławiące się w morzu rozpaczki, przelewa poeta na papier, bo — czuje potrzebę wewnętrzną takiej samotnej z własną duszą rozmowy, pisze, jak ów sielankopisarz polski XVII w., „sobie, nie komu, swe, nie cudze rzeczy“.

I nie dba ni o poklask gawiedzi, ni o podziw smakoszków. Pieśń jego to szczery odzew duszy, przez żadne alenbiki hyperestetyzmu nie przepuszczany, żadnymi kwiatkami stylu nie ozdobiony.

Cóż wam to szkodzi, cóż wam to szkodzi,
 Że sobie składam te zwrotki?
 Największe to dla mnie jest szczęście,
 Niema rozkoszy tak słodkiej...

Niczego nie chcę, niczego nie chcę,
 Żaden już skarb mi się nie śni,
 Chleba mi kromka wystarczy
 I jabłko i dźwięk mojej pieśni...

Gdy w tym pokoju, gdy w tym pokoju
 Widzę naprzeciw te drzewa
 Rozkołysane, odrazu
 Dusza ma szumi i śpiewa.

A wyjdę w pole, a wyjdę w pole,
 Nad którym słońce już gaśnie,
 Czuję, jak we mnie z uporem
 Rytmiczne rodzą się baśnie.

Chodząc po mieście, chodząc po mieście,
 Gdy czasem spojrzę w twarz ludzi,
 Śpiewnemi echami ich radość
 I ból ich do życia mnie budzi.

Więc cóż wam szkodzi, więc cóż wam szkodzi,
 Że sobie składam te zwrotki.
 To dziś, to jutro jest moje,
 To jawa, to sen mój słodki.

Te pieśni więc rodzą się samorzutnie, zapłodnione falą wrażeń, idących ze świata zewnętrznego, podniet często drobnych, a przecież budzących w sercu poety śpiewne echa. Na tajny, nie dla każdego ucha dostępny rytm natury i życia dusza poety odpowiada rytmem piosenki.

Co nas głównie zastanawia w „Chwilach“, to dziwny spokój i równowaga ducha, wogóle zaś przewaga refleksyi nad żywiołowością. Tych burz, które huczały w „Mojej pieśni wieczornej“, w „Dies irae“, już teraz nie usłyszymy. Cichy smutek, nie obłęd rozpaczy, łagodny liryzm, nie zaś rozpętanie się mocy piekielnych i mocy anielskich w człowieku, już nie „ślepa, na przydrożu przykucnięta Dola“, co „śmieje się dzikim śmiechem“, ale spokojna zaduma nad przeznaczeniem człowieka na ziemi.

W samo południe, w godzinie,
Skąpanej w rozżarach złota,
Staje nad brzegiem potoku
Samotna ludzka tęsknota.

Ku dalom rwie się bezkreśnym,
W błękitów gubi się toni,
Lub z rozwartemi oczyma
Falne poszumy goni.

Więzącą porzuca izbę,
Powieki zmęczone przetrze,
Piersiami pełnemi chłonie
Przewonne, ciepłe powietrze.

A faldów jej sukni powiewnej
Czepia się dłońmi drżącemi
Żal cichy i szepce: Jak trudno
Rozstawać się z duszą tej ziemi...

W godzinie zmierzchu, kiedy zapadający mrok rzuca cień smutku na dusze ludzkie, kiedy na serce człowieka sływa smętek, ów szczególny smętek konającego dnia, rodzą się takie tęskne zadumy, jakby wtórując „ulinionej z wierzbiny“ fujareczce pastuszej. To też owe „chwile“ przypadają najczęściej na ów moment wieczornej pomroki, kiedy wszystko w przyrodzie zda się być jednym rytmicznym dźwiękiem i jedną czującą myślą (wiersze „Oto wieczorny zmierzch...“, „Wczoraj o zmierzchu...“, „Śmieszni jesteśmy wszyscy...“, „Złocistem winem czarę napełnioną...“, „Cicho za nami sunie cień żywota...“, „Wolałbym z tobą pomówić...“ i t. d.).

Oto jest ton zasadniczy „Chwil“, wcale różny od tych nastrojów, które niegdyś, również o wieczornym mroku, budziły się w jego duszy, głęboko czującej tragizm życia, dziś już zakutej w pancerz beznadziejności, pozornej może? przychodzi bowiem chwila w życiu, kiedy nie chce się już okazywać światu swego ociekającego krwią serca, jak głowy św. Jana na misie Herodyady.

Jedno nie zmieniło się w twórczości Kasprowicza: on z ziemi wyrósł i z ziemią nigdy związków nie zerwał, a w cyklu „Dies irae“ dał najdramatyczniejszy wyraz bólom tej ziemi.

I w „Chwilach“ nie zapomina o „chłopskim zagonie“, nie zapomina o „zapadłem, rajskim siole“, które dawało mu zawsze momenty natchnień najszczytniejszych.

Świadczy o tem w niniejszym zbiorze cały cykl wierszy, z pomiędzy których przytaczamy najwymowniejszy:

Chłop pokrzywiony, siwy, Jak osadzisty smrek. Przystanął w pośrodku drogi. Którą zna niemal wiek.	Słońce się uśmiechnęło, Uśmiechnął się stary człek I dalej znów powłókl się drogą, Którą zna niemal wiek.
Rozgląda się naokoło, W błękitny patrzy świat I mamle: Toż samo to słońce, Co świeci mi od lat?	A z wrzaskiem, z gałęzi klonu, Zerwał się kawek chór: Od ciemnych przyleciał tu borów I w ciemny leci bór.

Wyraz: demokracja jest zgoła niewłaściwy, kiedy mówimy o pierwiastku ludowym w poezji Kasprowicza. Demokracja oznacza coś sztucznego, jakieś zniżanie się do poziomu nie swojego, coś w gruncie rzeczy niezgodnego z naturą. Ludowość Kasprowicza ma w sobie, przeciwnie, coś z żywiołu, jak żywiołowa jest też i cała jego twórczość poetycka. Kasprowicz nie ma nic wspólnego z Parnasem, wytwornością formy, cyzelatorską robotą. Poematy jego to bryły rozpalonej lawy, buchającej ogniem; gdy lawa zakrzepnie i zastygnie, niechaj inni wyrabiają z niej bibeloty i inne galanterye; jego przy tej dłubaninie nie będzie.

Tem, co rozumiemy pospolicie przez określenie: „urodzony liryk“, Kasprowicz nigdy nie był i nie będzie.

*

*

*

Piękny jest dorobek Kazimierza Przerwy-Tetmajera w ostatnim okresie jego twórczości. Mówimy tu o dwóch powieściach: „Maryna z Hrubego“ („Na skalnem Podhalu“ część VI, 1910), oraz „Janosik Nędza Litmanowski“ („Na skalnem Podhalu“ część VII, 1911). Obie one stanowią nierozzerwalną całość i, gdy po wyczerpaniu pierwszych nakładów będą wydane razem, otrzymają nazwę „Legendy polskich Tatr“.

Stworzyć „legendę polskich Tatr“—oto był zamiar artystyczny poety. To znaczy powołać do życia olbrzymie, ponure postacie, z których każda ma w sobie coś z mytu, coś z bajecznych Waligórow i Wyrwidębów, coś z półbogów-tytanów starożytnej

Greyci, coś z bohaterów pieśni o Niebelungach. Ci heroje „Legendy polskich Tatr“, ów Sablik z gęślikami w rękawie, Krzys ze skrzypkami pod pachą, i Mardula, i Gadeja, i tylu innych, to nie dzisiejsi górale, co za parę szóstek gotowi całą noc tańczyć znudzonym ceprom „zbójnickiego“; to artystyczne wcielenia owych sił żywiołowych duszy chłopskiej, których w dzisiejszych gazdach i juhasach liche jeno resztki pozostały.

Historyzm uchodzi tu na drugi plan: to, że w pierwszej powieści występuje Kostka Napierski, donniemany syn naturalny Władysława IV, wódz zbuntowanych chłopów na Podtatrzu, Chmielnicki Podhala, ale różny od tamtego fortuna, jest tu rzeczą, że tak powiemy, wypadkową. Zresztą Kostka ginie okropną śmiercią na palu już w połowie pierwszej powieści, przypłacając męczeństwem swą miłość gorącą dla uciśnionego przez panów ludu i swe plany ambitne. Nie on więc jest postacią główną „Legendy“.

Nie jest nią również i Janosik Nędza Litmanowski, o którym zresztą wiadomości historycznych mamy bardzo niewiele, legend miejscowych — dość dużo, ale, jak stwierdza sam poeta, nieciekawych. I nie o niego głównie szło autorowi.

Na tytule pierwszej powieści czytamy: „Maryna z Hrubego“. Dzielna dziewczyna z rodu Toporów, ze wsi Hrubego, dumna i wolna córka gór, tragiczna w swej grzesznej miłości do pana Sieniawskiego, miłości, która ujarzmiła tę duszę nieokiełznaną, Maryna, przez litość składająca w dani panu Kostce kwiat swego dziewictwa, także za drobnym jest pyłkiem człowieczym, by mogła być za oś utworu uważana.

Jakiż więc był cel autora „Janosika?“

Przypomnijmy sobie, że „Maryna“ i „Janosik“ stanowią VI i VII część cyklu „Na skalnem Podhalu“. Bohaterem więc „Legendy“ nie jest ani Kostka, ani Maryna, ani Janosik; bohaterem jej jest lud podhalański, jakim był, póki nie skaził się naleciałościami kultury obcej, miejskiej, ów lud ze swoim obyczajem starodawnym, ze swoją gwara, dziś już rozkładającą się, ze swemi wierzeniami, zaludniającemi, na pogańską modłę, turnie i hale, potoki i jaskinie rojami istot nadprzyrodzonych, słowem, ze wszystkim, co się na tę psychę pierwotną do niedawna składało.

Stworzyć „legendę polskich Tatr“ to znaczyło zakląć w kształty mocnej, śpiewnej mowy podhalańskiej, świetnie wystudyowanej, groźne i ponętne zarazem obrazy naszych gór, igrzysko przepo-
tężnych żywiołów, nad którymi panuje jednak duch jeszcze potężniejszy, człowiek, juhas, zbójnik. A chociaż nasza literatura

tatrzańska już dziś jest bardzo rozległa i różnorodna, nigdzie dotąd Tatry nie wystąpiły w takim majestacie, jak w tej „legendzie“, utworze wprost wyjątkowym w naszym piśmiennictwie dzisiejszem.

A niechaj kto nie sądzi, że ci Podhalanie z czasów Jana Kazimierza nadto są zmodernizowani, boć wiadomo, że obyczaj chłopski w tak odległych od ośrodków cywilizacyjnych zakątkach nie ulegał w wieków kolei żadnym zgoła zmianom: zresztą autor podkreślił nader umiejętnie pierwiastek kastowy w owoczesnem społeczeństwie polskiem, mówiąc o nienawistnym stosunku ludu do szlachty, która, zagarnawszy dla siebie wszystkie przywileje prawne i polityczne, okrutnie obchodziła się ze swymi młodszymi braćmi. Na tej też podstawie gruntuje się władza Janosika, hetmana góralskiego, który idzie na Luptów lepszą dolę krzesać ze skał twardych dla nieszczęsnej braci.

Tyle o ludziach. A przyroda tatrzańska, tak groźna, a tak urocza, że, kto zaczerpnął w piersi jędrnego powietrza na halach, zawsze tęsknić będzie do tych wrażeń niezapomnianych?

W kreśleniu tych obrazów Tetmajer nie ma sobie równych. Do barwności tych kart przyczynia się niezawodnie i język, gwara podhalańska, którym dziś nikt już, tak jak on, nie włada, podnosząc tę mowę, prostacką nieraz, do wyżyn prawdziwej poezyi. A krajobrazy „Legendy“, to wdzięczne i powabne, jak pierwszy promień wiosennego słońca, to przeraźliwe i dzikie, jak śmierć, czyhająca w skalnym żlebie, należą do najpiękniejszych w naszej beletryście współczesnej.

Nie będziemy tu rozwodzili się nad kwestyą, kto był właściwym „odkrywcą“ Tatr: Staszic, Goszczyński, Pol, Chałubiński, Witkiewicz czy Tetmajer. Chronologiczna kolejność zdarzeń niewiele tu znaczy.

Ale to jest rzeczą pewną, że Tetmajer, jako poeta-Podhalanin, jako autor siedmiu tomów cyklu „Na skalnem Podhalu“, oraz licznych liryk tatrzańskich (m. in. pełne głębokiej treści psychicznej i życiowej trzy „Listy Hanusi“), wśród dzisiejszych przedstawicieli poezyi „podhalańskiej“ zajmuje miejsce najwybitniejsze, a dla poetów „młodego Podtatrza“, z krwi i kości z ludu tamecznego (Teofil Lenart, autor młodzieńczego jeszcze, ale pięknie pomyslanego dramatu p. t. „Podhalanka“, na tle powstania chochołowskiego w r. 1846, Feliks Gwiżdż, Andrzej Galica, starszy od nich, już zasłużony w literaturze Władysław Orkan) jest on czemś w rodzaju patryarchy.

„Legenda polskich Tatr“ to natura i lud, zlewające się w jeden harmonijny obraz... I tylko pod tym kątem widzenia utwór ten staje się zrozumiałym, nie rozpryskuje się na rój luźnych epizodów (Tetmajer-liryk nie dba o zwartość kompozycji powieściowej) i tylko wtedy będziemy mogli ocenić całą jej wielką doniosłość.

Całem sercem, całą duszą jest Tetmajer przy swoich tatrzańskich bohaterach, przy swoich natchnionych lirykach. To dla siebie, dla swej wyobraźni poetyckiej, bo Tetmajer jest przede wszystkim poetą. A dla głodnej wrażeń tłuszczy—sensacya powieści współczesnych lub malujących przyszłość. Chcecie? mam i dla was grosz w mej pańskiej kalecie, groszyk miedziany, bo złoto nie dla was, „zjadacze chleba“, szare mrowie deptaczy ziemi!

Tak myślał — ośmielamy się przypuszczać — Tetmajer, puszczając w świat najnowszy swój utwór: „Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem, anegdota“ (1912).

Co się tam działo, to się działo; a na zakończenie dodało się takie słówko „od autora“:

„Kochany Główniaku! Kiedy skończyłem twoją korektę, widzę, że jesteś niekonsekwentny — nie jesteś jednakowo głupi, ale jesteś coraz głupszy i, o ile to możliwe na tym świecie, bodaj że za głupi. Jakie to szczęście, że wraz ze swoją amantką, panną Opolską, jesteście tylko anegdota.“

„Jesteście tylko anegdota!“ I niczem więcej. Nie będziemy więc długo opowiadali o tem, jako dumna hrabianka Opolska poczuła pociąg (nie nazywajmy tego, broń Boże, ani miłością, ani romansem, chyba, jak to uczynił autor, w znaczeniu ironicznem!) do nauczyciela wiejskiego, syna straganiarki krakowskiej, takiego (*excusez le mot!*) Główniaka (przepysznego zresztą w plastyce doskonałej gbura i głupca), i jako też panna Opolska przyszła do wyrównania różnic społecznych między sobą a kochankiem... przy pomocy jednej i drugiej flaszki perfum, wylanych obficie na wezglowie miłości...

Reszta—krwawe objawy nienawiści społecznych i bezkrawawe zwycięstwa szwindlarzy żydowskich — to tylko akcesorya. Rzecz główna już się dokonała—między tym dwojgiem.

Ale to tylko anegdota, dobrze korzenna, dykteryjka, opowiedziana po dobrym obiedzie, przy cygarach i czarnej kawie. Nie indagujmy więc autora o stronę... pedagogiczną jego „Romansu“ i czekajmy na nowe dzieła talentu, który, jak słońce, przegląda się zarówno w groźnej siklawie tatrzańskej, jak i w kałuży.

Władysław Reymont, po ukończeniu ostatniej, czwartej części „Chłopów“ (1909), nie spoczywa na laurach. Od tego czasu wydał już tom nowel p. t. „Burza“ (1909, teraz wyszły w nowym wydaniu, pomnożone dawną, dobrze już znaną „żałosną idyllą“ o „Lili“, biednej, smutnej aktorce teatru wędrownego, pod zmienionym tytułem „Ave patria“ 1912). Napisał też i dwie powieści: „Marzyciel, szkic powieściowy“ (1910), oraz „Wampir, powieść“ (1911).

Skrzywdzilibyśmy najnieśluszniej w świecie Reymonta, mówiąc, że w utworach tych, jak Homer czasami, drzemie. Ale stwierdzić możemy, że od „Chłopów“ talent jego nie poszedł naprzód. Nowym etapem w rozwoju tej niezwyklej jednostki twórczej będzie zapewne trylogia: „1795—1831—1863“, której pierwszą część rozpoczął drukować niedawno *Tygodnik Ilustrowany*. Ale narazie, po przeczytaniu kilkunastu zaledwie ciągów, nic jeszcze o tym nowym utworze powiedzieć nie możemy.

„Marzyciel“ przypomina Reymonta z przed lat piętnastu, przypomina tłem rodzajowem i nastrojami „Fermenty“: tak samo, jak tam, rzecz dzieje się na podrzędnej stacyi kolejowej w jakiejś zapadłej głuszy. Cisza, senność, martwota, nuda. Od czasu do czasu przebiega, jak błyskawica, ekspres, migając oświetlonemi oknami wagonów, częściej nierównie zatrzymuje się przed peronem zasapany parowóz, wlokący z trudem przepełnione po brzegi podróźnymi wozy osobowe: oto — i cała rozmaitość, a raczej monotonia nużąca i bezynnylna.

Mamy i bohatera. Młody urzędnik kolejowy, kasyer, spędzający niemal całe dni i część nocy przy okienku, zmęczony i rozdrażniony automatyzmem życia roślinnego. Trzeba być mądrą bezduszną, żeby to wszystko wytrzymać, żeby nie buntować się przeciw swej ślimaczej skorupie! On nie wytrzymał — i zbuntował się. Zapadł na manię dziwaczną: zamyka się w chwilach wolnych od zajęć służbowych w swym pokoiku, otacza stosami przewodników kolejowych, opisów podróży, albumów z widokami i słowników i... podróżuje — w marzeniu, chwalać się przed innymi, że te urocze krainy widział istotnie. A przyjeżdżając do Warszawy, przebiera się w bajeczny kostyum cudzoziemskiego turysty i udaje Anglika.

Wreszcie mania opanowuje go wszechwładnie, czyniąc zeń złodzieja i przeniwiercę. A kiedy ze skradzionymi z kasy kolejowej pieniędzmi ucieka zagranicę, przekonywa się niebawem, że daremnie szukał dreszczów rozkoszy w wielkich ogniskach życia na Zachodzie: rzeczywistość nie odpowiada marzeniom, za-

wodzi go boleśnie, aż wreszcie — po wychyleniu do dna gorzkiego kielicha rozczarowań — popycha do samobójstwa.

O „Marzycielu“, zarówno jak i o „Wampirze“, była już dawniej mowa w *Bibliotece Warszawskiej*, nadmienię więc tylko, że dodatnią stroną pierwszej powieści jest owo tło rodzajowe, o którym wspomniałem powyżej: senna, apatyczna leniwość, panująca pomiędzy jednym pociągami a drugim, gorączkowa wrzawa i nerwowy zgiełk podczas kilkuminutowych postojów, wreszcie — rozpaczliwa małostkowość, szarzyzna i pustka życia miejscowego, stosunki i stosunek, cała dławiąca atmosfera dawno nie przewietrzanych zakamarków.

Tom niniejszy uzupełniają dwie krótkie nowele: „Senne dzieje“, obraz wizji z tamtego świata, tak dziwnie wikłających się z obrazami rzeczywistości, oraz „W pruskiej szkole“, epizod z dziejów męczeństwa dzieci polskich w zaborze niemieckim.

I bohater „Wampira“ również daje się unieść szaleństwu, ale z innych zgoła powodów: jeżeli „marzyciela“ wytrąciła z równowagi umysłu pospolitość wrażeń, jakby zastygłych w bezruchu jednostajności, to ofiara „wampira“, młody Polak, literat, zamieszkujący w Londynie, traci rozum wskutek niepospolitości zbyt silnych wrażeń, jakich doznaje.

Pierwsza to powieść egzotyczna w jego dorobku (nowele egzotyczne mieliśmy już np. w zbiorze p. t. „Burza“, chociażby „W palarni opium“, również z bruku londyńskiego). Ze „wsi spokojnej, wsi wesołej“, jak mówi Kochanowski, przenosi nas Reymont do gwarne go zbiorowiska ulic, gmachów i ludzi, jakim jest olbrzymia stolica świata, Londyn.

Trudne do uchwycenia nastroje ulic, placów, ogrodów londyńskich, w dzień i w nocy, w piękną pogodę i podczas słoty, owej charakterystycznej dla stolicy Albionu *London weather*, a zwłaszcza owego zgiełku przechodniów i pojazdów, tego waru życia wielkomiejskiego, który powstaje i powstawać musi tam, gdzie płaczą się i krzyżują interesy kroci istnień ludzkich, wreszcie — miejsca zabaw i uciech publicznych, owe nory, gdzie zbierają się i męty stołeczne, i szukająca coraz to nowych podniet dla stępiących nerwów śmietanka towarzystwa, wszystko to pod piórem Reymonta nabiera barwy i ruchu, składając się na zsynetyzowany obraz zewnętrznej powłoki życia londyńskiego.

Przekroju tego życia, domu, duszy angielskiej nie dał nam Reymont, może dla braku bezpośrednich obserwacji. Inna natomiast materya pociągnęła ku sobie jego żywą wyobraźnię. Szło mu bowiem głównie o odtworzenie wybitnych objawów dzi-

siejszego ruchu teozoficznego, czy jak nazwać owe spirytyzmy, magnetyzmy, satanizmy, jogiziny, rozdwojenia osobowości, sobowtóry, nowoczesnych biczowników, Szatany-Bafometry we własnej osobie i w swoich „awatarach“, czarne i białe msze, i wszystkie te hindusko-angielskie cuda i cudactwa, którymi Reymont wypełnił „Wampira“.

Bohater tej powieści, uchodząc od nieszczęśliwej miłości, wyjechał z kraju, by utonąć w morzu londyńskim. Nie utonął, stał się, jako literat, piszący po angielsku, znanym i wziętym, aż wreszcie rozciągnęła nad nim swą tajemniczą władzę dziwna, napoły tylko ziemską istota, miss Daisy, wysłanniczka Bafometa, a może sam Bafomet wcielony. Ona to wiedzie go ze sobą na zgubę, na śmierć lub szaleństwo, a on nie może oprzeć się tej niesamowitej potędze, choć wie, co go czeka, chociaż znajduje przeciwwagę w sercach dwu kochających go kobiet.

Taką treścią sensacyjną wypełnił Reymont ostatnią swą powieść.

Obie powieści, „Marzyciel“ i „Wampir“, robią wrażenie, jakby były pewnego rodzaju wypoczynkiem myśli i wyobraźni po jednym wielkim przedsięwzięciu („Chłopi“), a przed zabranieniem się do drugiego („1794—1831—1863“); te owoce wczasów znakomitego pisarza to prace, oczywiście, pomniejsze, w znaczeniu wysiłku energii twórczej i doniosłości.

*

*

*

Jeżeli z powodu „Wampira“ zadajemy sobie mimowoli pytanie: gdzie się kończy sensacya, a gdzie zaczyna sztuka, to podobne też zastrzeżenia przychodzą nam na myśl, gdy czytamy trylogię o „Srebrnym globie“ Jerzego Żuławskiego. Nietrudnoż bo, idąc śladem Verne'a i Wellsa, napisać zajmującą powieść, wysyłając ludzi na księżyc, każąc im tam wędrować po głuchej, bezwodnej i bezpowietrznej pustyni, a znalazłszy się po drugiej stronie naszego satelity (dla nas niewidzialnej) w przyjaźniejszych warunkach bytu (wbrew zresztą twierdzeniom uczonych, utrzymujących, że i tam również ni powietrza, ni wody, ni tem samem i ludzi, być nie może), walczyć z potwornymi selenitami, złośli-

wymi szernami, zachowywać w pamięci głucho jeno wspomnienie o ziemskiej ojczyźnie i t. d.

Ale trzeba być prawdziwym poetą, by z takiego fantastycznego przedziwa wysnuć złotą nić istotnego arcyzimu.

Żuławski uczynił to bezwątpienia. Zwłaszcza powiedzieć to można o pierwszej części tej trylogii „księżycowej“: „Na srebrnym globie“. Są tam karty wprost niezapomniane: straszna wizja martwej pustyni na księżycu, tym w połowie swej zwróconej ku ziemi (według Żuławskiego) trupie planety, a potem—ostatnie rozdziały powieści: pamiętnik Starego Człowieka, ostatniego z pomiędzy szczupłej gromadki owych śniaków, co w sztucznie wyrobionym wozie przenieśli się z ziemi na powierzchnię bladego towarzysza nocy: bije z tych kart taka żałość, i tęsknota, i samotność ducha, i pustka serca, że pierś nasza mimowoli podnosi się ciężkiem westchnieniem. Głęboki liryzm, ten rzadki względnie gość w twórczości poety-filozofa, przenika te obrazy.

W drugiej części trylogii, p. t. „Zwycięzca“ (1910), przedstawia Żuławski smutną dolę skarłałych potomków owych pierwszych zdobywców księżycy. Cierpiąc krzywdy okrutne od szernów, wyżej wspomnianych autochtonów naszego satelity, żadnej nie znali obrony, pokornie znosząc ucisk i krwawe prześladowanie.

Wierzyli tylko, że dobre bóstwo ześle im kiedyś obrońcę, „zwycięzcę“, który ich wyzwoli i uszczęśliwi.

I przyszedł czas, że zwycięzca zjawił się między nimi widomie. Oto w wozie ognistym przyleciał pewnego dnia urodny, w dwójnasób przenoszący wzrostem ludzi księżycowych młodzieniec: przybywał z dalekiej Ziemi. On sam nazywał siebie Markiem, ale selenicy dali mu imię Starego Człowieka, przezwisko ostatniego z ziemian, którzy niegdyś przybyli na księżyc; on najdłużej żył ze wszystkich, a kiedy umarł, rozeszła się legenda, że wróci kiedyś, po wielu wiekach, odwieczny patriarchy, by lud swój poprowadzić ku szczęściu i chwale.

W „Zwycięzcy“ niema tego liryzmu, który podyktował Żuławskiemu najpiękniejsze rozdziały trzeciej części „Srebrnego globu“. Nie brak wszakże tej powieści wysokich zalet artystycznych. Dziwne losy „Zwycięzcy“, który nietylko że nie pokonał okrutnych szernów, chociaż początkowo odniósł nad nimi kilka walnych zwycięstw, ale i sam padł ofiarą, ukamienowany przez własnych wyznawców, zawiedzionych w swych nadziejach, pociągają wyobraźnię czytelnika, jak baśń czarodziejska, baśń, wytwornem piórem poety-mysliciela spisana.

Z trzecią częścią trylogii, „Stara Ziemia“ (1911), przenosimy się znów na powierzchnię naszej planety. A przenosimy się razem z dwoma karlikami księżycowymi, Rodą i Mataretem, którzy w żelaznym wozie markowym, opanowawszy go podstępnie, mimowolnie, nieostrożnie pocisnąwszy wprawiającą przyrząd w ruch sprężynę, przybyli na ziemię.

Pomimo udziału w akcyi tych dwóch selenitów, „Stara Ziemia“ luźno tylko wiąże się z poprzednimi powieściami. To, co tu nam autor przedstawia, niema żadnego związku z księżycem i mogłoby się wybornie obyć bez Rody i Matareta.

Przedewszystkiem należy przypomnieć, że akcja „Zwycięcy“ i „Starej Ziemi“ przeniesiona jest w odległą przyszłość, podobnie jak ostatni obraz dramatu „Eros i Psyche“. Nowe więc pole dla fantazyi autora. Że będziemy tu mieli do czynienia z cudami techniki przyszłości (samochody i samoloty, telefony i wszelkie inne zastosowania energii elektrycznej), na to mogliśmy być z góry przygotowani. Ale to stare szablony, jeszcze z tych czasów, kiedy o samochodach nikt nie słyszał, a awiatykę uważano za mrzonkę szaleńców i nieuków. Nie tu więc szukajmy zalet „Starej Ziemi“.

A oto osnowa powieści: szlachetny myśliciel i genialny wynalazca, doktor Jacek, Polak (jak Stary Człowiek i Marek), wytworzył w swem tajnem laboratorium nową materję wybuchową, tak silną, że niewielka jej ilość wysadzić może w powietrze całą ziemię, wygubić do znaku cały rodzaj ludzki na naszej planecie.

I ten pomysł nie jest bezwzględną nowością, a chociaż jest osnową powieści, nie on stanowi o jej doniosłości filozoficznej i artystycznej.

Szukajny więc dalej.

Skoro rozeszła się wiadomość o wynalazku Jacka, ci i owi zaczęli ubiegać się o ovladnięcie tak straszliwej broni w walce społecznej. I tu okazuje się, że w stosunkach ekonomicznych nic się nie zmieniło na kuli ziemskiej: po dawnemu wre walka kapitału z klasą pracującą, po dawnemu przedsiębiorcy gnębią i wyzyskują robotników, i po dawnemu tu i owdzie słychać o strejkach i bezrobociach. Jak za dobrych dawnych czasów XIX-go lub początków XX-go stulecia!

Oczywiście, obie strony, rząd i lud, chcą posiadać tajemnicę wynalazku Jacka. Ale on, szlachetny przyjaciel ludzkości, nie chce go nikomu udzielić dla uczynienia z niego morderczego narzędzia. Wreszcie, zmiechęcony do ziemi i ludzi, w nowo-zbudowanym wozie, odjeżdża na księżyc dla połączenia się z Markiem,

o którego śmierci męczeńskiej nic nie wie. Ale przed wyjazdem rozkręca swą cudowną machinę, czyniąc z niej w ten sposób bezsilną, pustą igraszkę.

I któż zawładnął bezszkodliwem już teraz, groźnem niedawno śmierci narzędziem? chytry, przebiegły i ambitny selenita Roda. On wie, że machina jest popsuta, ale zachowuje to w głębokiej tajemnicy; tylko przedstawiciele rządu, którym Roda dał do rozporządzenia straszliwy przyrząd, mają tego pełną świadomość. Lud jest przekonany, że machina może być w każdej chwili puszczona w ruch — i dać zwycięstwo rządowi w walce ostatecznej. Groza pada na wszystkich...

I oto zapanowuje cisza i spokój, wzburzone żywioły społeczne powracają do swoich łożysk, rząd tryumfuje nad buntownikami. Tryumfuje, dzięki fikcyi, dzięki fałszowi i obłudzie: zepsuta machina to jeden z tych bezdusznych fetyszów, jakimi ludzono ludzkość od wieków—po dziś dzień... *Mundus vult decipi...*

To wysoce oryginalne, doskonale pomyślane zakończenie „Starej ziemi“ czyni z tej powieści piękną i wcale głęboką poetycką syntezę życia społecznego. Myśliciel zapanował tu nad poetą, ale przyobleka swe sądy i wnioski w kształty prawdziwie artystyczne.

Prócz tych kilku wyżej wymienionych postaci, występuje tu jeszcze cały szereg drugorzędnych, będących przeważnie wcieleńniami pewnych dążeń, prądów i objawów życia społecznego (lord Robert Tedwen, literat Grabiec, kompozytor Łacheć, Żyd Halsband, robotnik Józwa, a przede wszystkim demoniczna Aza, wszechświatowa śpiewaczka i tancerka, której udział w rozwijających się wypadkach nie jest też bez znaczenia).

Co się zaś tyczy Rody, ten poszedł prostą drogą do celu: stanął u szczytu swych marzeń ambitnych, otrzymał godność ekscelencyi, tytuł „stróża maszyny“ i „zbawcy porządku“, jest otoczony czcią i bogobojnym strachem, jest pierwszym niemal człowiekiem na ziemi... Tacy zwyciężają, a Jacek — jedzie na księżyc... Oto sens życia!

Tak głupota i złość tryumfują nad rozumem i dobrocią. Tak Aryman pokonywa Ormuzda; szatan—Chrystusa. Smutne częściej, niż radosne, obrazy ścierania się tych wrogich sobie potęg kosmicznych dają nam nowele Żuławskiego, zawarte w dwu zbiorach: „Kuszenie szatana, opowiadania“ (1910), i „Bajka o człowieku szczęśliwym, nowe opowiadania“ (1910).

Myśl zasadnicza nowel obu tych cyklów wyraża się najlepiej w pierwszej noweli zbioru „Kuszenie szatana“, noweli, któ-

ra dała tytuł całej książce. Szatan, idąc po kamienistej drodze do miasta ludnego, spotkał człowieka, co cichy był i poselstwo niósł od Boga. A ten go kusił, mówiąc: „Spocznij. I tobie się spokój należy... Ja ciszę i pokój w Boże imię niosę na świat, a przeto mówię i tobie, jako wszystkim znużonym pracą dnia całego: Spocznij!“

Ale nie usłuchał „duch nieukoju“ i poszedł dalej drogą zamierzoną.

Tak „kusi“ szatana człowiek każdy, zarówno wielki duchem, jak i maluczki, gdy dopuści do siebie myśl dobrą, szlachetną, kiedy sięgnie do najgłębszych pokładów duszy i z pod namulów ślimaczego samolubstwa i lodowatej obojętności na niedolę bliźnich dobędzie owych złotych żył, w których zamyka się lepsza natura człowieka, błyszczący blaskiem słońca czysty brylant miłości i cnoty.

Tak przedstawia Żuławski rozpaczliwe zmagania się Dobra i Zła. Tak szatan walczy u niego z Bogiem, czasem ulega, czasem wystawiany jest na pokusę. I na niego nachodzą mgły wątplenia i otchłanie męki: kędyż kres jego drogi? kiedyż strudzonemu stopom da odpocznienie?

I w nowelach więc, podobnie jak i w „Starej Ziemi“, Żuławski szuka form literackich, w któreby przybrał swe myśli o świecie i ludziach. A choć w niektórych z jego nowel przeważa dydaktyzm (np. „Rozmowa z dyabłem“), ogólnie biorąc, wyraz artystyczny jego wyrozumowanych poglądów na wysokim stoi poziomie.

W ostatnim roku wydał Żuławski dwa nowe utwory dramatyczne: „Koniec Mesjasza“, dramat w IV aktach (1911), oraz „Gród słońca“, baśń dramatyczna w trzech aktach (1911).

W pierwszym z tych dramatów rzecz się dzieje w Adryanopolu, w r. 1666 po Chrystusie. Bohaterem tytułowym jest Mesjasz żydowski, Sabbataj C'wi, treścią — walka pomiędzy tym czczonym przez Izraela prorokiem a sułtanem Mohamedem IV. Zwycięzcy w tym boju duchowym dostanie się władztwo dusz.

I nie będziemy zapytywali natarczywie autora: dlaczego obrał sobie ten, a nie inny przedmiot natchnienia, gdyż na to może mieć zawsze gotową odpowiedź: „duch, gdzie chce, tam wieje“. Losy Sabbataja (który pono był pospolitym szarlatanem) pozostawiają nas zupełnie obojętnymi, ten Mesjasz adryanopolski z XVII wieku nie potrąca w nas żadnej struny uczucia, nie jest też bynajmniej jedną z iskier w tej kuźni wielkiej, w której wykuwają się olbrzymie kształty myśli europejskiej myśli

o postępie i wolności; nie można też upatrywać w nim treści alegorycznej, jak w Wallenrodzie litewskim, Irydionie greckim, Jeremiaszu hebrajskim, Wallasie szkockim, Lariku brytyjskim.

Sabbataj więc mógłby nas zająć tylko jako kreacya czysto literacka, gdyby w nim była siła dramatyczna, poza dekoracją rodzajowo-historyczną. Siły tej w dramacie dopatrzeć się trudno: są jej zapowiedzi (w wielkiej scenie II aktu pomiędzy Mesyaszem a sułtanem), ale w gruncie rzeczy nic nas tu nie podnieca, nic nie wstrząsa. Niepodobna sobie wyobrazić, by ktoś czytał „Koniec Mesyasza“—z wypiekami na twarzy.

„Baśń alegoryczna“, nosząca tytuł „Gród słońca“, była już krytycznie roztrząsana w naszym piśmie (zeszyt styczniowy b. r.), wracać więc do tego przedmiotu uważamy za zbyteczne.

*

*

*

Niemniej płodny i pracowity od Żuławskiego Leopold Staff w ostatnim roku zaznaczył swą nie słabnącą działalność twórczą, prócz „Wyboru poezyi“ (1911), zawierającego najlepsze części jego natchnień lirycznych, od „Snów o potędze“ (1901) począwszy, aż do „Uśmiechów godzin“ (1910), jeszcze dwoma tomami: cyklem lirycznych utworów p. t. „W cieniu miecza“ i dramatem współczesnym p. t. „To samo“.

„W cieniu miecza“—to brzmi nietylko nastrojowo, ale i niemal bohatercko. To niemal wezwanie do boju. Posłuchajmy np. kilku zwrotek wiersza: „Falanga tragiczna“:

Nam, którym codzien białą skroń całuje duma,
A oddal tajni dała źrenice jastrzębie,
Buntem jest bój zdobywczy, a siostrą Śmierć kuma.

Nadzy miecz niesiem w dłoniach, bo tarcze na dębie
Zawiesiliśmy świętym, wraz z wiecznymi śluby,
Ze będziemy znali jeno dal, szczyty i głębie.

Włos bez hełmu nam stroi dąb w zielone chluby,
Z mieczami w prawej, w szereg wiążem się w pochody,
W lewych bratnie prawice dzierząc za przyguby.

Prócz własnej krwi czerwonej, niemasz nam nagrody
I niema zadowoleń nam z czynów tysięcy
I nie cieszą nas żadne zwycięskie zawody:

Bo najmniej, co nam wolno uczynić, jest: Więcej.

Walki śmiertelnej, zwycięstwa lub chwały pragną młodzi rycerze („I krzykiem budzim wroga, aby nie znienacka We śnie nań spaść, lecz śmiało, otwarcie, wśród jawy, Gdyż im sławniej się broni moc wroga junacka, Tem piękniej też pracuje i dla naszej sławy“).

A w wierszu p. t. „Bieguny“ woła poeta:

Królestwo moje nie jest z tego świata,
Bo je wyśniła w gwiazdach myśl skrzydlata,
Lecz z tego świata jest mój miecz żelazny!

Niech lśni dobyty, pochwie nieprzyjazny!
Bo najpiękniejsza myśl rzekła człowiecza:
„Raj mój spoczywa w cieniu mego miecza.“

Ktoś pochopny do „syntez“ i uogólnień chciałby może wyciągnąć z tych wypowiedzeń się poety daleko idące wnioski: mógłby tedy dużo i pięknie mówić o przesileniu się dekadentyzmu w kierunku budzenia się energii narodowej i prężności ducha, z której rodzą się czyny wielkie i chwalebne.

Ale my będziemy ostrożni. Pamiętamy bowiem, że już w pierwszym swym zbiorku: „Sny o potędze“, Staff w ton podobny uderzał, że w poemacie „Mistrz Twardowski, pięć śpiewów o czynie“ (1902) słyszeliśmy pobudki bojowe. I wiemy już, jaki koniec temu wszystkiemu: co poczęło się w marzeniu, nigdy nie przejdzie w sferę rzeczywistości, co jest tylko „snem“, nie powtórzy się na jawie. Staff, cichy i smutny marzyciel, natura kontemplacyjna bardziej może, niż szczerze uczuciowa, jeśli wzlatuje „nad poziomy“, to tylko wyobraźnią i tęsknotą. Brak mu, jak wogóle Młodej Polsce, owych skrzydeł, na których romantyzm szybował wskrós przestworów nieskończoności. Sen o potędze, sen o czynie, sen o walce, sen o bohaterstwie nie ziszczą się podobno nigdy... A sen o miłości ulatuje z ostatnimi błyskami jesiennego słońca...

„Robak smutku mię gryzie“ — mógłby Staff powiedzieć za Słowackim. A chociaż woła obecnie, że zburzył w gruzy „stary smutku dom“ i uczynił z siebie „wschodom słońca próg“, przecież

fala smutku idzie ku nam z tych kart, dzwoniąc cichą, a jednak przejmującą pieśń — nicości.

Oto naprzykład typowy pod tym względem sonet p. t. „Pamięć dzieciństwa“:

Hekroć dusza moja, dumaniom swym wierna,
W zieleń drzew mnie zawiedzie, gdzie słodkimi echy
Świegot ptaków napelnia świeże liści wiechy,
A w górze lśni spokojnie głąb nieba niezmierna.

Zbłąkane wśród gałęzi słoneczne uśmiechy
Zdaje się skrywać smutkiem jakaś troska bierna.
Cisza zdaje się dziwnie łzawo-miłosierna,
A śpiew ptaków brzmi jakby bezradne pociechy.

I nie wiedziałem długo, skąd ten smutek wzrasta.
Aż wspomniałem, że pierwszy raz mnie, dziecię miasta,
Zawiedziono w przyrodę w żalobie: na cmentarz.

Tam pierwszy raz ujrzałem lzy i wolne drzewa,
Usłyszałem, jak matka płacze i ptak śpiewa,
I dotąd mnie ta chwila pyta: czy pamiętasz?

„Cmentarz“ i „miecz“ — to dwa bieguny, między którymi błąka się dusza poetycka Staffa. To jakby teza i antyteza nastrojów duchowych; synteza zaś tych dwu przeciwieństw brzmi: bezsilność marzeń.

I to właśnie jest istotną treścią natchnień lirycznych Staffa, poety wytwornego, o duszy subtelnej i wrażliwej, mistrza formy, która pod jego piórem układa się w miękkie, jedwabiste fałdy.

„To samo“ jest czwartym z kolei dramatem Staffa, po „Skarbie“ (1904), „Godiwie“ (1906), „Igrzysku“ (1909), a pierwszym — w rodzaju naturalistycznym. Po poematach dramatycznych i malowniczych obrazach tych lub innych chwil dziejowych i środowisk (Anglia w wieki średnie, upadające imperyum rzymskie za Dyoklecjana), takie dokumenty ludzkie, taki arcytyp kanalii, wyrosły na śmietniku współczesnego życia ekonomicznego, jak papa Korzecki w „To samo“, przeskok to wielki i trudny do wykonania. Tem trudniejszy, jeśli ma go uskutecznić taki łagodny melancholik i poza światem żyjący marzyciel, jakim jest autor „Snów o potędze.“ Wszak nie dostrzegliśmy w nim dotąd ani odrobiny żółci, ani śladu temperamentu satyrycznego.

Jak więc wywiązał się Staff z nowego dla siebie zadania?

Dał plastyczny względnie typ kryminalisty w ukryciu, Korzeckiego, który niejedną już grzeszek ma na sumieniu (fałszował

podpisy na wekslach), który... nie waha pieniędzy, bo mu wszystko jedno, czem one cuchną, byleby były. Stworzył znacznie mniej już posiadającą wyrazistości konturów, nieco przesadną postać Stanisława Stopy, młodzieńca, który ma nieskrywany żal do całego świata za to, że jest dzieckiem nieprawem; wyprowadził na scenę mocno już szablonową mamę Korzecką, wyczytującą zapamiętałe romanse z odcinków pism codziennych (analogiczną figurę widzieliśmy w „Lili“ Reymonta), wreszcie — parę kochanków: młodą i piękną nauczycielkę, Julię Korzecką, i zamożnego obywatela, Stefana Grońskiego, nie zaznaczających zresztą w dostatecznej mierze swej indywidualności.

Stefan kocha Julię, do której zbliżył się pod pozorem lekcji języka angielskiego i jest przez nią gorąco i głęboko kochany. Ale Stefan ma żonę, nieznośną kobietę, która mu nie chce dać rozwodu. I dramat gotowy.

Nie, nie gotowy! Bo oto Stefan proponuje panie Korzeckiej małżeństwo „na wiarę“ — i ona, po pewnem wahaniu, zresztą niezbyt długiem, i pokonaniu skrupułów rodziców, zresztą niezbyt opornych, przychyliła się do jego życzenia. Niema dramatu.

Ale tu zaczyna działać papa Korzecki. Jest on, jak zwykle, „w ciężkiem położeniu.“ Piszę więc do przyszłego „zięcia“ uprzejmy bilecik z prośbą o krótką rozmowę sam-na-sam i małą pomoc; w rozmowie daje do poznania Stefanowi, że nic nie ma przeciw jego względem Julii zamiarom, a ofiarowany sobie czek przyjmuje — z wdzięcznością. Ludzka rzecz! Czegoż bo się nie robi w rodzinie?

Julia jest jednak odmiennego zdania: dowiedziawszy się o tej „delikatnej“ transakcyi, wyrzuca ojcu, że ją sprzedał, Stefanowi, że ją kupił, i wyskakuje przez okno na bruk.

Tak wygląda naturalizm Staffa. I nie będziemy mu czynili zarzutu z tego, że przeczerzył swoich bohaterów (Korzecki — fałszerz, Stopa — złodziej), różni bo chodzą po ziemi świętej wisielcy. Ale jedno musimy stwierdzić z całą stanowczością: osią tego dramatu jest nie wewnętrzna logika faktów i prawda psychologiczna, ale — dziwne nieporozumienie. Przecież Stefan, udzielając ojcu Julii pomocy pieniężnej, nie myślał jej tem bynajmniej obrazić; przecież Julia, jeżeli nie była naiwnym podlotkiem (a wszakże przeszła ciężkie próby życiowe, które mogły jej na wiele rzeczy oczy otworzyć), musiała dawno już zwątpić o cnotach patryarchalnych swoich rodziców. Czyn Korzeckiego, aczkolwiek niewątpliwie brzydki, przedewszystkiem zaś niewczesny i niezręczny (przyjęcie pieniędzy), i czyn Julii, która już przedtem do-

browolnie i z pełną świadomością tego, co czyni, została kochanką Stefana (zamach samobójczy), nie pozostają z sobą w związku jawnej konieczności. A wtedy — niema i dramatu (poza kilku żywszemi scenami).

Naturalizm zawodzi Staffa w tym pierwszym jego kroku na nowej drodze twórczości. I wogóle powiedzieć można, że „młoda Polska,” poza Wyspiańskim i Przybyszewskim, nie wydała dramaturgów urodzonych: ani Kasprowicz („Bunt Napierskiego,” „Uczta Herodyady”) ani Żuławski, ani Staff nie są ludźmi teatralnymi.“ Dramat, osobny rodzaj twórczości, posiłkujący się odrębną zgoła techniką kompozycyjną, wymaga też odmiennego charakteru uzdolnień. Poczucie sceny, perspektywy kulisów—oto jest owo czarodziejskie słowo, które otwiera Sezamy w tym dziwnym świecie szminki i dekoracyi. I nie każdemu dano to poczucie. Miał je Schiller, nie posiadał go Goethe, miewał Słowacki, pozbawiony go był Krasieński. Są pisarze szczęśliwi, którzy mają je we krwi, pisarze, obdarzeni genialną intuicyą sceniczną—i tym dano jest unieśmiertelnić swe imię w teatrze (Szekspir, Molière, Fredro). Inni, mimo wysokiej kultury umysłowej, rozległej skali talentu, wysokiej miary podnoszonych problemów ideowych, poruszają się na scenie, jak istoty, pozbawione zmysłu trzeciego wymiaru, piszą „poematy dramatyczne,” „baśnie dramatyczne,” powieści lub artykuły publicystyczne w dyalogach, a to wszystko razem, jako teatr, nie warto jednej sceny z dobrej komedyi, chociażby osławionego i dziś już lekceważonego Sardou.

I jeszcze jedno: dramat, ale dramat istotny, nie zaś jego surogaty literackie, drukowany w piśmie czy w książce, to szkielec, który przyobleka się ciałem dopiero na scenie. Pamiętajmy, że wszyscy najwięksi dramaturgowie świata, od Sofoklesa począwszy, dla teatru układali swoje utwory i bez niego wyobrazićby sobie nie mogli swej twórczości, tem więcej, że i sami częstokroć bywali bądź reżyserami, bądź aktorami. Dopiero w teatrze, w świetle kinkietów, w doskonałej grze artystów, wobec roznamiętnionej widowiskiem publiczności dzieło dramatyczne dostępuje pełnego wcielenia.

A tym, którzy używają formy dramatu w tem przekonaniu, że dramat i dyalog to jedno, możnaby powiedzieć żartobliwie: „Jesteś zacnym człowiekiem, ale—nieosobliwym muzykantem.“

Nie jest „lichą muzykantką“ Gabryela Zapolska: jej dramaty mogą mieć wiele wad, zbyt często używają efektów grubych, dla rozbawienia gawiedzi, *ad usum paradisi*, czasem karykaturują rzeczywistość zamiast ją odtwarzać, a subtelną mgiełką tęsknego liryzmu otulają troskliwie postacie, niezupełnie zasługujące na taką pieczołowitość.

Ale Zapolska ma nerw sceniczny. Zapolska potrafi kilku osobami wypełnić zajmujące widowisko teatralne („Ahaswer,“ „Ich czworo,“ „Skiz“). Zapolska jedna z Polek piszących (a bodaj, że nie tylko Polek) wie, co to jest dramat.

Tym razem jednak, wbrew zasadzie: *Noblesse oblige*, nie stała na poziomie dawniejszych utworów, choćby „Moralności pani Dulskiej“ i „Panny Maliczewskiej.“

Mówimy tu o wystawionej niedawno na scenie warszawskiej „komedyi erotycznej“ p. t. „Kobieta bez skazy.“ Wystawienie to poprzedził rozgłos i huczek niemały: oto cenzura lwowska zabroniła grać tę sztukę w teatrze miejscowym... jako obrażającą moralność publiczną.

Wistocie, w „Kobiecie bez skazy“ (właściwie w pierwszym jej akcie) dzieją się rzeczy, jakich pozazdrościłaby naszej autorce niejedna tłusta i pieprzna farsa francuska, rzeczy, wobec których dramaty Przybyszewskiego (które niegdyś tak surowo potępiała opinia publiczna, stając w obronie kobiety polskiej) okryłyby się mogły rumieńcem niewinności dziewiczej. A cynizm paradoksów walczy o lepsze z panoszącym się na scenie wyuzdaniem.

Złe się dzieje w naszej rzeczypospolitej literackiej. To już nie naga dusza, „naga, w styksowym wykapanu mule,“ ale nagie ciało, z rozkoszą nurzające się w błocie. Te mnożące się z każdym rokiem objawy zwyrodniałej zmysłowości w literaturze są tak znamienne i groźne, że wymagają osobnego rozważenia.

Powrócę też do nich w najbliższym czasie.

Co zaś do Zapolskiej, muszę wyrazić tylko zdziwienie, że autorka tej miary artyzmu używa tak, powiedzmy bez ogródki, ordynarnych środków reklamy. Dobrze jest wywoływać dreszcze, ale po cóż do tego używać zgrzebła? Bo że ktoś, pozbawiony talentu i smaku estetycznego, pragnąc za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę, wyskakuje w błazeńskim stroju na rynku przed gawiedzią, to rzecz zrozumiała, ale Zapolska?

A co najważniejsza, „Kobieta bez skazy“ artystycznie dużo słabsza od poprzednich dramatów autorki „Kaśki Karyatydy.“ I zwykła sceniczność tu nie dopisuje Zapolskiej: jeden tylko akt pierwszy, ów najbardziej zmysłowy, jest pełen życia (choć kary-

katurą trąci); w dwu pozostałych—Talia drzemie, jakby po obfitej libacyi. Dramat (co u Zapolskiej rzecz dziś niezwykła) wyradza się w dyalog, czasem rozwlekły i bezbarwny, technika sceniczna zawodzi (niczem nie usprawiedliwione zjawianie się i schodzenie ze sceny osób działających), zarysy postaci wyginają się cudacznie, a myśl (jeśli tu wogóle była jaka myśl) płacze się w węzeł nie do rozwikłania.

O cóż tu bowiem szło autorce? Na podstawie pierwszego aktu wnosić wolno, że tezą „Kobiety bez skazy“ (w tytule ironia!) miała być myśl, że lepsza rozpusta cielesna jawna, bez maski, niż rozpusta wyobraźni, ukryta pod welonem fizycznej niepokalaności. I w tę stronę miało się zwrócić ostrze satyry.

Teza — jak teza. Moznaby się o nią pokłócić z autorką, gdyby myśl taką w komedyi swej konsekwentnie przeprowadziła. Jeżeli bowiem Zapolska w drugim i trzecim akcie (pozbawionych znamion prawdy życiowej i psychologicznej) przekreśla to, co napisała w pierwszym, jeżeli Renie, owej „kobiecie bez skazy,“ w której domu dzieją się rzeczy tak... dziwne, która lubuje się w tem, że jest przedmiotem pożądań zmysłowych, każe nagle wyrastać na wcielenie cnót niewieścich, jeżeli wielbiciel Reny, profesor Halski, w drugim akcie mówi do Reny, że tylko wtedy będzie mógł ją osiąść, jeśli przedtem będzie kochanką innego (gdyż w przeciwnym razie miałby wrażenie, że uwodzi niewinną dziewczynę), a w trzecim, gdy ona dopełniła tego warunku, odchodzi z drwiąco-chłodnym uśmiechem na ustach: powstaje stąd taka płatanina, taka orgia sprzeczności i dowolności, że w końcu sama autorka już nie wie, czego chce od siebie, od nas, od świata, od powołanych przez nią samą do życia postaci.

Cóż więc pozostaje? propaganda „wolnej miłości“? „moralności niezależnej“? Włóżmy to „między bajki“! Pozostaje pijana kompanijka „mężów bez żon“ i — bez skrupułów, „żon bez mężów“ — i bez przesądów i panien „uświadomionych“, tarzających się po dywanach w buduarze pani Reny w pierwszym akcie.

I „dobrym muzykantom“ trafi się nieraz brzydtko sfałszować!

*

*

*

Nakreślony powyżej obraz naszego dorobku literackiego w roku ubiegłym nie jest, oczywiście, pełny. Chodziło mi o zaznaczenie punktów najważniejszych, rysów zasadniczych, o nakre-

ślenie w sposób schematyczny drogi, jaką przebiega nasza beletrystyka w obecnej chwili. Kontur ten postaram się wypełnić światłocieniem w dalszym ciągu rozważań niniejszych.

Tymczasem, narazie, wybrałem kilka postaci naczelných z pośród przedstawicieli „młodej Polski“ i przekonałem się, że „na ich korze pęknięcie serca znać.“ Wielu z nich świeciło nieobecnością (Żeromski, Sieroszewski, Daniłowski), inni pisali mało (Kasprowicz, Miciński), jeszcze inni tworzyli wprawdzie więcej, ale nowych dźwięków do akordu swej twórczości nie wniesli. A chociaż trafiały się utwory, noszące na sobie piętno dużego talentu („Legenda Tatr“ Tetmajera), jedno wszakże rzuca się w oczy: niema już pędu ku stworzeniu nowego kierunku w pisarzach, jak w publiczności niema już pędu ku poszukiwaniu nowych objawów wiecznie żywego piękna.

Chwila więc dla rozpoczęcia niniejszych „kronik“ zdaje się jak najmniej odpowiednią. Z niewesołą też twarzą staję po raz pierwszy przed czytelnikami w nowej roli kronikarza czy rejestratora naszej literatury współczesnej. Chciałbym rzucić im pod nogi dyamenty i perły, olśnić tęczową grą barw, oczarować uszy boską melodią poezji, wzniecić w sercach jasny płomień radości i nadziei. Ale — nie z pełni przychodzę rękami.

„Nie niosę chleba, nie mam nic przy sobie“—mówi Lilla Weneda do okrutnej Gwinony. Ale słodka Lilla kłamie, kłamie świadomie: wszak uwieńczyła męczeńską głowę liliami, których rdzeniem nakarmi głodnego ojca. Ja zaś jakżebym chciał splamić się takim kłamstwem (czy taką nieświadomością), jakżebym pragnął gorąco, by mi kto zaprzeczył dowodnie i wyłożył, jak na dłoni, że barwy nie przygasły, że szkła czeskie to klejnoty z korony królewskiej, że symfonia zgrzytów to melodia harf anielskich, że pęzające po przekwitłych wrzosowiskach dymy to jasno płonące ogniska!

A niechże mi kto, ku wstydowni memu i — radości, dowiedzie, że to, co brałem za łunę dopalających się pożarów, jest rumiątem świtem nowych zórz!

Ale, niestety! wątpię, czy znajdzie się taki. Wszyscy bowiem czujemy, że literaturze naszej usuwa się grunt z pod stopy, że żyjemy w chwili nie upadku może, ale — rozstroju. Lilla nie miałaby dziś czem posilić Derwida: romantyczne „nenufary“, jak i modernistyczne „grązele“, dawno powiędły, a nowe jakoś nie zakwitły kwiaty, nie porodziły się nawet nowe—nazwy tych samych, dobrze znanych płodów klasycznej bogini Flory.

Nie chcę, by mnie fałszywie rozumiano. Nie twierdzą, że w ogrodach naszej literatury wszystkie pomarzęły grządy i kwietniki, bezpowrotnie, bez nadziei odrodu, ścięte kosą szronu. Nie twierdzą, że dziś, jak niegdyś, za czasów pozytywizmu, „za ostatnim poetą zamknęła się brama.“ Nie twierdzą, że „niema pieśni pośród nas,“ że nie zjawiają się tu i owdzie, jak meteory, dzieła prawdziwie piękne i doniosłe.

Ale na tem miejscu chcę i śmiem stwierdzić, że dalecy jesteście od owej chwili, kiedy „bojownicy młodej Polski“ szli łąwą ramię przy ramieniu, ręka w rękę zdobywać światy, kiedy zdawało się, że nad polską krainą rozbiła się kryształowa „bania z poezją.“

Kto teraz szuka „nowych dreszczy“ w dramatach Przybyszewskiego? przysięga na sonet Tetmajera? szłocha i bije się w piersi na obłądnych drogach świata z Kasproviczem? usiłuje odnaleźć rozwiązanie zagadek społecznych w „Ludziach bezdomnych“?

To wszystko pozostało gdzieś, gdzieś w dalekiej przeszłości, zamglone i przygasłe. Fala odpłynęła, wyrzuciwszy na brzeg — puste konchy, z których wyciekło życie. Wszystko to już było — przed czterdziestu laty, gdy, jak mówi Asnyk:

Przycichła pieśń i kona już,
 Nie budząc żadnego echa...
 Próżno się czepia zwiędłych róż,
 Napróżno w łzach się uśmiecha.
 Próżno na grobach w cichą noc
 Skarży się smutna i błada:
 Straciła dawną swoją moc,
 Sercem człowieka nie włada...

A może to jeden z wyników 1905 roku? może to „huk dział wystraszył słowiki z ogrodów“? może naród nasz, uderzywszy w „czynów stal,“ zapomniał o posepnych pohukiwaniach i rozciekanych tokowiskach tych, na których niedawno, z gniazda podwawelskiego, z łona „synów ziemi“ przybyłych, patrzył w niemym i radosnym zachwycie, jak haruspeks rzymski na orły, wróżące zwycięstwo?

Trudno zaprzeczyć, że i to przyczyniło się w znacznym stopniu do upadku autorytetów literackich. Upojne hasła, które grały takimi cudownymi dźwiękami, przy łagodnym świetle ampli, podniecającą zwątląle nerwy snobów i histeryczek pobudkę bojową w płomiennym wierszu czy w budzącej grozę scenie powieści,

wyszły na ulicę, zmieszały się z tłumem, przerodziły się w chrapliwe, gardłowe tony mściwej pieśni ludowej, zagroziły porządkowi społecznemu i dobrobytowi współczesnych Mecenasów. A „naga dusza“ przestała już kogokolwiek wabić.

A potem — przyszła newroza po-rewolucyjna, upadek wiar wszelkich i dążeń wszelkich, zarówno politycznych, jak i — literackich. Zwarta ława „młodych Polaków“ poszła w rozsypkę.

Modernizm? Wczoraj jeszcze paliliśmy mu kadzidła i bili czołem o kościelne progi, wczoraj jeszcze zdawał się treścią całego naszego życia duchowego. Oto w 1900 roku zjeżdża do Warszawy, poprzedzony głośną fanfara, apostoł, czy może Mesyasz modernizmu polskiego, redaktor niemal legendarnego (bo nie przepuszczanego przez kordon) *Życia*, Stanisław Przybyszewski. Nie było wtedy innego proroka nad niego, innego przykazania nad „De profundis,“ innej piękności nad „Homo sapiens.“

A dziś — modernizm to jeszcze jedna mumia, złożona z nabożeństwem w Panteonie przeszłości...

I powtarzam raz jeszcze: rewolucya 1905—1906 roku przyczyniła się niezawodnie do—otrzeźwienia rozestetyzowanego społeczeństwa. Ale go nie spowodowała. Upadek modernizmu przyszedł sam, naturalną koleją rzeczy, jak po przyptywie następuje odpływ, po ranku—wieczór. „Przemiana w naturze polskiej“ nastąpiła, ale nie w tem znaczeniu, jak to rozumiał Wyspiański. Many wprawdzie niejedno dzieło godne uwagi, ten i ów młody talent obiecujący; ten i ów z przodowników dawnej „Młodej Polski“ chodzi jeszcze w pojedynkę, może niejedyn jeszcze snop promieni z piersi natchnionej dobędzie.

Ale—i to jest rzeczą najważniejszą—niema żadnego programu, żadnego kierunku, żadnego katechizmu estetycznego. Niema proroków—są tylko pisarze; niema czcicieli—są tylko czytelnicy.

A to ze wszystkiego najgorsze, że—nie zanosi się bynajmniej na zmianę, że—nie przewiduje się w najbliższym czasie tego, by miało narodzić się nowe *credo*, by na miejsce powalonego bożyszcza usiłował kto wznieść nowe.

Ktoś bąknął o neo-pozytywizmie, ale wnet opatrzył się i zamilkł, przerażony własnym zuchwalstwem. Zresztą—cisza i cisza...

Jedna tylko wyłoniła się z otchłani rewolucyi nowa forma artystyczna: kabaret literacki. Tutaj — wszyscy są zadowoleni: autor-wykonawca, że może „opasłym burżujom“ prawić w żywe oczy bezczelne impertynencye, i publiczność, że przy pulardzie i szampanie posłucha pieprznych i gorzkich „kawałków“ dla tem lepszego trawienia...

Kabaret i kinematograf—oto, być może, piosenka przyszłości. A wszystko inne to „literatura“.

Istotnie więc, chwila, w której rozpocząć mam tę nową pracę, chwila zastoju czy odretwienia, snu czarodziejskiego, który, jak gdyby za sprawą jakiejś symbolicznej Rze-Pychy dzisiejszej, opanował dusze polskie, nieprzyjazna zgoła. Wszakże — mimo wszystko — wierzę, że „duchy lecą, jak łańcuch żórawi, w przyszłość“, że — nigdy dość często nie można powtarzać pięknego orzeczenia, szczytnej wyroczni poety:

Grób cię nie odda światu widmem bladym,
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą,
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem :

Lecz przystrojona w królewski dyjadem
Musisz do życia wkroczyć życia bramą,
Musisz być inną! choć będziesz tą samą.

Ale zanim uderzą dzwony na to radosne „święto“, nie będę klimkiem ciskał, czuję się bowiem obowiązany do prawdy i tylko do prawdy.

*

*

*

Tyle o „Młodej Polsce“.

A pisarze starszego pokolenia? Ci odzywali się również rzadko. Sienkiewicz po „Wirach“ (1909) dał nam dopiero w roku ubiegłym dzieło niepospolitej pod każdym względem wartości, „W pustyni i w puszczy“ (o utworze tym pisaliśmy już osobno na tem miejscu); Prus nie ukończył jeszcze „Przemian“ na łamach *Tygodnika Ilustrowanego*.

Jeden Weyssenhoff jest w pełni rozkwitu swego wielkiego talentu: raz po raz zadziwia nas rzeczami o wysokim stopniu artyzmu, o niezwykle oryginalnem ujęciu przedmiotu („Unia“ 1909, „Hetmani“ 1910, „Soból i panna“ 1911).

Z „Sobola i panny“, tej precudnej sielanki myśliwskiej, grającej pełnią barw, dźwięków i woni, zdawaliśmy już sprawę na łamach *Biblioteki*. Obecnie do tego pocztu przybywa rzecz nowa: cykl nowel p. t. „Znaj pana“ (1912).

Jest to już wytartym liczmanem myśli, że Weyssenhoff od dawna przestał być satyrykiem „wielkiego świata“: twórca „Dni politycznych“, „Unii“, „Hetmanów“, „Sobola i panny“ nie jest już tylko tem, czem był, gdy pisał „Podfilipskiego“, „Sprawę Dołęgi“, „Syna marnotrawnego“.

Coraz też rozszerzał się widnokrąg jego odczuwań artystycznych: widzieliśmy to w „Dniach politycznych“, gdzie wystąpił jako satyryk działań i poczynań rewolucyjnych, i w „Unii“, gdzie poraz pierwszy wykazał wielki talent malarski w przepięknych obrazach łąk, pól, wód i lasów litewskich i w doskonałych sylwetkach postaci epizodycznych; w „Hetmanach“ dał szeroko nakreślone syntezy prądów społecznych, w „Sobolu i pannie“ wreszcie, owym niezrównanym „cyklu myśliwskim“, w którym zawarł tak wysoce artystyczną syntezę tajnego życia natury. A jednocześnie rozszerza się i skala talentu autora w mierze zgoła nieprzewidzianej.

Ale o tem wszystkim wiemy już dokładnie: zarejestrowano to już w kronikach literatury naszej lat ostatnich.

Nie będę więc powtarzał tych zszarzałych ogólników. Pragnąłbym natomiast podkreślić w tym ostatnim zbiorze jego nowel nowy rys: coraz serdeczniejsze zbliżanie się do człowieka. Zmysł satyryczny nie opuszcza go i tutaj; ale na ludzi patrzy już teraz Weyssenhoff nie tylko jako na przedmiot szyderstwa, ale przede wszystkim—jak na ludzi. A w każdym człowieku, w magnacie czy w chłopie-leśniku, jeśli poszukasz dobrze, odnajdziesz pod warstwą sobkostwa i obojętności złote pokłady uczuć szlacheckich, którym wszakże okoliczności nie zawsze pozwalają ucieleśnić się w czynie.

W nowelach z cyklu „Znaj pana“ ujawnia się to szczególnie w sposobie traktowania osób ze świata, tak czy inaczej uprzywilejowanego.

Taki np. hrabia Teodor Odwaga-Konopacki, półpanek podolski czy ukraiński, przyjechał do Paryża bawić się i rozrzucić pieniądze, a jednak, podrażniony cynicznym egoizmem nieczułego na obowiązki narodowe magnata, hrabiego Granowskiego, rzuca na cel publiczny 4000 franków, przeznaczone na przyjemności paryskie („Znaj pana“). Inny znów magnat, książę Korecki, w ostatniej chwili przed zgonem przypomina sobie o potrzebach społecznych i hojną na ich zaspokojenie przeznaczą w testamencie ofiarę („Wyroki“).

Gdzieindziej znów proboszcz-sybaryta naraża się, jakoś mimo wiedzy i woli, na więzienie i wygnanie, kojarząc młode pary

unitów, chrzcząc ich dzieci w wierze ojców („Pod piorunami“). A w „Pani Teodorze“, nagrodzonej na konkursie *Tygodnika Ilustrowanego*, przywołując przed oczy czytelnika świetną wizję epoki napoleońskiej, chce autor zaznaczyć, że pod mundurami i frakami inne były wówczas serca, a piersi inne rozsadały pragnienia...

Oczywiście, że te postacie bliskie są naszemu sercu. Czujemy tych ludzi—i rozumiemy, bo też pełne są życia i prawdziwe, chociaż zlekka zaledwie zarysowane. Znać tu pewną rękę artysty, który nie potrzebuje dużo mówić o swoich postaciach, aby postawić je, jak żywe, przed naszymi oczami. A przytem, jak mogliśmy się przekonać już w „Unii“, Weysenhoff nie tylko jest malarzem natury i ludzi, ale i poetą najczystszej wody, może bardziej jeszcze w prozie, niż w wierszu. I nowele jego tchną urokiem jakiegoś niezmiernie artystycznego *milieu*, wytwornych sprządek, stylowych strojów, subtelnych woni, pełnych gracy ruchów, rozmów, strzelających racami owego *esprit* czasów minionych, dla którego niema już odpowiednika w dzisiejszym świecie.

Weysenhoffowi stanowczo bardziej przystałoby uczestniczyć w „obiadach czwartkowych“, niż w tajemniczych siestach „synów ziemi“ pod Paonem lub w arlekinadach „Zielonego Balonika“.

Człowiek to i pisarz — nie modernistyczny.

HENRYK GALLE.

Ruch literacki w Niemczech.

Jubileusz Henryka Kleista, o którym mówiliśmy przed trzema miesiącami (zeszyt lutowy b. r), wywołał w Niemczech echa do dziś dnia jeszcze nie przebrzmiałe, owszem, coraz głośniejsze.

Zacząło się to od założenia „fundacyi Kleista.“ Odezwa podpisana tak wybitnemi nazwiskami, jak: Otto Brahm, Hugo Hofmannsthal, Maks Reinhardt, Artur Schnitzler, wezwała w setną rocznicę zgonu nieszczęśliwego poety kulturalne niemieckie społeczeństwo do składek na utworzenie funduszu, z którego odsetki byłyby przeznaczone na wspomaganie młodych, dobijających się dopiero talentów poetyckich. Czy słusznie użyto nazwiska Kleista, który przecież nie tylko i nie przedewszystkiem z powodu materialnych kłopotów przedwcześnie zmarniał, o to możnaby się sprzeczać. W każdym jednak razie w akcie fundacyjnym są poglądy i zamiary, zdolne pobudzić do głębszych uwag. Zasadniczo nie można zaprzeczyć, że kultura niemiecka potrzebuje takiej fundacyi dla walczących dopiero o uznanie talentów poetyckich. Prawda, istnieją tam już oddawna liczne fundacye podobne, zwane nagrodami Schillera (tych jest dwie: jedna oficjalna, podlegająca wpływowi cesarza Wilhelma, druga powstała właśnie jako wyraz opozycyi przeciw arbitralności monarchy i „ludową“ zwaną), nagrody Grillparzera, Raimunda, Bauernfelda i t. d., ale są one istotnie dla danych celów niewystarczające. Po pierwsze bowiem nagradza się tutaj wyłącznie autorów dramatycznych, chociaż właśnie na polu teatralnem stosunkowo najłatwiej jeszcze i najprędzej można osiągnąć powodzenie, wobec którego tamte zapomogi pieniężne są może nie zbyt cenne, ale często nie konieczne. Powtórte te nagrody dramatyczne są w Niemczech rozdawane w odmienny sposób, niż np. u nas. Nasze „Konkursy dramatycz-

ne," zarówno jeden stały, co trzy lata przez galicyjski Wydział Krajowy urządzany, jak i inne sporadyczne, odznaczają dramaty, przedstawione Komisji w rękopisach, nigdzie ani nie drukowane, ani nie grane; w teorii bodaj są więc one rzeczywiście dostępne dla pisarzy początkujących i również w teorii przynajmniej mogą być pomocą i podniecią dla talentów, które bez nich zmarniałyby w ukryciu. W Niemczech natomiast nagradza się wyłącznie sztuki już grane i drukowane, w praktyce dzieła rozgłosne, które dzięki tej popularności, już i tak przed konkursem autorom wiele przysporzyły dochodu i nazwiska ich wydobyły z szarego tła. W tych okolicznościach widoczną jest więc potrzeba wspomagania w jakiś inny sposób i poetów w ogólności, a nie tylko pisarzy dramatycznych, i talenty dopiero wybijające się na wierzch. Nowo powstała „fundacya Kleista" ma więc rację bytu, tylko... kto i na jakiej podstawie ma sądzić, który z kompetentów posiada istotne zdolności rozwoju, a wskutek tego zasługuje na pomoc? Naprzód tacy sędziowie musieliby zapoznać się z materiałem wprost nieograniczonym, bo liczba „piszących" w Niemczech wynosi legion, a każdy z nich, uważając się za talent, zgłaszałby się do konkursu. Powtóre: z „pazurów" można już rozpoznać „lwa," ale dopiero z pazurów, rozwiniętych dobrze, a w takim razie widzą tego lwa już wszyscy, a on już nie potrzebuje zachęty ze strony szczupłego grona sędziów. Czy zaś wyrastające pazurki oznaczają lwa, czy marne kociątko, to daleko bardzo trudno rozstrzygnąć i „fundacya Kleista" musiałaby być przygotowaną na liczne omyłki, wynikające z protegowania marności, z odmawiania pomocy niejasno się zapowiadającym geniuszom.

Zanim jednak zdołała ona popełnić bodaj jedną omyłkę, a również i uczynić bodaj jeden dobroczynny krok, z obozu jej inicjatorów wypadła strzała, skierowana ku twierdzy starych, co dało początek hałaśliwej polemice literackiej, tak namiętnej, jak Niemcy od kilkunastu lat, od czasu sławnej, czy osławionej walki Sudermanna z krytyką berlińską, nie widzieli. Oto w styczniowym zeszycie wybitnego organu młodych, *Die neue Rundschau*, p. Hans Kyser, jeden z owych wybijających się protegowanych „fundacyi Kleista" napadł w gwałtowny sposób na znacznie starszą jej siostrzycę, „niemiecką fundacyę Schillera." Założona w setną rocznicę urodzin wielkiego poety (r. 1859), zorganizowana we wszystkich większych miastach niemieckich, posiadająca miliony majątek, a sto tysięcy rocznego dochodu, ma statutowe swe zadanie „niemieckim autorom i autorkom, zasłużonym około lite-

ratury narodowej (z wyłączeniem umiejętności fachowych), a zwłaszcza tym, którzy się posługiwali formą poetycką, w ten sposób oddawać cześć, żeby im albo ich najbliższym pozostałym, w razie ich ciężkiego położenia życiowego, nieść pomoc.“ Otóż Kyser zarzuca zarządowi fundacyi, że przez cały czas jej istnienia wspomagał przeważnie trzecio i dziesięciorzędnych, bardziej poczytych, niż utalentowanych, odnawiał natomiast pomocy autorom istotnie znakomitym, pominawszy kilku, którym dopomógł więcej dla własnej reklamy, niż dla nich samych (Detlev von Liliencron otrzymał np., i to w upokarzającej formie, trzysta marek, tak że nie wiedział, czy się z tego śmiać, czy gniewać!). Na poparcie swoich oskarżeń Kyser cytuje wyrwane z całości wyjątki z referatów sekretarza zarządu, które mają dowodzić, jak lekceważąco on sam się wyrażał o obdarowanych pisarzach. Na to gromkie „j'acusse“ młodego zawrzało w obozie starych. Oskarżeni mogli się w swojej obronie posłużyć niejednym rzeczywiście przekonującym argumentem. A więc np. Kyser uważa z jednej strony owego referenta za ignorantę w sprawach literackich, ale z drugiej sądom jego przypisuje bezwzględną słuszność — gdzież jest tutaj lojalność? albo: w spisie obdarowanych autorów brak bardzo wielu wybitnych pisarzy, ale czy dlatego, że im zapomogi odmówiono, czy też może z tej prostej przyczyny, że znajdując się w dobrych stosunkach materyalnych, wcale o zasiłek nie prosili, ani nie byłiby go przyjęli? Albo też: wielu z pupilów „fundacyi Schillera“ dzisiaj istotnie należy do rupieci literackich, ale czy z tego koniecznie wynika, że w swoim czasie, lat temu nieraz kilkadziesiąt, mieli oni znaczenie w zakresie narodowego piśmiennictwa? Swoją drogą przyznali się starzy do błędów, zwłaszcza do tego, że w miarę powiększania się liczby zabiegających o zapomogi, ich wysokość spadała coraz bardziej, tak że nieraz z trwałej pomocy robiła się chwilowa jałmużna. Pozatem zresztą walka ta w obecnej chwili jeszcze nie jest skończoną, a walka pomiędzy fundacją Kleista a Schillera, czyli—jak ktoś dowcipnie a zjadliwie powiedział — pomiędzy ochronką dla niemowląt a schroniskiem dla starców, przeobraziła się w starcie dwóch generacyi, co w spokojnem niemieckiem życiu literackiem jest zjawiskiem tak wyjątkowem, że należało z nim pokrótce i polskich czytelników zaznajomić.

*

*

*

Niemieccy poeci liryczni mogliby się zresztą skarżyć nietylko na materyalne upośledzenie. W porównaniu z autorami powieści i dramatów mają mniej nietylko pieniędzy, ale i sławy. I to zarówno u swoich, jak i u obcych.

Zdawałoby się zaś, że powinno być inaczej. W przeciwieństwie do innych literatur najwyższy rozkwit niemieckiej liryki nie przypada na czasy największej świetności narodowego piśmiennictwa w ogólności. Złoty wiek literatury niemieckiej to, jak wiadomo, okres weimarski Schillera i Goethego. W liryce natomiast nie ta chwila oznacza szczyt: Schiller wielkim lirykiem wogóle nigdy nie był, sława jego zasadza się przedewszystkiem na utworach dramatycznych; Goethe był wprawdzie wielkim lirykiem, ale przeważnie przed przyjazdem do Weimaru, za swego pobytu w Strassburgu jeszcze, ponadto zaś i to trzeba uwzględnić, że jego liryki, zwłaszcza najpiękniejsze z nich, nigdy nie były popularnemi, że więc Goethe-liryk szerszym warstwom wykształconego ogółu był i jest nieznanym. Stąd poszła jedna korzyść dla stanowiska poezji lirycznej w poczuciu narodowem: jej istnienie nie związało się z owym „złotym wiekiem“ całego piśmiennictwa, przeżyło go, trwało po śmierci Schillera, a nawet i Goethego, owszem, dopiero wtedy zjawił się jedyny dotąd i prawdziwie wielki i prawdziwie popularny liryk niemiecki, Heine, a że obok niego i po nim, aż gdzieś do czasów Mörikego (zmarłego w r. 1875), żyli i pisali inni znakomici poeci liryczni, więc wszystko przemawiało za tem, że tradycja popularności tej gałęzi literatury utrzyma się w Niemczech, że tutaj nikt nie będzie, jak w Polsce Asnyk, musiał wyrocznie przekonywać, iż dzieweczka nie umarła, ale śpi. Tak, nie umarła poezja liryczna, ale też i nie żyła, tylko spała. Bo mimo wielu talentów, mimo słów uznania ze strony szczupłego grona znawców i miłośników, społeczeństwo niemieckie nie miało dla liryki swojej ani szacunku, ani zaciekawienia bodaj. Zmieniło się to dopiero, przelotnie tylko, a dziwnym zbiegiem okoliczności w epoce na pozór zasadniczo sprzecznej z pojęciem liryzmu, w epoce naturalizmu. Wniknąwszy głębiej w to ciekawe zjawisko, można je z łatwością wyjaśnić. Doktryna naturalizmu w wielu wypadkach okazała się szkodliwą, co gorsza, zgubną i zabijającą, ale w obliczu historii ma jedną wielką, niezapomnianą zasługę: była tym fermentem, który wzburzył martwe ciało, zwalczana i zwalczająca z równą zapalczywością wywołała wogóle zainteresowanie się wykształconej części narodu zagadnieniami literackimi i artystycznymi, użyźniła grunt pod rozmaite nasiona, tak że i liryka w nim mogła

zapuścić korzenie. Obok tego zaś działała jeszcze druga przyczyna, również z naturalizmem ściśle związana. Nie mówię tu o reformie formalnej strony wierszowania, którą usiłował wprowadzić Arno Holz; jego system budowania wierszy na podstawie symetrii geometrycznej, grupowanej około osi środkowej, zadający śmierć wszelkiej rytmiczności i melodyjności wiersza, był po prostu dziwactwem i nie mógł się przyjąć. Ale w innym kierunku naturalizm istotnie zapłodnił lirykę. Oto tutaj, jak w powieści i w dramacie, rozszerzył on ogromnie rozmiary pojęcia „poetyczności,“ wciągnął w jego zakres wszystkie objawy współczesnego życia, od pracy w kopalniach węgla i hutach szklanych do mrowiska ludzi w wielkomięjskich ulicach, od jęku matki z proletaryatu, nie mogącej wyschłą piersią nakarmić dziecka, do smutnej rozpusty sprzedajnej dziewczki ulicznej. Prawda, wiele z tych motywów było już u dawniejszych liryków, choćby u Heinego, ale oni, ilekroć je w poezji opiewali, czuli, że tym, ich zdaniem, apoetyckim obrazom trzeba sztucznie nadawać pozory poetyczności; naturalistyczni zaś poeci właśnie tę rzekomą a nawet istotną anpoetyczność współczesnego życia uwydatniali jak najsilniej i w niej najważniejszą, jedyną widzieli piękność.

Pierwszym, który te idee w czyn wprowadził, a mocą swego geniuszu zdobył dla nich powszechne uznanie, był niedawno zmarły Detlev von Liliencron. Poniekąd możnaby w nim widzieć predestynowanego z góry pośrednika pomiędzy młodszymi a starszymi laty. Uczestnik wojny francusko-niemieckiej z r. 1870 i 1871, roznielowany w rycerskim zawodzie,—jego „Nowele wojenne“ są wspaniałym peanem na cześć niszczących, ale i pięknych dzieł Marsa—z pochodzenia i przekonania junkier północno-niemiecki, co tam tyle oznacza, co u nas np. szlachcic z Sanockiego, obdarzony niezmiernie żywym temperamentem w znaczeniu nie tylko poetyckim, ale i ogólnie ludzkim, jako poeta barwny, swobodny, dziarski i zdrowo optymistyczny, był niejako z natury przeznaczonym na to, aby wznieść na nowo w Niemczech zamarte od śmierci Heinego upodobanie w poezji lirycznej, pozyskać dla niej nie jeno międzynarodowych estetów, ale szerokie sfery narodowego społeczeństwa. Śpiewał mu też w takt hucznego marsza wojskowego, lub wtórując krzykliwym komersom studenckim, albo rubasznym zwierzeniom wiejskiego życia; ale równocześnie przemycił niejako wśród tej staroświecczyny i tradycyjnej moralności obrazy i poglądy czysto nowoczesne, brane z ulic Berlina i z warsztatów fabrycznych, ze szpitali i z prosektoryów. I tak każdemu coś dawał: był „współpracownikiem“ zarówno szkolnych wypisów dla

działwy, wychowywanej w duchu państwowego patryotyzmu pruskiego, jak i rewolucyjnych, tajnych broszur agitatorskich, mających za zadanie podżęgać tłumy do obalenia istniejącego porządku społecznego, był poetą wielu i samotników duchowych zarazem, słowem on jeden jedyny szerszemu ogółowi był znanym z całej plejady najnowszych poetów.

Wszyscy inni żyli tylko dla nielicznych czytelników, nawet we własnym narodzie, a tembardziej u obcych. Co bowiem wie się o innych poetach dzisiejszych Niemiec? Chyba — nic. Autorowie dramatyczni, daleko łatwiej przekraczający granice swojej ojczyzny: nazwiska Hauptmannów, Sudermannów, Halbów, Bahrów, Schnitzlerów i in. znane są niemal w całej Europie i u nas także, dzięki temu, że teatry przedstawiają ich dzieła. Powieściopisarze są już w gorszym położeniu, ale i tutaj bądź drogą przekładów, bądź za pośrednictwem dłuższych lub krótszych sprawozdań i wzmianek, kulturalny Polak wie coś np. o Heysem, o Klärze Viebig, o Roseggerze, o Jerzym Ompteda, o Frenssenie, autorze „Jörn Uhla,“ a nawet o baronowej Heyking, autorce rozgłosnych „Listów, które go nie doszły.“ Poetów lirycznych natomiast u nas wcale się nie zna. W oryginale czyta ich bardzo mało kto u nas, tłumaczeń z innych ukazuje się w polskich czasopismach także znikoma liczba (w książkowych wydaniach oczywiście nie), rozpraw i artykułów o nich również nie pisze się i nie drukuje. Zdawałoby się, że poezya niemiecka stoi niżej od tamtejszej powieści i dramatu. Tymczasem tak nie jest, przeciwnie, jest ona może nawet ciekawszą od tamtych dwóch innych kategorii literatury, tylko zarazem trudniejszą do poznania. I oto dla czego postanowiliśmy przedstawić bodaj pokrótce najwybitniejsze jej kierunki i osobistości.

I jako osobistość, i jako przedstawiciel pewnego kierunku, a raczej kilku bardzo złożonych kierunków, musi być tutaj na czele wymienionym Ryszard Dehmel, najwybitniejszy dzisiaj liryk niemiecki, jedyny może tamtejszy poeta rzeczywiście na europejską modłę, jedyny już za życia zapewniony o nieśmiertelności swego imienia. Stosunkowo późno wystąpił jako poeta. Urodzony w r. 1863 tułał się naprzód po biurach rozmaitych redakcyi czasopism, nie stroniąc nawet przed sportowem. Potem z konieczności, dla chleba, pracował w instytucjach ubezpieczeń od ognia i zwolna, dopiero jako trzydziestoletni mężczyzna, wszedł w życie literackie, z większym rozgłosem w kwartalniku „Pan,“ wytwornem wydawnictwie, które w Niemczech odegrało podobną rolę, jak u nas „Chimera.“ I do pewnego stopnia to właśnie nie-

zwykle w dzisiejszych czasach opóźnienie się jego debiutów poetyckich wpłynęło dodatnio na ich siłę i indywidualną wyrazistość. Dehmel jeden jedyny ze współczesnych niemieckich poetów przypomina Goethego uniwersalnością swego geniuszu. Jak tamten poeta narodził się w rzeczywistości dopiero w Strassburgu, ale wielkim poetą stał się jeszcze później, po pierwszych latach weimarskiego pobytu, kiedy powszechnie mniemano, że w dworskich zabawach i państwowych zajęciach utonął jego poetycki talent, tak Dehmel, zanim pierwsze wiersze ogłosił, przeszedł twardą szkołę życia, urobił swój umysł, dojrzał poprzednio jako człowiek, zdobył głębokie wykształcenie filozoficzne, stał się samodzielną indywidualnością. Dzięki temu wystąpił także odrazu jako samodzielny poeta, aczkolwiek w artystycznym znaczeniu zależnym był wtedy od obcych wzorów. Z narodowych pisarzy wpłynął na niego przede wszystkim Nietzsche. Dehmel jest nie najpojętniejszym uczniem sławnego filozofa, ale najwierniejszym jego odzwierciedleniem w poezyi, co więcej jest oryginalnym i samodzielnym kontynuatorem nietzscheanizmu w poezyi. Jeśli już nie nadeszły, to wnet nadejdą czasy, kiedy nad Nietzschem i nad nietzscheanizmem będzie można w historii filozofii przejść do porządku dziennego, ale po wszystkie czasy dzieje literatury pięknej wspominać będą Nietzschego jako poetę filozoficznego, a jego właściwą filozofię nazwą może z błędzeniem z przeznaczonej mu pierwotnej drogi rozwoju tak, jakby się wyrażały np. o Shelleyu, gdyby był zamiast wierszy pisał filozoficzne księgi. Co Nietzsche dał poezyi? Dał jej przede wszystkim i może jedynie tylko przedziwną harmonię pomiędzy uniwersalnością a indywidualizmem, pomiędzy rozhukaną a raczej niczem nieskrępowaną żywiołowością a duchową subtelnością, krótko mówiąc, pomiędzy ciałem a duszą, poetycznie się wyrażając, pomiędzy zwierzęciem a duchem, harmonię, która w świecie ścisłej filozofii musiała okazać się dziwaczną utopią, wprost wyzywającą karykaturą, ale w świecie poetyckim, w najwyższych jego sferach mogła zadziwić potęgą, ogromem iście tytanicznym. Dyonizyjski szal, dytyrambiczny patos, oto zewnętrzny wyraz poezyi ducha Nietzschego, wyraz zapewne często na zewnętrzny efekt tylko obliczony, chociaż nieświadomie, ale wszak w poezyi, jak wogóle w sztuce, pozór jest walorem konkretnym, pozytywnym, natomiast w ścisłej wiedzy, jaką jest filozofia, takie teatralne dekoracje są niedopuszczalne.

Czem Nietzsche mógł się stać dla poezyi, gdyby go była nie porwała namiętność zyskiwania drogą filozofii prozelitów, zasadniczo sprzeczna z jego naturą, tem Dehmel stał się dla poezyi

Nietzschego dyonizyjska natura w połączeniu z Goethego uniwersalnością, a dalej pod względem czysto formalnym poetycki kunszt arcy mistrza Heinego zrobiły go tem, czem jest: jedynym tytanem całej może dzisiejszej wszechświatowej liryki, jakimś niemieckim Kasprowiczem, górującym jednak nad polskim krewniakiem i ogromem ducha, i wyrobieniem wiersza. Tych wielkich poetów patronat pozwolił mu przejąć z innych, współczesnych mu poetów to tylko, co mogło wzbogacić bogactwo jego wyobraźni i myśli, a odrzucić precz wszystko, co pierś jego, na miarę Fidyasza zakrojona, mogła przerobić na miarę krawca. Tak ma się rzecz z zależnością Dehmela od nowoczesnego symbolizmu, zwłaszcza od Verlaine'a. Dehmel może istotnie poniekąd być nazwanym symbolistą, nawet dekadentem. Symbolistą jest jednak w najwyższym tego słowa znaczeniu, właśnie w sensie owego cudownego szarmonizowania osobistej jaźni z duchem wszechświata, dekadentem jest niejako w zewnętrznych tylko motywach, w chwytności pewnych objawów współczesnego życia o jego, t. j. tego życia, dekadencyi świadczących, ale przenigdy nie w subiektywnem znaczeniu, jakoby sam był jakimś zmizerowanym fin-de-sièclistą. Owszem, to połączenie uniwersalności i indywidualizmu, szybującego ponad wszelkimi czasami i ponad wszelkimi przypadkowościami z jednej a dekadentyzmu z drugiej strony wytwarza dziwnie charakterystyczną i niesłychanie ponętną całość, przypominającą rzeźby Rodina lub akwaforty Klingera. Wszechwiekowy tytan w surducie współczesnego schyłkowca, oto takie jedno z określeń Dehmela. Kombinacya w teoryi bardzo niebezpieczna, w praktyce w większej ilości egzemplarzy niemożliwa bez niebezpieczeństwa śmieszności, w tym jednym wypadku i fenomenalna i zapewne nosząca w sobie trwałość. Bo Dehmel należy do tych osobliwą wielkością naznaczonych geniuszów, którzy, jak Wyspiański, naśladowców nie znoszą, kopiować się nie dają. Symbolizm i dekadentyzm, równie jak naturalizm, wygnały powszechnie z poezyi nowoczesnej pierwotną naiwność i dziecięcą świeżość, które miała dawniejsza liryka, w Niemczech przedewszystkiem Goethe a bodaj w przelotnych chwilach i Heine. Dehmel mimo, że jest i symbolistą, i dekadentem, i naturalistą zapewne właśnie dzięki z jednej strony pokrewieństwu duchowemu z tamtymi wielkimi poetami, z drugiej wskutek uniwersalności swego ducha, ma na swojej lirze i takie naiwne, dziecięce struny. I to jest jedną z najciekawszych zagadek w psychologii jego: jak ten poeta, może nawet ten człowiek, który w Berlinie był przecież przez dłuższy czas środkowym punktem dekadentkiej cyganeryi, z któ-

rej się wywodzi np. i blisko z nim zaprzyjaźniony Stanisław Przybyszewski, jak on jest równocześnie twórcą prostych, naiwnych „piosenek kołyskowych,“ istotnie dla dzieci przeznaczonych. Zagadka wyjaśnia się dopiero, gdy się do pomocy weźmie owe zasadnicze cechy Dehmła: jak dla panteisty Bóg jest w najdrobniejszym ździebku, tak dla uniwersalisty Dehmła dusza dziecięca jest odzwierciedleniem wszechświata.

Jego kardynalnem dziełem ¹⁾ jest „romans w romancach“ p. t. „Dwoje ludzi.“ W kunsztownej formie tryptyku, złożonego z trzech części, z których każda ma trzydzieści sześć romanc, przedstawiony jest tutaj miłosny stosunek dwojga ludzi, pozornie a niewątpliwie umyślnie wykazujący wiele momentów pospolitych, niekiedy nawet jakby z jakiegoś sensacyjnego romansu wziętych. Lux zwie się kochanek, Lea jest kochanką. Ona ucieka od męża, jakiegoś księcia, on, z zawodu pisarz biurowy, który za sfałszowanie aktów niemal że o kryminał się nie otarł, dla niej porzuca żonę i dziecko. Podobnie, jak te główne zarysy akcji, razić mogą niektóre obrazowe szczegóły: znowu umyślnie w tym poetyckim romansie co chwila wspomina się o niektórych bardzo prozaicznych, współczesnych urządzeniach, jak samochody, telefony, elektryczność i t. p. Pomijając jednak chyba jeden nieszczęśliwy szczegół, że Lea, heroina dytyrambicznego romansu, przemawia dyalektem, nie można żadnego z tych na pierwszy rzut oka pospolitych motywów nazwać ani nieudolną niezręcznością, ani dziwaczny kaprysem. Przeciwnie, dzięki im dopiero poeta przeprowadza zasadniczą tezę swego poematu, że ponad wszystkim, ponad czasem i miejscem, ponad przypadkowością i pospolitością codziennego życia jest ona, żywiołowa Miłość. „Bo dopiero, gdy dusza duszy w szczęściu się odda, pojmujemy wieczne życie, życie bez miary i bez celu. Wtedy nawet nienawiść staje się miłością, wtedy miłość staje się grą. Wtedy duch wyleczony jest ze wszelkich celów, wtedy nie zmacony niczem rozumie on swoje popędy, wtedy przez Miłość objawi mu się mądrość wszelkiego głupstwa. Wtedy z każdego dzieła błogosławieństwo na nas spłyne, wtedy już z życiem nie żyjesz w kłótni, wtedy nas przeniknąć może rozkosz wszechmocy; już ani męczyzna, ani kobieta nie będą walczyć o przemoc, lecz jasno ponad wszelkiemi ludzkiemi sprawami staje człowiek przed człowiekiem w radości czło-

) Zbiorowe dzieła Ryszarda Dehmła wyszły w dziesięciu tomach, w Berlinie u S. Fischera, w latach 1906—1909.

wiecznościwa.“ Wobec tak pojętej erotyki nie pomogą żadne analogie z najslawniejszych miłosnych poematów; ani czar piękności „Romea i Julii,“ ani zmysłowa radość Goethego „Rzymskich elegii,“ ani romantyczny, smętny nastrój Słowackiego „W Szwajcaryi“ nie dostarczą tutaj materiału do porównań, jedna chyba miłość Tristana i Izoldy i to nie w konkretnem słowie średnio-wiecznem, ile raczej w żywołowym bezkresie muzyki Wagnera jest walorem zbliżonym do „Dwojga ludzi“ Dehmla. Samotny to szczyt całej dzisiejszej poezji niemieckiej, dla wielu niedostępny (choć się godzi się zaznaczyć, bodaj nawiasowo, że jakiś czas socjaliści usiłowali ogłosić go za swego poetę, a to na tej bardzo łudzącej podstawie, że Dehmel porusza w drobniejszych lirykach często motywy, które socjaliści widocznie za swoją dziedzinę uważają: życie proletaryatu; obecnie sami spostrzegli, że Dehmel i polityczna czy społeczna partyjność, to dwa pojęcia, które nigdy z sobą się nie spotykają).

Ta niedostępność zresztą nawet niższych od Dehmla szczytów niemieckiej liryki jest charakterystyczna nie tyle dla niej samej, ile dla niemieckiego społeczeństwa, nawet bardzo kulturalnego i wiąże się ściśle z tem, co się powiedziało w pierwszym naszym sprawozdaniu o stosunku literatury niemieckiej do narodu. U nas Konopnicka czy Tetmajer, jako lirycy, zarówno są u dołu, jak i u góry społeczeństwa znani, w Niemczech niema ani jednego takiego liryka w obecnej dobie i wszystkie te nazwiska, które dzisiaj tutaj przytaczamy, w szerokich warstwach niemieckiego ogółu żadnego nie wywołują echa. W ostatnich czasach próbowano przeciwdziałać temu bodaj w części, zamieszczając w książkach szkolnych wiersze i Dehmla, i innych terazniejszych twórców. Na nic się to nie przydało. I nauczyciele, i uczniowie, i... ich rodzice wolą rozkoszować się dalej niepodzielnie balladami Schillera.

Niedostępnym dla szerszego ogółu jest także Karol Spitteler, który co prawda wogóle w dzisiejszych czasach wydaje się jakimś dziwnym zjawiskiem, prawie cudem w dziewiętnasty i dwudziesty wiek przeniesionem. Krytyk literacki wobec niego skłonny jest przemienić się w geografę i tłómaczyć zasadnicze jego cechy właściwościami jego rodzinnego kraju. Chyba bowiem w Szwajcaryi za dziesiątą górą mógł się zachować taki człowiek, jak Spitteler. Już to samo tylko, że jest epikiem, epikiem w dużym stylu, dowodzi, jak mało jest zależnym od współczesnych prądów. Co więcej, główne jego dzieło, wielkie epos w trzech częściach, „Olimpijska wiosna“ jest eposem na tle antyku. Praw-

da, nasuwają się zaraz w pierwszej chwili wątpliwości, czy Spitteler, jako wskrzesiciel antyku, jest rzeczywiście takim anty-aktualnym poetą; wszak nowoczesny „trzeci renesans“ (po Petrarce i po Winckelmannie) ma wśród przedstawicieli swoich poetę tak nawskroś modern, jak autor „Elektry,“ Hofmannsthal. Ale Spitteler reprezentuje wcale inny antyk, wcale nie historyczny Hoffmannsthala i Ryszarda Straussa, prawda, że równie daleko stoi on i od harmonijnie spokojnego antyku Winckelmanna. Ten szwajcarski poeta najbliższym jest jeszcze pojęciu antyku u szwajcarskiego malarza Böcklina, oraz u szwajcarskiego estetyka Burkharda, poniekąd także i Wyspiańskiego z tą jednak różnicą, że filozofia Spittelera wywodzi się od Voltaire'a. Ale od nich wszystkich wyodrębnia się znowu szczególnem uniłowaniem jednej tylko strony antyku: nie pół-bogów, pół-ludzi, heroów jak Achilles, nie bardzo ludzkich ludzi, jak przemysłny Odyseusz, ale bogów z zamierzchłej mitologii greckiej, jak Wagner przedstawia postaci z mitologii germańskiej. Państwo Kronosa jest obalonem i według woli Ananki nowa dynastia bogów ma wstąpić na Olimp. Nieświadomi losu, który ich czeka, śpią ci bogowie w głębinach podziemnego świata. Hades, władca tego państwa, z trudem ich budzi i oznajmia im rozkaz Przeznaczenia. Bogowie mozolnie przecierają oczy ze snu i szykują się do wyprawy na Olimp. To treść pierwszej księgi „Olinpijskiej wiosny,“ treść kilku tysięcy rymowanych aleksandrynów. W drugiej części bogowie gwałtownie zbudzeni ze swego spokojnego, nieświadomego snu ciągną na Olimp już jako zmienione istoty: mężczyźni w namiętnej pożądaniu starają się pochwycić wspaniałą Herę, kobiety z nią współzawodniczą. Dumna bogini zrazu ani przed mężczyznami, ani przed kobietami się nie korzy, ale stopniowo pochyla się jej majestat, aż pada w proch przed Zeusem. Ale i on nie może tryumfować: zdobył tron, zwyciężył świetnego Apollina nie męską siłą i dzielnością, ale chytrą i za karę pozbawionym jest dawnego szczęścia, wchłania w siebie całą nędzę ziemskiego życia. Chciałby teraz pokonanemu Apollinowi odstąpić i Herę, i tron, ale słoneczny młodzian łaski jego nie przyjmuje i tylko o przytułek dla swojej ukochanej Poezyi prosi. Trzecia księga zapełniona licznymi epizodami, przedstawiającymi życie i przygody różnych bogów w niebie i na ziemi, kończy się—w nowym, niedawno ogłoszonym wydaniu—odruchem litości Zeusa względem ludzi, którym na wspomnienie zsyła ukochanego syna Heraklesa. Już to suche streszczenie daje niejaki wyobrażenie o śmiałości przedsięwzięcia Spittelera. Odeprzeć trzeba jednak ewentualne przypuszczenie,

jakoby „Olimpijska wiosna“ była jakby spóźnionem echem owych mitologiczno-allegorycznych poematów epickich, których tyle napisało siedemnaste i osiemnaste stulecie. Nie, Spitteler jest rzeczywiście oryginalnym: starogrecka mitologia jest dla niego wyłącznie tylko materiałem, z którego stwarza swój własny świat. A ten jego świat, to złożenie z ludzkich namiętności i słabości z wielkością i majestatem bogów. Jeden z krytyków wyraził się, że w tym eposie król bogów wygląda na poczciwego szwajcarskiego proboszcza wiejskiego, a jego rozkochane córki na głupie gąski z prowincyi; osobiście tego zjadliwego sądu nie podzielam bynajmniej. Mojem zdaniem, Spitteler bogów nie strąca na ziemię, tylko ludzkie cnoty i grzechy, ludzkie wzniosłości i śmieszności, ludzkie pożądania i myśli wynosi pod niebo, pozostawiając im własną ich istotę, potęgując tylko ich siłę, wypełniając plastycznie chude ich ziemskie zarysy. Stąd przy wyjątkowo bujnej wyobraźni poety, mimo szczupłej zasadniczej osnowy całości, roi się ona od tysiąca ogromnie malowniczych i ruchliwych epizodów. W artystycznej formie te epizody dalekie są od stylu antyku, zwłaszcza w przestarzałem pojęciu Winckelmanna, są raczej tworzone na kształt owych poważnych i zabawnych figur, jakimi gotycki architekt przyozdabiał portale świątyń na Zachodzie, nieraz zdają się znowu być wzorowanemi na przesadnie malowniczych barokowych posągach, w czem Spitteler niejednokrotnie przypomina Wyspiańskiego, zawsze jednak są i oryginalne, i zajmujące, i w niemałej części przyczyniają się do tego, że „Olimpijska wiosna“ jest chyba jedynym eposem mitologicznym, który mógł napisać i... może przeczytać człowiek, żyjący w dwudziestym wieku. Pragnąc dać bodaj słabą próbkę poezyi Spittelera, o ile tego dokonać zdoła dosłowny prozaiczny przekład krótkiego, wyrwanego ustępu, przytaczam kilkadziesiąt wierszy z pierwszej księgi. Pod naporem nowych bogów starzy opuścili Olimp; ale zagrzani gorącą pobudką Kronosa usiłują jeszcze raz wdrzeć się na górę; lawina kamieni spycha ich jednak znowu w dół. Jeden tylko ich wódz jest nieustraszony:

„Lecz któż jest ten, który, gdy góry idą i kamienie lecą, jeszcze ma odwagę stawiać opór? Dzielnemu swemu rumakowi zawdzięczał Kronos, że, powstrzymując konia, zatrzymał się w upadku. Koń tracił wprawdzie grunt pod nogami, stąpając stopień za stopniem, ale ostre podkowy uchroniły go od dalszego upadku. Teraz jednak pada na kolana: i znowu widzisz go, jak się podnosi. I znowu ześlizguje się w dół, cofając się w tył. Aż tam właśnie na miejscu, gdzie u studni bogowie stoją, rumak staje

dęba, pokazując płowy brzuch i z pustem powietrzem daremnie walczy o równowagę. Już się do niego rozpacz zbliża. W przerażonem oku szaleją gnane trwogą spojrzenia, nozdrza mu się wydymają. Kronos już dawno stracił z ręki miecz wodza, teraz tylko pięści zaciska na młodą rzeszę bogów: „Bezwstydni rabusie mojego prawa, nie tryumfujcie szydersko! moje przekleństwo zdławi wasze radosne okrzyki. Niech ten, którego lubieżna żądza zdejmuje pasek sprzedajnej matkobójczyni, nie znajdzie ani czci na tronie, ani miłości w łożu! Zdrada, nienawiść i niewdzięczność niech będzie jego udziałem! Ażeby jego los nie związał się z moim, niech z nałożnicą węża spółdzi!“ Jeszcze przekleństwa nie dokończył, które mu się wyrывało z przepelnionego gorzką nienawiścią serca, a już czuje Kronos, jak koń jego pada w tył, i tracąc równowagę widzi sam przed sobą otwartą paszczę przepaści. Daremnie worywa się ostrogami, przyciska kolana i goleń, chwytając kurczowo to za grzywę, to za ucho rumaka. Już pada w tył jeździec i koń. W jednej chwili runął w przepaść. Czyś widział kiedy, jak w górskim lesie flisacy ścinałi sosnę? Zaledwo jej wierzchołek dotknie ziemi, odskakuje w szybkich skokach, spadając w dolinę. I ginie jej echo, ginie ona sama. Aż po dużej chwili słyhać tam w dole jakiś głuchy hałas. Tak dumnego Kronosa święty majestat z szybkością strzały bez woli i bez zatrzymywania się runął w przepaść. I tylko spóźnione echo z głębin było jedynym odgłosem zapadającej się potęgi światów.“

Jest to najwybitniejsze ale nie jedyne dzieło szwajcarskiego poety, o którym dopiero w ostatnich latach z rodzinnych gór poszła wieść w doliny. Że tak późno się to stało, sprawiło dobrowolne, dumne osamotnienie twórcy, który ze szczególnem upodobaniem wypowiadał nieraz w drastycznej formie zapatrywania, sprzeczne z panującą powszechnie opinią. Naturalnie, wzięto z tego asumpt do zarzutu sztucznej oryginalności. Spitteler odpowiedział dowcipnie: „O, gdyby wiedziano, ile sobie ci, których się podejrzewa o uganianie się za oryginalnością, zadają trudu, aby... nie być oryginalnymi“—i dalej pisał swe „Śmiejące się prawdy“, uważane przez część czytelników za śmiałe paradoksy. W epicko-satyrycznym poemacie o „Prometeuszu i Epimeteuszu“ scharakteryzował w szeregu obrazów, z całą rozrzutnością wyobraźni namalowanych, pierwszego jako dumnego samotnika, drugiego, jako towarzysza ludzkiej trzody.

Chcąc zaokrąglić liczbę współczesnych poetów niemieckich; szybujących w najwyższych sferach ducha ludzkiego, do trzech, trzeba wymienić jeszcze Alfreda Momberta, najmłodszego z nich

(urodzony w r. 1872). W Niemczech z całej trójcy nawet najwytworniejszym umysłem najmniej znany, przypadkowo w Polsce, przynajmniej w polskich czasopismach głośniejszem, niż Dehmel i Spitteler, odezwał się echem. Zawdzięcza to wyłącznie St. Przybyszewskiemu, który w nim, a zwłaszcza w jego zbiorze wierszy p. t. „Płomienny,“ znalazł pokrewną duszę, oddał mu hołd w známym organie modernistów, w krakowskiem „Życiu,“ zaczęm poszło także kilka tłumaczeń w warszawskiej „Chimerze.“ Przybyszewskiemu spodobał się zapewne wizyonerski i orficzny charakter poezyi Momberta, doprowadzający symbolizm Dehmela aż do somnambulizmu, autor „Złotego runa,“ sam tak często operujący niedomówionemi słowami, mającemi budzić grozę, w niemieckim poecie znalazł klasyczny, jak sądził, wyraz na te efektowne drażnienie nerwów i wyobraźni czytelnika. Niestety, sam jakoś nie mogę wierzyć ani w potęgę, ani w szczerłość wizyi Momberta. Oczywiście na upartego można do każdego, choćby najpospolitszego obrazka życiowego doczepić alluzye do jakichś wielkich, wstrząsających tragedyi, ale zabawka taka nie zawsze jest bezpieczną: czasem bez tych alluzyi ów pospolity obrazek mógłby mieć wdzięk prostoty, z niemi staje się pseudo-głębką pozą. To też zwykły wykształcony czytelnik, nie należący do sekty modernistów, chcąc Momberta uważać za prawdziwego poetę, choćby w dość skromnym rodzaju, musi go czytać niejako wbrew jego własnych intencji, musi otworzyć oczy na ich faktyczną treść, a zanknąć je na wszelkie symbolistyczne alluzye. Weźmy np. następujący obrazek:

„Światło.“ Jest zmierzch. Stoję w oknie i przez nie patrzę na dom starców. Przy każdym oknie staruszka. Jedna tka, druga załamuje zwiędłe ręce, trzecia podtrzymuje ostry podbródek. I zwolna zmierzch całunem otacza wszystkie te dziwne postacie i połyka je. I jest noc. W jednym pokoju powstaje światło. Dozorująca dziewczyna wnosi lampę i podkręcając ustawia ją na stole. W najbliższym pokoju tak samo. I dalej. I teraz jaśnieje dom zmarłych. Przed każdym oknem staruszka drobnym krokiem idzie teraz do światła.“

Obrazek ten trochę przypomina starych Flamandów, malujących tak bajecznie najpospolitsze interieur'y, trochę najlepszych modernistów pendzla, jak np. Max Liebermann. Tylko naprzód takich ładnych obrazków u Momberta jest bardzo mało, powtóre on jest ładny, dopóki go bierzemy jedynie przedmiotowo, bez wszelkich symbolistycznych alluzyi, potrzecie w oryginale jest on napisany w bardzo zaniedbanej, a raczej w żadnej artystycznej for-

mie. Ta ostatnia, to zasadnicza wada Momberta, mniej mu przeszkadzająca w drobnych wierszach, ale sprowadzająca katastrofę w większych kompleksach, jak np. wspomniany już „Płomienny,” albo „Myśliciel” lub „Stworzenie.” Górnością myśli być może że dorównyując Dehmlowi, nie mając jednak jego realnego zmysłu, ale przeciwnie czysto wizyonerski charakter, Mombert nie zdolny tym halucynacyom nadać plastycznego kształtu, bodaj w karby rytmiczności wiersza ujętego, skazany jest nazawsze na odbieranie hołdów w maleńkiej tylko kapliczce, do której wstęp mają apriorystyczni jego wielbiciele.

Prawem kontrastu po przeczytaniu większej ilości wierszy Momberta odczuwa się dopiero wartość czysto formalnych czynników poezji. W takich chwilach można sobie wyrobić względnie najkorzystniejszy sąd o Hugonie Hofmannsthalu. Nie obce jest Europie to nazwisko: zna się go powszechnie, jako autora dramatu o „Elektrze,” wie się, że jest on twórcą czy dostawcą librettów do tak rozgłośnych oper Ryszarda Straussa, nie do „Elektry” tylko, także najnowszego „Kawalera z różą.” Teraz jednak nie o autorze dramatycznym, ale o poecie lirycznym ma być tutaj mowa. Odrazu zaś trzeba podkreślić, że w ten sposób bierze się z niego to, co w nim jest najpiękniejszym. Wszak i jego dramaty o tyle tylko sprawiają szczerze artystyczne wrażenie, o ile się w nich zwraca uwagę przedewszystkiem na liryczne ustępy: im więcej ich który z jego dramatów posiada, tem piękniejszym jest cały w sobie (np. „Dama w oknie,” albo „Śmierć Tycyana”). Hofmannsthal-liryk wywodzi się głównie od Goethego, ale nie od młodego kochanka Fryderyki Brion, ani od dojrzałego piewcy rzymskich rozkoszy nocnych, jeno od Goethego starszego się, od Goethego całkiem już starego. Polski ogół tego Goethego właśnie najmniej zna, a nie wmawiając bynajmniej w kogokolwiek, by to był najpiękniejszy Goethe, stwierdzić trzeba, że ten Goethe jest naprzód w literaturze świata najrzadszem zjawiskiem — młodych i dojrzałych twórców liryk jest przecież tyłu, starczych prawie że niema—powtóre zaś sam przez się jest ogromnie ciekawy. Co stanowi osobliwość tego fenomenu? Oto z jednej strony istotna siła, prawie namiętność uczucia, z młodzięcżą zupełnie w paragon idąca, z drugiej jej zawoalowanie niejako w zewnętrznym wyrazie, przybranie jej w wyblakłe szaty o wytwornym chłodzie starych gobelinów, o smutku żółkłych liści. Erotyki młodego Goethego są piękniejsze, ale erotyki staro-Goethego są bez porównania ciekawsze, mimo równej szczer-

ści, dzięki właśnie owej osobliwej szacie daleko ciekawsze pod względem psychologicznym, a nawet i artystycznym.

Hofmannsthal, jako liryk, podobny jest do starczego Goethego. Brzmi to dziwacznie, gdy postawimy obok tego zdania datę urodzin wiedeńskiego poety: r. 1874. Dwudziestoletnim był ten młodzieniec, gdy zaczął upodabniać się do ośmiodziesięcioletniego starca! Oczywiście musiała być w tem poza. Wyblakłość gobelinów, zgniło-żółta barwa liści musiała być sztucznie podrobiona. Z dwóch zasadniczych pierwiastków starczej liryki Goethego Hofmannsthal nie miał ani jednego: nie miał ani gorącości krwi w sędziwym wieku jeszcze młodzieńczej i niesłuchanego bogactwa życiowego doświadczenia, zebranego przez tyle dziesiątków lat, ani też nie miał związanej z wiekiem i z wiekowym wyrobieniem spokojnej wytworności formy, jak welon rzuconej na tamtą krew. Hofmannsthal jest dzieckiem tego pokolenia stolicy naddunajskiej, która umyślnie stroniła od życia. W jednej ze swoich drobnych tragedyi, przypominającej melancholię sztychów Holbeina lub Dürera, w „Głupcu i śmierci“ bohater Claudio mówi o sobie słowa, które snadnie o samym poecie możnaby powtórzyć: „Co ja wiem o życiu ludzkim? Prawda, pozornie w niem stałem, ale w najlepszym razie rozumiałem je, nie spłótłem się z niem, nie zgubiłem się w niem. Gdzie inni biorą, inni dają, jam stał na uboczu, wewnętrznem milczeniem od urodzenia dotknięty. Nigdy z kochanych ust nie pił prawdziwego źródła życia, nigdy nie wstrząsnął mnie prawdziwy ból, nigdy płacząc samotnie nie szedł przez ulice. A gdy z dobrych darów natury kiedy doznał jakiego wzruszenia, jakiegoś powiewu, to mój prze czulony duch, zapomnienia niezdolny, nazywał to zaraz jakimś jaskrawem mianem. A gdy potem przyszły tysiące porównań, minęła ufność, minęło szczęście. A i cierpienie także, na nitki rozdarte i przeżarte myślą, wyblakłe i wysrane do cna! O, jakżem chciał przycisnąć je do piersi, jakżebym rozkosz pił z boleści: ale dotknęło mnie tylko jego skrzydło, i pozostałem mdłym, a w miejsce bólu, odczułem tylko niesmak.“ Zapewne i w tem jest poza, ale w każdym razie ten blady młodzieniec nie miał ani cząsteczki gorącej krwi, jaka krążyła jeszcze w żyłach weimarskiego starca. Drugi pierwiastek poezyi Goethego łatwiej było nadrobić sztuką, bo bądź co bądź jest on natury formalnej. I tę sztukę Hofmannsthal posiada w bardzo wysokim stopniu. Wykształcony na najlepszych wzorach, zwłaszcza romańskich, ogromnie pracowity w pisaniu wierszy, cyzeluje ich kształt aż do mistrzostwa technicznego, które u mało kogo w literaturze się widzi. Hofmann-

sthal będzie więc najlepszy tam, gdzie ograniczy się do idyllicznych, łagodnie smętnych, nastrojowych motywów życiowych, zawiedzie wszędzie, gdzie domagać się należy jakiegoś żywszego tętna życia. Oto przekład prozaiczny jednego z jego najlepszych wierszy:

„Ballada zewnętrznego życia. I dzieci dorastają z głębokimi oczami, nie wiedząc o niczem, dorastają i unierają, i wszyscy ludzie idą swoją drogą. I z cierpkich owoców robią się słodkie i nocą, jak martwe ptaki, spadają i leżą kilka dni i gniją. I zawsze wieje wiatr i zawsze słyszymy i mówimy wiele słów i odczuwamy rozkosz lub znużenie członków. I gościńce idą przez trawy, i tu i tam są miejscowości, pełne pochodni, drzew i stawów i groźne i śmiertelnie zeschę... Po co je budowano? i nie są do siebie podobne? i są niezliczone? Po co zmienia się namiętności śmiech, płacz i bladeść? Na co przyda się to wszystko nam i te zabawy, nam, cośmy przecież już dużymi i wiecznie samotnymi, a wędrując, nigdy jakichś celów nie szukamy. Na co przyda się widzieć wiele takich rzeczy?... A przecież wiele ten mówi, który mówi „wieczór,“ słowo, z którego sączy się smętek i żałoba, jak z pustych komórek plastra sączy się miód.“

Hofmannsthal dał początek szkole, którą jeden z najsubtelniejszych niemieckich krytyków nazwał „*Artisten-Lyrik*.“ Przypomnieć trzeba, że niemieckie wyrażenie „*der Artist*“ nie jest wcale równoznaczne z polskiem pojęciem „*artysta*“: aktor czy malarz lub poeta jest tylko w wyjątkowych i wcale nie najzaszczytniejszych wypadkach „*ein Artist*,“ przeciwnie, jest nim, a przynajmniej z dumą się tak zwie zongler z „*variété*.“ „*Artist*“ oznacza w Niemczech wyrobienie techniczne, doprowadzone do wysokiego stopnia doskonałości, ale kosztem treści i ducha dzieła sztuki. Ci „*artyści*“ lirycy niemieccy wypisali na swoich sztandarach hasło „*sztuki dla sztuki*,“ a od francuskich wzorów tem się różnili, że techniką jeszcze bardziej od nich z całym rozmysłem zabijali ducha. Stefan George, przez niektórych uważany nawet za większego od Hofmannsthalu „*artystę*,“ tak charakteryzuje swoje królestwo: „*Mój ogród nie potrzebuje ani powietrza, ani ciepła, ogród, który sam sobie urządziłem, a jego ptaków martwe roje nie widziały jeszcze ani jednej wiosny*.“ Powtarzając wszystkie dziwactwa francuskich parnasistów, ci niemieccy „*artyści*“ celują nad nich większą jeszcze dumą: ona nie pozwala im nawet na publikowanie dzieł, aby, broń Boże, nie dostały się w ręce niepowołanych (choć tego niebezpieczeństwa zbytniej popularyzacyi doprawdy wcale niema). Drukują więc tylko jako

manuskrypty, a nawet i wtedy wszelkimi sposobami, choćby tak dziecinnymi, jak brak wszelkiej interpunkcji, utrudniają zrozumienie tekstu. Oczywiście nie wypada działać wbrew intencjom samych poetów i wiersze ich publikować, a choćby omawiać. Z całego ich obozu wymienię tylko jednego, który... godzi się na sławę. Hugo Salus jest Żydem w Pradze urodzonym i tam zmarłym. To na razie ani nie usposabia życzliwie dla jego poezji, ani nie mówi o niej wogóle nic. Dopiero trzeba iść na żydowski cmentarz w Pradze czeskiej, trzeba zwiedzić pobliską synagogę. Są to dwa najstarsze pomniki judaizmu w Europie, bez mała tysiąc lat na sobie dźwigające. A zarazem niewiele jest miejsc na świecie z takim przejmującym smutkiem, z takim dostojnością smutku. Ustawmy sylwetę Hugona Salusa na tle tego praskiego cmentarza żydowskiego, a wrażenie już będzie i wyraziste i sympatyczne. Nie w tym znaczeniu to robimy, aby poetę nierozdzielnie z tem środowiskiem złączyć, uczynić z niego jakiegoś narodowego żydowskiego wieszca. Salus nim bynajmniej nie jest, z tamtych miejsc wziął jeno nastrój delikatny, a głęboki, poważny a nie patetyczny. Drobne biedermajerowskie obrazki w cichej komnacie, zapełnionej pamiątkami przeszłości, myśl mieszkańca do zadumy pobudzającymi, oto jego świat. „Zapalam uroczyście w salonie świece, zasuwam koronkowe firanki, do kominka przybliżam fotel i w jego objęciach usiadam. Bo wszak w takim zimowym wieczorze nieraz jako student szedłem przez miasto a oko moje nigdy spełnienia nadziei nie oczekujące, nieraz wpatrywało się w blask takiego światła. W blask światła lampy, łagodnie łamiącego ciemność, w okna, skąd słyszałem wesole głosy, w cienie za firankami, zesuniętymi szczelnie, podczas gdy tam w dole tęsknota się trawiła. Dzisiaj jest taki wieczór, zimny i ostry, ale szczęście ogarnia mnie w tem otoczeniu: pochyl mocno głowę na mnie, kochana żono, mocno, bardzo mocno, a ja niechaj marzę, marzę...” Zwie się to tym razem „Wspomnieniem“ ale oddaje charakter i wielu innych poezji Salusa.

Lecz przeczuwać trzeba, że czytelnik już się niepokoi: do brze, ci wszyscy poeci, od Dehmla do Salusa, oni zapewne są wybitni, ale wszak to nie mogą być poeci narodowi, poeci jeśli już nie mas, to przynajmniej wykształconego średniego ogółu. Wszak to albo niedostępne dla zwykłych śmiertelników szczyty, albo też zamknięte przed oczyma niepowołanych ciepłarnie egzotycznych kwiatów. Czyż niema w dzisiejszej poezji niemieckiej liryków, którzyby posiadali wyższą wartość artystyczną, a równocześnie i zdolność przemówienia do serc i do wyobraźni zwykłych

kulturalnych ludzi? Byli tacy: jeszcze lat temu kilka był wesoły zazwyczaj, ale w potrzebie i smutny, z sercem świeżem, chociaż z szorstkimi manierami bursza, Otto Juliusz Bierbaum, o uczuciu może płytkiem, lecz o wyobraźni bardzo ruchliwej — ale dzisiaj? Zeby nie dać odpowiedzi zupełnie przeczącej, szukajmy starannie, przeszukujmy każdy zakątek niemieckiego lasu poetyckiego. Jeżeli bardzo dokładnie szukać będziemy, znajdziemy wreszcie bodaj jednego takiego poeęę: niechaj nim będzie baron B6rries von M6nchhausen (ur. 1874 r.). Nie wiem, czy się wywodzi od sławnego sowi6rdzała M6nchhausena, ale napewno wywodzi się, jako poeta, od zmarłego Detleva von Liliencron. Ta sama zdrowa 6oźnierska natura, ten sam szlachecki temperament, ten sam tak6e ostateczny pogląd na dzisiejsze stosunki, obowiązki i prawa. „Do hełmu i miecza urodzeni, do obrony kraju powołani, kr6lowi naszemu oficerem, wierni naszym starym obyczajom w po6rodku naszych chł6pów: takimi jeste6my My! Uprawiamy nasze pola, pielęgnujemy nasze lasy dla dzieci i wnuków. Wy szydźcie z przodków, którzy sę strażnikami jedynych dóbr, jakich wy kupić nie możecie!“ Jako taki wyznawca przeszłości, M6nchhausen m6gł pozyskać dla siebie szersze koła, co mu przyszło tem łatwiej, 6e równocześnie wystąpił, jako spadkobierca tradycji poetyckich Teodora Fontane i wydał dwa tomy ballad rycerskich i romans. Zbyt one sę długie, bym tutaj m6gł z nich dawać próby, zresztą może zbyt subiektywnie sędząc, nie widzę wog6le w tym rodzaju wiele oryginalności. Fontane miał jeszcze ję bodaj częściowo dlatego, 6e być może fałszując istotę ballady — do starego wina wlewał domieszkę nowoczesnego skeptycyzmu i żartobliwej ironii, M6nchhausen jest bardziej stylowym, ale wla6nie dlatego wydaje się tylko bardzo zręcznym kopistę skandynawskich wzorów.

*

Bie6ące wypadki literackiego 6ycia niemieckiego i tym razem niewiele zajmuję w tem sprawozdaniu miejsca. Trzeba tu najpr6d umieścić wotywnie tablice dwóch zmarłych charakterystycznych osobistości. J6zef Ettinger (ur. 1869 r.), zał6życiel i długoletni redaktor znanego literackiego pisma berlińskiego

„Das literarische Echo,“ położył nietylko na tem polu wybitne zasługi. Kierował jakiś czas stowarzyszeniem artystyczno-socjalnym „Neue freie Volksbühne,“ mającym za zadanie szerzenie kultury teatralnej wśród szerokich mas robotniczych. „Sztuka dla ludu“ to była jego dewiza i dzięki jej setki tysięcy proletaryuszów mogło uczęszczać na przedstawienia klasycznych i nowoczesnych dzieł scenicznych. Za życzliwość okazaną mi nie osobiście, ale jako referentowi literatury polskiej we wspomnianym dwutygodniku berlińskim, należy mu się i w polskiem czasopiśmie wspomnienie. Z teatrem także wiąże się nazwisko zmarłego Maksa Burckharda. Był on bowiem jakiś czas dyrektorem pierwszej niemieckiej sceny cesarskiego teatru w Wiedniu. Był dyrektorem dość dobrym, wprowadził do tych zatęchłych murów wiele świeżego powietrza, ale nie to jest ciekawe, jakim był, tylko w jaki sposób został tym dyrektorem. Choćby nawet miała być nieprawdą anegdota, że został nim wskutek prostego pomieszania dwóch nominacji: dyrektora banku i dyrektora teatru, to i tak pozostanie charakterystycznym fakt, że na kierownika naczelnego teatru nadwornego powołano człowieka, który był wysokim urzędnikiem sądowym, ale literaturą, ani tem mniej teatrem nigdy przedtem się nie zajmował, nawet go nie lubił, do niego nie uczęszczał. I dopiero zostawszy dyrektorem teatru — polubił go, zajął się nim, gorącował dla niego, jak mówią złośliwi, z większym pożytkiem, niż np. obecny kierownik Burgtheatru, p. Wilhelm bar. Berger, który podobno już w kolebce przygotowywał się do tego zawodu, mającego innych zawieść. Jako powieściopisarz i autor dramatyczny, Burckhard był zawsze prawnikiem i zawsze liberałem, pisał z większą bystrością, niż talentem poetyckim utwory, wykazujące przeważnie średniowieczną austriackiego prawodawstwa i sądownictwa, co wobec istności faktu z łatwością mu się udawało.

W tym samym styczniowym zeszyście miesięcznika „Neue Rundschau,“ w którym Kyser zamieścił streszczony na początku niniejszego sprawozdania napad na „Fundację schillerowską,“ Gerhard Hauptmann ogłosił dramat p. t. „Ucieczka Gabryela Schillinga.“ Rzecz to nie nowa, bo — jak sam autor wyjaśnia — napisana jeszcze w r. 1906. „Jej przedstawienia na scenie bardziej się obawiałem, niż życzyłem sobie, i dlatego go nie było. Dzisiaj nie naraziłbym tego dzieła na hazard premiery. Nie jest to żadna sprawa dla szerokiej publiczności, raczej dla czystej bierności i wewnętrznego skupienia małego kółka. Jednorazowe wystawienie najdoskonalszego rodzaju, w najmniejszej sali tea-

tralnej, jest mojem niedającym się spełnić życzeniem.“ Smutną rezygnacją tchną te słowa, chociaż zrozumiała u pisarza, który istotnie w ostatnich latach przecierpiał wiele wskutek „hazardów“ teatralnych przedstawień. Czy „Ucieczka Gabryela Schillinga“ zgotowałaaby mu nową klęskę sceniczną, czy też tak dawno niewidziane powodzenie, trudno rozstrzygnąć, bo i w czytaniu rzecz obok pierwszorzędnych piękności ma i rażące wady. Jak tyle dramatów tego pozornie tak ściśle przedmiotowego poety, tak i ten ma wiele momentów czysto osobistych. Przez całą sztukę wije się czerwona nić tęsknoty za podróżą do Grecji, tęsknie i radosne oczekiwanie, że starożytna Hellada będzie dla skołatanego i zdenerwowanego berlińskim życiem artysty odświeżeniem, kąpielą w czystej, orzeźwiającej wodzie wartkiego strumienia. Dramat pisany jest w r. 1900, w rok potem Hauptmann pojechał istotnie do Grecji, przywiózł z niej przesłiczną książkę, „Grecką wiosnę,“ może najpiękniejszą swoją książkę, ale niestety poza tem dobroczynnych skutków podróży helleńskiej jakoś nie było widać. Rzeźbiarz i rytownik, profesor Maurer, marzy również o Grecji. Na razie uciekł tylko z Berlina na maleńką wysepkę, Bałtykiem oblaną, do jakiejś zapadłej wioski rybackiej, i tutaj w skromnej chacie żyje ze skrzypaczką Łucyą Heil, która po cichu, w tajemnicy przed obcym światem, jest jego kochanką. Mają przy sobie przyjaciela, malarza Gabryela Schillinga. On jest smutnym bohaterem dramatu: człowiek zdolny, ale słabego charakteru, marnieje, jak tylu artystów, przez kobiety. Ma żonę, Ewelinę, kobietę kochającą go po swojemu, ale pospolitą, i na żonę artysty przenigdy nie stworzoną. Więc mąż oddał się od niej, lgnie namiętnością do rozwódki, Hanny Elias, kobiety również kochającej go, ale nie tylko jego, lecz i wielu innych. Schilling ma tak chwiejny charakter, że z żadną z tych kobiet stanowczo zerwać nie może, z żadną też stanowczo się nie łączy, chociaż żona przeskadza mu w twórczości atrystycznej, a kochanka naraża go na pogardę ludzi honorowych, podejrzewających go, że korzysta z jej znajomości z innymi panami. W tej sytuacji faktyczne nieprawdopodobieństwo przybycia obu tych kobiet na tę samą nieznaną wysepkę jest symbolistycznie zupełnie uzasadnione, równie jak i to, że z ich przybyciem ledwo co rozpoczęty proces duchowej rekonwalescencji malarza nagle się przerywa i w ostateczną katastrofę się przemienia. Schilling zapada w jakąś nieokreśloną medycznie chorobę, i w stanie nawpół tylko świadomym popełnia w morzu samobójstwo. Dobrze przynajmniej, że na końcu można pozbyć się niepokoju o przyszłość Maurera: a były chwile, kiedy

się zdawało, że studentka rosyjska, panna Majakin, towarzysza Hanny, odciągnie go od Łucyi, która sama jedna może poprowadzić kochanka do... Grecyi. Ciekawy, mocno ujęty, konsekwentnie przeprowadzony problemat psychologiczny, nastrojowość życia małej wioski nad Bałtykiem, oto są główne zalety i piękności ostatniego utworu Hauptmanna. Na drugiej szali położyć trzeba małą wyrazistość kobiecych charakterów, zwłaszcza obu kobiet, o Gabryela walczących, co sprawia, że sama przez się bardzo popolita scena spotkania się ich jest tylko drastyczną kłótnią dwóch zazdrosnych kobiet, a psychologicznie i dramatycznie niczem nie zajmuje. Widoczne analogie do innych dramatów, przedewszystkiem do Ibsena dramatycznego epilogu: „Gdy my umarli się obudzimy“ i do Björnsona: „Kiedy młode wino zakwita,“ nie rażą jednak w tym stopniu, jak w niektórych innych sztukach poety. Tak więc w każdym razie ten niegrany i do grania właściwie nie przeznaczony drammat Hauptmanna jest cenniejszy od wielu, na scenie wystawionych.¹⁾

D-R JÓZEF FLACH.

¹⁾ Jak się obecnie dowiadujemy drammat grany będzie w czerwcu na małej scenie w Lauchstedt, uświęconej pamięcią przedstawień, urządzanych przez Goethego. (Przyp. aut.)

Jezyk i pismo chińskie.

Chiny i Chińczycy! Dziwny kraj, dziwni ludzie. Przed tysiącami lat, gdy ludy Europy stały na stopniu rozwoju dzisiejszych Papuasów lub Betokudów, Chińczycy byli już narodem cywilizowanym, zorganizowanym, ze znacznym dorobkiem kulturalnym. Był czas, że żyli w całym tego słowa znaczeniu; był czas, że literatura, sztuka, nauka — wszystko szło naprzód, rozwijało się — i to rozwijało się samorzutnie, bez obcych wpływów prawie, jako objaw myśli i ducha narodu. Lecz przed tysiącem lat Chiny stanęły w swym rozwoju, skamieniały — zupełnie jak w bajce o owej królownie, co to ukłówszy się zaczarowanym wrzecionem, zasnęła na lata całe, a z nią całe jej państwo. Prawem rozwoju wszelkiego, a więc i historycznego, jest ruch — czy naprzód czy w tył, to już obojętne; Chiny są jedynym chyba przykładem zastoju, bo jeżeli nie poszły naprzód, to i nie cofnęły się w tył. Dzisiaj są żyjącym anachronizmem, ciekawym zabytkiem dawnych czasów.

Chińczycy należą do wielkiej grupy narodów wschodnio-mongolskich; język ich jest związany węzłami blizkiego pokrewieństwa z językiem tybetańskim, sjamskim, birmańskim i innymi; tworzy razem z nimi rodzinę języków indo-chińskich, której jest najdoskonalszym przedstawicielem. Wogóle język chiński należy do najwyżej rozwiniętych w świecie.

Charakterystyczną cechą tej grupy jest jednosylabowość i izolacja; język chiński prócz tego jest jeszcze śpiewnym. Te trzy cechy decydują o jego stanowisku wśród języków świata i z nich wypływają szczegóły i szczególiki jego budowy.

Jednosylabowość nie jest obca naszym (indoeuropejskim) językom; ale chiński innych słów nie zna zupełnie, każda chińska sylaba jest zarazem słowem, wyjątków niema.

Jako język *izolujący*, nie posiada ani końcówek, ani przystawek czy wstawek. Gdy nasze pierwiastki ulegają mniejszym lub większym zmianom, zależnie od gramatycznej kategorii, do której należą, wyrazy-pierwiastki chińskie są niezmiennie. Nasz pierwiastek „szal“ staje się zrozumiałym wyrazem dopiero przez rozmaite dodatki: szal-eń-stw-o, szal-on-y, szal-en-i, szal-eć, o-szal-ał, szal-en-ie. Chiński zaś wyraz, jeżeli brzmi „fu“ lub „szang“, to zachowuje to brzmienie raz na zawsze, bez względu na gramatyczną kategorię, do której się zalicza.

Śpiewność polega na tem, że każdy wyraz może być wymówiony kilkoma sposobami. Przypomina ona nieco nasz akcent retoryczny (np. w pytaniach), lub też polszczyznę współziomków Mickiewicza. Tylko że w chińskim śpiewność nie jest czemś mniej lub więcej dowolnem, mniej lub więcej osobistem—wprost przeciwnie: śpiewna wymowa jest integralną, nieoderwalną częścią każdego wyrazu, nadającą mu to lub inne znaczenie. Niektóre narzecza południowo-chińskie rozróżniają 8 rodzajów akcentu; północne (np. pekińskie) posiada cztery. Czem się różnią od siebie te akcenty?

Weźmy wyraz „tak“. Każdy z nas jest w stanie tem jednym słowem wyrazić pytanie, potwierdzenie, powątpiewanie, ironię, zdumienie, zniecierpliwienie i t. d., i to w niezliczonych odzieniach. Dzięki czemu? Dzięki modulacji głosu. Chińczyk moduluje tak każde słowo, tylko że on nie wyraża przez to swego indywidualnego stauowiska lub zapatrywania, jak my; dla niego jest to środek do rozróżnienia homonimów (porównaj rosyjskie muka, muká). Chińskie akcenty najbardziej odpowiadają następującym naszym intonacyom.

Gdy „tak“ ma być zwykłą odpowiedzią, potwierdzeniem, to wymawiamy je głosem równym, nie podnosząc go ani nie zniżając (1). „Tak“ zdziwione, pytające lub ironiczne (np. w pytaniu: „a więc to tak?!“) zaczniemy z pewnością poniżej zwykłego poziomu naszego głosu, skończymy zaś powyżej (2, 3). Jeżeli jesteśmy zmuszeni potwierdzić coś kilkakrotnie i to nas niecierpliwi, to zwykle zaczniemy „tak“ wyżej skończymy niżej („no tak, tak!“) (4). Oto 4 akcenty współczesnego języka chińskiego.

Ścisłe biorąc, nie bardzo można mówić o „języku“ chińskim. Chińczyk z północy nie rozumie zupełnie Chińczyka z południa; każda prowincya, ba! nieledwie każde większe miasto, np. Pekin, Nankin, Kanton, ma swoje odrębne narzecze, mniej lub więcej różniące się od sąsiednich. Naogół można twierdzić, że grupa południowa (Fu-czau, Kanton, Hakka, Nanking) jest bardziej ar-

chaiczną, bardziej zbliżoną do wspólnego pnia, którego gałęziami są dzisiejsze narzecza. Dla Europejczyka najważniejsza jest narzecze pekińskie (a więc jedno z północnych); tem narzeczem posługuje się nasza dyplomacya w stosunkach do rządu chińskiego, na tem narzeczu jest oparte kuan hoa (dosłownie: język urzędowy), którem obowiązani są władać wszyscy urzędnicy państwowi. Ale jeżeli na zasadzie pokrewieństwa języków słowiańskich, nie możemy mówić o jakimś języku słowiańskim (niema również dziś języka germańskiego lub romańskiego), to również nie powinniśmy mówić o języku chińskim. Język chiński istniał przed 3000 lat, dziś istnieje do pewnego stopnia na piśmie, jako literacki, ale nie w mowie.

Dźwiękowo przedstawia się język ten bardzo marnie. Już sam fakt, że wyrazy są bez wyjątku jednosylabowe, ogranicza znacznie ich liczbę. A przytem w północno-chińskim narzeczu każdy wyraz musi się kończyć na samogłoskę lub też na *n* i *ng*, co, rozumie się, również pod względem dźwiękowym dodatnio nie wpływa. Starochiński (i dzisiejsze narzecze południowe) posiada końcówki *k*, *p*, *l*, *m*, *n*, *ng*, czyli że o 4 więcej, niż dzisiejszy północny. Tak np., starochińskie, dźwiękowo rozróżnialne, *szik*—kamień, *szip*—dziesięć, *szit*—prawda, współczesny Chińczyk północy wymawia bez żadnej różnicy „*sz*”. Podobnie jak monety, będące w długim obiegu, zatracają wszystkie wypukłości, wszystkie cechy charakterystyczne—ścierają się, jednym słowem—tak też i wyrazy chińskie przez tysiące lat ciągłego używania „starły się”. Najbogatsze z narzeczy współczesnych, Fu-czou, posiada „aż” 800 dźwiękowo rozróżnialnych słów-sylab; najuboższe, pekińskie, zadawalnia się 420-ma. Te 400—800 sylab mają wyrazić 25—30,000 pojęć! Gdyby nie pewne środki zaradcze, którymi język rozporządza, wypadłoby więc przeciętnie po 75 pojęć na każdy wyraz fonetyczny i rozmowa dwóch Chińczyków przypominałaby pocieszny dyalog ze współczesnej operetki. Pierwszym z tych środków są akcenty, o których już przedtem była mowa; ponieważ narzecze pekińskie posiada cztery, więc daje się uchem rozróżnić $420 \times 4 = 1680$ sylab w najlepszym razie, bo przecież niekoniecznie każda sylaba musi wszystkie cztery akcenty posiadać. Należy też wziąć pod uwagę, że przeciętnie pojęcia niekoniecznie muszą się rozkładać na wszystkie sylaby równomiernie; na jedną wypada więcej, na drugą mniej. W dalekim od zupełności słowniku chińsko-angielskim Gilesa, liczącym tylko 13,800 znaków (na 40,000), autor dla sylaby „*li*” naliczył 129 znaczeń. Oto niektóre z nich: *mila, *śliwka, *stolica, *bratowa, *żagiel, *smutny,

*żałować, *prawość, *zasada, *karp, rzeka *Li (w prowincyi Hunau), naczynie ofiarne, trzewik, owad, naczynie... nocne i t. d. Słowa, opatrzone gwiazdka, mają wszystkie trzeci akcent, t. j. są absolutnymi homonimami. Profesor Grube naliczył dla sylaby „sz” 239 (!) znaczeń, dodając, że ta liczba w żadnym razie nie może mieć pretensyi do zupełności... Z tego przypadku na pierwszy akcent 54, na drugi—66, na trzeci—40, na czwarty—79 znaczeń, t. j. tyleż homonimów. Współczesny język chiński dla zmniejszenia ilości słów jednakowo brzmiących chętnie posiłkuje się następującym sposobem. Dwa słowa o podobnym znaczeniu łączą w jedną całość, mającą znaczenie wspólne dla obu składników. Np. fu-nu znaczy *razem* rodzice; *oddzielnie* „fu” ma między innymi następujące znaczenia: agat, siekiera, pośpiech, niewolnik, przedmieście, skóra, ciało, *ojciec*; „nu” zaś może również dobrze znaczyć drzewo, jak *matka*; jednak fu-nu znaczy *tylko* ojciec-matka, t. j. rodzice. Dalsze przykłady pien⁴ (liczba oznacza akcent) ti⁴ każde z osobna *mogą* znaczyć „zamieniać”; ale pien⁴-ti⁴ *musi* mieć to znaczenie. To¹ (dużo) szao³ (mało) razem jako to¹-szao³ znaczą liczba; lai²-wang³ = przychodzić-odchodzić = chodzić, podróżować, podróżni.

Pomimo znacznej ilości homonimów, język chiński jest jednym z najściślejszych języków świata. Prócz tego posiada niesłychaną jędrność i zwięzłość. Najbardziej gadatliwa przekupka chińska wyrazi w dziesięciu sylabach to, na co najlakońiczniejszy Anglik potrzebuje 40—50 sylab; et cela veut dire quelque chose!

Język chiński niema części mowy, rozróżnialnych dźwiękowo. Po polsku jeżeli powiem „szaleństwo,” to odrazu słyszę, że to rzeczownik, albo że „szalony” to przymiotnik, a szaleć — czasownik; po chińsku „fu” lub „ksi” może być tem wszystkiem po kolei, zależnie od stanowiska zajmowanego w zdaniu. Jeżeli niema części mowy, to rozumie się niema również deklinacji, konjugacji, rodzajów, liczb, czasów, trybów, osób i t. d.; tylko w bardzo rzadkich wypadkach liczba mnoga tworzy się przez zdwojenie. Ale czy też formy etymologiczne są naprawdę konieczne?! Na pierwszy rzut oka zdawałoby się, że tak; a jednak francuski i włoski niema deklinacji, angielskie przymiotniki nie mają liczb, a czasowniki osób (wyrażonych etymologicznie, przez końcówki) i częstokroć czasów (np. send — send — send = posyłać, posyłam, posyłał); czy przez to tracą te języki na jasności?! Język polski nie zna myszy rodzaju męskiego, ani słońców rodzaju żeńskiego, ale za to siedzieć można na przedmiotach rodzaju męskiego, żeńskiego i nijakiego, zależnie od osobistych skłonności

i upodobań (fotel, kanapa, krzesło); wniosek: rodzaje gramatyczne są niezbędne. Jakże mi szkoda tych przepięknych aorystów, supinów i gerundyów (łacina) i liczb podwójnych (słowiański, grecki); jakże żałuję tych tak wymownych *sześciu* form czasu przeszłego, któremi rozporządzał Achilles czy Perykles!

Gramatyka chińska—to składnia; prawideł zasadniczych jest zaledwie kilka; oto najważniejsze: Podmiot (mowa zawsze o podmiocie logicznym) stoi przed orzeczeniem; słowo określające stoi przed określanym; jeżeli szereg słów *logicznie* tworzy jedną część zdania, to podlega wszystkim prawidłom, tyczącym się tej części zdania (tak jak gdyby był jednym tylko słowem). My podobnie używamy np. zwrotu: „jakoś to tam będzie.“ W zdaniu: „nasze „jakoś to tam będzie“ jest jedną z naszych wad narodowych, „jakoś to tam będzie“ jest nietylko logicznym, lecz i gramatycznym podmiotem.

Jezyk chiński to algebra, nasze języki — to arytmetyka; znak algebraiczny jest również nieokreślonym jak wyraz chiński, również zmienia znaczenie; ściśle określona liczba arytmetyczna odpowiada wyrazowi europejskich języków; „analiza zdania chińskiego równałaby się w zupełności rozwiązywaniu równania algebraicznego, gdyby nie pewna ilość wyrazów pomocniczych, które wprowadzają trochę życia, trochę ruchu do tych równań“ (Grube). Przy umiejętnym stosowaniu tych wyrazów, można myśli, wyrażonej po chińsku, nadać taką subtelność, taką mnogość odcieni, jakiej nie jest w stanie nadać żaden język europejski.

Pismo chińskie jest pismem wyrazowem, i jako takie naturalnie alfabetu nie posiada. Każde słowo ma swój specjalny znak, to znaczy, że tyle jest znaków, co wyrazów.

Z więcej niż 40,000 znaków, które zawiera wydany na początku XVIII w. słownik cesarza Khang-hi (jednego z najświetniejszych władców bankrutującej obecnie mandżurskiej dynastyi), znaczna część wyszła z użycia, inne znów są tylko mniej lub więcej zbliżonymi wariantami jednego i tego samego znaku; tak, że przeciętny inteligent chiński, nie mający pretensyi do nadzwyczajnej uczoności ożywa się doskonale 6—8,000 znaków. W porównaniu do 30—40 znaków alfabetów europejskich jest to liczba dość imponująca, ale, niestety, pismo chińskie nigdy nie będzie mogło być literowem, albo też przestałoby być zrozumiałem.

Przypomnijmy sobie, co za ogromną ilość homonimów posiada język chiński! Jak wyrazić np. na papierze 450 wyrazów o przeróżnych znaczeniach (patrz wyżej), a o jednakowem brzmieniu? Proponowano, żeby używać łacińskiego alfabetu z cyframi,

np. fang²¹, szy¹⁴³. Ale czy to tak łatwo zapamiętać, że li¹²⁷ — to obyczaj, a li²⁴³ — to gruszka?! Na to trzeba chyba dziesiątków lat. Nie! Pismo chińskie jest idealnym prawie rozwiązaniem trudnego problemu przenoszenia na papier myśli w języku chińskim. A czy dałoby się to samo powiedzieć o narodach Europy, co z politowaniem i ironią patrzą na te „śmieszne hieroglify“? Myśmy nie ułatwili a utrudnili sobie rozwiązania tego problemu; zapominając, że pewnym i najważniejszym celem pisma jest możliwie łatwe utrwalanie myśli, my z pisma robimy uczonego archeologa, co skrzętnie zbiera i zachowuje formy językowe z czasów naszych praszczurów. Cel piękny, ani słowa, ale ilu Polakom przychodzi na myśl, że „król“ pisze się dlatego przez „o pochylone“, że kiedyś istniała forma „krol“, że końcówka „ów“ w dopełniaczu liczby mnogiej, to reminiscencya ogólnostowiańskiej końcówki „ow.“ Trudno też chyba nazwać ułatwieniem fakt, że dla niektórych dźwięków mamy po dwa znaki (ó, u; rz, ź), dla innych zaś nie posiadamy znaku zupełnie (dźwięki wyrażane przez: sz, cz, dz, dź). Nie przypominam już zupełnie artystycznie zbudowanej pisowni angielskiej i mniej skomplikowanej francuskiej.

Przeciętne dziecko europejskie, od chwili, gdy po raz pierwszy weźmie do rąk pióro, aż do zupełnego opanowania pisownią ojczyzniego języka, potrzebuje 6 do 8 lat; przez ten czas mały Chińczyk też zdąży nauczyć się pisać zupełnie poprawnie po chińsku. Gdzież więc ta okrzyczana trudność pisma chińskiego?! Tylko że my *moglibyśmy* pisać po sześciu miesiącach, a Chińczycy tego by *nie mogli*, ze wspomnianych już powodów. Prócz tego pismo chińskie, właśnie dlatego, że jest wyrazem, jest zrozumiałem dla każdego Chińczyka, bez względu na narzecze, którem on włada. Np. znak 人 w całych Chinach znaczy „człowiek“, choć Chińczyk z południa wymówi to „nōng“, a mieszkaniec Pekinu powie „žen.“ W ten sposób zostaje pismo chińskie niezmiernie ważnym czynnikiem kulturalnym, łącząc 300,000,000 ludzi pokrewnych rasą, a różnych językiem w jedną całość.


W bardzo odległej epoce, nie dającej się zupełnie określić chronologicznie, Chińczycy posługiwali się prawdopodobnie rodzajem pisma węzłowego, ze sznurków i pałeczek, zbliżonego trochę do peruańskich quipu; ostatnim szczątkiem są tak zwane „trygramy“ (figury o trzech liniach: ☰, ☷ i t. d.) i hexagramy (figury o sześciu liniach: ☰, ☷ i t. d.), którym Chińczycy przypisują znaczenie magiczne, uważając je jednocześnie za kwintesencję, wprawdzie trochę niezrozumiałą, wszelkiej filozofii. Właści-

wę pismo chińskie powstało z rebusów i symbolów, czyli zawiera element obrazkowy i symboliczny. Z biegiem stuleci przechodziło ono najrozmaitsze koleje, zmieniało swą postać zewnętrzną (zależnie od materiałów piśmiennych); było kanciastem, gdy znaki ryto na kamieniu i w drzewie; wprowadzenie pendzla i papieru (w V—IV wieku przed Chryst.) zaokrągliło je; ostateczną postać otrzymało w IV wieku po Chr., czyli że jest od szesnastu wieków w użyciu bez żadnych zmian. Ta forma obowiązuje w podaniach do cesarza pod karą śmierci; posługują się nią również wszystkie staranniejsze druki. Prócz niej istnieje kilka mniej więcej podobnych form; jedną z nich podsunęła pono kura grzebiąca w piasku... Tak przynajmniej twierdzą uczeni chińscy... Czyli że prócz gęsi kapitoliańskich będziemy mieli jeszcze i kury chińskie... W stosunkach bardzo poufnych posługują się Chińczycy pismem „uproszczonem“ w ten sposób, że każdy znak pisze się jednym pociągnięciem pendzla; wskutek tego znaki tak zatracają swe cechy istotne, że przestają być zrozumiałymi nawet dla obznajomionych z pismem chińskim Europejczyków. Ale bo też wyobraźmy sobie znak, składający się z 20 do 30 oddzielnych pociągnięć pendzla (w piśmie zwykłym, normalnem) napisany jednym jedynym, i to bardzo szybkim, rzutem ręki! Różnica pomiędzy tymi dwoma rodzajami pisma jest mniej więcej taka, jak u nas między pismem kaligraficznym a stenografią.

W pewnej, niewielkiej zresztą, ilości znaków (600) można się jeszcze dopatrzeć obrazkowego pochodzenia, takimi są naprz.:

stara forma									
dzisiejsza forma	日	月	子	山	鳥	心	弓	力	口
wymowa	zi ⁴	yué ⁴	tse ³	szan ¹	niao ³	ksin ¹	kung ¹	tao ¹	kien ¹
znaczenie	słońce	księżyc	dziecko	góra	ptak	serce	łuk	nóż, miecz	usta

Mniej jeszcze mamy znaków symbolicznych (około setki):

stara forma	⋮	—	中	—	二	三	高		(język w otwartych ustach)
dzisiejsza forma	上	下	ta sama	一	二	三	ta sama	日	
wymowa	szang ¹	ksia ⁴	czung ¹	yi ¹	erh ⁴	san ¹	kao ¹	yüeh ⁴	
znaczenie	u góry	na dole	środek	1	2	3	wieża	mówić	

Niezmiernie ciekawe są symboliczne połączenia; niektóre są dokumentami kultury, inne znów zdradzają bardzo znaczny dar obserwacyjny, lub odsłaniają przed nami psychikę starożytnych Chińczyków. Tego rodzaju znaków jest bardzo dużo; oto kilka ciekawych przykładów:

女 niu³—kobieta; 姪 lan⁴—klótnia; 姦 kien¹—wiarołomstwo; tse³ (patrz pierwszą tabelkę) — dziecko; 好 has³ — kobieta i dziecko, znaczy „kochać“; 安 (kobieta pod dachem) an¹ — spokój.

信 hsin⁴, składa się z „człowiek“ (lewa część) i „mówić“ (prawa część), całość oznacza szczerłość, prawdomówność; 家 (świnia pod dachem)—oznacza „rodzinę,“ „szczęście.“ Nie ma to znaczyć, że świnia jest owem szczęściem, ale że posiadanie świń daje możność założenia rodziny. Ponieważ ten znak jest bardzo stary, więc mamy dowód, że świnia jest bardzo dawnem zwierzęciem domowem Chińczyków. Wogóle badanie znaków doprowadza częstokroć do bardzo ciekawych odkryć historycznych i kulturalnych.

Ogromna większość znaków (przeszło 20,000) zawiera dwa składniki: ideograficzny, wskazujący na znaczenie, i fonetyczny, wskazujący wymowę. Fonetyczny element jest bardzo niewystarczający; np. znak 工 kung (praca, cnota), służy za element fonetyczny w znakach złożonych dla wyrazów wymawianych: kung, khung, hung, kang, kiang. Również niewystarczającym jest element ideograficzny. Najlepiej tę rzecz wyjaśnić na przykładzie. Biorę więc znaki: 媿 li, 懼 li, 理 li, 媿 li. Prawa część składowa, 里 li³, jest w tym wypadku elementem fonetycznym, i to zupełnie ścisłym. Lewa część jest ideograficzna. W pierwszym znaku jest nią „kobieta“ (p. wyżej), w drugim—小 „serce,“ w trzecim—王 „król,“ w czwartym—魚 „ryba.“ Całość oznacza: pierwszy znak: bratowa; drugi: żałować, smutek; trzeci: prawość; czwarty: karp.

Prawie, że wszystkie znaki można w ten sposób rozłożyć i sprowadzić na 214 znaków prostych, niezłożonych, zwanych pierwiastkami. Te pierwiastki zastępują nasz alfabet; według nich np. są ułożone słowniki; naprzód idą pierwiastki o jednym pociągnięciu pendzla, potem o dwóch i t. d.; 214-ty pierwiastek składa się z 17 pociągnięć pendzla. Umiejąc te 214 pierwiastków (i jeszcze z 30 wariantów) na pamięć, nie jest już rzeczą trudną odszukanie jakiegobądź znaku.

Chińczyk pisze tuszem i pendzlem, bardzo cienko zakończonym, na papierze dosyć podobnym do naszej bibuły. Pendzel

trzyma się pionowo do papieru i możliwie daleko od dolnego końca. Pisce się z góry na dół i z prawa na lewo; oto szemat:

i	e	a
j	f	b
k	g	c
l	h	d

Nareszcie należy zauważyć, że pismo chińskie znalazło zastosowanie i poza granicami kraju. Korea przyjęła je w zamierzonych czasach, choć Koreańczycy właściwie posiadają własny, wzorowany na indyjskim, alfabet zgłoskowy; od Koreańczyków przejęli je Japończycy (w IV—VI wieku po Chr., razem z Buddyzmem); używa go również północno-wschodnia część półwyspu indochińskiego.

BOHDAN RICHTER.

PIŚMIENICTWO.

PERCY ASHLEY M. A. Lincoln College, Oxford, profesor szkoły nauk politycznych i ekonomicznych w uniwersytecie londyńskim: *Zarząd centralny i lokalny w Anglii, Francji, Prusach i Stanach Zjednoczonych*. Studium porównawcze. Tłómaczył za zezwoleniem autora Jerzy Gościcki. Lwów, nakładem Towarzystwa wydawniczego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Kijów, L. Idzikowski.

Wobec zbliżającej się chwili, kiedy i u nas nareszcie samorząd wprowadzony zostanie w życie, tłómaczenie książki, omawiającej wszechstronnie tę sprawę, jest bardzo na czasie. Poglądy uczonego profesora są tembardziej dla nas cenne, że pochodzą od członka społeczeństwa, gdzie samorząd najwcześniej się rozwinął i doszedł do największego rozkwitu.

Autor wskazuje olbrzymie znaczenie samorządu, jako szkoły życia społecznego, słusznie uważając go za jeden z najdzielniejszych środków wykształcenia politycznego. Aby jednak samorząd mógł to zadanie należycie spełniać, niezbędne są dwa warunki. Po pierwsze, instytucye samorządu lokalnego muszą odpowiadać zwyczajom politycznym, społecznym i ekonomicznym społeczeństwa. Po drugie, władze centralne powinny tak wykonywać swą kontrolę, aby nie tylko utrzymać sprawność administracyi, ale przede wszystkim rozwinąć inicjatywę i poczucie odpowiedzialności lokalnej.

Szeroki samorząd w dzisiejszych czasach stał się koniecznością państwową. Scentralizowana biurokracya wobec szybkiego rozrostu funkcyi państwowych nie może prowadzić do nieskończoności administracyi obszernego kraju. Okazuje ona zawsze tendencyę do wytworzenia suchego schematyzmu myśli i metod,

zapoznawania różnic warunków miejscowych i rozszerzania zakresu swej działalności do niebываłych rozmiarów. Wskutek tego nie jest w stanie podołać swym obowiązkom i wcześniej czy później upadek jej staje się nieuniknionym. Tam, gdzie naród był usuwany od udziału w rządach krajem, katastrofa staje się tem dotkliwszą, że niema żadnej innej siły, któraby można postawić na miejsce przeżytej organizacji urzędniczej.

We wszystkich państwach, dążących do ulepszenia swego ustroju, były podejmowane w ubiegłym wieku usiłowania w kierunku rozwoju samorządu w dwojaki sposób. Albo nadawano mieszkańcom pewnych miejscowości lub ich przedstawicielom prawo zarządzania sprawami publicznymi, dotyczącymi głównie lub wyłącznie danych miejscowości. Albo też powoływano obywateli nie-urzędników do współdziałania w administracji pewną częścią przynajmniej tych spraw, które należą szczególnie do sfery działania rządu centralnego.

W Anglii, co prawda, nie czyniono prób naukowego podziału funkcji zarządem kraju na „centralne“ i „lokalne,“ pozostawiając to praktyce życiowej. Rezultatem jest stopień decentralizacji większy, niż w jakimkolwiek kraju. Tylko niewielka stosunkowo ilość funkcji jest sprawowana przez departamenty centralne, a więc przez urzędników. Kontrola rządowa nad władzami samorządowymi nieraz bywa wykonywana tylko przez sądy. W tych wypadkach, gdy departamenty centralne posiadają prawo nadzoru i dyrektywy, prawo to jest ściśle ograniczone ustawą. Departamenty centralne zresztą podlegają z kolei wybieralnemu zgromadzeniu narodowemu. Zasada więc samorządu przeprowadzona została w całej rozciągłości.

Istniejący stan jest wynikiem historii tego kraju. Anglia ma skłonność patrzeć na władzę centralną, jako na siłę, narzuconą władzom lokalnym wbrew ich woli i rozszerzającą swój wpływ kosztem tych ostatnich. Poszanowanie praw miejscowych płynie z tradycji politycznej narodu, tak silnej, że w koncepcji obywatela angielskiego samorząd lokalny jest przywilejem, który nie może być naruszony przez władzę centralną.

Zupełnie innemi drogami szły dzieje Francji i Prus, gdzie wszystko zmierzało do budowy potężnego państwa za pomocą licznej, kierowanej z jednego centrum, prowadzącej jednolitą politykę biurokracji. Miejskowy samorząd, jaki istniał w zaraniu historii, zanikł niemal doszczętnie, padając ofiarą centralizacji. Gdy instytucje lokalne zostały nanowo powołane do życia, stało się to z woli i dla celów władz centralnych, stąd też samorząd

miejscowy jest uważany raczej za dar z góry, niż za odziedziczone prawo.

Oślabia to silnie podstawy samorządu. I w Prusiech, i we Francji władza parlamentu nad administracją jest nader ograniczona. W obu tych państwach przeprowadzono ścisły podział funkcji społecznych na „lokalne“ i „centralne.“ Do tych ostatnich zaliczono wiele takich rzeczy, które w Anglii są uważane za lokalne, jak np.: wykształcenie, policya, administracya sanitarna i t. p. Działalność władz lokalnych podlega ścisłej kontroli rządu centralnego. Rząd zużytkowuje nieraz nawet wybieralne władze miejscowe dla swych celów, sprowadzając je do roli swych agentów. Przykładem tego są pruski „Landrath“ i „Kreisausschuss“ i do pewnego stopnia francuski „Maire.“

Gdy w Anglii władze lokalne uważają za swój obowiązek wykonywanie prawa zgodnie z wolą i życzeniami mieszkańców, we Francji i Prusiech stosują się one wyłącznie do wskazówek rządu centralnego i to nawet w sprawach czysto miejscowego znaczenia. Francuski i pruski samorząd lokalny pozostaje wciąż w szerokim zakresie pod kierunkiem biurokracyi.

Różnice pomiędzy systemem angielskim a kontynentalnym występują i w metodzie nadawania praw władzom lokalnym. W Anglii władza lokalna posiada tylko te prawa, jakie jej nadała ustawa, powołująca ją do życia, ogólne akty parlamentu lub specjalne akty lokalne, będące właściwością angielską. We Francji i Prusiech władze lokalne mogą robić wszystko, co uważają za pożyteczne dla swego okręgu, ale pod warunkiem uzyskania pozwolenia wyższych władz administracyjnych. Na pozór zdawałoby się mogło, że granice działalności władz lokalnych są w tych warunkach w Anglii ciaśniejsze. Ale granice te są określone prawodawczo i administracya nie może się wtrącać do gospodarki miejscowej, zaś na kontynencie faktyczne korzystanie z szerszych może nawet praw całkowicie jest zależne od kontrolującej biurokracyi.

Rodzaj kontroli pruskiej lub francuskiej znacznie też się różni od angielskiej; Anglia zna tylko kontrolę sądową. Jeżeli władza lokalna uporczywie odmawia posłuszeństwa prawu, departament centralny może jedynie zwrócić się do sądu. Na kontynencie władze lokalne są uważane w wielu wypadkach przede wszystkim za pełnomocników rządu centralnego, wchodzą wobec tego w skład biurokracyi i podlegają zwykłym formom kontroli nad urzędnikami.

Nawet sądy w sprawach gospodarki miejscowej są inne w rozpatrywanych krajach. W Anglii wszelkie zatargi pomiędzy centralnymi departamentami a władzami lokalnymi, albo też pomiędzy władzami publicznymi wogóle a osobami prywatnymi są rozstrzygane przez zwyczajne sądy. Każdy obywatel, uważający się za poszkodowanego działaniem jakiegokolwiek władzy publicznej, może zastosować przeciw niej te same środki, co i przeciw osobie prywatnej. Urzędnicy są odpowiedzialni osobiście i nie mogą się bronić powołaniem na obowiązek słuchania rozkazów z góry.

We Francji i Prusiech stosunki są zupełnie inne, kwestye sporne pomiędzy władzami są rzadko rozstrzygane przez prawny trybunał, zwykle zaś przez wyższe instancje administracyjne. Wszystkie zaś kwestye sporne pomiędzy jednostkami a władzami publicznymi są rozstrzygane nie przez zwykłe sądy, lecz przez trybunały o odmiennym składzie, sądzące według specjalnych praw i mające na celu ochronę urzędników od osobistej odpowiedzialności.

Inne też jest stanowisko urzędników gospodarki lokalnej. W Anglii administracja lokalna jest wykonywana przez wybieralnych obywateli, niezawodowców, którzy posiadają do pomocy i rady stały sztab urzędniczy. We Francji i Prusiech administrują urzędnicy pod nadzorem tylko i kontrolą wybieralnych przedstawicieli ludności.

W Anglii wreszcie członkowie rady lokalnej i uchwalają i wykonywują swe uchwały, tworząc wspólnie ciało uchwałodawcze, a dla celów wykonania dzieląc się na komitety specjalne. We Francji i Prusiech funkcyje wykonawcze i uchwałodawcze są mniej więcej ściśle oddzielone i członek rady lokalnej nie bierze zwykle udziału w faktycznej administracji.

Autor zaznajamia czytelnika szczegółowo z instytucjami i zakresem działalności gospodarki lokalnej we wzmiankowanych krajach. Daje dalej szerszy rys historyczny rozwoju w nich samorządu. Wreszcie specjalną uwagę poświęca na scharakteryzowanie stosunku władzy centralnej do miejscowej, stosownie do różnych istniejących systemów.

Choć pisana dla Anglików, książka ta daje dużo ciekawego materiału i dla naszych czytelników, zaznajamiając ich gruntownie z tą ważną dziedziną życia społecznego.

WACŁAW DUNIN.

GROTOWSKI ŻELISŁAW. *Rozwój zakładów dobroczynnych w Warszawie*. Warszawa, nakładem księg. E. Wende i Sp. (T. Hiż i A. Turkuł):

Autor rozpatruje dzieje dobroczynności w Warszawie od najdawniejszych czasów, potrącając przytem historię filantropii wogóle w Polsce.

Pierwsze instytucje filantropijne u nas powstały w w. XII. Były to szpitale, czyli domy schronienia dla starców i kalek. Szpitale te, wznoszone na gruntach przy kościołach parafialnych lub klasztorach, znajdują się pod bezpośrednią opieką duchowieństwa. Przez długi czas duchowieństwo pozostaje jedyną czynną siłą na polu filantropijnem. Choć robiło ono dosyć dużo, ale wskutek niedostatecznego poparcia społeczeństwa, nie mogło osiągnąć rezultatów zadawalających. W Warszawie do XVI w. powstały tylko trzy szpitale: św. Ducha, N. M. Panny i Marcinianek.

Cały nawet zarząd szpitalami początkowo znajdował się w rękach duchowieństwa i tylko w bardzo rzadkich wypadkach rady miejskie wyznaczały od siebie rajców w zawiadywaniu sprawami danego szpitala. Rola społeczeństwa ograniczała się prawie wyłącznie do składania ofiar na cele miłosierdzia publicznego.

Źródła dochodu były bardzo niejednolite i nierównomierne. Szpital, fundowany przez panującego lub możnego pana, miał zwykle zapewniony pewien dochód, choć często się zdarzało, że już spadkobiercy zapominali o zaciągniętych zobowiązaniach. W innych wypadkach zarządy szpitalne musiały się uciekać do najrozmaitszych sposobów, aby zdobyć środki na pokrycie wydatków bieżących. Ta ciągła walka o pieniądze i niepewność bytu odbijały się bardzo ujemnie na ogólnym stanie szpitalnictwa, gdyż nie było poprostu mowy o wprowadzeniu ulepszeń lub wygód dla chorych i kalek.

Począwszy od wieku XV występują na widownię bractwa. Zgromadzenia te zapisały się chlubnie w dziejach dobroczynności polskiej. Powstałe początkowo w celach religijnych i zależne od duchowieństwa, potrafiły one skupić w swych szeregach sporą liczbę braci i sióstr świeckich i świeże te żywioły wciągnąć do pracy filantropijnej.

Bractwa organizują nowe typy instytucji filantropijnych. Bractwo św. Łazarza w Warszawie zakłada tam nową „*mons pietatis*.“ Był to właściwie lombard średniowieczny, w którym wydawano pożyczki wyłącznie ubogim i bez żadnego procentu.

Z czasem jednak dla zdobycia dochodów zaczęto stosować zwykłe operacje lombardowe. Drugie bractwo warszawskie św. Benona powołało do życia dom sierot, w którym dzieci ubogie znajdowały stosowną opiekę i uczyły się rzemiosł.

Bractwa starały się też unormować rozdawnictwo jałmużny. Wprowadzono urząd wizytatorów, którzy dzielili między sobą pracę odwiedzania ubogich. Przestrzegano przytem, aby każdy z wizytatorów miał pod swoją opieką nie więcej nad 4 rodziny, gdyż tylko wtedy mógł poznać dokładnie i szczegółowo stosunki i potrzeby biednych. Jest rzeczą godną uwagi, że ten krok ku systemowi indywidualizacyjnemu uczyniono w Polsce tak wcześnie i należy żałować, że tak piękne początki poszły potem w zapomnienie.

Druga połowa XVIII w. stanowi nową erę w historii dobroczynności. Zmiany następują pod trzema względami. Nowe instytucje dobroczynne mają w przeciwieństwie do poprzednich określony cel i charakter. Szpitale naprzykład tracą swój pierwotny charakter przytułków w najogólniejszem tego słowa znaczeniu i stają się zakładami o celach przeważnie leczniczych.

Dalej występuje z czynną inicjatywą na polu filantropii państwo, które dotychczas zachowywało się w tej dziedzinie zupełnie biernie. Rządy wydają policyjne zakazy żebraniiny, stanowią prawa, na których zasadzie ubodzy winni otrzymywać wsparcie w swojej gminie, centralizują dobroczynność, podporządkowując służące temu celowi zakłady jednej władzy. W Polsce uniwersał Rady nieustającej z dnia 23 czerwca 1786 r. poleca, aby „osoby podupadłe i żadnym sposobem pożywienia zarobić nie mogące“ były utrzymywane przez daną parafię, miasteczko lub wieś. Dnia 22 marca 1758 r. król August III ustanawia pierwszą centralną instytucję dobroczynną, zwaną Radą opiekuńczą, pod której zarząd oddano wszystkie zakłady dobroczynne w Warszawie.

Przedewszystkiem jednak w tym okresie zmieniło się zupełnie pojmowanie zadań dobroczynności, ograniczono rozdawanie jałmużny do wypadków ostatecznej nędzy, a natomiast zaczęto starać się o wyszukanie pracy dla biedaków. Panujące wówczas hasła merkantylizmu wskazywały, że w ten sposób ciężar ogółu staje się mniejszy, z drugiej zaś strony napływ rąk roboczych obniża koszty produkcji przemysłowej.

W Polsce najjaskrawszym objawem merkantylistycznych zasad w dobroczynności była działalność „Kompanii manufaktur wełnianych.“ Założona w r. 1776 za inicjatywą Stanisława Au-

gusta i wzorowana na współczesnych kompaniach holenderskich, miała na celu podniesienie przemysłu krajowego przez zdobycie obcych rynków. Aby zapewnić tej kompanii tanich robotników, postanowiono oddać jej upadający zakład św. Benona w Warszawie, którego mieszkańcy mieli znaleźć zajęcie w warsztatach kompanii. Taki sam merkantylistyczny charakter nosi Dom robotczy barona Leforta, zajmowano nawet dzieci z przytułków pracą w fabrykach, choć nie wyzyskiwano je tak nieludzko i nie-miłosiernie, jak we współczesnej Anglii. Co prawda wszakże jeden tylko Tyzenhaus dbał o to, by dać dzieciom przed skierowaniem ich do fabryk pewne ogólne wykształcenie.

Z początkiem wieku XIX bezpośrednie łączenia kwestyi robotniczej z dobroczynnością upada. Zrażeni nieudanyimi pod tym względem eksperymentami uczeni polscy małą zwracają uwagę na sprawy dobroczynne. O ile zaś je potracają (Skarbek, Supiński i inni), to przemawiają przedewszystkiem za instytucjami samopomocy, mającymi podźwignąć poziom ekonomiczny klas biednych. Co się zaś tyczy właściwej dobroczynności, to największy nacisk kładą na uregulowanie prawodawstwa w tej dziedzinie.

Działalność prawodawcza jednak nie dopisała. Najważniejsze zadanie—określenie dokładne opieki gminnej—nie zostało wykonane. Również w sprawie kontroli państwa nad instytucjami dobroczynnymi, nie spełniło ono swej roli należycie. Królestwo Kongresowe wskrzesza w r. 1815 centralną władzę nad zakładami dobroczynnymi, która już istniała w dawnej Polsce, w roku 1832 zostały ustanowione rady szczegółowe nad każdą oddzielną instytucją filantropijną, co odbiło się korzystnie na rozwoju dobroczynności.

Późniejsze jednak zarządzenia rządowe przyczyniały się tylko do sparaliżowania wszelkiego postępu w tej dziedzinie. Już nawet prawo z roku 1832, które umożliwiło w dość szerokim zakresie współdziałanie społeczeństwa w sprawie dobroczynności, zostało odrazu spaczony formalnymi ograniczeniami, narzuconymi przez państwo. Wprowadzenie w r. 1872 inspektoratu lekarskiego i rozszerzenie władzy gubernatorów na szpitale, świadczą o dążeniu prawodawcy do odsunięcia społeczeństwa od sprawy dobroczynności i poddaniu jej ściślejszej kontroli biurokracji. Jeżeli pomimo stawianych przeszkód, rady opiekuńcze nad oddzielnymi zakładami wywiązywały się naogół zadawalająco ze swych zadań, należy przypisać zasługę tego społeczeństwu, które nie zrażało się spotykanyimi trudnościami.

Przełom w historii dobroczynności stanowił rok 1870, kiedy instytucje filantropijne przeszły pod zawiadywanie ministerjum spraw wewnętrznych, bezpośredni zaś zarząd nad nimi objęły rady gubernialne i powiatowe, a w Warszawie Rada miejska dobroczynności publicznej. Rady te składały się prawie wyłącznie z urzędników, co nadało dobroczynności charakter biurokratyczny. Wprowadzono też ogromną centralizację, uzależniając Rady we wszystkich ważniejszych sprawach od ministerjum. Zmiany te bardzo niekorzystnie odbiły się na dobroczynności. Działalność społeczeństwa nietylko nie doznawała pomocy rządowej, ale była na każdym kroku krępowana postanowieniami administracyjnymi.

Cały ciężar akcji filantropijnej wzięło na siebie prywatne Towarzystwo Dobroczynności, założone jeszcze w 1814 r. Wobec szczupłych jednak środków i wielkiej biedy w kraju nie może ono sprostać swym zadaniom, choć robi bardzo wiele. Szczegółowym rozpatrzeniem działalności tej ważnej instytucji i zależnych od niej zakładów, kończy autor swą ciekawą i pożyteczną pracę.

W. D.

MIECZYŚLAW SMOLARSKI. *Poezja Legionów* (Czasy, pieśń i jej dzieje).
Kraków, nakład. Akademii Umiejętności, 1912.

Czasy porozbiorowe, okres smutnych i bolesnych losów życia narodowego, stają się coraz to więcej przedmiotem sumiennych, źródłowych badań naukowych. Dzieje i sprawy polityczne, przedsięwzięcia społeczne i ekonomiczne, twórczość artystyczna i filozoficzna—oto dziedziny, które dają świadectwo niesłabnącej energii ducha polskiego. Jednym z jej objawów były Legiony. Legiony—to nietylko epizod militarnych i polityczno-dyplomatycznych dziejów narodu; Legiony—to zarazem dokument kultury polskiej, realizacja czynnej, zdecydowanej woli, świadomie działającej pod mocą nakazów przeszłości historycznej i z odpowiedzialnością wobec przyszłości. Dawniejsza krytyka historyczno-polityczna oceniała w dwojaki sposób znaczenie i fakt Legionów: z jednej strony idealizowała i koncepcję i urzeczywistnienie, a olśniona wyjątkowością zjawiska, starała się w nich widzieć wzór przyszłych zamierzeń narodowych, z drugiej strony potępiała ideę, realizację i organizację, spostrzegając w czynach rezultaty gorączkowości, uczuciowości, w pomysle—wynik niedojrzałości i nierozumu politycznego. Dziś coraz powszechniej zdobywa sobie uzna-

nie pogląd, stwierdzający z rozważnym obiektywizmem doniosłość polityczną epoki legionistycznej na tle ówczesnego położenia narodowego, tudzież w zestawieniu z nastrojem i obrazem ówczesnej międzynarodowej sytuacji politycznej. Legiony wydały nie tylko łańcuch bohaterskich wysiłków wojennych, nie tylko czyny dyplomatyczno-organizatorskiego i politycznego rozumu, ale zarazem owoc, z natury swojej pełen subtelności i wdzięku, poezję własną, zadziwiającą na gruncie walk i szczęku broni. Pierwszą, rzec można, poważniejszą pracę poświęca poezyi legionów Smolarski. Treść jej, obejmującą czasy od r. 1797—1815, podzielił autor na cztery części: I) „Wśród dalekich pól obczyzny“ 1797—1801; II) „Na strunach przywróconego narodowego bytu“ 1806—1809; III) „Pieśń zwycięstw i uroczystości“ 1809—1812; IV) „Epopei ostatnie akordy“ 1812—1815.

W części pierwszej kreśli na podstawie dostępnej sobie literatury tło politycznych działań, wspomina o „Pieśni legionów“ i jej autorze, Józefie Wybickim, a zaznaczywszy oświatową pracę w łonie szeregów legionistycznych, opowiada o Cypryanie Godebskim, poczem przechodzi do ody Kajetana Koźmiana „Na wojnę 1800 roku skończoną bitwą pod Marengo“, chłodną, retoryczną, rażącą obfitością górnych słów, a brakiem treści. Rok 1801 był chwilowem rozbięciem Legionów, napełniła smutkiem deportacja polskich wojsk na San Domingo. W okresie między 1801—5 budzi się żywsza działalność literacka w kraju, nacechowana dążnością przyswajania sobie płodów pseudo-klasycznych zagranicznych za pomocą tłumaczeń. „Wiersz do Legionów“, wprowadzający autora Godebskiego w poczet członków Tow. Przyjaciół Nauk, jest właśnie historią Legionów, nie pozbawioną nuty szczerzego uczucia, smutku i żalu. Do tych czasów odnosi się rzewny, miękki utwór Kazimierza Brodzińskiego „Legionista“, później zresztą napisany, Wincentego Janowskiego „Śpiew przy spełnianiu wiwatów“, wreszcie ks. Woronicza „Hymn do Boga“ (1805), wyraz patryotycznego liryzmu, pełen bólów, zwątpienia i jęków, oddający ściśle nastrój rozczarowań i żalu.

W rozdziale drugim, po nakreśleniu tła dziejowego, wymienia dwie główne cechy nowego okresu poezyi legionistycznej: ubóstwienie Napoleona, tudzież wybitnie okolicznościowy charakter, wiążący ją z ludźmi i wypadkami tamtoczesnymi. Z wierszy, których ciąg rozpoczyna A. Wybranowski, zaznacza się w roku 1806 Franciszka Wężyka „Oda do Polaków“, nacechowana, jak wszystkie tego rodzaju utwory, retoryczną przesadą o podkładzie dramatycznym, tudzież sztuczną koturnowością, patosem,

brakiem miary. Rok 1807 wydaje między innymi dramat liryczny p. t. „Andromeda“, pióra L. Osińskiego, oraz nie pozbawiony kilku miejsc szczerze odczuty, ale ciężki opis trzymiesięcznego oblężenia Gdańska: „Dobycie Gdańska“ pióra H. Jabłońskiego; w r. 1808 mamy utwory na cześć ministra sprawiedliwości Feliksa hr. Łubieńskiego, ks. Józefa Poniatowskiego, Dąbrowskiego, liczne wiersze Molskiego, utwory na cześć księcia-elektora Fryderyka Augusta. W rozdziale tym poświęca autor dłuższą uwagę Marcinowi Molskiemu, dobrze i trafnie charakteryzując jego działalność literacką i Andrzejowi Brodzińskiemu, rzewnie z uczuciem go wspominając, choć bez należynej krytycznej miary.

Rozdział trzeci zawiera, po charakterystyce stosunków politycznych, registr utworów z lat 1809—1811. Wyróżniają się: męskim i silnym akordem oda K. Koźmiana „Na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie“, wreszcie najlepsza z ód współczesnych tegoż autora „Na pokój 1809 roku“, pochwalona w wykładach paryskich przez Mickiewicza, a nacechowana powagą i poetycznością. Smolarski wymienia z okazji opisu uroczystości, odbytych w celu uczczenia powrotu zwycięskich wojsk do Warszawy, cały szereg utworów, wśród których wyszczególnia uwagę dłuższą odę L. Osińskiego, która przy słabej i niezbyt logicznie powiązanej treści ułożona jest w formie poprawnej, dźwięczącej retoryczną deklamacją, dalej wymienia utwory dramatyczne (między innymi Wężyka „Rzym oswobodzony czyli powrót wojowników“, utwory dramatyczne L. Adama Dmuszewskiego), podaje treść poematu oficera J. Świderskiego p. t. „Galicya oswobodzona“ wspomina obszerniej o „Dumaniach żołnierza polskiego w starożytnym zamku Maurów nad Tagien“ pióra Kantorbereggo Tymowskiego, o wierszach Antoniego Goreckiego (np. „Zdobycie wąwozu pod Somo-Sierra“, za typowy okaz żołnierskiej Muzy przez Mickiewicza uznany), zestawia utwory legionistyczne Kazimierza Brodzińskiego, wreszcie zajmuje się obszerniej nieco twórczością Wincentego Reklewskiego, zawartą głównie w jego „Pieśniach wiejskich“, a celującą prostotą, szczerością, rzewną uczuciowością. Na zakończenie rozdziału wspomina o kilku wierszach autora „Ludgardy“, Ludwika Kropińskiego.

Część czwarta, podobnie jak poprzednie, po charakterystyce stanu politycznego Polski podaje współczesne utwory, a więc „Pieśń wojenną“ Niemcewicza, do czynu wojennego zagrzewającą, pieśni Wężyka na cześć Napoleona, piękną odę Józefa Tadeusza Skórkowskiego, „śmiałą, dobitną, w przenośniach patetyczną, chwilami lotną, nie bez wyobraźni i poezyi“, ody Tymowskiego, wśród

których swym mężnym tonem wyróżnia się wiersz do Polaków w służbie rosyjskiej, omawia wiersz J. Słowackiego na cześć 15 sierpnia 1812 r. Smutna wyprawa na Moskwę wywołała немало utworów, między nimi K. Brodzińskiego „Żołnierz nad Moskwą r. 1812“ i piękny wiersz Goreckiego „Duma o Zakrzewskim“. Upadek Napoleona wywołał, jak słusznie autor zauważył, nieetyczną w swoim założeniu odę „na upadek dumnego“ (1815), wreszcie śmierć i pogrzeb ks. Józefa Poniatowskiego jest źródłem lirycznych wierszy Brodzińskiego i Niemcewicza, tudzież epickiego poematu Świderskiego „Józefada“ (1818).

Powyższy przegląd treści ujawnia, że praca Smolarskiego jest raczej zbiorem materyałów, sumiennym rejestrem poezji legionistycznej, aniżeli monografią, której przedmiotem winna być umiejętna analiza, dokonana w myśl postulatów krytyki naukowej. Poezja Legionów jest wedle powszechnego, słusznego uznania skończonym, zamkniętym w sobie okresem piśmiennictwa polskiego; musi być więc traktowana w zwartej swej całości jako skończone, jednolite dzieło. Każde zjawisko literackie, rozpatrywane, jako produkt świadomej i określonej pracy ducha, podlega analizie, biegnącej linią odpowiedzi na pytania, *a)* kto jest twórcą dzieła i jaka jego istota? *b)* kiedy powstało, czym jest i co zawiera w sobie dzieło? *c)* jak działa i jak je przyjęto? Pełnej odpowiedzi, zagadnienia zaznaczone wyczerpującej, w pracy autora nie znajdujemy. Posługuje się metodą chronologiczną, która jest stanowczo niedostateczną; ona to była powodem, że monografia krytyczno-literacka przemieniła się w bibliografię i registr utworów. Poezyę legionistyczną należało rozklasyfikować wedle odpowiednich punktów widzenia; a więc przede wszystkim wedle gatunków: na poezję liryczną, epicką, dramatyczną i każdy dział z osobna omówić, przyczem możnaby pójść torami schematu powyżej zaznaczonego. Rozbiór szczegółowy powinien być rozbiorem treści i formy; przez treść rozumie się jedynie całokształt abstrakcyjny idei, wyobrażeń, uczuć, ich związek wzajemny i ustosunkowanie, przez formę i sposób wcielenia tego w duszy twórcy tkwiącego zasobu w konkretną postać wyrazową (a więc język i styl). W zakresie analizy treściowej należało wyłuszczyć główne motywy ideowe i składniki wyobrażeniowe, sposób ich wiązania się i kojarzenia, określić stosunek wyobrażeń do pierwiastków uczuciowych, zbadać, o ile i w jaki sposób odbijają się przeżycia i dane doświadczenia w pomysłach poetów-żołnierzy, unaocznić stosunek przeżyć do twórczej fantazyi pisarzy; w zakresie analizy formy, prócz ścisłego, dokładnego obrazu struktury językowo-

gramatycznej, winien badacz zająć się umiejętnym rozbiorem szaty stylowej w ścisłym znaczeniu. Tak przeprowadzona analiza poszczególnych gatunków poezji legionistycznej pozwoliłaby na szczegółowszą klasyfikację w każdym z nich, na dociekanie porównawcze, któreby uwydatniło momenty wspólne w treści, formie i technice wykonania, umożliwiłaby przeprowadzenie ewolucji tej poezji nie tylko wedle momentów chronologicznych, ale i wedle pierwiastków wewnętrznych. Wyniki tej analizy dałyby materiał do rozwiązania zagadnienia, jakim jest typ poety-legionisty i określenia tego typu wedle zasadniczych składników psychologicznych, rezultaty ścisłego badania pozwoliłyby oznaczyć, jakie miejsce zajmuje okres legionistyczny w rozwoju piśmiennictwa polskiego, jaka wartość jego i znaczenie. Zapewne uchroniłby się autor od sądów, które widzą w poezji Reklewskiego treść ballady, wyprzedzającą swój czas (str. 134), lub w twórczości Kropińskiego, Reklewskiego, Andrzeja Brodzińskiego „szlak romantyzmu w pierwszych dziesiątkach zeszłego wieku“ (str. 138). Czasami zdaje się, jak gdyby autor unikał zawilszych, trudniejszych zagadnień, np. gdy wspomina o „Pieśni Legionów“ lub gdy omawia twórczość Godebskiego lub Reklewskiego.

Książka Smolarskiego, napisana w ciepłym, wzruszającym i uczuciowym nastroju, językiem barwnym, nierzadko podniosłym, zachęci niewątpliwie historyków i krytyków literatury do szczegółowego, umiejętnego wyzyskania tych materiałów, które autor sumiennie i gorliwie zebrał i ułożył w swej pracy; w tem, iż książka jest pracowitym rejestrem literatury legionistycznej, że stworzy silną podniecię uczuciową do krytycznego badania—leży najgłówniejsza zasługa autora. Poezja Legionów wymaga naukowego, ścisłego i metodycznego opracowania monograficznego.

MIECZYSLAW KALITYŃSKI.

Kronika miesięczna.

Rozważania wiosenne. — Ziemia, jako symbol niezależności. — Wieś polska dawniej i dziś. — Exodus ziemian. — Demokratyzacja wsi. — Dążenia ludowe. — Znaczenie radykalizmu. — Otucha na przyszłość. — Pamięci Kraszewskiego. — Zagadnienia moralne na tle wolności sztuki.

Wiosna!.. Po przez dymy kominów, brudne wyciewy wielkiego miasta dochodzi zdrowy, świeży, mocny zapach roli świeżo zoranej, mglistych porannych oparów, pękających pąków. Uteśknione, zmęczone oczy mieszczaucha widzą dalekie horyzonty zielonej runi pól, rozlanych rzeczutek i stawów, bezkresną, tęskną równinę, obramioną siną wstęgą lasów. Niech tam bilanse krajowe wykazują nam, że Królestwo jest krajem przemysłowo-rolniczym, jutro już może przemysłowym prawie, typ naszych uczuć, pragnień, pożądań jest wiejski, należałoby może raczej powiedzieć ziemiański. A dwa na to składają się czynniki. Pierwszy—że w znacznej większości inteligencja nasza miejska, zawodowa, składa się z dobrowolnych czy przymusowych zbiegów ze wsi, „wysadzonych z siodła“ bez obelżywego znaczenia, które Sygietyński bohaterowi swej powieści nadaje; dopiero synowie nasi będą prawdziwymi mieszczechami, którzy już własnego kawałka ziemi nie znali. Więc w pełni, czy na schyłku życia oczy zawracają chętnie do dworów i dworków, skąd ci ludzie wyszli. Często z żalem za brak odwagi pozostania na roli. Bo przecież ta ziemia, na której niewdzięczność tak często i tak niesłusznie się skarżymy, jest najtrwalszem i najpewniejszym dobrem; nietylko moralnie—przedewszystkiem ekonomicznie, bo objawia stały, naturalny przyrost wartości, na niezłomnem prawie renty gruntowej oparty. Dlatego—tym, którzy zostali, przetrwali, wytrwali, z ziemią karmicielką własnym potem i znojem się pobratali, tym—powodzi się dobrze. A zbiegom z roli — rozmaicie.

Drugi czynnik—bodaj ważniejszy. Nic nie daje tak silnego zaspokojenia najbardziej zakorzenionemu poczuciu własności—jak własny kawał ziemi. Idą i przechodzą zawieruchy pod hasłem wspólnego władania czy podziału dóbr. Filozof przypatruje się im zdaleka ze spokojnem wzruszeniem ramion. Bo nie armaty, nie prawa stawiają im mur ochronny, lecz prainstynkt człowieczy posiadania czegoś na własność, objęcia czegoś rękami z tryumfalnym okrzykiem: „to moje.“ A zawieruchy tylko przesuwiają ręce, jedno zastępują drugimi. I w kawałku ziemi własnym tkwi ten instynkt najsilniej.

Bo w niczem jeszcze nie streszcza się tak silnie poczucie niezależności osobistej, najszlachetniejszego dążenia jednostki do wolności osobistej. Jeżeli równość jest mrzonką, a dążenie do niej tylko zazdrości wyrazem, wolność jest najwyższym wykwitem nieznoszącego więzów ducha ludzkiego, najśluszniejszym porywem jego majestatu. Wcielenie ideału tego widzimy w życiu, w zakresie możliwości widzimy na własnym tylko kawałku ziemi. Próżne i nieprzekonywujące są utyskiwania zgorzkniałych rolników na zależność ich od najkapryśniejszej z pań, przyrody i sługi jej pierwszej, aury. Próżne—bo zależność człowieka od przyrody jest absolutną i nieunikioną koniecznością wszędzie i zawsze na wsi i w mieście, chociaż inaczej się objawia. A jarzmem życia nie jest ta zależność niezłomna, lecz zależność jednostki od jednostki, człowieka od człowieka, cecha zasadnicza pracy na warsztatach miejskich. Na własnym kawałku ziemi człowiek sam sobie panuje. A to panowanie jest obrazem wszystkich i nieograniczonych możliwości w olbrzymiej skali od najpracowitszego chłopca francuskiego, niewolnika i męczennika ziemi i robienia majątku—do murzyna Stanów Południowych, wygrzewającego się leniwie na słońcu i żywiącego się owocami paru drzew palmowych. Jak chcecie, gospodarzu!

A skoro tak jest, skoro podstawą uczuć i marzeń naszych jest wieś, skoro ku roli zwracają się tęskne uczucia i pożądanja, nie mogą być obojętne, owszem najżywotniejszy interes przedstawiają te wielkie przemiany, jakie się na wsi polskiej dokonywują, przemiany większe, niżby się napozór wydawało. Bo oto cały ustrój schodzi powoli z widowni, ustrój szlachecki, powiedzmy z zastrzeżeniami patryarchalny, a na to miejsce wdziera się nowa kultura, może dziś jeszcze nie kultura—chłopska. A zagadnienie przyszłości przedstawia się w znaczeniu, jakie będzie miało dla kraju to przesunięcie środka ciężkości życia wsi.

Czytaliśmy niegdyś w „Czasie“ dwa szeregi artykułów. W jednym stary ziemianin dawnego typu, p. Jan Popiel, charakteryzował życie dworów i chat polskich przed pół wiekiem; w drugim publicysta, d-r Witold Lewicki, dzielił się bezpośrednimi wrażeniami i spostrzeżeniami z badań nad nową wsią polską w Galicyi. Konkluzye *mutatis mutandis* można zastosować i do Królestwa tembardziej, że wspomnienia p. Jana Popiela głównie Królestwa dotyczyły. Umyślnie przytoczyliśmy wielką różnicę półwiecza, aby obraz był tem jaskrawszy; tak często bowiem, widząc przez lat wiele tych samych ludzi na tych samych miejscach, w tych samych, tylko nieco ku starości pochylonych dworach i chatach, skłonni jesteśmy do przypuszczeń, że, w przeciwstawieniu do ruchliwej i zmiennej stolicy, na wsi nic się nie porusza.

Obraz dawny—znany z powieści szlacheckich, tu potwierdzony przez naocznego, wiarogodnego i sprawiedliwego świadka. Więc—ośrodkami życia: dwór, kościół i plebania, czynniki bezwzględnie kierownicze, którym chaty bezwzględnie również podlegają; za to ze strony czynników kierowniczych doznają zawsze pomocy i opieki. Chaty podlegają chętnie—mówi zwolennik przeszłości: dobrze im z tem. Nam, współczesnym, bezkrytycznie w to uwierzyć trudno; jakkolwiek pańszczyzny już nie pamiętamy, ale jeszcze wspomnienia dzieciństwa mamy podobne, jakkolwiek zgoła nie tak idylliczne, owszem nieraz zmacone chociażby interwencją kozaków i komisarza włościańskiego przy sporach o serwituty i separacye. Ale i historia uczy nas czego innego. Ustrój patryarchalny wsi był w zbyt ściślejszej zależności od wartości moralnej jednostek kierowniczych; wiemy też, że instynkty złe przeważają zawsze; wiemy i to, że głucha nieufność chat do dworów trwa wiele, wiele dziesiątków lat, nieraz umiejętnie podsycana i groźnie wybuchająca. Właściwie zadaniem chwili obecnej byłoby nareszcie ten kąkol nieufności wzajemnej wyplenić, ale o tem potem. Teraz—aby skończyć z przeszłością—stwierdzimy, że dawniej i szlachcic i chłop miał życie lżejsze, przedewszystkiem dlatego, że ziemi było dosyć, a ludzi na niej mało. Ten fakt ekonomiczny był może głównem podłożem idylli.

Zupełnie przeciwstawną cechą nowej wsi polskiej—stwierdza dr. Lewicki—jest olbrzymi rozwój ludności i co za tem idzie niemożność wyżywienia się na tym samym ogólnym obszarze ziemi, pomimo zmniejszania się z każdym rokiem ilości nieużytków i ogromnego zwiększenia intensywności uprawy. 80—100 ludzi na kilometrze kwadratowym wyżywić się nie może. Następstwem tego stanu rzeczy jest wyludnianie się wsi w dwóch kierunkach:

na stałe do miast (ruch mniejszy) i emigracya, zamorska czy sezonowa (ruch większy). Te dane z Galicyi można bezwzględnie zastosować i do nas. I u nas jest przeludnienie, i u nas kilkadziesiąt tysięcy ludzi wychodzi rocznie za morze, a kilkaset tysięcy na roboty sezonowe do Prus, do Danii, Szwecyi i t. d.

Cóż robią pozostali na roli? Lepiej i intensywniej gospodarują. W Galicyi stwierdzono ogromne zużycie przez włościan nawozów sztucznych, zwiększenie znaczne uprawy traw pastewnych oraz wielki rozwój hodowli; chłop galicyjski staje się *par excellence* hodowcą. Równocześnie wychodźcy—zwłaszcza zamorscy—przysyłają do kraju znaczne ilości pieniędzy, skutkiem czego włościanie stają się kupcami na ziemię, która ogromnie wzrasta w cenie i rozwija się ruch parcelacyjny; od r. 1897-go do r. 1909 obszar wielkiej własności w Galicyi zmniejszył się o 704,915 morgów. Nie mamy pod ręką odpowiednich cyfr dla Królestwa, wiemy przecież, że i u nas ruch parcelacyjny wznaga się z roku na rok, ale mniej przychodzi pieniędzy z Ameryki, mniejszy widzimy postęp rolnictwa wśród włościan, niż w Galicyi, mniejsze zwiększenie skali potrzeb, o wzroście kultury świadczących.

Równoległe ze wzrostem potęgi ekonomicznej gospodarstw włościańskich i podniesieniem skali kultury rolnej idzie powolny ale stały upadek dworów i ich znaczenia społecznego. W Galicyi i w Królestwie inne działają czynniki. W Galicyi obserwujemy zjawisko podobne—acz nie w takiej mierze—jak w państwie rosyjskiem. Przed szlachtą stoją szeroko otwarte wrota kariery politycznej, administracyjnej, państwowej; stąd *exodus* do stolic, wydzierżawianie majątków przeważnie Żydom, którzy występują w tym charakterze, jako typowi wyzyskiwacze; właściciele nie mieszkają na wsi, nie mają stałego zetknięcia z ludnością okoliczną, prócz chwilowego i interesownego podczas wyborów, tracą więc z własnej woli stanowiska kierownicze. Od lat kilku rozwija się zresztą reakcja przeciw temu zjawisku pod egidą Związku Ziemiaków, który ma za zadanie utrzymanie i wzmocnienie średnich i większych gospodarstw, propagowanie postępu w rolnictwie, utrzymanie właścicieli na ziemi i przywrócenie im roli kierowniczej przez oddawanie odpowiednich usług społecznych.

W Królestwie inne spostrzegamy zjawiska, inne też działają przyczyny. Pisaliśmy o nich obszerniej z powodu książki „Listy z dworu wiejskiego“ i z powodu artykułu jej autora, wiceprezesa C. T. R., p. Maryana Kiniorskiego, o młodem pokoleniu rolników. Nie chcemy się powtarzać, przypomnimy więc tylko pokrótce, że z powodu ogromnej zwyżki cen ziemi rozpoczyna się

na wielką skalę handel majątkami; gdy dawniej młodzieniec w ciężkich nieraz warunkach obejmował majątek, użyzniony znojem ojców i dziadów, czynił to w poczuciu obowiązku utrzymania majątku w rodzinnych rękach, dziś zaś obejmuje go tylko, jako lepszy lub gorszy warsztat rolniczy, który gotów każdej chwili zamienić na inny, lepszy. Taka częsta zmiana właścicieli podrywa oczywiście zupełnie ich rolę społeczną—zachowawczą.

Jeżeli porównujemy wieś dawną z wsią dzisiejszą uderza nas jeszcze olbrzymi wzrost kultury, zwłaszcza w dziedzinie prac zbiorowych. Część tych prac dokonywają ciała samorządne (drogi i szkoły); ta, u nas, w Królestwie jest oczywiście zupełnie zaniedbana i będzie taką aż do czasu, kiedy funkcjonować zacznie samorząd ziemski. Druga część jest dziełem zrzeszeń swobodnych, stowarzyszeń; i tu oczywiście wyprzedza nas Galicya z powodu o wiele dawniejszej pracy; ale i u nas wieś powoli pokrywa się kółkami rolniczymi, sklepami współdzielczymi, kasami pożyczkowymi i t. d. Tu wszystkie instytucje pełnią dziś lepiej funkcje pomocy i opieki, niż pełniły je za dawnych, patryarchalnych czasów jednostki; są też wyższą formą coraz szerszego współdziałania.

Przyszłość zatem idzie w kierunku uważania ziemi za taki sam anonimowy przedmiot handlu, jak wszystko inne i w kierunku uszczuplania ilości jednostek własności większej. Jest to ilościowa i jakościowa przemiana warstwy ziemiańskiej. Ilościowa—bo z biegiem czasu ziemian będzie coraz mniej, jakościowa—bo nie będą to już z dziada pradziada osiadłe na skrawku ziemi rody, lecz anonimowi, przemijający koczownicy, bez znaczenia społecznego, niezdolni do prowadzenia pracy kulturalnej, która przede wszystkim wymaga trwałości i ciągłości.

Może mamy tu do czynienia ze zjawiskiem koniecznym, a wtedy wszelka krytyka byłaby zbędna, wolno wszakże stwierdzić, że ze stanowiska ogólnej kultury narodowej, jest to zjawisko niepożądane. Nasza warstwa włościańska nie jest jeszcze dość kulturalnie wyrobiona, aby bez pewnego krótszego lub dłuższego obniżenia poziomu mogła wziąć spadek po warstwie ziemiańskiej. Zaznaczmy mimochodem chociażby taki objaw, jak niszczenie w parcelowanych majątkach śladów starszej i wyższej kultury, dworów, zabudowań gospodarskich, ogrodów, parków. Gdyby nie to obniżenie kultury, nie możnaby spodziewać się wielkich zmian na wsi. Owa kultura chłopska tylko ilościowo, a nie jakościowo różni się od szlacheckiej. Nie stoimy na gruncie odrębnego, rasowego pochodzenia szlachty naszej; i owszem — zgadzamy się z Sienkiewiczem, który mazowiecką szlachtę na dorobku za cza-

sów Jagiełły upodobnił w typie i języku do chłopów dzisiejszych. Tylko ekonomiczna słabość, brak samodzielnych, zamożniejszych gospodarstw włościańskich, na których pniu mógłby rozkwitnąć szczerp kultury wyższej, każe obawiać się o jej następne obniżenie.

Co myśli i co czuje ta warstwa, która coraz mocniej wychodzi i wychodzić będzie na powierzchnię życia wsi naszej, już nie w programach ideologów tylko, ale w życiu realnem? Jakim prądom i jakim kierunkom podlegać będzie przeważnie? W odpowiedzi na to pytanie mniej nas obchodzić musi szara masa, podległa dawnym wskazaniom i dawnym wodzom, niż mniejszość, grupująca się koło sztandaru klasowego, bo ta mniejszość jest fermentem, na którym wyrosną dni przyszłe.

Nieraz wypadło nam na tem miejscu krytykować działalność *Zarania*. Wytykaliśmy i wytykamy temu pismu właśnie jego ciasnotę klasową, jego nieustanne burzenie przeciw dworom i plebanom, chociażby kosztem pożytecznej, wspólnej pracy kulturalnej. Niepodobna jednak pod jeden strychulec podciągać zdeklasowanych chłopów bez ziemi, agitatorów bez przekonań, dla których agitacya jest tylko takim dobrym, jak każdy inny, sposobem zarobkowania, mętne i przewrócone głowy przewodyrów, mądrali a właściwie głuptasów wioskowych, którzy bez wykształcenia rozwiązują na podstawach nieprzetrawionych broszur najważniejsze i najtrudniejsze zagadnienia ludzkości, wzbudzając tylko politowanie — i wszystkich wogóle czytelników i zwolenników tego pisma. Nie brak wśród nich gospodarzy pracowitych, oszczędnych, dorabiających się, w kierunku praktycznym bardzo oświeconych, którym poprostu powodzenie życiowe nderza do głowy i budzi pewną butę, że użyjemy znowu porównania z przeszłością szlachecką; są to przedstawiciele indywidualizmu polskiego, któremu brak w tej chwili możności szerszego uzewnętrznienia. W sądach zawsze trzeba dużo ostrożności, dużo rozróżniania, nie potępienia w czambuł, lecz sądenia i wyrokowania o jednostkach.

Nie uważamy też za zupełnie właściwe metody walki z tym ruchem radykalnym włościańskim. Zawsze ponad słowo potępienia stawiamy czyn twórczy. Jeżeli uważamy szerzone zasady za błędne i szkodliwe, najlepiej je zwalczymy, z jednej strony stosując się do wskazań słusznej, niestety, czasami krytyki, z drugiej zaś stawiając mury obronne pozytywnej pracy, więcej kółek, spółek, gospód, teatrów, wogóle zrzeszeń, na których gruncie mogliby spotykać się i współdziałać przedstawiciele różnych warstw wiejskich. Nie zdaje się, aby w tym kierunku uczyniono wszystko, co czynić można i należy; wiemy zaś, że u nas łatwiej

o słowo niż o czyn, o lenistwo, niż o pracę. Przytem rzucanie słów potępienia z bardzo wysoka, rzucanie na szalę walki największych powag; ma, społecznie biorąc, dwie strony złe: stwarza zupełnie niepożądane aureole męczeńskie za przekonania a wraz z nimi i większą zwartość, i, jak każda mocna akcja, wywołuje równie mocną reakcję, w skutkach nieobliczalną, może nawet niebezpieczną.

Ten ruch radykalny na dalszą metę nie wydaje się groźnym. Jak wszystkie—przejdzie znane stadya: ostrego przeciwstawiania się istniejącej rzeczywistości (obecne), zmęczenia bezpłodnością jałowej krytyki i brakiem pozytywnej, twórczej pracy, zróżniczkowania i pogodzenia względnego pod pewnymi warunkami i koncesyami z otaczającą rzeczywistością. Przykład mamy o miedzę. Pamiętamy doskonale *Sturm und Drangperiode* ruchu ludowców w Galicyi z brukowaniem ulic czaszkami szlacheckimi (w zamierzeniu) i innymi akcesoryami. Dziś—hasła radykalne pozostały tylko pustymi wyrazami, nałogami metody; w praktycznym życiu politycznym postawie z tej grupy okazali się aż nazbyt wielkimi realistami. Możnaść kupienia kilku dziesiątków tysięcy ludzi za jeden złoty kołnierz wydaje się transakcją korzystną; niemoralną — zapewne, ale polityka z moralnością wogóle rzadko kiedy bywa w dobrej komitywie. Ale i ta transakcja nie byłaby możliwa, gdyby te dziesiątki tysięcy ludzi nie były uspokojone względnie, gdyby po okresie ząbkowania politycznego nie zwyciężył zdrowy instynkt zachowawczy.

Wszakże ten instynkt jest zasadniczym pierwiastkiem duszy naszego ludu. Może on czasem zejść z tej prostej drogi dziedzicznej na manowce agitacyjne, ale rzadko i do pewnego kresu. Ten czy inny gospodarz włókowy, który na zjeździe kółek Staszycowskich czy na szpaltach *Zarania* wygłasza hasła radykalne jest dość mądry, aby wiedział, co czyni; jest to równie dobry jak inny *moyen de parvenir*, środek odznaczenia się, który mu w niczem nie przeszkodzi do dalszego zaokrąglenia fortuny półwłóczkiem, czy zgoła włóką. Spróbujcie iść krok dalej w radykalizmie: pomówcie z nim o doktrynach Henryka George'a, a zobaczycie, jak was przywita. Radykalizm—jak u drobnomieszczanina francuskiego — do granic walki z Kościołem i wymyślenia na bogatszych, ściślej rzecz biorąc, do granic worka — własnego.

W tem poczuciu własności osobistej, najsilniejszej własności kawałka ziemi, w tym wrodzonym instynkcie zachowawczym chłopca polskiego tkwi rękojmia i otucha przyszłości. Ziemia trwa i on trwać przy niej będzie, a gruntu z ręki nie popuści.

Oto my, setki tysięcy inteligencyi zawodowej miejskiej opuściliśmy naszą karnicielkę, oto opuszczają ją coraz bardziej szeregi braci i krewnych naszych; przyjdą po nich chłopi. Zmieniają się ludzie, schodzą do grobu pokolenia, a ziemia odradza się nieustannie, karmi rzesze bez wytchnienia, dając nam realny obraz wieczności życia. Mniejsza — w kim wyrazi się jego ciągłość, byle ten ktoś trwał przy ziemi, nie utracił tej jedynej podstawy prawdziwego narodu. Będzie nim chłop — szczęść mu Boże!

*

*

*

Podwójny przypada w tym roku jubileusz pisarza znakomitego, a dziś prawie zapomnianego, młodym pokoleniom zgoła nieznanego, dwadziestopięciolecie zgonu a stulecie urodzin Józefa Ignacego Kraszewskiego. niesłuszny wyrok potomności jest może odwrotną stroną powodzenia, jakie było udziałem Kraszewskiego za życia. Podczas ostatnich jego lat wybitnym pisarzem był już Prus, Sienkiewicz rozpoczął Trylogię; mimo to wszystko Kraszewski był zawsze najulubieńszym, najpoczytniejszym, najznakomitszym. Współcześni czcili w nim i słusznie przede wszystkim olbrzymią potęgę pracy: w literaturze wszechświata ilością dzieł ustępuje chyba tylko Calderonowi i Lopezowi de Vega; dalej — wszechstronność: Kraszewski był nie tylko powieściopisarzem, ale równocześnie redaktorem, publicystą, historykiem sztuki, historykiem swego narodu, malarzem nawet. Inni — Rzewuski, Korzeniowski, malowali szczególnie i przeważnie jedną epokę i jedną okolicę; Kraszewski obejmował wszystkie ziemie dawnej Polski i całokształt ich dziejów we wszystkich epokach; wszak zamierzył i dokonał tak olbrzymiego dzieła, jak historii Polski w długim szeregu powieści. On to — i tego mu nigdy społeczeństwo ojczyście zapomnieć nie powinno — nauczył Polaków czytać powieści polskie; wyrugował częściowo romans francuski, wyłącznie panujący po dworach i salonach, kiedy pisać rozpoczął. W całej twórczości przyświecały mu szlachetne cele dydaktyczne; był wychowawcą swego społeczeństwa i usiłował je wieść po drodze umiarkowanego postępu. Nic ludzkiego nie było mu obojętne; w dziełach swoich poruszał wszystkie kwestye palące: niedolę włościan poddanych, kwestyę żydowską, sprawy kobiece, wypadki konspiracyi przedpowstaniowej i powstania 1863 r. Nie

należąc do żadnego stronnictwa, narodowi swemu jedynie wytrwale służył; zwolennik złotego środka był doskonałym i typowym przeciętnego ducha narodowego przedstawicielem. Dlatego przeciwny początkowo powstaniu, dał się następnie unieść fali — razem ze wszystkimi; kiedy Wielopolski wydalął go z Warszawy, — ogłosił i uczuciom jego walkę wypowiadał. Na emigracji nie przestawał narodowi swemu służyć nie tylko jako powieściopisarz, ale i jako publicysta-historyk w „Rachunkach.“ A wdzięczny naród uroczyście święcił jego jubileusz, oddając hołd rzetelnej zasłudze. Za twórczość obfitą i wszechstronną, za życie nieustannej pracy i troski obywatelskiej, spotyka go dziś zapomnienie lub lekceważenie. Najpospoliej spotykany zarzut — zaniedbanej formy jest niesłuszny, zważywszy epokę twórczości; wszak on sam powieści polskiej drogę torował, on następców swoich pisać uczył; że przerosli mistrza — tem większa chwała obecnej powieści polskiej, a bynajmniej nie obniżenie wielkiego pisarza. Fabuła prosta i zdrowa — to chyba przecież zaleta, a wada tylko dla zepsutych smaków tyłoma współczesnymi rozwichrzonymi ramotami. A za zasługi wart Kraszewski wspomnienia, i przypomnienia, i zachęcenia do czytania przynajmniej jego arcydzieł; i tych nawet lista zbyt długa na rozmiary kroniki, więc do podręcznika, do historii literatury ciekawych odesłać wypada, a wyjątek uczynić chyba dla „Starej Baśni,“ „Powieści bez tytułu“ i „Morituri,“ których przeczytania nikt bodaj nie pożałuje. Nie jesteśmy narodem wdzięcznym i dawnych zasług pamiętnym; stwierdzić to można i na większych od Kraszewskiego. Brak pomników na placach, brak serdecznego a powszechnego uczestnictwa we wspominkach; co najważniejsza — brak pietyzmu i poszanowania w sercach.

*

*

*

Nowa sztuka teatralna głośnej autorki miała być wystawiona w mieście prowincjonalnem; grono pań przeciw temu zaprotestowało, sztuka bowiem w założeniu swoim jest wybitnie niemoralna; z tego powodu w imię wolności i godności sztuki rozległy się protesty przeciw protestowi. Cała ta afera stawia na porządku dziennym zawsze równie nową i zawsze równie trudną do rozwiązania kwestyę stosunku sztuki do moralności, zagadnienie granicy między sztuką a pornografią. Rzecz charakterystycz-

na, że głosy o wolności sztuk najnieprzyzwoitszych rozlegają się z tego samego obozu, który każe nam niemal uświadamiać niemowlęta, aby ostrzegać je przed niebezpieczeństwami seksualnymi, który nawołuje bezustannie i słusznie zresztą do czuwania nad czystością młodzieży męskiej. Zwykła to niestety u nas chaotyckość i niekonsekwencja. Więc my, rodzice, z jednej strony mamy przestrzegać synów naszych, odciągając ich w wieku niebezpiecznym, przełomowym, do sportów i męczących ćwiczeń fizycznych, by zużyć ich energię, a z drugiej strony posyłać ich do teatrów, gdzie panoszy się podkasana rozpusta, na wystawy, gdzie świecą nagości, podpisane głościami nazwiskami, a sprzedawcy kart pocztowych również pod pretekstem sztuki propagują uznane historycznie pornografie. Rzecz ciekawa, co by powiedziano o lekarzu, który leczyłby chorobę, stosując równocześnie środki powstrzymujące i potęgujące jej objawy?

Kryterium sądu jest trudne, ale przecież proste: sztuka kończy się tam, gdzie się zaczyna spekulacja na niezdrowe instynkty tłumu. Otóż, nie wchodząc w historię, bo to zaprowadziłoby nas zbyt daleko, co do współczesności stwierdzić trzeba, że w bardzo przeważającej ilości wypadków mamy do czynienia z taką właśnie ordynarną spekulacją, dającą grosz pewny i gotowy. To znaczy, że w książce autor zamieszcza erotyczną scenę nie z pobudek konieczności wewnętrznej tworzenia, logiki konstrukcji powieści, lecz przeładowuje ją, unyślnie takimi scenami, aby zapewnić pracy swej powodzenie, że w tym samym celu jedyńie autorzy i autorki dramatyczne zapełniają scenę łóżkami, parawanami i jaknajbardziej podniecającymi dezabilami, że po to malarz maluje akty, a kupiec wystawia w oknie nagości różne na kartach. Tylko po to, aby handel szedł. A kto przy tej sposobności wzywa nadaremnie imienia Sztuki, ten świadomie lub nieświadomie kłamie, ten nieśmiertelnem pięknem kupczy w jego świątyni. Matki, siostry i żony kieleckie miały słusność, że zdobyły się na cywilną odwagę protestu. Wzięły na seryo i poważnie słuszne nawoływania do strzeżenia czystości ducha i ciała młodzieży i za to właśnie, że wzięły na seryo to jedyne prawdziwe i dobre hasło pedagogiki nowoczesnej, za to zostały postawione pod pręgierz opinii tych, co nam uszy rozdzierają postępowymi wrzaskami. Ale dobry ich przykład znajdzie naśladowców i rozpocznie się wreszcie reakcja opinii przeciw współczesnemu publicznemu wyuzdaniu.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Dnia 27 marca r. b. odbyło się posiedzenie Wydziału I, na którym p. Stanisław Krzeziński wygłosił rzecz o „Hugonie Kollątajnu, jako uczonym.“ P. Bronisław Chlebowski odczytał wspomnienie pośmiertne o zmarłych w r. b. członkach Wydziału — Leopoldzie Meyecie i Edwardzie Grabowskim. P. Franciszek Pułaski przedstawił Wydziałowi rozprawę p. A. Brücknera p. t. „Uwagi nad słownikiem etymologicznym słowiańskim Berneker.“

Dnia 17 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału I, na którym p. Gabryel Korbut odczytał pracę p. t. „Pogromca obskurantów z przed stu lat.“ Przedstawiwszy w niej działalność literacką jednego z wychowawców Wieku Oświeconego, księdza Jana Gorzyczewskiego, członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego (zm. w r. 1823), p. Korbut uwydatnił walkę jego bronią satyry z objawami współczesnego obskurantyzmu i pismactwa w Polsce, trącaćmi jeszcze stęchlizną czasów saskich.

Posiedzenie Wydziału III odbyło się d. 18 z. m. Przedstawiono komunikaty następujące: P. E. Malinowski: „O heterothalii kilku porostów tatrzańskich“ (przedstawił p. Z. Wóycicki); — p. A. Czartkowski: „Wpływ światła na działanie diastazy, a znaczenie biologiczne diastazy“ (przedstawił p. Z. Wóycicki); — p. Ryszard Hertz: „O pochodzeniu komórek plazmatycznych“ (przedstawił p. Wł. Janowski); — p. J. Tur: „Spostrzeżenia nad owotomią wewnątrzjajnikową u ssaków“; — p. W. Sierpiński: „Dowód przeliczalności okstremów właściwych“; — p. J. Kaulbersz: „Spostrzeżenia biologiczne nad Amphipoda i Isopoda“ (przedstawił p. J. Sosnowski).

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Kwiecień, 1912. Treść: Wydawnictwa Towarzystwa Miłośników Historii, poświęcone dziejom Warszawy. — Krytyka: Bernatowicz St., ks.: Krótkie rozmyślenia o prawdach wiecznych; — Domańska Michalina: Historje prawdziwe; — Erdmann E. T.: Psychologiczna metoda nauki języków; — Górski Jan, dr.: Świadomość jaźni; — Grégoire W.: Spółczesny materializm a zagadnienia życiowe; — Janiszewski Bogdan: Gruzlica bydła rogatego i walka z nią; — Jordan (Julian Wieniawski): Kartki z mego pamiętnika; — Karnatowski Jerzy: Kooperatywa spożywcza. Praktyka i teoria; — Leniek J. dr., Herzig Fr., Leśnik Fr., ks.: Dzieje miasta Tarnowa; — Miciński Tadeusz: Dęby czarnobylskie; — Mickiewicza Adama Pisma, tom III (wyd. J. Kallenbach); — Monumenta reformationis polonicae et lithuanicae (zesz. I); — Morawska Zuzanna: Adjutant następcy tronu; — Mossoczowa M. (Koliskówna): Za orłami Napoleona; — Orłowski Wacław: Pieśń legionistów, jej powstanie i historia; — Piotr Michałowski. Rys życia, zawód artystyczny, działalność w życiu publicznem; — Posner Stanisław: Ludwik Gumpłowicz, zarys życia i pracy; — Przybyszewski Stanisław: Zmierzch; — Pułaski Franciszek: Nowe szczegóły o Biernacie z Lublina; — Radziwiłłowicz R., dr. med.: Zagadnienia psychologii; — Rybkin N.: Zbiór zadań stereometrycznych; — Steiman W.: Zbiór zadań i przykładów algebraicznych; — Storchenau Zygmunt, ks. T. J.: Wiara chrześcijanina jaką być powinna; — Szymański Adam: Z Jakuckiego Olimpu; — Teresa Jadwiga: Pojednani; — Thomas St.: Krótka teoria arytmetyki; — Trunz A., dr.: Nawozy zielone, ich zastosowanie i znaczenie w rolnictwie i leśnictwie (wyd. II); — Wawrzeńczyk M.: Współczesne zewnętrzne strony życia ludu; — Werner-Silberstein Ada, dr. fil.: Wstęp do estetyki nowoczesnej; — Wojciechowski Konstanty, dr.: O Zygmuncie Krasinskim; — Zagłębiczny Jan: O warunkach rozwoju cukrownictwa w kraju naszym; — Żuławski Jerzy: Stara Ziemia; — Żychliński Bolesław, ks.: Siedem grzechów głównych przeciw religijnemu wychowaniu dzieci; — Pod prasą; — Kronika; — Kilka wyjaśnień i sprostowań (z odpowiedzią); — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

BIBLIOGRAFIA.

KSIAŻKI NADESŁANE DO REDAKCYI.

ATLAS GEOLOGICZNY GALICJI. Zeszyt XXV. Ustrzyki Dolne (VIII, 7), Turka (IX, 8), Bolechów (XI, 8). Opracował prof. d-r Józef Grzybowski.

Kraków, 1911. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księg. Spółki Wydawniczej Polskiej.

ATLAS GEOLOGICZNY GALICJI. Dodatek do zeszytu XV. Wschodnia część arkusza Kraków (słup III, pas 4). Z mapą. Opracował d-r K. Wójcik. Kraków, 1909. Nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

BRZOSTOWSKI ALEKSANDER BOLESŁAW: Ze wspomnień o Kraszewskim, w setną rocznicę jego urodzin a dwudziestą piątą zgonu. Warszawa, „Biblioteka Dziel Wyborowych.“ № 735.

BRZOSOWSKI STANISŁAW: Stanisław Wyspiański (wydanie pośmiertne). „Literatura i Sztuka,“ t. VIII. Nakładem księg. Maryana Hasklera.

BUKOWIŃSKI WŁADYSŁAW (SELIM): Na przelomie. Nowe wiersze (1901—1911). Warszawa, 1912. „Biblioteka Sfinksa.“

CZAJKOWSKI MICHAŁ: Stefan Czarniecki. Powieść historyczna. Tom czwarty. Warszawa, 1912. „Biesiada Literacka.“

DHARMA, czyli zniósł życie. Podstawy i istota nauk Buddy. Zebrał, przełożył i objaśnieniami opatrzył Aphthartos. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

DERMONT M.: To jest przykazanie moje, abyście się społecznie miłowali. — Jan, XIII, 34.

DUMAS AL.: Towarzysze Jehudy (Sprzysiężeni). Powieść historyczna w 3-eh tomach. Tom II, z 7 ilustracyami. „Ciekawe Powieści.“ Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

DWUDZIESTE ROCZNE SPRAWOZDANIE Banku Związku Spółek zarobkowych w Poznaniu z czynności w roku 1911. Poznań, 1912.

GĄSIOROWSKI WACŁAW: Pani Walewska. Powieść historyczna z epoki napoleońskiej. Wydanie drugie. Lwów, 1912. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa. Księgarnia E. Wendego i S-ki.

GIELECKI WOJCIECH MARCELI, DR: Pomysły filozoficzne w hymnach Rig-Vedy. Kraków, 1911. G. Gebethner i S-ka.

GRABOWSKI TADEUSZ: Juliusz Słowacki, jego żywot i dzieła na tle współczesnej epoki. Tom drugi. Kraków, 1912. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i S-ki.

GRUBIŃSKI WACŁAW: Pocałunek. Uczta Baltazara i inne nowele. Wydanie drugie. Spółka nakładowa „Książka.“ Kraków-Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

HERRMAN IGNÁT: Teść Kondelik i zięć Wejwara. Drobne przygody z życia porządnej rodziny praskiej. Z czeskiego przetłómaczyła Kazimiera Uhlenfeld. Część III. Warszawa. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

INZBUD BOLESŁAW: Z za kulis Monte-Carlo. Według źródeł francuskich. Warszawa, 1912.

JEDLICZ JÓZEF: Nieznanemu Bogu. Wydawnictwo „Pod znakiem poetów“ J. Mortkowicza. Warszawa, 1912.

KEMPNER ST. A.: Miscellanea społeczno-ekonomiczne. Warszawa, 1912. Nakład „Nowej Gazety.“ Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki.

KORWIN JAN: Humoreski. Lwów. Skład głów. w Warszawie w księgarni E. Wende i Ska.

KÖNN JÓZEF: Czyń mężnie i żyj! Tłum. E. M. Wydawnictwo Chyrowskiego Koła Towarzystwa im. Piotra Skargi. № 2. Chyrów, 1912. Skład w księgarni F. Westa w Brodach.

KURAS FERDYNAND: Tatarzy w Sandomierzu. Dwie legendy wierszem opowiedziane, z przedmową Zygmunta Kolasińskiego. Z portretami poety i sześcioma ilustracjami w tekście. Wydanie drugie. Kraków, 1912. Nakładem komitetu obywatelskiego w Tarnobrzegu.

LAZARUSÓWNA F.: Złoty pokoik. Nakładem wydawnic. „Życie“ w Krakowie. Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

MAGIER RUDOLF FR.: Z wiejskiej zagrody (Obrazki wsi sławońskiej), z chorwackiego przełożył i wstępem poprzedził Jan Magiera. Kraków, 1912.

MICKIEWICZ ADAM: Pisma. Wydał, objaśnił, wstępami podzielił Józef Kallenbach. Tom IV. Nakładem księgarni F. Westa w Brodach, 1911 r.

OPOLSKI ZDZISŁAW: Studium o istocie przemiany materii ustrojowej. Jako wstęp do nauki o wpływie otoczenia kosmicznego na człowieka. Wydane z zasiłkiem wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii Umiejętności w Krakowie. Lwów, 1912.

PAYOT JULIUSZ: Wyrabianie charakteru podstawą moralności. Z oryginału francuskiego „Le Morale à l'école.“ Przełożyła Marya Arct-Golczewska. Warszawa, 1912. Nakładem Michała Arcta.

PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ: Miłość, sztuka i pieniądze. Warszawa, 1912. Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.

PIETKIEWICZ ZYGMUNT: Na łukach słońca. Duma o człowieku-dziecku. Pierwszy tyśiąc. Warszawa, 1912. Księgarnia M. Arcta.

ROCZNIK II Towarzystwa Przemysłowców gubernii Królestwa Polskiego za rok 1911. Warszawa, 1912.

ROLLAND ROMAIN JAN-KRZYSZTOF: Bunt. Część I i II. Przełożyła z upoważnienia autora Jadwiga Sienkiewiczówna. Warszawa, 1912. „Biblioteka Sfinksa.“

SCHURÉ EDWARD: Wiele wtajemniczeni. Zarys tajemniczych dziejów religii. Rama. — Kriszna. — Hermes. — Mojżesz. — Platon. — Jezus. Z 20 wydania francuskiego spolszczyła Władysława Nidecka. Warszawa. Nakładem Michała Arcta.

SHAKESPEARE WILLIAM: Dzieła dramatyczne w dwunastu tomach, z portretem autora. Przekłady J. Kasprowicza, J. Korzeniowskiego, St. Koźmiana, K. Ostrowskiego, A. Pajgerta, J. Paszkowskiego, E. Porębowicza i L. Ulricha. Tom III. Stracone zachody miłosne. Sen nocy letniej. Kupiec wenecki. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

SŁOWACKI JULIUSZ: Liryki. Układ Artura Górskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff.

SOREL JERZY: Złudzenia postępu. Przełożył z wydania drugiego z upoważnienia autora Emil Breiter. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Warszawa, 1912, Gebethner i Wolff. Książnica naukowa i artystyczna.

SPRAWOZDANIA z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Styczeń. Warszawa, 1912. Nakładem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki (T. Hiża i A. Turkula).

SPRAWOZDANIE Komitetu Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego za rok 1911. Warszawa, 1912.

SZANDLEROWSKI ANTONI: Pisma. Confiteor. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

— Poezye. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

TETMAJER-PRZERWA KAZIMIERZ: Poezye. VII. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

TOKARZEWSKI SZYMON: Katorżnicy. Obrazki syberyjskie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

WIŚNIAKOWSKI A. J.: Słownik wyrazów i wyrażeń handlowych. Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie.

WIŚNIEWSKI JÓZEF: Sen dnia letniego. Trzyaktowy pastel sceniczny. Kraków, 1912. Księgarnia Literacka Karola Kwaśniewskiego.

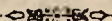
ZAPOLSKA GABRYELA: Sznat życia. Powieść. Część IV. Warszawa, „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

ZAWILIŃSKI ROMAN: Z kresów polszczyzny. Wrażenia podróżnika. Kraków, 1912. W księgarni S. A. Krzyżanowskiego. Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

ZIELEŃCZYK ADAM: Drogi i bezdroża filozofii. Warszawa, 1912. Nakładem Henryka Lidenfelda. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i Spółki.

ZŁOTE ZIARNA zebrane z pism X. Piotra Skargi. Wydawnictwo Chyrowskiego Koła Towarzystwa im. Piotra Skargi № 1. Chyrów, 1912. Skład w księgarni F. Westa w Brodach.

ZURAW: Jak My pracujemy. Szkice z życia naszego przemysłu. Lwów 1912. Gubrynowicz i Syn.



Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURZYCY hr. ZAMOYSKI.
